

Chuck Wendig

.....

DROZDY

POSŁANIEC ŚMIERCI



CHUCK WENDIG

DROZDY
POŚLANIEC ŚMIERCI

Miriam Black (2)



Tytuł oryginału:

Mockingbirds

Projekt okładki:

Andrzej Brzezicki

Redakcja:

Marzena Cieśla

Redakcja techniczna:

Zbigniew Katafiasz

Korekta:

Elżbieta Górnaś, Elżbieta Jaroszek

Copyright © Chuck Wendig 2012.

© iStockphoto

© Stockbyte

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2013

© for the Polish translation by Miłosz Urban

ISBN 978-83-7758-426-2

Wydawnictwo Akurat

Warszawa 2013

Wydanie I

Więcej ebooków i audiobooków na chomiku [JamaNiamy](#)

CZĘŚĆ PIERWSZA

THE CAGE-TRAINED GIRL

*Jest tylko ptakiem w złotej klatce,
Piękny to widok.
Wydawać się może, że jest szczęśliwa i beztroska,
Ale tak nie jest.
To smutne, gdy pomyśleć o jej zmarnowanym życiu,
Bo wiosna i jesień nie powinny być razem;
Sprzedała urodę za złoto starucha,
Jest ptakiem w złotej klatce.*

Arthur J. Lamb, Harry Von Tilzer,
Bird in a Gilded Cage (przekład tłumacza)

1

SHIP BOTTOM

Bip.

Emulsja do opalania.

Bip.

Ciasteczka orzechowe.

Bip.

Tampony, ręcznik plażowy, kilka kartek pocztowych i, niespodziewanie, puszka zielonej fasolki.

Miriam chwytą każdy przedmiot przez czarną rękawiczkę i przesuwa po kolei nad skanerem kasy. Czasem schyla głowę i spogląda wprost w czerwone światło czytnika. Nie wolno jej tego robić. Ale ona nie zwraca na to uwagi; to jedna z nielicznych form buntu, na jakie sobie pozwala w nowym życiu. Może, myśli Miriam, czerwona wiązka wypali tę część mózgu, która czyni ją tym, kim jest. Zmieni ją w tępe, ale uśmiechnięte warzywo, radośnie nieświadome, szczęśliwe w zamkniętej celi z plexiglasu.

– Proszę pani?

Niespodziewane słowa wyrywają ją ze świata wyobraźni i sadzają z powrotem przy kasie.

– Chryste, co znowu? – pyta.

– Skasuje mnie pani wreszcie?

Miriam spogląda na dłonie. Wciąż trzyma w nich puszkę zielonej fasolki. Producent Del Monte. Przez chwilę rozważa, czy nie roztrzaskać głowy kobiecie w plażowej sukience ze spranym motywem kwiatów hibiskusa. Ledwie zakrywa jej obwisłe piersi, w połowie spieczone na raka, w połowie

białe jak robaki. Dwie połówki przedzielone rubikonem paskudnej opalenizny.

Rozmyśla się i przesuwa puszkę nad skanerem. Uśmiecha się uprzedzająco.

Bip.

– Ma pani coś z rękoma? – pyta kobieta. W jej głosie słyhać troskę.

Miriam porusza palcem – jak gąsienica przemieszczająca się skrajem liścia. Czarna skóra rękawiczki trzeszczy i piszczy.

– A, o to chodzi? No tak, muszę je nosić. Wie pani, jak w restauracjach, nie? Tam kobiety muszą mieć czepki, żeby im włosy nie wypadały, BHP i tak dalej. A ja muszę nosić rękawiczki, jeśli w ogóle chcę tu pracować. Higiena i bezpieczeństwo pracy. Nie potrzebujemy przecież epidemii żółtaczk, dobrze mówię? Mam typ A, B, C i ten najgorszy, X.

A potem, żeby postawić kropkę nad i, unosi dłoń do przybicia piątki.

Kobieta nie korzysta z jej zaproszenia.

Widać za to, że krew odpływa jej z twarzy, a spalona na czerwono skóra robi się chorobliwie blada.

Miriam nie ma pojęcia, co by się stało, gdyby powiedziała prawdę: To nic takiego! Po prostu, kiedy dotykam ludzi gołą skórą, w głowie zaraz pojawiają mi się te zwariowane wizje i wiem, jak ten ktoś umrze. Dlatego noszę rękawiczki – żeby nie oglądać tych idiotyzmów.

Może pójść jeszcze dalej i wyjaśnić bezpośrednią przyczynę: Noszę je, bo Louis chce, żebym je miała.

Mimo że rękawiczki nie zapewniają stuprocentowej ochrony przed wizjami. Z drugiej strony, poza Louistem nikt jej nie dotyka. Nigdzie. Nawet w największe upały chodzi szczelnie okryta.

Za kobietą tworzy się kolejka, siedem, może osiem osób z zakupami. Wszyscy słyszą, co Miriam mówi. A ona nie potrafi siedzieć cicho. Dwójka

klientów – pulchny mężczyzna w kolorowej jak papuga koszuli i młoda dziewczyna z niezdrowo wyglądającymi sztucznymi piersiami wielkości piłek – zostawiają swoje rzeczy na taśmie i odchodzą.

A klientka przy kasie nie chce się poddać. Robi kwaśną minę i nagle, nie wiadomo skąd, w jej dłoni pojawia się karta kredytowa. Miriam wyobraża sobie, że skrywa ją w pokrytej piaskiem pochwie. Kobieta rzuca plastikiem, jakby nagle zmienił się w wyjętego z ogniska ziemniaka.

Miriam już ma ją podnieść, kiedy na ramieniu czuje czyjaś dłoń.

Wie, kto za nią stoi.

Odwraca się i widzi Peggy, szefową sklepu Ship Bottom Sundries na Long Beach Island w New Jersey. Peggy ma nos, który musiał zostać obdarzony własną grawitacją, bo cała jej twarz zbiera się wokół niego, jakby przyciągał ją jakiś magnetyzm. Peggy, której gigantyczne ciemne okulary przywodzą na myśl modliszkę. Peggy, która farbuje siwiejące włosy na pomarańczowo i zostawia niedbale splątane.

Pieprzona Peggy.

– Byłabyś tak uprzejma i wyjaśniła, co ty w ogóle wyprawiasz? – Miriam ma wrażenie, że szefowa każdą rozmowę zaczyna w ten sam sposób. I do tego ten cholerny akcent z New Jersey. *Byabyś ta upszejmaa i wyjaśniaa, co ty ogóle wyprawiaa?*

– Pomagam obywatelom tego wspaniałego kraju dokonać niezbędnych sprawunków, ku chwale ojczyzny.

W myślach dopowiada resztę sloganu: Ship Bottom Sundries, u nas znajdziecie bułki do hot dogów, tanie tampony w dużych paczkach i piszczące plastikowe kraby dla waszych wrzeszczących bachorów.

– A ja mam wrażenie, że byłaś dla niej nieuprzejma.

Miriam zmusza się do urażonego uśmiechu.

– Naprawdę? Jeśli już, to niecelowo.

Absolutnie celowo.

– Wiesz chyba, że zatrudniłam cię, bo ktoś mnie poprosił.

– Tak, wiem. Nie mogłabym zapomnieć, bo codziennie mi o tym przypominasz.

– Bo to prawda.

– Aha. Zgadza się. Po raz kolejny udało nam się to ustalić.

Peggy mruży otoczone zmarszczkami oczy.

– Jesteś strasznie przemądrzała.

– Można by się kłócić, bo ja, na przykład, uważam, że ciągle robię jakieś głupoty.

Kolejka wydłuża się coraz bardziej. Kobieta w kwiatowej sukience plażowej tuli zieloną fasolkę do piersi, jakby puszka warzyw mogła odczarować dzień z klątwy, która została na niego rzucona. Pozostali klienci przyglądają się kłótni szeroko otwartymi oczami i pochrząkują niezadowoleni.

– Myślisz, że jesteś zabawna – mówi Peggy.

Miriam nie zwleka z odpowiedzią.

– Ależ jestem.

– Nie sądzę.

– Nie sądzisz, że jestem czy że nie jestem?

Twarz Peggy skręca się jak wyżymany ręcznik. Dopiero po chwili do Miriam dociera, że tak Peggy manifestuje radość.

– Zwalniam cię – mówi kobieta. Wykrzywione wargi i uniesione kąciki ust w żalosej próbie naśladowania ludzkiego uśmiechu.

– Wiesz co, wal się – mówi Miriam. – Nie wyrzucisz mnie z roboty.

Dopiero poniewczasie uświadamia sobie, że słowa „wal się” nie są najlepszym sposobem na zachowanie miejsca pracy, ale co począć, poszły konie po betonie.

– Mam się walić? – powtarza Peggy. – Nie, to ty się wal. Mam z tobą same problemy. Codziennie przychodzisz nadąsana, jakby ci ktoś nasikał do vibovitu...

– Chryste, kobieto, w jakich czasach ty żyjesz? Kto jeszcze wie, co to vibovit?

– ...a ja nie potrzebuję tutaj małej naburmuszonej zdziry. I tak mamy już ostatni weekend sezonu, więc nie będę żałować. Wylatujesz. Kaput. Bierz swoje rzeczy i wynoś się. Ostatnią wypłatę prześlę ci pocztą.

Ona nie żartuje, myśli Miriam.

Właśnie została zwolniona.

Dostała wypowiedzenie.

Wywalili ją na zbity pysk.

Powinna się cieszyć.

Jej serce, w końcu wolne, powinno być jak otwarta klatka z ptakami, które w końcu mogą nieskrępowane wzbić się w niebo. To powinien być ten specjalny moment tańców, hulanki, swawoli, rozkloszowanych spódnic, rozłożonych ramion i wiatru we włosach. A mimo to jedyne, co czuje, to kwas solny w żołądku i potężną pięść wściekłości zaciskającą jej się na gardle. Falę jadu przepływającą przez żyły.

Louis powtarza, żeby panowała nad sobą.

Ale ona jest już potwornie zmęczona. Ma tego dość.

Zrywa z piersi plaketkę z imieniem – ma na niej napisane „Maryann”, bo ktoś schrzanił zamówienie i nikomu nie chciało się tego naprawiać – i rzuca ją za siebie. Klientka w luźnej sukience uchyla się przed lecącą plaketką.

Potem Miriam wraca do swojego starego zwyczaju – unosi środkowy palec i trzyma go Peggy przy samym nosie – po czym wypada na zewnątrz.

Zatrzymuje się. Stoi pośrodku parkingu. Trzęsą jej się dłonie.

Czuje bryzę znad oceanu. Powietrze niesie zapach słonej wody, ryb i delikatną woń oleju kokosowego. Na asfalcie tańczą chmury piasku.

Na kawałek chleba rzuca się kilkanaście mew i zaczyna walczyć. Trzepot skrzydeł i wrzask. Pijane okruchami i zwycięstwem.

Jest gorąco. Bryza tylko trochę łagodzi upał.

Wszędzie ludzie. Klap, klap, klap, bezustanne stukanie japoniek o pięty. Ryk czyjegoś dzieciaka. Harmider i śmiechy urlopowiczów przeczuwających zbliżający się koniec wakacji. Łomot basu z samochodu posuwającego się powoli zakorkowaną Long Beach Boulevard; Miriam nie może oprzeć się wrażeniu, że z głośników dudni słowo dupa-dupa-dupa-dupa. Rytm nakłada się na wściekłe bicie jej serca, które za każdym razem napiera na mostek i żebra. Z drugiej strony parkingu macha do niej Walt, chłopiec od ustawiania wózków na zakupy, choć chłopiec to niewłaściwe słowo, bo Walt jest pięćdziesięcioletnim mężczyzną, tyle że upośledzonym w rozwoju. On jeden był dla mnie miły. I, zdaje się, dla niego jednego Miriam była miła.

A, pieprzyć to, myśli.

Zdejmuje jedną rękawiczkę.

Potem drugą.

Rzuca je niedbale za siebie. Ma dziwacznie białe dłonie, znacznie bielsze niż reszta ciała. Skóra na palcach marszczy się jak po zbyt długiej kąpieli.

Gdyby Louisowi naprawdę zależało, żeby dawała sobie radę, nie zostawiłby jej samej. A zostawił.

Miriam wraca do sklepu. Po drodze wypręża palce, aż strzelają kostki.

WYZWOLENIE MIRIAM BLACK

Peggy zastąpiła Miriam przy drugiej kasie od końca. Miriam podchodzi do niej, klepie w ramię i podaje dłoń – udawany uścisk na zgodę: stary trik, żeby wyłudzić czyjś dotyk. Potrzebuje tylko krótkiego kontaktu gołej skóry, by przywołać wizję śmierci. Nie może się doczekać, żeby zobaczyć, jak babsztyl wykituje. Jest głodna tego widoku. Pragnie go jak narkoman narkotyku.

Miriam ma nadzieję, że Peggy zejdzie na nowotwór zadka.

– Chciałam ci tylko podziękować – kłamie, zaciskając zęby. Podziękować rakiem rzyci. – Pomyślałam, że zrobię to jak cywilizowany człowiek i uściśniemy sobie dłonie.

Ale Peggy, o nie, ona tego nie kupuje. Spogląda na dłoń Miriam, jakby nie patrzyła na ludzką kończynę, tylko na jadowitego pająka.

Podaj mi rękę, panienko!

Potrzebuję tego.

Muszę to zobaczyć.

Tyle czasu minęło. Niemal czuje świerzbiecie dłoni.

Dawniej nienawidziła swojego daru.

W sumie nadal go nienawidzi. Ale mimo wszystko chce zobaczyć.

Dawaj, kurwa, rękę!

– Uciekaj stąd – mówi Peggy i cofa się odrobinę.

Wszystko na nic.

Peggy odwraca się do niej plecami. Wraca do kasowania zakupów. Bip. Bip. Bip.

– Proszę – mówi Miriam. Tym razem z naciskiem. Głos jej lekko drży. –
No dalej, załatwmy to jak dorośli ludzie.

Peggy ją ignoruje. Klienci się przyglądają.

Bip. Bip. Bip.

– Hej, Peggy! Mówię do ciebie! Podaj mi, cholera, rękę!

Peggy nawet się nie obraca.

– Powiedziałałam już, że nie chcę cię tu widzieć!

Miriam świerzbią dłonie. Czuje ból. Jest jak głodny pies, który przygląda się, jak jego pan zjada stek – pragnienie i głód zaciskają jej szczęki, a ślina zalewa usta. Chce to zobaczyć. Tylko ten jeden raz.

– W porządku, ty nieznośna cipo, jak nie chcesz po dobroci, to zrobimy to po mojemu.

Od tej chwili nie ma już drogi odwrotu. Miriam chwyta Peggy za ramię, odwraca szarpnięciem i uderza ją...

Peggy krzyczy. Ucieka, ale potyka się o trupa na zasypanej piaskiem podłodze Ship Bottom Sundries. Trupem jest Walt, chłopiec od wózków na zakupy. Spod kobiety wylewa się coraz większa kałuża krwi – która nie jest jej – a z gardła wydobywa się krzyk przypominający paniczny pisk zwierzęcia, które widzi nóż rzeźnika zbliżający się do gardła. Ale Peggy nie krzyczy sama – cały sklep piszczy i wyje, a ludzie uciekają między półki i na zewnątrz. Chudy mężczyzna wyraźnie odstaje od pozostałych – nie pasuje do tłumu. Ma ciemne okulary, krótką koszulkę w serek i spodnie khaki, całe poplamione jedzeniem, olejem samochodowym czy Bóg wie czym. Nieznajomy unosi pistolet – kanciastego glocka – i pociąga za spust. U wylotu lufy pojawia się język ognia, a kula odłupuje kawałek czaszki Peggy, razem z jej pomarańczowymi włosami. Po chwili kolejny pocisk z siłą rozpędzonego pociągu przebija jej płuca i kobieta po raz ostatni nabiera powietrza...

...wierzchem dłoni. Głowa Peggy odskakuje, ale to nie właścicielka sklepu jest zaszokowana. Miriam stoi nieruchomo i słyszy szum krwi w żyłach i dudnienie w głowie. Robi jej się niedobrze. Świat zaczyna wirować, a ona nie może uwierzyć, że to wszystko może być prawdą, że wydarzy się to, co przed chwilą zobaczyła.

Peggy ma przed sobą trzy minuty życia.

Trzy minuty.

Tutaj. Zaraz. Teraz.

O Boże!

Otwierają się drzwi i do środka wchodzi Walt, siłując się z nieposłusznym stadkiem wózków. Mimo wysiłku jest wciąż uśmiechnięty i gwizdże radośnie.

Peggy sapie z oburzenia.

– Wzywam policję!

Jej słowa docierają do Miriam jak echo odległego krzyku albo jakby ktoś wypowiedział je z głową pod wodą. Odwraca gwałtownie głowę i przesuwając wzrokiem po kolejce do kasy. Na samym końcu dostrzega mężczyznę. Ma na sobie ciemne ray-bany. I koszulkę w serek. I brudne szorty.

Mężczyzna z pistoletem.

Jeszcze dwie i pół minuty.

W tym momencie Miriam zauważa jakiś ruch nad głową. Na kratownicy pod sufitem siedzi kruk i kołysze się z boku na bok. Kruk ma tylko jedno oko. Drugie ktoś mu wyłupił, pozostała po nim dziura.

Ptaka otwiera dziób, a Miriam słyszy w głowie czyjś głos: Witamy z powrotem, Miriam Black.

Mruga gwałtownie i ptak znika.

Peggy usiłuje ją zatrzymać. Chwyta za nadgarstek, ale Miriam nie ma czasu do stracenia. Odpycha ją. Peggy wpada na kasę i z głośnym bip!

zatrząskuje szufladę z pieniędzmi.

Dziewczyna nie ma pojęcia, co zrobić. Czuje się zagubiona. Osamotniona. I, sama nie wie dlaczego, rozszalała niepewność sprawia, że znów jest sobą.

Rusza w stronę końca kolejki. Jakby prowadził ją autopilot. Jakby siedziała w wagoniku kolejki górskiej, której nie może zatrzymać. Peggy coś krzyczy. Jej głos ledwie do niej dociera.

Klienci z kolejki patrzą z zaciekawieniem, ale odsuwają się, kiedy ich mija. Nie chcą zrezygnować ze swojego miejsca do kasy i jednocześnie nie chcą się znaleźć obok niej.

Zostały tylko dwie minuty. Może nawet mniej.

Staje za mordercą. Mężczyzna się nie rusza. Nie patrzy i nie mruga. Nie zwraca na nic uwagi.

Peggy wychodzi z kasy, jest zaszokowana. Krzyczy, żeby ktoś wezwał policję. Mamrocze coś o napaści. Prosi klientów o pomoc. Pomoc w zatrzymaniu Miriam. Nikt się nie kwapi, by spełnić jej prośbę. Ludzie chcą kupić, czego potrzebują, i uciec jak najdalej od tego miejsca.

Niektórzy już teraz odkładają swoje rzeczy i salwują się ucieczką. Bez sensu cokolwiek ryzykować, tak pewnie myślą. Miriam skupia się na napastniku, myśli tylko o nim, o jego broni i o śmierci.

– Masz pistolet – mówi. Kiedy się odzywa, ma zachrypnięty głos i taką suchość w ustach, że z trudem odrywa język od podniebienia.

Mężczyzna odwraca się trochę i potrząsa głową jak zaskoczony pies. Nie może uwierzyć, że usłyszał to, co usłyszał.

Walt znów ją widzi. Macha.

Mężczyzna dopiero teraz pojmuje, co do niego powiedziała.

– Chcą, żebym wszystkich zabił.

– Nie wolno ci tego zrobić – mówi. Jeszcze półtorej minuty. I zdaje sobie

sprawę, że to na nic. Jej słowa niczego nie zmieniają. To tak nie działa. Rok wcześniej poznała zasady, które tym rządzą, kiedy w starej latarni morskiej zastrzeliła bossa narkotykowego.

Losu nie da się zmienić.

Chyba że. Chyba że...

Chyba że zapłaci odpowiednią cenę. Zapłaci krwią. Oko za oko, ząb za ząb, życie za życie. Tylko coś równie doniosłego może zmienić bieg rzeczy. Żeby zatrzymać rzekę, potrzeba kurewsko wielkiej skały.

– Kto ci kazał ich pozabijać?

– Głosy. To nie one cię przysłały? – pyta nieznajomy.

– Nie. – Miriam potrząsa głową. Nie ma pojęcia, o kim mówi, ale patrząc na jego usta, wie, że nie wypowiedział tych słów na głos. Porusza w powietrzu palcami jak wywrócony chrabąszcz. Miriam czuje bijący od niego zapach potu i oleju do smarowania broni i wszystko jest już dla niej jasne – gość jest szurnięty. Całkowicie pokręcony, z sieczką zamiast mózgu.

Debil z przerażającą misją.

Nie zdąża dokończyć myśli, kiedy mężczyzna wyciąga broń. Glocka.

Jego dłoń porusza się bardzo szybko. Nieznajomy uderza Miriam kolbą w głowę. Dziewczyna na chwilę traci wzrok, a przed oczyma widzi tylko jaskrawe białe światło. Zatacza się i pada boleśnie na kość ogonową.

Szansa, by zrobić to, co powinna zrobić, jest coraz mniejsza, bo zamroczona nie może się podnieść z podłogi.

Świat dookoła zwalnia. Miriam czuje się jak komar przyklejony do kropli żywicy.

Po nosie ścieka jej strużka krwi.

Nie może zmusić nóg, by w końcu podniosły ją z ziemi.

Mężczyzna unosi broń nad głowę i pociąga za spust.

Panika. Krzyki. Chaos.

Opuszcza broń, celuje. Kolejny strzał. Frontowe drzwi rozpadają się na kawałki.

Miriam w końcu wstaje. W głowie jej huczy, a przed oczyma cały czas tańczą kolorowe rozbłyski. Jest tuż za nim. Podąża wzrokiem za jego bronią, którą wycelował w stronę Walta.

Teraz albo nigdy.

Czy losu naprawdę nie da się zmienić?

Miriam doskonale zna sklep. Zaczęła pracę jeszcze przed początkiem sezonu. Kto, grając w grę „Czego można użyć jako broni?”, nigdy się nie rozglądał po swoim miejscu pracy? No dobrze, może nikt poza nią. Może to tylko jej gra. Bo Miriam Black nie jest jak inni. Już nie.

Odwraca się. Sięga po coś z półki na samym końcu regału.

Długi widelec z dwoma zębami z błyszczącej nierdzewnej stali.

Widelec do grillowania.

Wbija go z boku w szyję mężczyzny, kiedy ten pociąga za spust.

Walt krzyczy i pada na ziemię. Wózki rozjeżdżają się na wszystkie strony.

Krew tworzy szkarłatne bąble wokół zębów widelca i tryska jak fontanna. Kapie na ramię strzelca i wsiąka w jego koszulkę.

Morderca odwraca się do Miriam. Niezdarny piruet z długim widelcem sterczącym z szyi, który wygląda jak dziwaczny włącznik. Wystarczy go nacisnąć, żeby odciąć zasilanie.

Dziewczyna mruga i patrzy prosto w wylot lufy glocka.

– Ty zawsze musisz coś namieszać – mówi mężczyzna. Ma usta czerwone od krwi. W jego słowach nie ma gniewu. Żal, może. I smutek. Na pewno dużo smutku.

Błysk wystrzału. Miriam nie słyszy huk.

Ale czuje. Jej głowa odskakuje – a po czasie przesuwa się płonąca błyskawica, jakby Szatan zaszczyił ją swoim parzącym spojrzeniem.

Mężczyzna pada bokiem na półkę z biżuterią z muszli, zabawkowymi skrzyniami pirackich skarbów i szklanymi bańkami z wodą, w których zamiast płatków śniegu wirują ziarenka piasku. Wszystko roztrzaskuje się o podłogę.

Miriam chce coś powiedzieć.

Tyle że jej usta nie są już połączone z mózgiem.

Dla świata to może chwila wytchnienia.

Ale dla niej to coś strasznego.

Głęboka i złowroga ciemność wyciąga się w jej stronę i mocno ją oplata.

WŁAMYWACZ

Miriam siedzi na plaży wciśnięta w tanie, plastikowe białe krzesło. Dłonie trzyma na białym stoliku od kompletu, palce stóp ma zagrzebane w zimnym piasku, przez co wyglądają jak rząd ostryg.

Naprzeciwko siedzi jej były chłopak, Ben Hodges. Zamiast potylicy ma krwawy wykrot po tym, jak wiele lat temu wziął do ust lufę strzelby i pociągnął za spust. Oboje byli wtedy głupimi, napalonymi nastolatkami. Pieprzyli się. Ona zaszła w ciążę. On się zabił. A jego matka wyładowała swoje wściekłe osamotnienie na Miriam, waląc ją na oślep czerwoną szufłą do śniegu.

Tamten dzień. To właśnie tamtego dnia narodziła się Miriam. Obecna Miriam. Miriam obdarzona przekleństwem. Darem. Tym czymś, co ma.

Ben chrząka.

Dwa czarne ptaki – oba z czerwoną plamką na każdym skrzydle – dziobią jego zmasakrowany mózg, jakby szukały w nim robaków.

Fale przybijają do brzegu, fale wracają do morza, nieprzerwany szum poruszającej się wody.

– Wiedziałem, że nie wytrzymasz zbyt długo – mówi Ben.

Jednak Miriam wie, że to nie on. Kiedyś, dawno temu, powiedziałaaby, że to tylko wytwór jej wyobraźni, zhora przybierająca kształty zaczerpnięte z jej umysłu – i możliwe, że tak rzeczywiście było. Jednak dziś nie dałaby za to głowy. Może wtedy też nie?

– Jestem sobą.

– Właśnie na to liczymy.

Miriam rozkłada szerzej dłonie, nachyla się i patrzy mu w oczy.

– My. To nie pierwszy raz, kiedy słyszę to słowo.

– A imię nasze Legion. Jesteśmy demonami w twojej głowie.

– Że niby to wszystko to moje zwidy? Jesteś jakimś dupkiem, którego sobie wymyśliłam?

Ben milczy. Jego oczy błyszczą rozbawieniem.

W tej samej chwili jeden z ptaków unosi głowę, a w dziobie trzyma końcówkę czegoś, co wygląda jak ścięgno. Szarpie za nie. Lewa dłoń Bena podskakuje. Kiedy ptak opuszcza głowę, ramię chłopaka opada.

Ptaki sterują nim jak lalką.

Urocze.

Nagle Miriam widzi sunącą ku niej plamę cienia. Unosi głowę. Na tle nieba szybuje balon wypełniony helem. Mija blady dysk, robiący tu za słońce, a kiedy Miriam odwraca głowę, żeby spojrzeć na Bena, chłopaka już nie ma. Zamiast niego na krześle siedzi mężczyzna z bronią. Ten, który strzelał w sklepie. Ma zakrwawione usta, a z szyi wciąż sterczy mu widelec do grilla.

– No proszę. I jak się z tym czujesz?

– Jak się z czym czuję? – odpowiada Miriam pytaniem na pytanie,

choć wie, o co mu chodzi.

– Nie rób z siebie niewiniątka. Masz na koncie drugiego trupa. – Po raz kolejny Miriam widzi w oczach rozmówcy błysk rozbawienia. – Albo i trzeciego, jeśli policzyć martwe dziecko.

Słowa trafiają ją jak cios obuchem. Stara się tego nie okazywać, ale widać to, bo opada na oparcie, odwraca głowę i spogląda na bezmiar szarego oceanu pokreślonego spienionymi grzywami fal.

Mężczyzna wzrusza ramionami.

– Czyli dzieciaka nie będziemy liczyć.

– Musisz się jakoś nazywać – Miriam zmienia temat rozmowy. – Możesz nie mieć twarzy, ale imię powinieneś mieć.

– Co powiesz na Bena? Albo Louisa? A może mamę?

– Chyba cię popieprzyło, jeśli myślisz, że będę mówiła do ciebie „mamo”.

– Skoro już o niej mowa: kiedy ją ostatnio widziałaś?

Dziewczyna nie odpowiada. On – albo ona, albo w ogóle to coś – zna przecież odpowiedź.

– Powinam nazywać cię Włamywaczem – mówi w końcu. – Bo dokładnie to robisz. Włamujesz się. Powinam teraz spokojnie dryfować przez ciemność poprzedzającą moją śmierć, zrelaksowana jak kotka na słońcu, ale nie, bo ty musisz się pojawić i poprzekadzać. Włazłeś z buciorami do mojego mentalnego ogródka. Dokładnie tak. Włamałeś się. Zatem jesteś Włamywaczem.

– Nie udawaj, że nie czekałaś na mnie.

– Nic a nic.

Mężczyzna uśmiecha się. Ptak siada na sterczącym z jego szyi widelcu.

– Poza tym – kontynuuje Włamywacz, choć tak naprawdę ma nieruchome usta, a za niego mówi drozd siedzący na rączce widelca. I

mówi głosem Bena. – Nie jesteś martwa. Jesteś tylko w szoku.

– Nie zginęłam?

– Nie, jeszcze nie. Może niedługo? Tak czy inaczej, masz przedtem trochę spraw do załatwienia. Nie pozwolimy ci tak łatwo odejść, maleńka. To spotkanie jest naszym sposobem, żeby ci powiedzieć, że dobrze cię widzieć z powrotem.

– W takim razie powinieneś przynieść wino i ciastka.

– Może następnym razem.

3

TO TYLKO ZADRAPANIE

Musi opowiedzieć wszystko trzem różnym gliniarzom i każdy po kolei ją pogania, żeby w końcu pofatygowała się do tej cholernej karetki.

Siedzi na krawężniku, pali jak fabryka komórek kancerogennych, a policjanci tłumaczą jej, że może mieć wstrząs mózgu. I że ranę po kuli z boku jej głowy – bo pocisk otarł się jedynie o skórę, zostawiając długie krwawiące otarcie – należałoby zdezynfekować.

Miriam odpowiada, że nie zamierza wsiadać do żadnej karetki.

A już na pewno nie pojedzie do szpitala.

Tak, dobrze się czuje.

Nie ma ubezpieczenia zdrowotnego i nie ma pieniędzy, by zapłacić za jego brak. Ostatnim razem, kiedy trafiła do szpitala, pożegnano ją rachunkiem z tyloma zerami, że wyglądał, jakby komuś zacięła się klawiatura. Swoją drogą, wyrzuciła go do pierwszego napotkanego kosza na śmieci.

Zeznania, które składa, zasadniczo nie odbiegają od prawdy. Mówi im praktycznie wszystko – nawet o tym, jak spoliczkowała Peggy – nie wyjawia jedynie swoich wizji. Ale nie dlatego, że nie chce się nimi dzielić. W przeszłości wiele razy próbowała i po prostu teraz już wie, że policjanci nieszczególnie przepadają za obroną w rodzaju „zrobiłam to, bo słyszałam głosy”.

Bez sensu wtykać kij w mrowisko.

Zamiast tłumaczyć się ze swojego daru, mówi, że zauważyła broń pod koszulką mężczyzny, a w następnej chwili nieznajomy już wymachiwał

pistoletem. Nic, co by stało w sprzeczności z przebiegiem wydarzeń w sklepie.

Peggy nie chce zgłaszać pobicia. Peggy nie chce nawet jej widzieć ani z nią rozmawiać, a Miriam w to graj.

Stara się dowiedzieć czegoś więcej o napastniku, jednak nikt nic nie wie. Albo nie chce powiedzieć. Tak czy inaczej, ma wrażenie, że nikt jej nie słucha.

Godzinę później jest już wolna. Pożegnanie takie samo jak zawsze: „Proszę nie opuszczać stanu, bo możemy chcieć zadać pani jeszcze kilka pytań”.

Słyszy, co mówią. Ale w rzeczywistości nie słucha.

Musi jak najszybciej zapalić. Potrzebuje tego.

Chce do domu.

Gdyby tylko wiedziała, jak to jest mieć prawdziwy dom.

4

DOM-SROM

Ruch na moście łączącym Long Beach Island z lądem jest koszmar; tu zawsze jest koszmar, bo wyspa bezustannie połyka turystów i wymiotuje nimi. Latem most zwany potocznie groblą – biały, zawieszony ponad szarobrazową breją, którą wypełniona jest zatoka Manahawkin – stoi w korkach jak tętnica zablokowana cholesterolem.

To jedyna droga prowadząca na wyspę i z powrotem na stały ląd.

Miriam nie jedzie samochodem. Dzięki temu nie musi stać w korku. Przemyka wzdłuż unieruchomionych aut na dziesięciobiegowym rowerze marki Schwinn. Rower pokrywa rdza, wpływ działania słonego morskiego powietrza. Karoserie mijanych wozów rozmazują się w kolorową plamę, a rozmowy z otwartych okien cichną, kiedy zostawia za sobą kolejne pojazdy.

Koła kręcą się z cichym szumem.

Sól z oceanu sprawia, że otwarta rana na głowie zaczyna piec.

Dziewczyna jedzie i pali papierosa, wydmuchując ustami kancerogenną chmurę dymu.

Minął już rok, od kiedy po raz pierwszy przejechała mostem na wyspę. Spieszyła się wtedy, by ocalić Louisa przed przeznaczeniem. Siedział przywiązany do krzesła na szczycie latarni morskiej. Torturowany przez potwora. Uratowała go, zanim stracił drugie oko – i mózg, bo tak miało się to skończyć. Dowiedziała się w ten sposób, że istnieje odstępstwo od zasad rządzących jej darem.

Jedynym sposobem, by ocalić kogoś przed śmiercią, jest dać losowi inne

życie w zamian.

Tak właśnie zrobiła dzisiaj z zamachowcem w sklepie. Dziabnij jebanego dziabąga, ta myśl skacze po głowie Miriam jak kula w automacie do gry. Ale wcale nie jest jej bardziej do śmiechu. Wręcz przeciwnie: sprawia, że czuje się coraz gorzej, coraz bardziej obco i histerycznie.

Masz coś do załatwienia.

Mimo upału czuje zimny dreszcz.

W końcu zjeżdża z mostu. Bay Avenue przechodzi w Barnegat Road. Pośród piaszczystych pagórków wyrastają sosny. Nigdy wcześniej nie sądziła, że zobaczy te drzewa w pobliżu plaży, ale tutaj się okazało, że to normalne. Z drugiej strony, nigdy też nie podejrzewała, że najlepszym miejscem na odpady medyczne są plaże, ale cóż, witamy w New Jersey.

Skręca w Green Street, mijają niewielki sklep ze sprzętem do surfingu, a potem jeszcze mniejszy sklepik wędkarski. Wszystko po to, żeby uniknąć jazdy przez ronda. To kolejny hit New Jersey. Ronda. Wszędzie ronda. Jakby nie można już było robić zwykłych skrzyżowań. Bo nie można! Teraz tylko w kółko i w kółko. Przeklęta karuzela, przez którą nawet Dante padłby w kałużę swoich rzygowin.

Jak raz się wjedzie na takie rondo, można się na nim kręcić do usranej śmierci, myśli Miriam.

Jak wir spuszczonej wody.

I trochę tak się czuje, zmierzając w stronę domu. Jakby tak właśnie było. Unosi się na powierzchni, macha rozpaczliwie nogami i czeka, co będzie pierwsze – zabraknie jej sił czy pojawią się rekiny. A może pojawi się łódź i przepływając, wciągnie ją w wir potężnej śruby napędowej?

Dom. Dom. Blee...

Domem jest przyczepa kempingowa Airstream Trade Wind, model z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego, postawiona na osiedlu

przyczep Bayview Trailer Park, zaraz przy Tuckerton. Nazwa osiedla może być trochę myląca, jednak Miriam przekonała się, że nie jest też całkowicie zmyślona: jeśli wspiąć się na dach którejś z przyczep, przeskoczyć z niej na słup podtrzymujący przewody pod napięciem i wspiąć się jeszcze wyżej, z całą pewnością ktoś z lornetką mógłby dostrzec mętne fale zatoki.

Osiedle przyczep kempingowych przyciąga standardową mieszaninę wykolejeńców i wariatów. Po jednej stronie para miłych staruszków z fetyszem w postaci kolorowych hawajskich koszul, które wyszły z mody wiele lat wcześniej: najbardziej gadatliwi ludzie, jakich kiedykolwiek poznała. Po drugiej dwóch gości, którzy po wyrzuceniu z college'u zajmują się sprzedażą słabej trawki innym wyrzuconym z college'ów. Na końcu osiedla jeszcze bardziej odpychające towarzystwo: mężczyzna, który w zaciszu swojej przyczepy produkuje metamfetaminę albo konstruuje bomby, a może robi obie rzeczy naraz?, zbieracz, który zamiast przedmiotów kolekcjonuje psy jack russell terrier – szczekanie, człowieku, ten jazgot! – i facet w średnim wieku, rozwodnik, który nawet w największe upały nosi flanelowe koszule. Miriam jest pewna, że to obleśny pedofil.

Doborowe towarzystwo.

Zbieranina wyrzutków bez korzeni, którzy nigdzie indziej nie pasują. Miriam zdaje sobie z tego sprawę. Nie jest zachwycona, ale nie ma innego wyjścia.

Macha na powitanie parze staruszków. Nazywają się Moon. Nie zatrzyma się przy nich, bo wie, że gdyby znalazła się w zasięgu, tryby ich gadatliwości wciągnęłyby jej ramię. Żeby się uwolnić, musiałaby odciąć je sobie czymś ostrym.

Chwyta się za krocze, mijając dwójkę dealerów marihuany – Scuddera i Nilsa. Pierwszy przypomina chuderławą, surfującą wersję Ichaboda

Crane'a, a drugi to beczkowaty mężczyzna o niedojrzałej twarzy z hipsterską brodą i okularami w czarnych grubych oprawkach. Machają na powitanie i uśmiechają się głupio. Taka tradycja.

I już jest. Dom.

A właściwie „dom”.

To coś...

Z koślawego ceglanego kwietnika przed wejściem sterczą uschnięte nagietki. Obok stoi ceramiczny krasnoludek z obtłuczonym nosem i dziurą w czole – otworem, który Miriam wybiła własnoręcznie kijem do minigolfa, znalezionym za przyczepą. Używa tego kija do różnych celów: wchodzi z nim na dach i strzela stamtąd kamieniami, drapie się po plecach, grozi narkomanom i innym szumowinom.

Kij leży niedaleko, rzucony w poprzerastaną chwastami trawę.

Za każdym razem, kiedy przekracza próg airstreama, czuje skurcz żołądka.

– Skazani do cel – mówi szeptem.

Wprost do trzewi srebrnego wieloryba.

Błaszane ściany. Morska kolorystyka: pastele, drewniane panele i sprzęt z lat osiemdziesiątych. Sama niczego nie tknęła tu palcem. Jedynym jej wkładem w wystrój przyczepy było powieszenie szkieletu ptaka nad zlewem. Zakłada, że to kruk. Truchło znalazła przed trzema miesiącami, w większości zjedzone już przez mrówki. Tylko kilka piór trzymało się jeszcze kości.

Gdyby zrobiła cokolwiek więcej poza powieszeniem tej jednej ozdoby, poczułaby się jak właścicielka. Jak ktoś, kto tu rzeczywiście mieszka.

W sumie przecież mieszkała, fakt, jednak nigdy nie była osobą mocno osadzoną w rzeczywistości.

– Hullo, ptaszku – wita się głosem pana Snuffleupagusa z *Ulicy*

Sezamkowej. Puka palcem w szkielec, który przymocowała do patyczka po lodach żyłką i drucikami do zamykania woreczków śniadaniowych. Martwe ptaszysko kołysze się leniwie w popołudniowym słońcu.

Louis twierdził, że szkielec jest odrażający i w ogóle nie powinien się znaleźć w przyczepie, a już w żadnym razie nie nad kuchennym zlewem, w którym się przecież zmywa naczynia.

Wyjaśniła mu, że to jedyna rzecz, jakiej chce w tym miejscu; jedyna, jaką naprawdę posiada, i jeśli spróbuje usunąć szkielec z przyczepy, poczeka, aż zaśnie, usiądzie mu na klatce piersiowej i dziadkiem do orzechów pogruchocze mu orzeszki. Jego orzeszki. Następnie poważnym głosem wyjaśniła, że na wszelki wypadek już zaopatrzyła się w dziadka do orzechów, więc powinien uważać. I to bardzo.

Krótko mówiąc, Miriam i Louis nie potrafili się dogadać.

Przez jakiś czas byli kochankami. Louis był delikatny i czuły. Przekonał ją, żeby została w New Jersey. Z zaoszczędzonych pieniędzy opłacił przyczepę kempingową, w której mogli zamieszkać. Ponieważ rozwoził towar po całym Wschodnim Wybrzeżu, nieczęsto bywał na miejscu, ona zaś z początku nie mogła znaleźć pracy, więc miała sporo czasu, żeby się zaaklimatyzować, bla, bla, bla, bla... normalność...

Miriam nie chce więcej o tym myśleć.

Rana na głowie mocno świerzbi. Przesuwa wzdłuż niej palcami. Lepka. Nabrzmiała. Na opuszkach zostaje nie czerwony, ale różowy płyn.

Nie może przestać zastanawiać się nad tym wszystkim. Tak samo, jak nie może się powstrzymać od dotyknięcia rany.

Kiedyś, przez moment, wierzyła, że jest nadzieja i że może im wyjść z Louisem. Ale nadzieja zmieniła się w urazę i dość szybko airstream z domu przekształcił się w blaszany grobowiec.

Dziś są już tylko współlokatorami. I przyjaciółmi. I wrogami.

Jednocześnie co rusz Miriam nie może powstrzymać pragnień, które w niej siedzą, i wspina się na niego jak mała dziewczynka na konia, i ofiarują sobie seks z litości. Seks z litości dla niego. Seks z litości dla niej.

Na każde trzy tygodnie Louis dwa spędza gdzieś w drodze.

Dziś przypada jeden z tych tygodni, kiedy go nie ma. Ale niedługo wróci. Na dobrą sprawę, w każdej chwili może pojawić się w domu. Miriam wciąga nosem powietrze: nie pachnie ani starym old spice'em, ani nowym. Nowy old spice cuchnie jak wkładka pisuaru w ukraińskiej łaźni.

Im dłużej nie ma go na miejscu, tym bardziej ten zapach wietrzeje.

Kiedy znika całkowicie, nadchodzi czas, by wrócił.

Wychodzi na zewnątrz i zapala papierosa.

W domu się nie pali, tak jej powiedział.

To nie jest dom, odparła.

A jednak dom, zaprotestował.

Zareagowała na to odgłosem wymiotowania i palcem wciśniętym w gardło.

5 ĆPUN

Miriam siedzi obok rabaty z martwymi nagietkami i pali papierosa za papierosem. Ma nadzieję, że właśnie ten kolejny zdejmie ciężar z jej piersi i pozwoli swobodnie oddychać. Popiół strzepuje do obtłuczonej głowy krasnala.

Mijają kolejne godziny.

Nadchodzi wieczór. Robi się coraz ciemniej. Cykady ustępują pola świerszczom. Bryza znad oceanu osusza pot.

Krótko potem nadchodzi pora żerowania padlinożerców. Pojawia się obleśny pies dingo, odrażający kojot, i zaczyna się rozglądać. To jeden z jej sąsiadów. Jeszcze się nie poznali.

Jest szczupły, wysoki i zabawnie podryguje, jakby poruszał się w rytm muzyki, której nikt inny nie słyszy. Długie brązowe włosy ciasno związane w koński ogon.

Miriam widzi na jego ramionach rozdrapane strupy. Szuka wzrokiem jego zębów – jeszcze wszystkie ma, ale sądząc po ich kolorze i przerwach między nimi, niedługo zaczną wypadać jak odłamujące się sople lodu.

Trudno też nie zauważyć smrodu kocich sików.

To jeden z tutejszych ćpunów. Nie widziała go wcześniej, ale nie jest zaskoczona – na osiedlu przyczep kempingowych panuje spora rotacja narkomanów.

– Cze – mówi, idąc w jej kierunku.

Pewnie wymyślił sobie, że puknie tanią zdzirę z baraków. Albo ktoś mu powiedział, co z niej za numer, i postanowił zdobyć niezdobytą. Możliwe

też, że stał się obiektem okrutnego żartu i ktoś mu poradził, żeby do niej uderzył, bo jest łatwa. Pewnie siedzą teraz gdzieś między drzewami i czekają, co się wydarzy. Żartownisie.

– Ahoj – odpowiada.

– Ładna jesteś. – Niemal miła rzecz na początek rozmowy. Ale Miriam widzi jego spojrzenie, nieskierowane na nią, tylko gdzieś w dal, jakby w ogóle na nią nie patrzył.

– Za to ty wyglądasz jak kupa pryszczu posklejana w kształt człowieka.

– Oj, to nie było ładne.

– Znowu użyłeś tego słowa. Ładne. Widać, że mnie w ogóle nie znasz.

Zbliża się. Łączy palce obu rąk.

– Chętnie cię poznam.

– Stary, trafiłeś na bardzo niedobry czas – mówi Miriam. – Nie wiem, co ci naopowiadali twoi tępi koledzy, ale naucz się, że grzeczne dziewczynki nie dają takim jak ty.

– Pieprz się, suko! – W jego oczach pojawia się wściekłość.

Idzie w jej kierunku i zaciska rozdygotane pięści.

Wygląda na to, że nie mam wyboru, myśli.

Ćpun skacze.

Pająkowatymi palcami chwyta ją za nadgarstek...

Igła przebija skórę na ramieniu, które wygląda jak ramię staruszka. Trafia dokładnie w centrum tatuażu w kształcie pajęczyny, pośród niezliczonych śladów wcześniejszych wkłuć. Pokryte strupami przedramię wygląda jak zryta kraterami powierzchnia Księżyca. Nie wyjmuje igły. Zostawia ją tam, tuż poniżej podwiniętego rękawa pomarańczowego więziennego kombinezonu. Oczy uciekają w głąb czaszki, przechyla głowę, aż szare włosy opadają na ramiona, otwiera usta, a spomiędzy bezzębnych szczęk wydobywa się westchnienie szczęścia. Żyłami pędzi w kierunku serca

rozszały tabun koni, dociera w końcu do mózgu i kopyta narkotycznej bestii rozdeptują szarą masę, zmieniając ją w płaski naleśnik. A potem są już tylko konwulsje, wymioty i ostatnie szarpnięcie głową. Umiera, gdzie siedział, nie zmieniając pozycji.

...ale Miriam nie ma problemu, żeby się uwolnić. Odskakuje na bok.

Mężczyzna skacze znowu, żeby ją złapać, jednak ona zwinnie się uchyla.

– A teraz uważaj: zdechniesz w pierdłu – mówi, dysząc. Cholera, całkiem wyszła z formy. – Dasz w żyłę, przesadzisz i zejdziesz.

Ćpun kopie, ale daleko mu do ruchów karateki. Raczej jak gruby dzieciak usiłujący kopnąć worek treningowy.

– Pierdolisz! Ja nie bio... – jęczy – nie biorę w żyłę!

– Jeszcze nie. Ale zaczniesz.

Uderza nieporadnie pięścią. Miriam chwytą go za rękę i wykręca na plecy. Ćpun krzyczy z wściekłości, bo bólu raczej nie czuje.

– Co ciekawe, w chwili śmierci będziesz wyglądał, jakbyś miał sześćdziesiąt czy sześćdziesiąt pięć lat. Tymczasem, mój drogi, odwalisz kitę za piętnaście lat, rozumiesz? Metamfetamina to nie mleko, nie służy organizmowi jak nabiał.

Nie docenia go i, niestety, pozwala sobie na rozbawienie. A to błąd, bo narkoman dostrzega i wykorzystuje okazję. Gnojek jest gibki jak wąż – wąż nawalony jak stodoła metamfetaminą. Wali łokciem na oślep i trafia ją w głowę, dokładnie w miejsce, gdzie zraniła ją kula.

Świeża krew momentalnie zalewa jej oko.

Ćpun ją popycha. Mocno. Przewraca ją.

Miriam upada na plecy. Piasek pod łokciami. Trawa łaskocze ją w szyję. Krew szczypie w oko. Narkoman zaczyna się śmiać. Usiłuje splunąć na nią, ale nie daje rady i większość śliny ścieka mu po dolnej wardze i zwisa z brody. Poirytowany kopie w jej stronę piaskiem.

Potem chwyta ją za kostki. Miriam już nawet nie kopie. Jakaś jej część myśli: To może być już Wszystko. Mój ostatni dzień tutaj. Koniec końców, nie ma przecież pojęcia. Może się dowiedzieć, jak będą wyglądały ostatnie chwile każdej osoby, ale własna śmierć pozostaje tajemnicą – tajemnicą, która nie daje jej spokoju.

Przed kilkoma godzinami niemal padła ofiarą szaleńca z pistoletem. Teraz napatoczył się ten ćpun.

Jednak jest jeden problem: nie ma najmniejszego zamiaru odchodzić w ten sposób.

– Zabiłam dzisiaj człowieka – syczy przez zaciśnięte zęby.

Ćpun nieruchomieje z zaskoczenia. Palce dziewczyny natrafiają w trawie niedaleko martwych nagietków na coś twardego i zaciskają się na tym.

– Chrzanisz, nie wyglądasz na taką – odpowiada w końcu mężczyzna, szczerząc zęby.

Miriam bierze zamach kijem do minigolfa. Trafia napastnika w przedramię – ten wrzeszczy i cofa rękę – ale ona jeszcze nie skończyła. Zrywa się z ziemi, bierze zamach i drugi raz uderza, ponownie w to samo miejsce. Mężczyzna już nawet nie krzyczy. Jęczy jedynie jak małe dziecko przerażone krążącymi wokół szerszeniami. Cofa się i zahacza stopą o jakąś nierówność – o co nietrudno, bo tutaj wszystko składa się z nierówności, wystających korzeni i plam piasku.

Odwraca się. Upada.

– Odpieprz się ode mnie – mówi, śmiejąc się głupkowato.

– Nie wyglądam na taką? – powtarza jego słowa, bijąc kijem. – A na jaką wyglądam, co? Na jaką? Nie wiesz, prawda? Bo nie możesz wiedzieć!

Unosi wysoko broń: Miriam, karzące ramię przeznaczenia. Widziała przecież jego śmierć: przedawkowanie heroiny. Ale posiada moc, by to zmienić. Posłać takiego do piachu to przysługa dla świata: jednego

naćpanego gwałciciela mniej. Ludzkość powinna być jej za to wdzięczna.

Mężczyzna zaczyna krzyczeć. Pod nosem rośnie mu bańka ze smarków.

Kij wysuwa się jej z dłoni.

– Wynocha – mówi szeptem i szturcha go nogą.

Wygląda na to, że narkoman nie potrafi zrozumieć, że ma szansę na ułaskawienie.

Dziewczyna kopie, obsypując go piaskiem.

– Wypierdalaj!

Ćpun skowyczy, wycofuje się na plecach, a kiedy uznaje, że jest już bezpiecznie daleko, wstaje i czym prędzej znika między dwiema podwójnymi przyczepami.

Miriam wraca do środka. Zapala kolejnego papierosa. W głowie słyszy głos Louisa – krytykuje ją – ale akurat teraz nie bardzo ją to rusza. Niezależnie, jak bardzo chciałyby go posłuchać, nie potrafi potraktować jego słów poważnie.

Nie zwracając uwagi na to, co robi, wchodzi do łazienki – to znaczy do pomieszczenia, które miało za nią służyć. Jest tu tak ciasno, że ledwie może się obrócić. Drzwi nie są prawdziwymi drzwiami, tylko plastikową harmonijką, rozciąganą w razie potrzeby. Pod stopami wykładzina w kolorze sraczkki. Jeśli ktoś chce mieć dywan w łazience, sraczkowaty kolor ma wymiar praktyczny.

Łokieć pokrywa lepka krew. Jak rozbawiony kociak zaczyna rozwijać papier toaletowy, aż na podłodze tworzy się biały stosik. Urywa. Ostrożnie osusza ranę na głowie, oglądając w lustrze czerwone i czarne grudki krwi na włosach.

Dawniej farbowała je niemal codziennie, w zależności od nastroju. Niebieski, fioletowy, blond, zielony, jakikolwiek. Czarny Drozd. Czerwony Wampir.

Teraz po prostu orzech. Jej naturalny kolor.

Przycięte z jednego boku przez kulę z pistoletu.

Nagle czuje, że dusi się między ścianami. Jest ciaśniej niż zazwyczaj. Z trudem łapie oddech, więc w umywalce gasi papierosa.

– Pieprzyć to – mówi do szkieletu ptaka. Głos jej drży jak cienka blacha, na którą pada deszcz. Ma spocone dłonie. Zbiera jej się na wymioty. – Mam dość.

Wychodzi i pakuje torbę.

W PRAWO, W LEWO I BUM W DRZEWO

Jest gorąco jak w piekle – tu, to znaczy na drodze siedemdziesiątej drugiej, Barnegat Road w New Jersey. Przejrzyste płomienie gorąca liżą szary asfalt, a żółte linie rozdzielające pasy topią się jak kawałki masła na rozgrzanej patelni.

Po jednym pasie w każdą stronę. Pędzą kolejne samochody. Niektórzy gnają na plażę. Inni już wracają. Rodzinne minivany. Nadęci żelboje taksujący okolicę z otwartych dżipów. Łomot tandetnej muzyki. Ktoś na rowerze, opięty elastyczną lycrą upstrzoną kolorowymi logo firm, jakby był sponsorowanym zawodowcem, a nie żalonym, pretensjonalnym ćwokiem.

Miriam dostrzega pierwszy rower i myśli: okej, racja, rower. Też powinnam była popedałować. Ale potem przypomina sobie, że nie, nie taki był plan. Rusza w świat jak dawniej. Wraca do tamtego życia. Jedzie normalnie. Jak Miriam Black.

Do podróży wystarczy jej uniesiony kciuk.

Czas się pożegnać. Czas odciąć kotwicę, którą jest Louis i życie, jakie prowadziła przez ostatni rok, i znów ruszyć wydeptaną przez lata ścieżką. Stać się wolnym ptakiem niesionym pulsującym życiem systemem arterii drogowych Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Tyle że z jakiegoś powodu cały czas jeszcze nie wystawia kciuka.

Idzie. Po prostu.

– Gdzieś dalej złapię okazję – mówi do siebie, bo nikt jej nie słyszy. Może poza czarnymi przecinkami sępów na niebie, unoszonych gorącym oddechem gorącej nawierzchni. Pewnie krążą nad nią, mając nadzieję, że

wkrótce padnie z wycieńczenia. A wtedy zjawią się przy jej truchle, ledwie zdąży się przewrócić.

Nie ma zamiaru dać im tej satysfakcji. Paskudne ptaszyska. Łyse, więc nic nie stoi na przeszkodzie, by zagłębić łby z zakrzywionymi dziobami w gnijącym mięsie padliny. Ja też kiedyś byłam sępem, myśli. I znowu będę.

Pot ścieka jej po czole. Kapie do oczu. Szczypie.

Po lewej i prawej stronie drzewa. Większość to sosny. Słabowite. Z rzadkimi igłami. Wystają z piasku, czasem tylko szumią głaskane wiatrem. Nad głową linie wysokiego napięcia jak paski żelków z lukrecji. Z rzadka mijają domy – niewielkie chałupki, czasem rudery. Kilka kroków i znów jest między sosnami, w ich cieniu.

Wieczorny półmrok wylewa się wzdłuż drogi jak krew nocy. Słońce znika za horyzontem, na niebo wychodzi księżyc. Przy drodze pojawia się nowy gatunek sosny – sosna smołowa. Wysokie drzewa o powyginanych gałęziach rosnące na martwej i nieurodzajnej ziemi. Żyje mimo sezonowych pożarów: ogień przemyka dołem, niszcząc wszystkie niższe rośliny, a one rosną dalej, pozbawione konkurencji.

Sosny smołowe oznaczają, że dotarła do Pine Barrens – długiego pasa zarośniętej pustki z dziwacznymi mieszkańcami – prymitywnymi lokalsami, którzy wzięli te zarośnięte nieużytki w posiadanie. Domu mitycznego diabła z Jersey, chupacabry z głową osła, skrzydłami nietoperza i starej wiedźmy – jeśli oczywiście wierzyć w takie historie.

Jako że nie dało się nie zauważyć nocy, biorącej świat w królowanie, a z drogi zniknęły samochody, Miriam zastanawia się, czy nie zboczyć po prostu w las, gdzie mogłaby paść ofiarą Diabła albo lokalsów.

Decyduje, że lepiej iść dalej.

Rok wcześniej została porwana, zamknięta w niewielkim domku pośrodku tego pasa dziczy i torturowana.

Bolą ją nogi. Ma sucho w ustach. Palą podeszwy stóp. Czuje, że odciski znów dają o sobie znać.

Ma ze sobą butelkę wody. Odkręca i upija łyk. Potem następny. Po chwili butelka jest pusta.

Ile łyków już wypila?

Cholera.

W końcu stwierdza, że może nadszedł właściwy czas: czas złapać stopa. Czas powrócić do starego życia. Jak wtedy, gdy nic nie musiała i niczego nie żałowała. Zdaje sobie sprawę, że większość mijających samochodów zawiozłaby ją najpewniej na wyspę. Cóż za ironia. To trochę jak grzęznąć w ruchomych piaskach, próbując się z nich uwolnić.

Mimo wszystko, na widok świateł reflektorów zza pleców unosi dłoń i wysuwa kciuk. Nieważne, kto to. Ważne, żeby się zatrzymał. Niech przeznaczenie też ma coś do roboty. Miła babcia za kierownicą? Upalone licealistki? Jack Torrance z *Lśnienia*?

Los ma dziwne poczucie humoru. Pokręcone jak karłowate sosenki.

Szum silnika wydaje jej się naraz niepokojąco znajomy. Odwraca się: duże, jasne reflektory – dwa pędzące w jej kierunku słońca.

Hamowanie. Syk układu hydraulicznego.

W głębi duszy krzyczy przeciągle: nie, nie, nie, nie, NIE!

Ale między każdym „nie” jest pojedyncze „tak”.

– Miriam? – Louis przekrzykuje warkot silnika.

Dziewczyna jest rozdarta jak chusteczka jednorazowa: mięśnie mówią, żeby uciekała, ale kości ciągną w jego kierunku. Konflikt kończy w ten sposób, że po prostu siada na poboczu. A właściwie upada: jak lalka, którą ktoś jednym pociągnięciem noża odciął od żyłek. Kuli się w trawie tuż obok asfaltu.

W końcu słyszy najpierw otwieranie drzwi, a potem trzaśnięcie. Staje

przed nią Louis, potężny mężczyzna – jednocześnie daje poczucie bezpieczeństwa i przeraża. Jest wielki, ciepły i mięciutki jak pluszowy miś. Miriam wie, że gdyby chciał, jednym ruchem mógłby urwać jej głowę.

– Chodź – mówi. I wskazuje, by wsiadła z nim do szoferki.

A ona, ku własnemu zaskoczeniu, idzie.

KAWA I PAPIEROSY

– Nie wrócę do tej gównianej przyczepy – mówi, zajmując miejsce na fotelu pasażera. Silnik ciężarówki cały czas pracuje.

Kabina. Zwykła szoferka. Żadna przyczepa kempingowa. Wnętrze ciężarówki Mack wygląda, jakby wyjechała niedawno z salonu. Louis bardzo o nią dba. W powietrzu unosi się zapach odświeżacza do powietrza i, oczywiście, wody po goleniu Old Spice.

– Niech będzie – odpowiada. Dwa słowa wypowiedziane z miękkim południowym zaciągnięciem. Akcent jest bardzo delikatny, nie jak mocno uderzony akord na banjo. Kryje się w nim spokój i bezpieczeństwo. Jak w starej brudnej poduszce.

Spogląda w jej stronę swoim jednym okiem. Drugiego brakuje, a zmasakrowany oczodół zasłania czarna opaska. I to przeze mnie, myśli Miriam.

– I też nie mam zamiaru wracać na tę zasraną wyspę.

– Nie ma sprawy.

– Powiem więcej. Wystarczy, że skręcisz w stronę wybrzeża, a wydłubię ci jedyne oko. Kciukiem. – Przeczesuje włosy dłońmi i wydaje z siebie zwierzęce westchnienie.

Przez jakiś czas jadą w milczeniu. Louis prowadzi ciężarówkę i co rusz odrywa wzrok od drogi, żeby na nią spojrzeć. Miriam skądś już to zna. Ma przy sobie strażnika i ostoję. A sama jest niezrównoważoną wariatką.

– Jesteś ranna – mówi w końcu.

– Co? A, to... – Unosi dłoń i dotyka głowy. Podłużna rana po pocisku

zdążyła pokryć się strupkami: poszarpana topografia skóry pod delikatnymi opuszkami palców. – No tak... kto ci powiedział? I jak mnie znalazłeś?

Odpowiedź pojawia się w jej głowie, jeszcze zanim zdążył ją wypowiedzieć.

– Peggy zadzwoniła.

Święta racja. Peggy. Kobieta-utrapienie, rzucająca się cieniem na całe lato pracy. Nie była bliską przyjaciółką Louisa, ale się znali. Spotkali się, kiedy coś dostarczał do sklepu – diabli wiedzą co. Pewnie tampony i plastikowe kraby pustelniki, myśli. Peggy zapytała, czy zna kogoś, kto szuka pracy, bo ma wolne miejsce. Louis odparł, że ma kogoś odpowiedniego. I w ten sposób rozpoczęła się jej tortura.

– Zostałaś postrzelona – powtarza. – Jak się czujesz? Wszystko w porządku?

– Super.

Mężczyzna nabiera głęboko powietrza.

– Chryste. Zostałaś postrzelona. Z broni palnej.

– No. Tak to bywa, że jak do kogoś strzelają, to z broni palnej. Ale nie ma co robić tragedii. W zeszłym roku ktoś mi sprzedał kosę w płuco. Zapadło się jak pęknięta dętka. To... to nic nie znaczy. Zadrapanie. Draśnięcie. Interesuje mnie za to, jak mnie znalazłeś?

– Odebrałem telefon, wróciłem do domu...

– Do przyczepy.

– ...a ciebie już nie było. Ani ciebie, ani twoich rzeczy.

– Mogłam być gdziekolwiek. Mogłam pojechać na północ, do Nowego Jorku. Albo na południe, do Atlantic City.

– Gdybyś tam jechała, nie przecięłabyś Pine Barrens. – Przygląda jej się zmęczonym wzrokiem. – Zaryzykowałem. Opłaciło się. Po takim czasie trochę cię już znam.

Jest w tym stwierdzeniu coś, co ją drażni.

– Gównno mnie znasz – parska. Nieprzyjemne słowa wychlapują się z jej ust jak kwas z rozkołysanego pojemnika. – Naprawdę tak ci się wydaje? Cholera, niezły dowcip. Gdybyś mnie znał, tobyś wiedział o najważniejszej sprawie – mówi bez śladu rozbawienia. – Przede wszystkim nie przyszłoby ci do głowy, żeby zamknąć mnie na rok w zasranej przyczepie kempingowej. Idiotyczny pomysł. I na pewno nie wpadłbyś na pomysł, że pracą moich marzeń jest skanowanie na kasie pocztówek, olejku do opalania i solonych precli dla otyłych i spoconych wieśniaków!

– Miriam – Louis wzdycha ciężko. – To przecież nic nadzwyczajnego. Wszyscy tak robią. Mieszkają gdzieś. I pracują.

Dziewczyna odchyła się, podciąga kolano i kopie deskę rozdzielczą. Nie dość mocno, żeby ją połamać albo choćby wgnieść, ale z wystarczającym impetem, by w całej kabinie słyszać było trzask i skrzypienie.

– Nie jestem wszyscy!

– Miriam...

– Zatrzymaj się.

– Co? Nie. Poczekaj. Jest jeszcze coś, co chciałem ci powiedzieć...

– Powiedziałam, żebyś się, kurwa, zatrzymał, pierdolona ślepoto!

Louis zagryza zęby i naciska na pedał hamulca. Ciężarówka zjeżdża na pobocze i nieruchomieje.

– Proszę bardzo. Stoimy.

– Wsiadam.

– Znów to robisz. Uciekasz. Znowu.

– Znowu, zgadza się. Zno-kurwa-wu.

– Nawet nie wysłuchałaś, co mam ci do powiedzenia.

– Nie, nie mam zamiaru.

– Niech ci będzie. Wsiadaj.

– Wsiadam.

– Nie wygląda na to.

Dziewczyna chwyta się za krocze.

– A jak to wygląda, co?

Potem otwiera drzwi i wyskakuje na pobocze.

Drzwi, trzaśnięcie. Aż kabina się trzęsie.

Louis nie stoi beczynn timer na poboczu. Potężny silnik zwiększa obroty, koła buksują na śliskim żwirze i mack rusza w chmurze pyłu. Rozmyte, niewielkie światła, zawieszane tuż nad ciemnym asfaltem. I powietrze, które pachnie odległym pożarem.

W porządku. Jest wściekły. I powinien być. Louis rzadko bywa wściekły. Zawsze zrównoważony i spokojny. Jak dyplomata. Rozjemca. „Bądź źródłem, nie ściekiem”, jakoś tak powiedział kiedyś. Odpowiedziała mu, że sika do strumyków, więc i tak skończy jako ściek.

Tylne światła migoczą, oddalają się i w końcu znikają.

Miriam idzie przed siebie.

Nogi nie dają jej żyć. Kusi ją, by zdjąć cholernie niewygodne buty i kontynuować boso, ale to New Jersey i diabli wiedzą, na co można nastąpić. Albo w co wdepnąć. Dreszcz obrzydzenia.

Po kilku godzinach widzi stację benzynową Wawa, z marketem i kawiarnią. Budynki błyszczą żółtym i czerwonym światłem, walcząc z ciemnością sosnowego lasu dookoła. Burczy jej w brzuchu. Zęby i język drżą z tęsknoty za papierosami. Ma przy sobie pieniądze, ale niewiele. Może nie wystarczyć.

Mija rządęk dystrybutorów i widzi zaparkowaną tuż za rogiem ciężarówkę. Wyłączony silnik. W kabinie ciemno.

A oto i kierowca. Idzie w jej kierunku.

Louis niesie największy kubek kawy, jaki można dostać na stacji Wawa.

Mordercze dwa litry – zabójca senności i pogromca pragnienia. Pod pachą trzyma paczkę papierosów.

Wyciąga dłoń w jej kierunku.

– To dla mnie? – pyta Miriam, udając zaskoczenie. Kosztuje ją to wiele wysiłku i nie jest zbyt przekonująca, ale teraz nie ma to znaczenia.

– Tak, dla ciebie.

– Może się pomyliłam. Jednak znasz mnie, tak tyci, tyci.

– Tylko tyci, tyci.

– Dzięki.

– Możemy wrócić do kabiny? Chciałbym ci o czymś opowiedzieć.

W głowie Miriam zapala się czerwone światełko – nie delikatne przecucie, ale alarm bojowy. Jakby znamię, które ma się od lat, w jednej chwili zmieniło się w raka skóry. Wzrusza ramionami, potakuje, bierze, co jej przyniósł, i idzie za nim do ciężarówki, żeby wysłuchać, co też ma jej do powiedzenia.

GOŁĄBKI LECAJĄ SAME DO GĄBK

Miriam czeka, kiedy opadnie kurtyna. Taka już jest, zawsze wybiera oczekiwanie. Siedzi z Louistem w ciężarówce zaparkowanej przy stacji benzynowej Wawa.

Mężczyzna wyraźnie się waha.

Ona wie dlaczego. Spodziewa się, co usłyszy. I w jakiś sposób jest z tym nawet pogodzona. Nie chce już z nią być. Bo i dlaczego miałyby? Emocjonalnie... no cóż. Emocjonalnie można by ją porównać do zamkniętego garażu pełnego podnieconych kotów.

Nagle Louis podaje jej książkę. Dość cienka, w błyszczącej okładce. Format zeszytowy. Trochę jak ulotka rozsyłana pocztą. Na końcu jest nawet miejsce na wpisanie adresu.

Odwraca ją i patrzy na front.

– Szkoła... Caldecott.

Kartkuje.

Błyszczące zdjęcia. Trochę tekstu.

Czy Wasza córka rozwija swoje umiejętności wystarczająco, by dostać się na wymarzone studia? Szkoła Caldecott to nowa szansa dla Waszej córki!

Dziewczynki w szarych sweterkach w serek. Do tego plisowane spódnice. Podkolanówki. Przekrój przez różne grupy etniczne, nastolatki i dzieci. Uczą się. Jedzą lunch. Oglądają coś przez mikroskop. Szczęśliwe twarze. Odważne uśmiechy. Gówno prawda. Żaden dzieciak nie robi takich

min przy nauce i nie wpatruje się w książki wzrokiem głodnego zombie.

Miriam spogląda na niego sponad otwartych kartek.

– Czy ty... przypadkiem nie próbujesz mnie wysłać do szkoły? – Z trudem powstrzymuje szyderczy chichot. – Bo jeśli tak, to chyba się spóźniłeś o kilka lat, nie zauważyłeś?

– Co? Nie, oczywiście, że nie chcę cię wysłać do szkoły. Chodzi o pracę.

Miriam zwija ulotkę w rulonik i uderza nią Louisa w kolano.

– Hej, a co mówiłam o załatwianiu mi pracy? He? Wtłaczanie mnie w kierat etatu to jak mieszanie octu i sody, sodu i wody, cholera, to jak zamknięcie gęsi i kobry w kawalerce i transmisja na żywo w MTV.

– Nie denerwuj się, nie chodzi o taką pracę.

Miriam markuje ręką walenie konia. Potem zbliża dłoń do ust i w rytm ruchu wypycha językiem policzek.

– Czy to... taka praca? – pyta, oblizując lubieżnie niewidzialnego kutasa.

– Nie jestem twoim alfonsem. To praca... – Louis przez chwilę nie może znaleźć odpowiednich słów. – To praca specyficznie umysłowa – wyjaśnia w końcu i potakuje.

– Specyficznie umysłowa.

– Dokładnie tak. Zgadza się.

– Dalej nie mam pojęcia, o co ci chodzi. Że niby co miałabym robić?

Wtedy Louis wszystko jej wyjaśnia. Od czasu do czasu bierze zlecenia charytatywne i dostarcza dary potrzebującym. Niedawno rozwoził przybory szkolne do kilku placówek oświatowych na północnym wschodzie. Szkoły z internatami, podstawówki, szkoły specjalne i niewielkie college'e.

I jedną z nich była właśnie Caldecott. Placówka wyłącznie dla dziewcząt.

– Znam tam jedną z nauczycielek – mówi dalej. – Katherine. Katey. Bardzo miła kobieta. Uczy literatury. Samotna, nie ma rodziny. Już nie. Nie

wyszła nigdy za mąż. Jest przekonana, że umiera.

O to, to. Właśnie teraz. Miriam drapie w nosie smród śmierci. Trzepoczą czarne skrzydła. Sęp syczy złowieszczo, zanim zanurzy głowę w otwartej ranie.

– Wszyscy umieramy – potwierdza Miriam.

– To ponure.

– To biologia, staruszku. Entropia dopadnie każdego. W końcu. Zaraz, co to był za wiersz? Coś tam, coś tam, wszystko w rozpadzie, odśrodkowym wirze?^[1]

Louis wpatruje się sztywno przed siebie. No cóż, raczej nie jest fanem poezji.

– Słuchaj, jej się wydaje, że właśnie teraz umiera. Katey myśli, że jest chora. Wszyscy w jej rodzinie pomarli na różne choroby. Najczęściej na raka. Bratanica na zapalenie opon mózgowych. Brat na DVT.

– Na DVD? To musiał być naprawdę gówniany film.

– DVT. Zakrzepica. Taka choroba.

– Aaaaa! Brzmi nieźle. Jak nazwa zespołu rockowego.

Louis głęboko oddycha. Palcem bawi się łątką na oku. To odruch – gest, który wykonuje, ilekroć ma dość jej wygłupów.

– Chodzi o to, że wspomniała w rozmowie o konsultacji z medium. I zapytała, czy znam kogoś o takich zdolnościach.

– I wtedy powiedziałeś jej o mnie.

– Zgadza się.

– A nie przyszło ci do głowy, że chciałabym zachować to dla siebie?

– Przecież sama o tym mówisz na prawo i lewo.

– Nieprawda.

– Powiedziałaś listonoszowi.

Ma rację. Powiedziała. Miał coś na skórze, a ona poradziła mu, żeby

poszedł z tym do specjalisty. Czarna plamka w kształcie Teksasu na szyi. Oczywiście listonosz nigdzie się z tym nie zgłosi. Czasem po prostu Miriam czuje dreszcz ekscytacji, usiłując zawrócić rękę kijem.

Rzuca ulotkę szkoły na deskę rozdzielczą. Sięga po kubek kawy, który wcześniej zostawiła w uchwycie. Ogrzewa dłonie w przyjemnym ciepłe napoju. Uspokajająco.

– Myślałam, że nie chcesz, żebym... znów to robiła.

– Nigdy tego nie powiedziałem.

– Kupiłeś mi rękawiczki. I naciskałeś, żebym się z nimi nie rozstawała.

Louis znów odruchowo bawi się łątką.

– Miałem wrażenie, że to może ściągnąć na ciebie problemy. W pracy na przykład.

– Na szczęście pozwalałeś mi je zdejmować, kiedy szliśmy do łóżka.

Louis robi się czerwony. Po tym wszystkim, co razem robili, wciąż się rumieni.

Zdecydowała, że najlepszą strategią będzie ucieczka do przodu.

– No dobra, czyli mamy panią profesor, nieuleczalną hipochondryczkę. Wydaje jej się, że umiera. Wspomniałeś o mnie i wyjawiałeś prawdę o moim problematycznym darze. Kiedy to się stało?

– Przed trzema miesiącami. Mniej więcej.

– Skąd masz pewność, że nadal będzie zainteresowana?

– Dzwoniłem do niej niedawno. – Kiwa głową.

– Ty szczwany lisie.

– To jak będzie? Wchodzisz w to?

Aż świerzbą ją dłonie. Jej palce są jak skrzydła szerszenia walczącego z przejrzystą szybą. Ma wrażenie, że każda komórka jej ciała chce tego w sposób, którego nie potrafi pojąć – jakby miała to wrodzone; jakby było to częścią wszystkich systemów jej organizmu, poczynając od zębów i języka,

przez jelita, aż do nóg. Słyszy pieśń wizji w wilgotnych i mrocznych czeluściach umysłu: zawodzący głos syreny i jej pieśń o kolejnej śmierci i odległych drogach, o ptakach krążących w ciemnych miejscach i złotych monetach, lepkich od świeżej krwi. Niegdyś nienawidziła swojego daru. Wciąż go nienawidzi. Ale ciało ma swoje pragnienia. Głowa też.

Jej głód musi być widoczny na zewnątrz. Twarz wyraża zachłanną gotowość i niecierpliwe oczekiwanie. Louis przygląda jej się z uwagą.

– Rozumiem, że się zgadzasz.

– Tego jeszcze nie powiedziałam.

– Nie musiałaś. – W jego głosie słyhać smutek, a ona nie wie, skąd się tam wziął. – Widzę, że tak.

NIE CZAS NA MIŁOŚĆ

Na noc wynajęli sobie pokój. Kawalek za stacją benzynową Wawa. W motelu Sugar Sands. Mężczyzna, który wydaje im klucze, wygląda jak czystej wody kazirodca, syn najczystszej wody kazirodcy. Zbyt wielkie oczy. Za mała twarz. Paznokcie obgryzione tak wysoko, że wyglądają jak popękane muszelki.

Pokój też niczym nie zachwyca. Jak wszystko w okolicy musi mieć motyw marynistyczny – w tym wypadku koło sterowe na obitej drewnianymi panelami ścianie, łazienkę w falach i gówniany bohomas na ścianie nad łóżkami, przedstawiający jakąś latarnię morską. Materace obu łóżek przechylają się do siebie, jakby łączyła je jakaś więź.

W pokoju śmierdzi stęchlizną i słoną wodą.

Ale to bez znaczenia. Miriam jest pobudzona. Żyje. Pulsuje. I to nie tylko za sprawą kofeiny. Albo nikotyny. Trzęsą jej się ręce, jakby trzymała w nich kosę spalinową.

To chore. I ona doskonale wie, że to chore. Odległa obietnica widoku czyjejś śmierci sprawia, że czuje, że żyje. Po raz pierwszy od roku.

Jest jak paliwo dla silnika. A Miriam nie potrafi przestać zwiększać mu obrotów.

Louis siada na łóżku i szuka pilota, którym mógłby włączyć niewielki kanciasty telewizorek na brzydkiej komodzie z sosnowego drewna. Miriam nie pozwala mu go znaleźć.

Wskakuje mu na plecy. Gryzie w ucho. Udaje małpę. Przesuwa dłonią w dół, po jego potężnej piersi, a kiedy znajduje jego sutek – a przynajmniej

ma nadzieję, że nie złapała tylko za guzik – ścisła go i przekręca.

– Chcę cię dotykać. Wszędzie – sapie mu do ucha. I robi, co zapowiedziała. Ma wrażenie, że cała płonie. Ale jednocześnie jest trochę sfrustrowana: nie wie, jak Louis umrze. Kiedyś wiedziała: miał zginąć, dźgnięty dwukrotnie nożem w oko, na szczycie latarni morskiej Barnegat. Zobaczyła to i przeciwstawiła się przeznaczeniu. Wygrała, lecz przez to śmierć Louisa stała się dla niej słodką tajemnicą. Nigdy natomiast nie widziała własnego końca.

Drugą dłoń kładzie na jego biodrze. I zaczyna ją przesuwając w kierunku kolan. Oddech mężczyzny staje się ciężki i chropowaty.

Wtedy nagle zaciska zęby i łapie ją obiema rękoma. Unosi w powietrze jak piórko – waży dobrych sześćdziesiąt kilogramów więcej od niej. Potem rzuca ją na łóżko. Sprężyny jęczą jak poganiane muły.

– Nie – mówi zdecydowanym tonem, jakby kazał dziecku odłożyć ciastko.

Ona ponownie sięga w jego stronę. Tym razem zahacza palcem o szlufkę spodni. Louis delikatnie się uwalnia i odsuwa jej dłoń.

– Nie będziemy tego robić – mówi.

– Serio?

– Tak, serio.

– Dlaczego? Przecież zawsze to robimy – mówi. – Może zaniedbujemy trochę nasze uczucia, no wiesz, buzi, buzi, przytulanki i takie tam, ale przecież układa nam się. O rany, jesteśmy sobie pisani, nie rozumiesz? Ciągnie nas do siebie jak magnes. Cały kosmos popycha nas ku sobie. Che, che, słowo klucz: popycha. No wiesz, popycha. Jak ty mnie, bara-bara. A może słowo klucz to „ciągnie”? Cholera go wie. Chodzi w każdym razie o to, że jest nam ze sobą dobrze. Teraz jest nam naprawdę przyjemnie. Wiesz, ty i ja, a przed nami droga. Tak właśnie działamy. Razem.

– Nie. Już nie.

O, i tu jest pies pogrzebany. Góra lodowa na kursie Titanica.

– Jesteś wkurzony – mówi.

– Nie, nieprawda.

– W takim razie tylko rozczarowany. Jak tatuś.

Nie odpowiada. Siada. Znajduje w końcu pilota do telewizora – leży na stoliku obok krzywych łóżek przy podświetlanym radiobudziku.

Teraz zaczyna go rozumieć. I mówi mu o tym.

– Chcesz, żebym była kimś, kim nie jestem. Wolałbyś, żebym wtedy podjęła inną decyzję. Żebym powiedziała, że już z tym skończyłam. Że nie chcę widzieć, jak inni umierają. Normalni ludzie nie pierdolą się z takimi rzeczami, prawda? Dlatego milczałeś przez te trzy miesiące. Mimo że widziałeś, jak gniję na tej cholernej wyspie. Jak szczur w klatce. Już wtedy czułeś, że jeśli dasz mi wybór, to nie zawaham się ani chwili. I zrobię to, czego nie znosisz. Znów ci pokażę, jak daleko mi do normalnych ludzi. Jak jestem inna od twojej żony.

Żona Louisa. Nie żyje. Utopiła się, zanim poznał Miriam.

Wspomnienie jej jest jak porażenie prądem. Doskonale o tym wie i nie pierwszy raz z tego korzysta. To jakby bezpośrednie łącze z jego głową. Zupełnie jakby rozłupała mu klatkę piersiową, metalowymi obcęgami rozgięła żebra i wpuściła grzechotnika, by ukąsił go w serce.

Czasem się o to wścieka. Tym razem zamyka się jak ostryga.

Wrzuca pilota do szuflady obok Biblii Gedeonitów. Potem wstaje, znika w łazience i zamyka za sobą drzwi. Bez trzaśnięcia, z delikatnym kliknięciem.

SEN

Przez dłuższą chwilę wali w drzwi do łazienki, jakby to był worek treningowy. Nagle ze szpary pod nimi wypływa woda – mętna i słonawa, jak wody płodowe z macicy potwora z moczarów. Bosymi stopami czuje, że jest lodowata. I cuchnie. I gnije. I jest pełna grzybów.

No tak. Zgadza się. To. Sen. Wizja. Coś.

Drzwi się otwierają i z łazienki wychodzi kobieta. Włosy kleją się do jej sinogranatowej twarzy. W kołtuny zaplątały się źdźbła trawy. Otwiera usta. Spomiędzy jej warg wypływa błotnisty wodospad i rozpryskuje się na nagiej piersi.

– To ty – mówi Miriam.

Robaki kłębią się gorączkowo wokół przegniłych, czarnych sutków kobiety-trupa.

– Ja? – odbekuje ona, tocząc spomiędzy zepsutych warg kolejny wodospad zgnilizny.

Miriam strzela palcami.

– Tak. Ty. Jesteś, zdaje się, martwą żoną Louisa. Rozumiem. Mam wystarczająco... wiedzy sprzed snu, żeby na to wpaść. Nie wiem, jak ona wyglądała, więc masz przypadkową twarz.

W odpowiedzi twarz zjawy się zmienia. Czaszka i skóra na chwilę stają się płynem, by znów przybrać postać kości i skóry. Z trupa białej kobiety robi się... trup Latynoski? Ma ciemniejszą twarz, bardziej szarą, z głębszą fakturą, jakby naczynia krwionośne tłoczyły truciznę.

A potem znów się zmienia. Czarna kobieta z ciemnymi oczyma. Biała kobieta z blond lokami oblepionymi wodorostami. Same topielice.

I jeszcze jedna zmiana.

Tym razem Miriam spogląda na swoją twarz.

Włosy farbowane wodą z rzeki. Żółte oczy z popękanymi naczynkami.

– Słodaśne – mówi. Ale tak nie jest. W piersi, między sercem a

żołądkiem, czuje kwaśną, ssącą pustkę.

Jej zwłoki wydają się stare. Woda wywołała zmarszczki – wyglądają tak samo jak na palcach, kiedy zbyt długo siedzi się w wannie. Tylko że to bez znaczenia. Niewiele to zmienia, jeśli chodzi o węzeł zaciśnięty na jej wnętrznościach.

– Jesteś na właściwej ścieżce – szepczą zwłoki Miriam. – A ścieżka wiedzie do rzeki.

– Na to wygląda – mówi do swojego trupa. – Jeśli chce się komuś dodać otuchy, najlepiej ukazać mu się we śnie jako topielica.

– To ostrzeżenie.

– Ach, ostrzeżenie. W porządku. Biorę to na klatę.

– Nie jesteś sama.

– Jak to nie jestem sama? Co to w ogóle znaczy, co? To jest to twoje ostrzeżenie?

Zwłoki Miriam uśmiechają się szeroko. Spomiędzy trupich zębów ścieka mętna maź. Topielica otwiera usta szeroko, szerzej, najszerszej – szczęka skrzypi i pęka, a usta stają się tunelem, przez który Miriam widzi pędzącą w jej stronę wodę, falę powodziową na rzece pełnej trucizny. Kwaśna fala wzbiera w jej wnętrznościach, pali jak zgaga i dociera do ust. Miriam czuje smak wymiocin, krwi i brudu, a potem sen nagle znika jak cukier wsypyany do gorącej kawy.

Kiedy już prawie go nie ma, słyszy jeszcze szept.

– Rzeka wzbiera, Miriam...

CZĘŚĆ DRUGA

SZKOŁA ZEPSUTYCH LALEK

*„Dałeś mi hiacenty rok temu pierwszy raz.
Nazywano mnie hiacyntową dziewczyną”
– Ale gdy wracaliśmy, późno, z Hiacyntowego Ogrodu
I miałaś pełne ręce, mokre włosy, ja nie mogłem już
Mówić i cię mi się w oczach, i nie byłem
Żywy ani umarły. Nie wiedziałem nic,
Zapatrzony w serce światła, w ciszę.*

T.S. Eliot,
Ziemia jałowa, tłum. Czesław Miłosz

10 ZABURZENIA

– No proszę, to nie tylko szkoła dla dziewcząt – mówi Miriam. Jedną nogę wystawiła przez okno i stopą bezustannie przestawia lusterko wsteczne. – To szkoła dla niedobrych dziewczynek.

Louis chrząka. To jego stała odpowiedź przez ostatnich kilka dni, które spędzili w motelu Sugar Sands. Postanowili się stamtąd nie ruszać, tylko czekać na odpowiedź od Katey. W końcu zadzwoniła. Skończyły się wakacje. Szkoła działa. Katey jest już w Caldecott i nie może się doczekać spotkania z Miriam.

Poza jaskiniowymi odgłosami wyrażającymi całkowity brak zainteresowania, Louis praktycznie się nie odzywa.

Miriam wypełnia ciszę.

– Hej, posłuchaj tego – mówi, patrząc w rozłożoną na kolanach ulotkę. A potem czyta: –

Niektóre dziewczęta potrzebują Nowego Początku – „Nowy Początek” jest wielką literą, a jak coś dostaje wielką literę, chociaż nie ma ku temu powodu, to zaraz wiadomo, że coś się kroi – Nowego Początku, z dala od rodziny i przyjaciół. Skąd wiadomo, że dziewczynie przyda się Nowy Początek w Caldecott? O, skąd my to znamy. Teraz będzie lista złych rzeczy. Czy Wasza córka: zachowuje się niezgodnie z przyjętymi normami społecznymi? Uważa, że nie będzie musiała ponosić konsekwencji swoich czynów? Miewa niespodziewane napady złości? Prowadzi seksualnie rozwiązłe życie?

Niesamowicie fajna fraza. Seksualna rozwiązłość. Skoro to takie złe, to dlaczego tak interesująco brzmi? Seksualna rozwiązłość. Jakby gość ruchał splecione spaghetti. Poparzy sobie jajka, ale co tam, taką cenę trzeba zapłacić za zakazaną miłość. Mam rację?

Louis patrzy przed siebie. Na drogę. Ponury, milczący cyklop.

Tym razem chyba posunęła się trochę za daleko. Żona to drażliwy punkt, a ona nie tylko go dotknęła, ale pierdolnęła w niego cholernym młotem! Ups.

– Co tam. Niech będzie. – Wraca do ulotki. – Tu jest cała lista zaburzeń, które mają pomóc wyeliminować. Kolejne piękne słowo. Wyeliminować. Jak ćmy, wyeliminować. Che, che. Okej, jedziemy dalej. Co możemy znaleźć na liście? Depresje, depresje maniakalne, zaburzenia afektywne dwubiegunowe, ADHD, podniecenie, ODD, czyli nadmierny sprzeciw – jasna cholera, co to w ogóle jest? – osobowość chwiejna emocjonalnie typu bord...

– ODD, czyli zespół nadmiernego sprzeciwu. – Zamurowało ją. Louis od bardzo dawna nie powiedział więcej niż trzy słowa naraz. – To zaburzenie polegające na sprzeciwie wobec autorytetów. To znaczy, że ktoś nie lubi, jak mu się mówi, co ma robić. Złość, żal i wieczne kłótnie. Zazwyczaj trudna młodzież i ciągłe kłopoty. Osoby dotknięte tą przypadłością robią coś odwrotnego, niż zostały poproszone, bo to leży w ich naturze.

– Rany. – Miriam marszczy nos. – Milusińscy, nie ma co. Czysta przyjemność. Normalnie jakbym musiała żyć z kotem.

Dopiero wtedy zauważa, że Louis się jej przygląda. Niemal widzi promień lasera z ocalałego oka, którym ją skanuje, tnie na plasterki i sprawdza, co w niej tkwi.

– O co chodzi? – pyta.

– O nic. – Wraca do prowadzenia.

- Chciałeś mi coś powiedzieć?
- Nie, wcale nie.
- Wiem, co cię gryzie. – Kiedyś musiała się zorientować.
- Doprawdy?
- Nie cierpię na zespół nadmiernego sprzeciwu.

Chrząknięcie.

– Serio. Nie mam tego. To bzdura. Kiedyś byłam dobrą dziewczynką. Nie moja wina, że otaczają mnie sami idioci i pojeby. Jestem sobą i mam ich gdzieś. Tak się zachowują wszystkie samodzielne kobiety. Robią swoje. Mam rację? – Wykrzywia twarz. – A ty lepiej patrz tym swoim jednym ślepiem na drogę, Polifanesie.

Potem, tylko żeby go wkurzyć, opuszcza okno, wsuwa w usta papierosa bez filtra i przysuwa płomień zapalniczki do jego końca. Puf, puf, puf. Wydmuchuje chmurki kancerogenego aromatu na zewnątrz.

Paznokciami zbiera z języka kawałeczek tytoniu i pstryka nim za okno, akurat w chwili, kiedy mijają znak:

SELINGSGROVE, 5 MIL

SUNBURY, 7 MIL

W gardle czuje włochatą kluczę, której nie może przełknąć.

- Jesteśmy w Pensylwanii.
- Spałaś, kiedy mijaliśmy Filadelfię.

Dolina Susquehanny. Trzy hrabstwa. Rozdzielone wodami rzeki. Rzeka wzbiera, Miriam.

Chyba nie o to chodzi. Albo przynajmniej nie tylko o to.

Jeśli są już blisko Selinsgrove, to znaczy, że właśnie teraz, w tej chwili, dzieli ich pół godziny drogi od miejsca, w którym się wychowała. Od miejsca, w którym chodziła do szkoły i gdzie jej pierwszy chłopak odstrzelił sobie cały tył głowy. Gdzie jego matka pobiła ją szuflą do śniegu

i zostawiła na wpół żywą. Gdzie zmarło dziecko, które miała w sobie.

Gdzie wciąż jeszcze mieszkała jej matka.

Miriam nie widziała jej od chwili, kiedy uciekła z domu. To już niemal dziesięć lat.

Może już nie żyje, myśli Miriam. Kiedy zorientowała się, że posiada dar widzenia, jak umrą ludzie, których dotknie, nie odważyła się do niej zbliżyć: następnego ranka uciekła z domu.

Duchy, niespokojne i smutne, zamieszkały w jej wnętrzu.

Musi włożyć wiele wysiłku, by je uspokoić. Brutalnie oczyszcza umysł z niepokojących myśli.

Odchrząkuje.

– Czy panna Katey przygotowuje mi komnatę?

Louis mruczy. Ale twierdząco. Miriam i tak zna odpowiedź na to pytanie. Zatrzymali się wcześniej na stacji Kinkos, żeby wysłać ręcznie przygotowaną listę życzeń godną gwiazdy rocka, które nauczycielka musiała spełnić, by Miriam odpowiedziała jej na pytanie.

– W porządku – mówi. – Już się nie mogę doczekać. Kurs na szkołę!

Strzela papierosem za okno. Wypaliła ledwie połowę. Po prostu przestał jej smakować.

TELEFON

Deszcz wali w dach budki telefonicznej.

Szesnastoletnia Miriam przyciska słuchawkę do ucha. Drżą jej usta. Od dłuższej chwili słyszy sygnał wołania. Nie chce, żeby odebrała. Proszę, niech się włączy automatyczna sekretarka! – myśli. Powtarza te słowa jak modlitwę. Jak mantrę. Proszę, niech się włączy automatyczna sekretarka! Proszę, niech się włączy automatyczna sekretarka! Powtarzane bez końca

słowa odbijają się idiotycznym echem w pustce jej głowy.

Trzask.

– Miriam? – Głos matki. Drżący i przestraszony. A ona nigdy się nie boi. Zupełnie jakby coś jej odebrano. I może tak jest rzeczywiście.

– Dziecko nie żyje, mammo.

– Wiem. Wiem. – Oczywiście, że wie. Była przecież w szpitalu. – Bóg zaopiekuje się maleństwem.

– Mammo...

– Gdzie jesteś?

– Bóg nie może być prawdziwy – mówi Miriam. Ma sucho w gardle i szczypią ją oczy. Każdą komórką ciała czuje się jak ząb pęknięty na pół, z obnażonym nerwem.

– Nigdy tak nie mów. Wracaj do domu.

– Nie mogę. Coś się stało. – Coś, czego nie rozumie. Dziecko w jej wnętrzu umarło, ale coś pozostało. Mały duszek, niewielki demon, delikatny jak szkielet pisklaka jaskółki. To ją zmieniło. Sprawilo, że jej dotyk stał się gąbką, która nasiąka trucizną. Gąbką umoczoną w śmierci, jak szmata, którą wytarto kałużę krwi.

Na razie nic nie rozumie – ilekroć ktoś jej dotknie – czy to któraś z pielęgniarek, lekarz czy ochroniarz przed szpitalem – widzi okropne rzeczy. Ogląda sceny ich śmierci. I wie dokładnie kiedy. To nie może być prawda.

Ale czuje, że wizje są prawdziwe.

To tylko kolejny dowód, że straciła rozum. Jest jak ćma – wystarczy dotknąć jej skrzydeł, by zetrzeć z nich proszek, a bez niego ćma nie może już latać.

Straciłam pyłek ze swoich skrzydeł, myśli.

– Powiedz, proszę, gdzie jesteś, a natychmiast przyjadę po ciebie.

– Wyjeżdżam.

– Miriam, błagam! Zobaczysz, Bóg nas obroni. Pomoże nam przejść przez to wszystko.

– Przez to wszystko? To? Przecież to dowód na to, że On... jest bajką, matko. Jest po to, żebyś czuła się lepiej taka, jaka jesteś. – Miriam chce powiedzieć matce, że jest okropną osobą, że jest trucizną, złośliwym szkodnikiem, ale nie potrafi poskładać słów. Chce przypomnieć matce, że nigdy nie była dla niej miła – zmieniła się trochę dopiero, kiedy Miriam zaszła w ciążę. A to znaczy, że teraz, kiedy nie ma już dziecka, znów będzie taka jak dawniej: pogarda, odrzucenie, obraza i chora miłość do Boga oślepią ją jak źle ustawiony jupiter. Dziewczyna nie może dłużej powstrzymać łez. Nie sądziła, że jeszcze będzie potrafiła płakać, że znów będzie miała usta pełne śliny i zatkany nos, ale proszę, oto jest, znów ten sam nieposkromiony ból i żal, znów ściskają jej pierś żelazną obręczą. Zgina się w pół. – Nie, mamó. Nie wrócę. Nigdy już nie wrócę.

– Miriam, zmienię się. Obiecuję.

Wtedy wypowiada słowa ostateczne:

– Nie. Nie zmienisz się. Bo nie dam ci szansy.

Gwałtownie odwiesza słuchawkę. Opiera się plecami o ścianę budki telefonicznej i osuwa na gumową matę na podłodze. Zwija się w kłębek pośród niedopałków papierosów, papierków od cukierków i martwych ciem.

Do rana nie rusza się z miejsca.

KONIEC WAKACJI

Brama – każdy stalowy pręt zakończony kutą lilią – wygląda jak wyszczerzone usta. Tak w każdym razie uważa Miriam: głodne usta ze stalowymi kłami. Tak pewnie wyglądają wrota piekieł. Albo szczęka samego diabła. Gryz, gryz, mam was, niedobrzy grzesznicy, niedobre dziewczynki!

Louis zatrzymuje ciężarówkę. Strażnik przy wjeździe – starszy czarny gość z oczyma ukrytymi pod potężnymi zmarszczkami, obwisłymi policzkami i sztywną brodą – unosi z niedowierzaniem dłoń nad głowę.

– A niech mnie dunder świśnie, jeśli to nie Pan Kierowca w Swoim Osiemnastokółowcu! Co nam przywozisz tym razem?

– Nie, tym razem nic na pace. – Louis wychyla się z okna. – Jak leci, Homer?

Strażnik macha lekceważąco dłonią.

– Mógłbym powiedzieć to i owo, ale kto by chciał słuchać mojego narzekania? W takim razie kogo tam wieziesz, przyjacielu? Spóźnioną pensjonariuszkę?

Miriam przeciska się obok Louisa i wystawia głowę przez okno.

– Czy ja wyglądam na uczennicę?

– Diabli wiedzą. A jak wygląda uczennica?

Louis wciska ją swoim niedźwiedzim ramieniem z powrotem do kabiny.

– To Miriam Black. Powinieneś mieć ją na liście. Jest umówiona z Katherine Wizniewsky.

Homer przygląda się kartce wpiętej w podkładkę i jeszcze bardziej mruży

oczy, tak bardzo, że znikają całkowicie pod fałdami skóry i dziewczyna nie ma pojęcia, jak to możliwe, żeby cokolwiek jeszcze zobaczyć.

– Hm, hm, hm... proszę, masz rację. Panna Black. A ty, Louis? Usiądziemy razem przy kawce? Właściwie to już czas na lunch.

Louis potrząsa głową.

– Nie, tylko ją podrzuciłem.

– Czeka, co ty mówisz?! – krzyczy Miriam ze swojego miejsca. Tego się nie spodziewała.

Louis odwraca się w jej kierunku.

– Mam pracę.

– Zgadza się. Polega na byciu tutaj. Ze mną.

– Nie, mam prawdziwą pracę – poprawia się, akcentując słowa, jakby były sztyletem, cierniem, igłą. – Dasz sobie radę. Spotkasz się z Katey na tyłach budynku, przy stołach piknikowych. Wszystko już umówione.

– A co potem? Mam spędzić noc w lesie? Co ty myślisz, że ile mi to zajmie? Przecież ja, do diabła, nie przyjechałam zbierać ziemniaków! Dotknę jej. Zobaczę, co mam zobaczyć. Powiem jej, co widziałam. Wszystko. Trzydzieści sekund i pozamiatane. *Game over*. Całość zajmie mi mniej czasu niż wypalenie papierosa.

– Nie chcesz, żebym tam był.

– Nie – zaprzecza. – To ty nie chcesz tam być.

– Muszę jechać. Dostaniesz dość pieniędzy, ale na wszelki wypadek... – Wyjmuje trzy dwudziestki. – Trzymaj. Weź taksówkę. Wynajmij pokój na noc. Ja tylko skoczę szybko do Erie. Jutro wracam.

– Naprawdę chcesz mnie zostawić samą. Proszę. Zostań.

– Daj spokój. Wszystko będzie dobrze.

– Dobrze – powtarza. – Nie... zresztą, wiesz co? Nie potrzebuję cię. To jest coś, co umiem. Chodzę. Wędruję. Sama. Dam sobie radę.

- Dasz sobie radę.
- Dam, zobaczysz, że dam. Do zobaczenia, Louis.
- Miriam, słuchaj, przykro mi...

Ale ona nie chce tego słyszeć. Już wszystko sobie ułożyła w głowie. Wyskakuje z szoferki, a jego słowa giną zagłuszone trzaśnięciem drzwiami.

Ciężarówka warczy silnikiem, cofa się i po chwili znika.

Bramy piekieł pozostają otwarte. Czekają na nią.

- Panienka wchodzi czy mam zamykać? – pyta Homer.

Niewiele brakuje, a odwróciłyby się i uciekła. To miejsce wzbudza w niej złe przeczucia, a przecież jeszcze nie weszła do środka. Z miejsca, gdzie stoi, nie widzi szkoły – przed sobą ma kręty podjazd, który łukiem znika między drzewami. Jedyne, co może dostrzec, to żelazna brama, budka strażnika i brązowa tabliczka z wykonanym w ręcznym stylu, pełnym krągłości i pętelek napisem „Szkoła Caldecott”.

Powrót do szkoły po wakacyjnej przerwie zawsze przyprawiał ją o zimne dreszcze. Mimo że to koniec lata, a w Caldecott zajęcia zaczynają się nieco wcześniej, nie może pozbyć się uczucia, że wraca stare: dni będą coraz krótsze, poranki coraz ciemniejsze, a wieczory coraz mniej przyjemne i niezapowiedziane jak podglądacz za oknem. Wraz z końcem wakacji rozpoczyna się rok szkolny, a szkoła nigdy nie była jej ulubionym miejscem. Zajęcia, nie ma sprawy. Testy. Kartkówki. Wykłady. To nawet lubiła. Tylko pozostali uczniowie. Nieprzyjemne, złośliwe skurwysyny. Szkoła to jak nauka pływania w basenie pełnym głodnych piranii.

I nigdy im nie wystarcza.

Każda komórka jej ciała krzyczy, żeby czym prędzej uciekała. Mimo że jest przecież dorosła. Nie musi tu być. Nie musi już chodzić do szkoły.

Homer pstryka palcami obu dłoni naraz.

– No dalej, panienko, w tę albo we w tę, bo nie będę tu stał jak cieć przy hałdzie żwiru.

Miriam posłusznie wchodzi do środka.

Za jej plecami rozlega się zgrzyt i oba skrzydła się zamykają.

Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa, kurwa.

Trzask. Nie ma odwrotu.

A mimo to świerzbią ją palce. Podczas gdy każda część jej ciała – włącznie z rozedrganym, złodowaciałym szpikiem – każe jej dać nogę między drzewa, dłonie każą iść dalej. Są głodne. Pragną swojej stawy. Ślinka im cieknie w oczekiwaniu na smak czyjejś śmierci.

Pięciopalczaste wampirki, wciąż głodne krwi.

– Mam... iść? – pyta Homera.

Mężczyzna wychyla się ze swojej budki, spogląda na podjazd, a potem – ze zdziwieniem – na dziewczynę.

– A co? Lecieć? Jest jedna droga, nie zabłądzisz przecież. Prosto, aż do szkoły. Może panienska życzy sobie mapę albo kolejkę linową?

– Oj, pomyślałam, że ma pan wózek golfowy albo coś w ten deseń.

– Racja, mam taki. Ale w dupie. I lekarze mówią, żebym go nie wyciągał, bo może mi się tam na coś przydać.

– Ale pan śmieszny. Jak jasna cholera. Minał się pan z powołaniem. Powinien był pan zostać komikiem.

– Dlaczego kura przeszła przez ulicę?

Miriam wie, że nie powinna odpowiadać, ale mimo to daje się wciągnąć.

– Dlaczego?

– Żeby dziobnąć cię w dupę. Mówiłem Panu Kierowcy, że jestem głodny, bo pora na lunch. Powinna panienska zniknąć już sprzed mojej budki.

– Nie ma sprawy. Znikam.

- Do zobaczenia, jak będzie panienka wychodziła.
- Daleko do tej szkoły?
- Nie za daleko i nie za blisko. – Śmieje się głośno.

Dupek.

Ale go polubiła.

A teraz, cóż, czas wrócić do szkoły.

Droga jest pokryta asfaltem, nie ma pęknięć, a nawierzchnia jest gładka jak panczyk żuka. Po obu stronach rosną drzewa – w przeciwieństwie do całego stanu New Jersey to nie są karłowate sosny, lecz wysokie, dumne dęby, o szerokich pniach pokrytych mokrą, ciemną korą, każde jak posterunek strażnika, każde uważnie ją ocenia.

Po kilku chwilach słyszy szum wody.

Sporo musi jeszcze przejść, zanim zobaczy rzekę. Dopiero po pięciu minutach marszu drzewa ustępują pola nierównemu, porośniętemu trawą brzegowi i szumiącej, szemrzącej rzece Susquehanna, toczącej wody ciemne jak napój kakaowy.

Droga znów zakręca, a tuż za zakrętem Miriam widzi szkołę Caldecott.

Ach, ta wiktoriańska przesada. Środek budynku wygląda z daleka jak dawny wiejski dwór z trzema piętrami i ponurymi gotyckimi oknami wstawionymi w paskudne piernikowe framugi. Każda połać dachu jest czerwona jak dachówka na obrazkach dziecka, pomalowane nierównomiernie szarozielone ściany gryzą się z czerwienią dachu.

Po lewej i prawej stronie głównego budynku znajduje się pozostała część szkoły – niczym brzemień, dodana długo po tym, jak wzniesiono główny dom. Oba skrzydła nie odbiegają kształtem i prostotą od architektury więzienia. Całości dopełniają kute kraty w oknach.

Herb Caldecott – orły, książki, przyłbica rycerza i inne durne fanty – kołyszą się na fladze. Maszt jest przytwierdzony do masywnej bryły

antracytowego węgla wielkości volkswagena garbusa, która została umieszczona na klombie pośrodku okrągłego placyku przed wejściem.

Z tej odległości szkoła sprawia wrażenie wymarłej, pozbawionej życia i ruchu. Nie widać ani uczennic, ani nauczycieli, ani nawet cholernych gołębi!

I znów to samo uczucie – skręt kiszek i nudności.

Jakby w każdej chwili przez drzwi frontowe mogła wyskoczyć potężna macka, owinać się wokół niej i wciągnąć do środka.

A dzieci będą się śmiały z tego, jak wygląda, chodzi, gryzie i że w ogóle żyje.

Pierdolona buda.

Dobra, myśli sobie. Miejmy to już za sobą.

Czas odnaleźć Panią Ciekawską.

12

ZAUFANIE

Na trawniku za budynkiem Miriam mija grupę dziewcząt odbywających akurat lekcję plastyki. Siedzą w półkolu, patrzą na chudą nauczycielkę w batikowym habicie i usiłują narysować pojedynczy liść.

Nieco bliżej rzeki Miriam dostrzega swój cel. Chociaż nie, nie cel, złe słowo. Niewłaściwe. To nie jest ofiara. To klientka.

Teraz wszystko się zmieniło.

Kobieta siedzi przy stoliku ogrodowym, pod czerwonym klonem, nad nią szumią i szeleszczą liście, a po gałęziach skaczą wiewiórki.

Szkolne wiewiórki nie wiedzą, co to strach.

Kobieta ma na sobie ubranie sprzed paru lat. Raczej niemodne. Tego Miriam się nie spodziewa. Różowa bluzka i szare spodnie. Zbudowana jak futbolista, który przestał dbać o formę. Ale ma słodką twarz. Uspokajającą. Jak kołysanka. Patrząc na nią każdego wieczoru przed pójściem spać, człowiek czułby się bezpieczny, zadowolony i szczęśliwy.

Na widok Miriam kobieta zrywa się z ławki i już z daleka wyciąga na powitanie dłoni.

– Pani Ciekawska – mówi Miriam. Nie bardzo wie, jak zacząć rozmowę. Nie podaje jej ręki. Strzela palcami i celuje w nią, jakby trzymała pistolet.

Kobieta wygląda na zaskoczoną.

Miriam wyjaśnia.

– Chyba nie powinnyśmy podawać sobie dłoni. Bo ten mój dar. Sama pani rozumie. To coś. Powód, dla którego miałyśmy się zobaczyć.

– No tak, oczywiście. Racja. Zaskoczyła mnie pani. Nie tego się

spodziewałam.

– Ja również – odpowiada dziewczyna.

Kobieta się śmieje.

– Zawsze mi mówiono, że wyglądam jak nauczycielka.

– Nie, to nie o to chodzi. Tylko... no, po prostu. Katey.

– Katey? – Nauczycielka zdaje się nie rozumieć, o co chodzi.

– Tak, dokładnie. Katey to... bo ja mam coś z imionami, a zwłaszcza, jeśli imię nie pasuje do posiadacza, a pani jest... no dobrze, to inaczej. Katey? To imię elfickie. Magiczne. Katey to drobniutka nastolatka, która pije czystą wódkę, żeby nie przytyć od coli. W każde Halloween Katey paraduje przebrana za zdzirowatą wiedźmę. Katey ma włosy obcięte na boba, nosi dzinsy XXXS i wychodzi za mąż za bankiera, który kiedyś grał w futbol amerykański na pozycji quarterbacka. Pani wygląda jak... – Miriam uważnie przygląda się kobiecie i przez chwilę milczy. – Kathy. Dokładnie tak. To różnica. Widzi pani, jakie to było proste?

– No cóż. Ale mam na imię Katey. – Kobieta znów się śmieje, ale tym razem nerwowo, niespokojnie. Na chwilę zapada cisza, przzerwana jedynie szumem rzeki za ich plecami. Wymuszony uśmiech na twarzy nauczycielki kurczy się jak listek świeżego szpinaku na rozgrzanej patelni. – Może to był zły pomysł...

– Co? – Miriam kręci głową. – Nie. Nie! Nie. Wszystko w porządku. Wszystko pod kontrolą. Może usiądziemy.

Siadają. Niepewnie. Miriam bębni palcami. Na drewnie ławki pod dłonią widzi wyryte imiona dziewcząt: Becky, Vicky, Rhonda, Bee, Georgia, Toni, Tavena, Jewelia, i tak bez końca. Żadnych wulgaryzmów. Same imiona.

– Właśnie, jeszcze to. Proszę – Katey w końcu przerywa milczenie i sięga po plastikową torebkę. Podaje ją Miriam.

– Rzeczy z mojej listy? – pyta Miriam ostrożnie.

– Wszystko, co na niej było.

– Wspaniale. – Miriam kiwa głową. – Zupełnie jak lista życzeń gwiazdy rocka. Wie pani, jak miska niebieskich M&M'sów czy góra heroiny i czyste igły. Słyszałam, że niektórzy chcą kulawej karlicy prostytutki ubranej jedynie w przezrzystą folię.

– Hm. No cóż... – Znów chwila kłopotliwego milczenia. Tym razem podkreślonego przez pełne obrzydzenia zmarszczenie brwi i poirytowane spojrzenie. – Ma pani wszystko, co było na liście.

Miriam wysypuje z torby zawartość.

Ze środka wypadają: torebka słonych precli. Pudełko papierosów. Słoik ostrego sosu do kanapek. Dwie małe alkohole: jedna Glenfarclas Scotch, druga Patron Silver Tequila. Wybielacz w podróżnej buteleczce. I w końcu pojedyncze opakowanie farby do włosów. Fuksja Flaming. Oczojebny róż, który można zobaczyć w naturze jedynie w rozbłysku atomowym. I to ułamek sekundy, zanim fala gorąca wypali oczy.

Doskonale. Pierwszorządny wybór.

Miriam mówi to na głos. Unosi pudełko. Kiwa z uznaniem głową.

Potem przygotowuje się do pracy. Otwiera sos do kanapek. Rozrywa paczkę precli. Odkręca szkocką.

Precel do sosu, potem do ust. Mniem, mniem, mniem. Wielki łyk whisky. Gryzie. Papka zmienia się w słony, pikantny i delikatny karmel.

Miriam żuje, a Katey wyjmuje plik banknotów i kładzie je na stoliku. Przesuwa je w stronę dziewczyny, ale nagle nieruchomieje, chwytając ją i przyciska do piersi.

– Cojenietak? – pyta Miriam, plując drobinkami precla nasączonymi szkocką.

– To wszystko... jest trochę dziwaczne. Pani jest dziwna. Bardzo, hm,

niecodzienna. Czy to w ogóle jest prawda? Naprawdę może mi pani powiedzieć coś o...

Miriam przełyka.

– Tak, to prawda. Powiem, jak kopniesz w kalendarz. Jak odwalisz kite. Jak wyciągniesz kopyta.

Mrugnięcie. Mrugnięcie.

– Skąd mam wiedzieć, że pani nie zmyśla?

– Nie może pani. Ale za to Louis wie. Może za mnie poświadczyć. Jeśli pani mu ufa, to powinna pani uwierzyć, że to święta prawda. Jeśli mu pani nie ufa, to raczej nie mamy o czym rozmawiać.

Katey podaje jej pieniądze.

– Pięćset dolarów, jak sobie pani życzyła.

– Oj, życzyłam... – Miriam sięga po banknoty, a Katey szybko cofa dłoń.

– Nie policzy pani?

– A po co? Ufam pani. Poza tym, jeśli będzie za mało, rzucę na panią klątwę. Oस्पę, na przykład. Rzucę ospową klątwę na pani dom i szkołę. – Mówiąc to, sięga po kolejny precel i zanurza go w ostrym sosie. – No, kurwa, przecież żartuję. Nie mogę rzucać klątw. To ja jestem przeklęta.

Mniam, mniam, mniam.

– Od jak dawna pani jest taka? – pyta Katey.

– Taka? To znaczy jaka? Pojebana? Czy popieprzona?

Ktoś im przerywa. Krzyczy jakaś nastolatka. Miriam się odwraca i widzi jedną z uczennic z zajęć z plastyki – dwunasto-, może trzynastoletnią dziewczynkę, małego rudzielca obsypanego piegami, jak stoi na palcach i trzyma nad głową blok rysunkowy, jak wiking biorący zamach mieczem.

Dziewczyna wali koleżankę na odlew w twarz. Druga uczennica – drobna blondyneczka, najpewniej o imieniu Katey – piszczy wniebogłosy i upada na trawę.

Chwilę później widać już tylko plątaninę rąk i nóg, i wyrwanych włosów. W powietrze wylatują eleganckie brązowe buty.

– Wow, nieźle jej przywaliła. Łubudubu! Prosto w mordziaka! Jak należy!

– To dość częsta sytuacja w tej szkole. Dziewczęta, które tu trafiają, nie są niedobre... w większości, w każdym razie. Niestety, część z nich jest zagubiona. Albo borykały się z odrzuceniem. To zostawia... no cóż, to zostawia ślad. Wewnątrz. Chociaż czasem również na zewnątrz.

– To akurat widziałam.

– Moja przerwa się kończy – mówi Katey. Niespodziewanie mruży oczy.
– Wie pani co? Rozmyślałam się. Nie chcę, żeby pani to robiła. – Wstaje. – Może pani zatrzymać wszystko z listy, ale pieniądze chciałabym dostać z powrotem.

– Zaraz, zaraz! Że niby jak? Cholera, nie będziemy się tak bawić, jak się powiedziało A, trzeba powiedzieć B. Louis twierdzi, że pani jest jakąś szaloną hipochondryczką, więc przyjechałam, żeby zrobić swoje, i nie zamierzam siedzieć tu beczynn timer. Już, cholera, dawaj łapę!

Twarz Katey wykrzywia się, a w oczach pojawia się smutek.

– Naprawdę tak powiedział? Że jestem hipochondryczką? Ludzie tak o mnie myślą? Cóż... chyba już wcześniej się domyślałam.

Sięga po pieniądze. Chce je zabrać.

Nieopatrznie potrąca butelkę whisky i przewraca ją.

Szkocka rozlewa się i ścieka między deskami na ziemię.

Palcami dotyka pliku banknotów.

Miriam wyciąga rękę, łapie ją za ramię i szarpie za rękaw, żeby obnażyć nagą skórę.

Zaciska palce i dochodzi do kontaktu...

Katey Wizniewsky wygląda identycznie jak przed chwilą: wciąż ma te

szerokie ramiona i matczyną, ciepłą twarz, ale ubrana jest w truskawkowy szlafrok, tak włochaty, jakby zabiła wcześniej jakąś baśniową bestię, oskórowała ją i włożyła jej futro, by ochronić się przed zimnem. Siedzi na brzegu podwójnej kanapy, cała przeżarta nowotworem. Rak jest jak korzenie potężnego drzewa przenikającego czarną żyzną ziemię. Są wszędzie i piją, piją, piją. Zbiegają się w jednym punkcie: w wielkim guzie przyrośniętym do trzustki. W dłoni trzyma delikatną szklaneczkę wypełnioną mrożoną herbatą z kawałkiem cytryny nałożonym na krawędź. Podaje szklankę dużemu mężczyźnie z ciepłym uśmiechem na twarzy i mówi: „Steve, herbata nie jest dość słodka. W ogóle nie czuję, żeby cokolwiek było jeszcze słodkie. Proszę...”, i przerywa, bo w tym momencie przebiega przez nią coś na kształt błyskawicy, przesuwa się, nie zatrzymuje, a potem znika – bzzzt, brak zasilania, wyciągnięta wtyczka, ciemność... szklanka spada na stolik i roztrzaskuje się na drobne kawałki i...

Katey odpycha ją gwałtownie, Miriam upada na plecy i uderza głową w ziemię.

Większość dwudziestodolarowych banknotów rozsypuje się po trawie. Niektóre porywa wiatr i niesie w kierunku brzegu rzeki. Potem znikają.

Miriam siada, stękając. Zaczyna zbierać pieniądze.

Katey stoi nad nią i się nie rusza. Zaciska dłonie. Ma wilgotne oczy.

– Ja... przepraszam. Nie chciałam... – zaczyna.

Miriam, nie podnosząc się z ziemi, szuka butelki. Po chwili znajduje alkohol i stęka z zadowolenia.

– Nadużywanie alkoholu – mruczy, przysuwa szyjkę do ust i wylewa na język ostatnie krople szkockiej.

– Co pani widziała? – pyta nauczycielka.

– Naprawdę chce pani wiedzieć?

– Tak. Chcę. Chcę wiedzieć. Muszę wiedzieć.

Wtedy Miriam jej mówi, ale jej słowa to czyste kłamstwo. Nie wspomina nawet o tym, że ma raka trzustki. Nie ostrzega, że nowotwór jest w niej teraz, już teraz, i że zostało jej niemal dokładnie dziewięć miesięcy życia. A taka jest prawda.

Zamiast tego zaczyna:

– Atak serca za dwadzieścia lat. W trakcie śniadania. Omlet, serce staje, po wszystkim. – Ale zachowuje jeden prawdziwy szczegół. – Upuści pani szklankę mrożonej herbaty. Z cytryną. Szklanka się rozbija.

Twarz Katey się zapada. Ramiona drżą gwałtownie, kiedy głęboko wzdycha. Wyraźnie rozczarowana siada ciężko na ławkę.

– Hm... no cóż... dziękuję i za to – mówi cicho. Słowa wypowiedziane nosowym tonem są krótkie i ostre, jakby ktoś poprzycinał ich końce brzytwą. – Bardzo... bardzo przepraszam, że panią popchnęłam. Nie wiem, dlaczego się tak zachowałam. Nigdy mi się to nie zdarzyło.

A potem wstaje i odchodzi. Rusza w stronę szkoły. Ma spuszczoną głowę.

KŁAMSTWA, CHOLERNE KŁAMSTWA I RAK

Kłamstwo. Oto i ono. Wisi jak miecz Damoklesa nad jej głową. Koncentruje uwagę jak włos łonowy w wazie z ponczem. Tajemnica. Zaostrzony znak zapytania dookoła jej szyi niczym garota gotowy do podcięcia jej gardła.

Miriam nie rozumie. Nie potrafi znaleźć sensu. Dlaczego to kłamstwo?

Stoi i spogląda na rzekę. Ciska precle w brudne błotniste wody. Analizuje swoje łgarstwo. Szuka motywów.

Jakiś głos w jej głowie twierdzi, że zrobiła tej kobiecie przysługę. Katey ma przed sobą mniej niż rok życia. Rak trzustki. Miriam, niczym kruk siedzący na ramieniu śmierci, widziała już takie przypadki. Są jak pożar ropy – nie do ugaszenia. I zbyt szybko się rozprzestrzenia. Powiedzieć kobiecie, co jej dolega? I co potem? Zostanie jej seria okropnych chemioterapii, każda kolejna gorsza od poprzedniej. I wszystko na próżno. Drzwi do rozpaczki otwarte na całą szerokość, a za nimi tylko przerażająca i wciągająca czerń.

Z drugiej strony, może to rodzaj kary. Może w jakiś sposób chciała ją ukarać? Wykrzyzczyć jej w twarz: pieprz się, suko! Nie chcesz mojej pomocy? To masz! Wylałaś mi szkocką i wyrzuciłaś sto dolarów – moich dolarów! – do rzeki! A potem jak niedobre dziecko spycha doniczkę z parapetu, żeby zrobić mamie na złość: Miriam skłamała. Łgarstwo zrodzone z maleńkiego i ukrytego ziarenka zemsty. Natychmiastowy odwet.

Ale nawet to się nie trzyma kupy. To nie jest przecież całość. Układanka nie jest kompletna, brakuje jakiegoś elementu, może kawałek ramki, a może części ze środka – tak czy inaczej, to cały czas nie wszystko.

Robi więc to, co może w takiej sytuacji zrobić. Zapala papierosa.

Co teraz, co teraz.

Ma pełne kieszenie pieniędzy. Mogłaby zrobić cokolwiek. Wezwać taksówkę. Znaleźć jakąś tanią spelunę i się objeść. Zaliczyć klub ze striptizem. Wyrzucić komórkę i kupić jakiś tani prepaid, żeby móc się go szybko pozbyć. Wsiąść do autobusu i pojechać gdzieś, gdzie jeszcze nigdy nie była. Donikąd. Albo do Maine, Kalifornii, Nowego Orleanu, Montrealu, Tijuany. Homary, awokado, tortilla i pokazy seksu z osłem.

Żadna z tych rzeczy do niej nie przemawia. A to coś zaskakującego. Przecież każdy z pomysłów, które przyszły jej do głowy, powinien być wspaniały. Tyle że sama idea ponownej ucieczki tym razem jej nie pociąga. Jest jak zwietrzały napój gazowany. Jak piwo bez bąbelków.

Miriam sięga po buteleczkę tequili i zrywa nakrętkę.

Wychyla całość.

Kwaśne ciepło spływa przełykiem do żołądka. I zostaje w jej brzuchu jak przepocona skarpetka po wufie, nasączona jadem skorpiona i octem.

Beka głośno. Nieopodal z gałęzi zrywają się przerażone ptaki.

W tej chwili jej myśli są jak piekące skórki przy paznokciach. Jest gotowa ciągnąć za nie tak długo, aż całkowicie zmasakruje sobie ramiona i do łokci zmieni je w krwawą masę.

Najprostsze rozwiązanie, by ukoić skołataną duszę? Farbowanie włosów. Balsam na złe myśli.

Żegnaj, paskudny orzechowy mopie. Żegnaj, oryginalny kolorze. Żegnaj, grzeczna dziewczynko.

Witaj, oczojebny flamingu!

KLUB NIEGRZECZNYCH DZIEWCZYNEK

Niestety. Coś poszło nie tak.

Miriam siedzi przed gabinetem dyrektorki z naręczem szarych papierowych ręczniczków jednorazowych wepchniętych pod kołnierzyk. Wszystkie całkiem przemoczone. W kieszeni nieotwarty jeszcze kartonik z różową farbą do włosów.

Pali ją skóra na głowie. Szczególnie w okolicach otarcia po postrzale.

Pomyślała sobie – kurwa, idiotyczny pomysł! – pójdę do damskiej łazienki i tam przefarbuję włosy. Co to kogo obchodzi, co? Weszła do środka, przez kilka minut chodziła w kółko, aż w końcu znalazła łazienkę. Utleniaczem zaczęła usuwać dotychczasowy orzechowy kolor. Dla zabicia czasu wypaliła kilka dymków z dwiema starszymi dziewczętami, które przyszły skorzystać z toalety. Jedną z nich była miła czarna nastolatka o imieniu Sharise, a drugą jej biała i nieco przy kości przyjaciółka Bella.

Zapaliły. Porozmawiały o piekle szkoły średniej, przez które każda musi przejść. I o dobrej zabawie.

Potem nagle do klopa wpadła wataha ochroniarzy. Pięciu. Ktoś musiał zwrócić na nią uwagę, jak wałęsała się po korytarzach. Zaalarmowana dyżurka wysłała wsparcie i zanim Miriam zorientowała się, co się dzieje, dwóch umięśnionych strażników wlecze ją pod rękę do dyrektorki. Jeden z nich wygląda jak maszyna do tłumienia rozruchów, która przedawkowała sterydy anaboliczne, a jego mundur z trudem kryje węzły mięśni. Drugi strażnik przypomina tego włoskiego hydraulika z gry komputerowej. Tyle że jest jeszcze niższy. I jeszcze grubszy.

I gabinet dyrektorki. Właściwie poczekalnia przed nim. Wpatrywanie się w ścianę z drewnianej boazerii. Brązowe kinkiety. Wiocha na całego. Prowincja Zdrój. Zadupie Wielkie.

Obok niej siedzi rudowłosa mała cipa z twarzą upstrzoną piegami. Skrzyżowane ramiona przyciska do marynarki opinającej biust. Czuć od niej delikatny zapach papierosów. Ale inna marka niż te, które Miriam ma przy sobie.

Zaraz.

Miriam jeszcze raz spogląda w jej stronę.

– To ty.

Dziewczyna wykrzywia twarz. Uśmiecha się nieprzyjemnie. Unosi brwi.

– Co?

– To ty. Widziałam cię z blokiem rysunkowym. I potem – Miriam markuje jej cios – jebut.

– Ach. To. Zgadza się. Powiedziała, że mój liść wygląda jak psie gówno.

– A wyglądał?

– Chyba. Ale to nie powód, żeby być niemiłym, co nie? Masa rzeczy wygląda jak psie gówno, co nie znaczy, że trzeba chodzić i wszystkim o tym mówić.

Miriam wzrusza ramionami.

– Sama nie wiem. Ja tak dotychczas robiłam.

– Capi ci z buzi.

– No proszę, widzę, że ty też. I dzięki, wiem, że mi capi z paszczy. Przed chwilą strzeliłam tequilę.

– Chyba z toitoi.

– Rany, jesteś urocza. Zdaje się, że pijesz do utleniacza.

– Nie wiem, czy zauważyłaś, ale nie jesteśmy u fryzjera.

– Mój Boże, Miriam, ależ z ciebie cichy i przyjemny aniołek.

– Nie rozumiem?

– Weź tylko pierwsze litery.

Miriam milczy.

– Aha. Już łapię. CIPA. – Przewraca oczyma. – Aleś mi pojechała.

– Nie przewracaj oczami, jak rozmawiamy.

– Przepraszam, mamusiu.

– Nie jestem twoją matką.

– Wiem. Nie jestem przecież idiotką. Miałaś wrażenie, że choć przez chwilę uważałam cię za swoją matkę? – pyta, wypychając policzek językiem, i taksuje Miriam uważnym spojrzeniem. – W sumie jesteś wystarczająco stara, żeby nią być.

– Nie jestem stara, ty mała paskudo. Mam dopiero dwadzieścia kilka lat.

Wzruszenie ramion.

– Czyli tyle co moja mama.

– A ty ile masz lat? Trzyście?

– Dwanaście. – Zauważa, że Miriam nie odrywa od niej wzroku. – No co? Mama miała piętnaście lat, kiedy mnie urodziła. I nie patrz tak na mnie, bo nie jestem totalną idiotką. Umiem dodawać i odejmować. Dwanaście i piętnaście to dwadzieścia siedem. Czyli dwadzieścia kilka. Proste?

– Nie, nie proste. Dwadzieścia siedem to niecałe trzydzieści – poprawia ją Miriam. – Poza tym, nawet jeśli, to powinnaś ją szanować, a nie traktować jak jakąś kurę domową. Jasne? Okazuj jej szacunek. No właśnie.

– Chętnie, ale zniknęła.

– Zniknęła. Ot tak? Puf, i rozplynęła się w powietrzu? Czy zniknęła w sensie, że jest martwa? Hm?

– Zniknęła w sensie, że zostawiła mnie samą w swojej kawalerce, a sama ruszyła w świat przeżyć przygodę. Albo ćpać herę. To jej prawdziwa miłość. Heroina.

– To masz trochę do dupy.

– Trochę.

– Moja mama była zupełnie inna – mówi Miriam. Stara się przypomnieć sobie twarz matki. Ma duże trudności. Jej twarz rozpływa się w ławicy poszczególnych cech: nosów, oczu, bród i policzków. Niektóre wskakują na swoje miejsca tylko po to, by po chwili zniknąć, bo nie pasują do całości. – Porządna do bólu. Krótko mnie trzymała. Trochę heroiny dobrze by jej zrobiło. Może by się rozluźniła.

– Moja mama mogłaby być nieco porządniejsza.

– W takim razie możemy się zamienić na mamy.

– Umowa stoi.

Dziewczyna wyciąga dłoń.

Miriam wpatruje się w nią, jakby łąziły po niej pająki.

Otwierają się drzwi do gabinetu – Miriam dopiero teraz zauważa, że prowadzą do gabinetu kierownika, a nie dyrektorki. Ze środka głowę wystawia niewysoki mężczyzna w marynarce, z czarnymi włosami zaczesanymi do tyłu, i patrzy na nie ciemnymi oczyma.

– Panno Lauren Martin – odzywa się kierownik. Ma skrzeczący głos, jakby ktoś poruszał zardzewiałymi zawiasami. – Miło znów panią widzieć. Zaraz się panią zajmę, tylko najpierw muszę porozmawiać z...

Przenosi oczekujące spojrzenie na Miriam.

– Miriam Black – pomaga mu. W pierwszej chwili chce skłamać, ale walić to.

– Wspaniale. Panno Black, jeśli można prosić... – Odsuwa się i robi jej miejsce w drzwiach.

Dziewczyna – Lauren – spogląda na Miriam. Nie cofnęła jeszcze dłoni.

– To co, układ? – pyta. – Zamieniamy się na mamy?

Miriam wie, że nie powinna jej dotykać. Bo po co? Akurat kiedy zaczyna

ją lubić, miałaby wcisnąć klawisz przewijania, żeby zobaczyć, jak skończy? To przecież bez znaczenia. Wypadek po pijaku w wieku osiemnastu lat czy upadek pod prysznicem siedemdziesiąt lat później?

Mimo wszystko czuje pragnienie, tę znajomą chęć, która sprawia, że świerzbią ją palce i pocą się dłonie. Wyciąga więc rękę w jej kierunku. Porusza nią tak jak samolot podchodzący do lądowania: miękko sunie przez powietrze, unosi się nad pasem, by w końcu dotknąć kołami asfaltu i wtedy...

Wtedy ściska jej rękę i widzi, jak mała ma umrzeć.

PIEŚŃ DROZDA

Poranne słońce wpada przez powybijane okna. W jasnych plamach światła widać unoszące się kłęby kurzu i płatki zgnilizny. Jedna z nich pada dokładnie na twarz Lauren Martin. Dziewczyna ma osiemnaście lat i leży przypięta do starej kozetki lekarskiej. Skórzana tapicerka jest popękana i drapie jej nagie plecy, łydki i pośladki. W powietrzu mieszają się różne zapachy – potu, moczu, stali i przede wszystkim smród jakichś chemicznych odczynników.

Buzię ma zakneblowaną drutem kolczastym. Ostre kawałki metalu ranią skórę dookoła całej głowy. Zardzewiałe ciernie wbijają się w kąciki jej ust.

Głowa Lauren jest przytwierdzona do kozetki tym samym drutem.

Ma suche usta i wyschnięty język. Leży już tak od jakiegoś czasu.

Ściany pomieszczenia są czarne i osmolone. Tapety na nich pokryte bąblami jak poparzona skóra. Sufit miejscami opada. Zamiast kontaktów i lampy wiszą smętnie poobrywane końcówki przewodów. Z podziurawionych ścian wystają kawałki brudnej wełny izolacyjnej. Wyglądają jak szare burzowe chmury.

Latają ćmy. Cykają świerszcze.

Z cienia wychodzi mężczyzna. Śpiewa piosenkę.

Słuchajcie, młodzi, opowieści, do serca weźcie sens jej treści: Młoda i piękna Polly była, lecz żywot wcześniej zakończyła. Piosenka ma folkową melodię, jest stara i spokojna. Jego głos brzmi bardzo ponuro, lecz słyhać w nim trel i drzenie, od niskich do wysokich tonów, równie przyjemne jak przesuwanie paznokciami po szkolnej tablicy. Raz śpiewa męskim głosem.

Po chwili kobiecym.

Figle, zabawy, wielkie bale, ostrzeżeń nie słuchała wcale. Mówiła, Bóg jej to wybaczy, na starość duszę przyjąć raczy. Lauren jęczy, dusząc się pod kneblem. Pokryte zaschniętą krwią rany w kącikach ust pękają i na policzkach pojawiają się świeże szkarłatne plamy. Na dłoniach widać duże litery X. Nacięcia są płytkie, ale to wciąż rany. Stopy zostały okaleczone w ten sam sposób.

Pewnego dnia jej głupie serce raptownie zaniemogło wielce. „Dobiega końca życie kruche, Nie zdążę już okazać skruchy!” Pomieszczenie wypełnia nowy zapach, zapach, który gryzie w gardło. Dym. Intensywnie czuć w nim suche kwiaty. Kwiaty z wieńców pogrzebowych, róże i lawendę, i goździki, i oleistą woń gorzkiej pomarańczy.

Przyzywa matkę, łaski błaga, ale już jej się Śmierć domaga. „Żegnajcie, matko moja miła, ostatnia godzina mi wybiła!” Mężczyzna ma ptasią twarz, jak bezióra bestia z ciałem pokrytym wyprawioną skórą i z dziobem długości dziecięcego ramienia. Z otworów w dziobie unoszą się strużki dymu. Zza brudnych szkieł okularów przytwierdzonych śrubami do skóry widać ludzkie oczy. To nie jest jego głowa, tylko raczej specjalny kaptur – kaptur opadający do ramion i nagiego, żółtawego torsu. Maski. Na skórze ma tatuaż ciągnący się przez całą pierś: błękitny jak żyła, ciemny jak siniak. Bumerang skrzydeł jaskółki, rozdwojony ogon jak ostry widelec.

Sięga w ciemny kąt pokoju, nad zniszczonym materacem. Cofa dłoń i z cienia wyłania się strażacki toporek.

Przyzywa ojca, łaski błaga, ale już jej się Śmierć domaga. „Ojczy! – łyzy ciekną jej po twarzy – będę się dzisiaj w piekle smażyć!” Lauren walczy z więzami na widok masywnego ostrza. Szarpie głową w tył i w przód, chce uciec, chce się uwolnić, choćby częściowo – jej krzyk jest głuchy i przerażający, bo kiedy otwiera szerzej usta, kolce drutu orzą jej policzki.

Krew zalewa jej gardło. Niemal się w niej topi.

Mężczyzna w skórzanej kapturze z ptasim dziobem nachyla się i pieści twarz dziewczyny. Kiedy cofa palce, są wilgotne czerwienią. Odsuwa się o krok. Toporek przyciska do tatuażu na piersi.

„Miał słuchać wszelakich dobrych rad, cielesnych żądz toczył mnie jad. Umieram więc, słowo się rzekło, niech Polly złą pochłonie piekło!”
Mężczyzna zamyka oczy. Pełen zachwytu. Ekstacyjny. Unosi topór nad głowę. Para owadów niespodziewanie rusza w kierunku ciężkiego ostrza i zaczyna krążyć dookoła: ómy orbitują wokół żelaza jak miniaturowe satelity.

Wraz z jego sapnięciem dziewczyna wypręża się z bólu, krzyczy i płacze.

W męczarniach wiła się i łkała, i język gryzła, aż skonała. I głos jej ucichł, jak jej dzień, paznokcie też okryła czerń. Ostrze toporka trafia ciężko w obitą kozetkę. Dokładnie w bruzdę, która była tam wcześniej. Głowa Lauren, nagle niema, toczy się w tył i spada do starego wiadra wyłożonego czarnym workiem na śmieci.

Mężczyzna rzuca toporek na ziemię. Słysząc brzęk metalu.

Podnosi odrąbaną głowę. Unosi ją w górę, nie przestając śpiewać. Krew znaczy kleksami wytartą podłogę. Jego głos się zmienia: jest zachrypnięty, wyjący, gardłowy. Słowa nie zostają wymówione, lecz wręcz wykasłane z jego gardła i padają jak plwociny na ziemię. Obrzydliwe kawałki flegmy.

Ci, co jak Polly, są pośród nas, odrzućcie grzech ten, nim macie czas. Inaczej wieczność, pewność tę mam, przyjdzie wam spędzić u piekła bram. Mężczyzna wyjmując z kieszeni znoszonych dżinsów kombinerki i odcina Lauren język. Zajmuje mu to ponad minutę.

Jej oczy, wciąż szeroko otwarte, są spokojne niczym górskie jeziora.

Morderca wybucha śmiechem: gardłowym i radosnym trelem.

OCZYSZCZENIE

Każda komórka jej ciała budzi się gwałtownie do życia, kiedy, niczym trafienie gromem, przetacza się przez nią potężny impuls nerwowy. Rozrzuca ramiona. Jej palce tężeją, podwinięte w górę jak szpony. Jeden z paznokci pęka, zahaczając o drewnianą podłogę. Trzask. Twarz, jeszcze rozmyta, ale powoli rozpoznawalna, pojawia się gdzieś nad nią.

Mama?

Starsza kobieta, siwe włosy związane w długi warkocz, świeci kieszonkową latarką w jej źrenice.

– No nareszcie – mówi kobieta, a jej twarz się zmienia. Jest całkiem obca. – Przebudzenie nieznannej kobiety.

Podaje Miriam rękę.

O nie, nie tym razem.

Miriam nie zniosłaby tego ponownie. Nie teraz. Kolejny dotyk. Kolejna wizja. Jeszcze więcej śmierci, niekończąca się parada czaszek i kości, i głodnych ptaków. Zmusza się, by samodzielnie usiąść, a potem przesuwa w kierunku wiśniowego biurka i opiera się o nie plecami. Ciężko dyszy. W ustach czuje smak wymiocin.

Kobieta – po sześćdziesiątce, w przyjemnej niebieskiej chuście zarzuconej na białą bluzkę – ponownie sięga w jej stronę.

– Weź mnie za rękę, złotko. Pomogę ci wstać.

– Dotknij mnie, to ci odgryzę palce! – Miriam kłapie zębami, żeby podkreślić swoją determinację. Kobieta musi zrozumieć, że mówi poważnie.

– Nie jestem twoim wrogiem – mówi nieznajoma kruchym, oficjalnym tonem. – Nazywam się Caldecott. Jestem szkolną pielęgniarką.

Miriam ponownie obnaża zęby.

– Zaraz. Caldecott. – Wykrzywia usta. – Tak samo jak szkoła.

Zza pielęgniarki wynurza się kolejna postać. Kierownik. Dłonie ma do połowy ukryte w kieszonkach zapinanego sweterka, delikatnie, budzi takie same uczucia jak karta biblioteczna wsunięta pod okładkę książki.

– Zgadza się – mówi. – Elanor Caldecott. A ja nazywam się Edwin Caldecott. Jestem kierownikiem szkoły. Elanor to moja matka. Zbieżność nazwisk nie jest przypadkowa. To ona założyła tę szkołę.

– Wspaniale. Świetnie. Wyśmienicie. Co mnie to. Co się stało? – pyta Miriam. Ale nie musi czekać na ich odpowiedź, bo wszystko powoli do niej wraca. Utlenione włosy, młoda dziewczynka, uścisk dłoni, stara kozetka, ptasia maska, toporek strażacki, śmierć w rytm piosenki. – Ach...

Omdlewającymi dłońmi sięga po kosz na śmieci, który stoi pod biurkiem, przyciąga go i wymiotuje. Gorąca fala przypływu składającego się z precli, ostrego sosu i tequili.

– Uroczo – mruczy kierownik. Mówi przez nos. Jakby był znudzony tym, że musi tu być. Nabiera powietrza przez szparę między przednimi zębami.

Miriam opiera głowę o bok biurka. Dłonią wyciera zwisający z ust ciągnący się sopelek wymiocin.

– Dziewczyna. Lauren. Muszę z nią porozmawiać.

– Relegowaliśmy ją ze szkoły – wyjaśnia pielęgniarka. Robi poważną minę.

– Kim pani jest? – pyta kierownik. – Krewną jednej z naszych uczennic? Siostrą? Matką? Czy znajduje się pani pod wpływem narkotyków?

– Muszę porozmawiać z Lauren.

– Nie możemy na to pozwolić, panno Black. Jeśli będzie pani nastawać,

nie pozostanie mi nic innego, jak wezwać policję. Prawdę mówiąc, już żałuję, że nie zdecydowałem się na to, kiedy zerwała pani kinkiet ze ściany i wpadła do mojego gabinetu. Rozproszył mnie atak, po którym padła pani na podłogę.

– W takim razie pójdę już sobie – proponuje Miriam. – Przykro mi. Po prostu... pójdę sobie.

– Dobrze. Wezwałem pomoc, żeby mieć pewność, że nie zmieni pani zdania. – Wyjmuje jedną dłoń z kieszeni i daje komuś znak, żeby wszedł do środka. Pielęgniarka przygląda jej się w sposób, w jaki kot patrzy na mysz przed ostatecznym skokiem.

Do Miriam podchodzi dwójka strażników, których widziała już wcześniej – Spuchlak i Mario – i sięgają, by pomóc jej wstać. Odgania ich, wymachując koszem na śmieci. Wydobywa się z niego smród wymiocin, a dziewczyna broni się jak zagoniona w narożnik puma.

– Spierdalać! Powiedziałam, że sobie pójdę, to sobie pójdę. Jak mnie któryś tknie, oskarżę was o molestowanie. Będą wam się śniły pozwyl!

Miriam wstaje w końcu – nieporadnie, pijacko i tylko dzięki temu, że chwyta się krawędzi biurka kierownika. Dopiero teraz może rozejrzeć się po pomieszczeniu. Gabinet jest niemal przerażająco stereotypowy: stary globus, ciemne regały pełne książek, wszystko w drewnie, wszystko wypastowane i zakurzone, brak komputera. Mokry sen nauczyciela: egipskie zabytki, książki z poezją i podświetlona szklana gablotka z jakimś starym rękopisem.

Pielęgniarka chce ją przytrzymać, ale dziewczyna odskakuje.

– Powinien panią zbadać lekarz.

Miriam nie reaguje. Wychodzi z gabinetu, a za nią podąża dwójka strażników.

Gna przez szkołę, pokonując wszystkie wiktoriańskie zasadzki: dywany i

chodniki w kwieciste wzory, stoliki herbaciane i biurka, przy których sadza się dwoje dzieci naraz. Powietrze pachnie kurzem i książkami, i jeszcze bardzo delikatnie truskawkowym błyszczkiem do ust.

Mija kolejne sale lekcyjne, jedną za drugą, wszystkie wypełnione dziewczętami: niektóre z jasnym spojrzeniem, gotowe uciec przed bagnem przeszłości, inne znudzone i pełne rezygnacji, jakby chciały powiedzieć: „To wszystko nic dla mnie nie znaczy”.

Kiedy tak idzie, Spuchlak co rusz ją dogania i popycha. A potem wybucha śmiechem. Że niby to przez przypadek, chociaż to wcale nie przez przypadek. Kutas się z nią droczy.

Jedyne, co może zrobić, to wycelować w niego palec i obdarzyć spojrzeniem, w którym ukryta jest obietnica, że obetnie mu jaja i wepchnie prosto w dupę. Na nic więcej nie ma po prostu siły. Wizja śmierci Lauren nie tylko sprawiła, że jej żagle zwiesiły się smętnie z masztów: ona podarła je na wąskie wstążeczki.

Mężczyzna ją ignoruje. Z kolei Mario nie spuszcza z niej wzroku. Tajemniczy gość. Patrzy na nią, jakby była wężem, który może ukąsić. Dobry chłopak.

A potem, całkiem niespodziewanie, wychodzi na zewnątrz. Dzień jest jasny i bezchmurny. Południe, słońce w najwyższym punkcie na niebie. Ciepło. Ale to bez znaczenia, bo wciąż czuje chłód. Dreszcze, przejmujące do szpiku kości.

Maska. Piosenka. Toporek.

Wsadzają ją do samochodu ochrony, starego czterodrzwiowego forda z początku wieku, pomalowanego tak, by jak najbardziej przypominał radiowóz. Po drodze, mimo upału, zauważa pierwsze oznaki nadchodzącej jesieni: gdzieś ktoś pali liście.

Róża. Goździki. Pomarańcza.

Smród chemii. Uryna. Strach.

Strażnicy zostawiają ją przy bramie. Homer stoi przy swojej budce i stara się powiedzieć coś zabawnego, ale mu nie wychodzi.

Ona zresztą nawet go nie słyszy.

Brama się otwiera. Miriam nie zwleka. Chce jak najszybciej uciec z tego okropnego miejsca.

APPLEBEE'S – SRAPPLEBEE'S

– Todd – mówi Miriam, stukając palcem w krawędź pustej szklanki. – Rzucaj wszystko i bierz się za kolejną Long Island Iced Tea, bo ja tu widzę pustynię. Ale tym razem przyłóż się trochę do swojej roboty i daj więcej procent, okej? I nie żydź na mnie. Swoją drogą, wiedziałeś, że żydzić to rasistowskie słowo? Kurewsko rasistowskie. Pochodzi od Żydów, bo oni zawsze wszystkich ruchali bez mydła. No wiesz. Cholera. O czym mówiłam? Aaa, już wiem. Long Island. Iced Tea. W mojej szklance. Uprzejmie proszę.

Todd jest barmanem. Ma na sobie czarną koszulkę polo i wygląda jak pół dupy z za krzaka. Może mieć dwadzieścia jeden lat, ale wygląda na osiemnaście. Mapa fizyczna krost i pryszczycy na jego twarzy pozbawiła Miriam apetytu na pałeczki serowe.

– Już się robi – odpowiada, a w jego głosie pobrzmiwa jeszcze dojrzewanie. Zabiera się do przygotowania kolejnego drinka.

W lokalu panuje martwa cisza. Jak na cmentarzu – w sumie można by przy każdym stoliku postawić nagrobek, a potem porozwieszać pajęczyny i poukładać mech.

Nie wie, czy w mieście są jeszcze jakieś inne bary. Ten znalazła zaraz po tym, jak została wywieziona ze szkoły dla pokreconych dziewczynek. W takich sytuacjach się nie wybiera: wóda to wóda, tłuste żarcie to tłuste żarcie i o nic innego nie chodzi.

W międzyczasie zmieniała zdanie. Gówniane ozdoby na ścianach zaczynają ją wkurzać. Kiczowate bohomazy, znaki drogowe, fałszywe

ozdoby retro, jakieś, kurwa, wiosło. Wiosło. O co w ogóle chodzi z tym wiosłem? Nie ma pojęcia. Może służy do walenia po łbach niegrzecznych klientów?

Zastanawia się, kiedy Todd postanowi ją nim zdzielić.

Nie, jest zbyt słodki, żeby zrobić coś takiego.

Może weźmie toporek i obetnie ci głowę, zła Polly.

Nie. Nie! Nie chciała o tym myśleć. Przecież właśnie po to tu przyszła. Żeby nie myśleć. Nie po to, żeby się denerwować. Chce pić. I jeść. I zapomnieć.

I pogadać z nowym kumplem Toddem, o twarzy jak poligon.

– Ty, mam do ciebie pytanie – mówi, lekko bełkocząc. Ale jak, do diabła, miałaby nie zaciągać? Ile już wypila? Pięć? Pięć razy Long Island Iced Tea. Pojedynczo nie mają dość mocy, ale razem dają solidnego kopa. Promise radośnie chlupoczą w jej oddechu. – Todd. Todd. Muszę cię o coś zapytać.

Chłopak stawia przed nią pełną szklanę.

– Hm?

– Przyszło ci kiedyś do głowy, że, niech będzie, twoje życie ma jakiś cel, ale jest do dupy i go nienawidzisz i... no, kurwa. Rozumiesz? Ale potem zaczynasz pojmować, że tu chodziło o coś zupełnie innego i że to, co musisz zrobić, jest znacznie bardziej popieprzone niż to, co myślałeś, że masz zrobić w życiu. Łapiesz?

– Może. Sam nie wiem. – Patrzy na nią, jakby miała dwa nosy i waginę zamiast ust. Cały wieczór się tak zachowuje. Ale co tam, Miriam nie ma nic przeciwko. Todd był doskonałym pudłem rezonansowym dla jej głosu, a jej skąpany w alkoholu mózg podpowiadał, że znalazła dobrego, naprawdę świetnego przyjaciela.

Pije przygotowanego drinka. Znów nie ma w sobie dość procent. Z

drugiej strony mogłaby mieć przed sobą oszronioną szklanę spirytusu i wciąż byłoby jej mało.

Z prawej strony coś słyszy: drapanie pazurków po drewnianym barze.

Na końcu długiego blatu, przy którym nikt inny nie siedzi, stoi utuczony kruk i wypija ostatnie krople, które zostały w szklaneczce do szotów. Jego dziób stuka o szklane dno kieliszka.

Z dziur w dziobie unoszą się strużki dymu.

Mruga szybko i ptak znika.

– Nie wiem. Też nie wiem – mówi po cichu.

Gorące i kwaśne tsunami pędzi jej przełykiem w górę, aż do gardła. W ten sposób natychmiast sobie przypomina: dziewczynka z rudymi włosami i truskawkowymi piegami zginie.

Biedna mała Lauren Martin.

Nie teraz, tłumaczy jej jakiś głos w głowie.

Ale co to zmienia? Martwa dziewczynka to martwa dziewczynka, odpowiada inny.

Pierdolić to, to nie twój problem.

W takim razie czyj?

Czyjś. Nie. Twój. Zresztą kogo to obchodzi? Ktoś cię wybrał na Królową Kurwa Przeznaczenia?

To tylko biedna mała dziewczyna i nie chodzi o to, że po prostu umrze. Ona umrze w okrutny sposób z rąk jakiegoś popaprańca w idiotycznej masce ptaka, który naćpa się dymu z suszonych wieńców nagrobnych i... co? Masz zamiar tak to zostawić?

A kim my jesteśmy? Zastanów się. Jesteśmy jednym człowiekiem. Poza tym nie możesz przecież nikogo ocalić. Na dodatek to nie wydarzy się ani dzisiaj, ani jutro. Tylko za sześć lat.

Zanim się zorientowała, szklanka ponownie jest pusta i dzwoni jej

telefon.

To Louis.

Cholera.

– Wybacz, Todd, muszę odebrać.

Todd patrzy na nią i nie wie, jak zareagować. Miriam odbiera połączenie.

– Cześć – mówi, siląc się na nonszalancki ton.

– Miriam – wita ją Louis. – Posłuchaj...

– Nie, to ty posłuchaj.

– Poczekaj. Możesz rozmawiać?

– Pewnie. Mów. Co tam?

– Chciałem cię bardzo przeprosić. Za wcześniej. Za to, że byłem nieprzyjemny. Po prostu... czasem to wszystko jest strasznie trudne. Wiem, że nie chcesz być ze mną, że czasem dobrze nam razem, a zaraz potem jesteśmy jak ogień i woda i... ty żyjesz znacznie szybciej niż ja. Ja jestem po prostu jak stara samotna żaba, a ty, ty jesteś jak modliszka, przeskakująca z trzciny na trzcinę i...

Przerywa mu.

– Piłeś?

– Troszeczkę. Miałem zły dzień.

– To tak jak ja – odpowiada. – Tak samo jak ja.

– Wóz mi nawalił.

– Ups. Cholera. Do dupy.

– Nie dowiozłem towaru. Wrócę za kilka dni. Myślałem, że uda mi się dojechać na jutro, ale... strasznie mi przykro. Nie dam rady. Potrzebujesz mnie? Jeśli tak, znajdę autobus i przyjadę, jeśli chcesz, żeby tam był.

– Nie, daję radę – kłamie. – Wszystko w porządku.

– Co u Katey?

– Ona... całkiem dobrze to zniosła. – Kłamstwa wypadają z niej jak

poronione dzieci. – Ma raka trzustki.

– Chryste...

– No właśnie.

– Zadzwońię do niej.

– Nie! Nie. – Bo jeszcze nic o tym nie wie. – Chce spędzić tę noc osafaaa... oswajając się z tą wiadomością.

– Rozumiem. Pewnie masz rację.

– Zawsze mam rację.

Głębokie westchnięcie. Jakby to miało dla niego jakieś znaczenie.

– Poza tym wszystko w porządku?

– Jest... super. Lepiej być nie może.

– Zadzwońię później.

– Okej.

– Tęsknię.

– Okej – powtarza Miriam.

Cisza.

Odpowiedzieć tym samym? Nie odpowiadać? Czy tęskni za nim? Może go nienawidzi? Kocha go? Chce się z nim pieprzyć? Walnąć go? Same pytania, żadnych odpowiedzi.

– Do usłyszenia, Miriam. – Tym razem jego głos brzmi mniej przyjemnie. Opryskliwie i mrukliwie.

– Dobranoc, Louis.

Mężczyzna przerywa połączenie.

Jeszcze przez chwilę nie odkłada telefonu. Przygryza język.

– Też mi ciebie brakuje.

Co tam. Pieprzyć to. Pieprzyć to i niech to diabli.

– *Uno mas* – mówi do Todda, popychając w jego kierunku pustą szklankę. Ma wrażenie, że w jej wnętrzu szaleje burza, głodny tajfun. Nic

nie stoi na przeszkodzie, by nakarmiła bestię.

18
BEZ K(L)ASY

Łup, łup, łup, łup, łup, łup.

Ma wrażenie, że jej głowa jest jak przejrzwały arbuz.

Łup, łup, łup, łup, łup, łup.

Przytłumiony głos z drugiej strony drzwi pokoju w motelu.

– Hej, ty tam, w środku!

ŁUP, ŁUP, ŁUP, ŁUP, ŁUP.

Teraz rozumie, dlaczego nie wolno pukać w szyby akwarium. Czuje się jak złota rybka umierająca na tętniak aorty pulsujący z pośpiechem lodowca.

– Otwieraj drzwi albo sam wejdę.

Gramoli się z łóżka jak nieporadne, pijane dziecko. Ma na sobie jedynie figi. Na czworakach – w głowie jej dudni, jakby obijała się wewnątrz bębna – posuwa się w stronę drzwi.

Drzwi się otwierają. Światło z zewnątrz jest jak kotara z żywego ognia.

– Aaaa – mamrocze. – Osochozi?

– Albo płacisz, albo musisz się wynosić.

W miarę jak odzyskuje ostrość widzenia, światło przestaje ją oślepić. Przed nią stoi menadżer motelu. Nie zwalisty Pedobear, ten gość okopany w recepcji, lecz muskularny Włoch z taką ilością żelu na włosach, że przypominają fryzurę figurek lego. Zupełnie jakby można je było zdjąć i założyć z powrotem. Klik, klik.

Miriam się krzywi. Robi zęza. Ma wrażenie, że wiewiórki skaczące po jej głowie – każda głodna jak wilk, zmęczona tygodniową dietą taniej pizzy na

telefon i galonów alkoholu każdego sortu – przegryzały tam większość kabeleków.

– Zapłacę, niedługo będę miała kasę – kłamie. Jest spłukana. Od wielu dni zalewa się tu w trupa. Opłata za pokój plus żarcie, plus wóda, plus paskudne porno, które non stop kupowała – to i kilka łzawych komedii romantycznych, czasem można, cholera – kosztowały tyle, że została bez pieniędzy.

Louis też nie wrócił. Naprawił ciężarówkę, ale powiedział, że ma jakąś pilną robotę i musi jechać.

Domyśla się, że po prostu nie chce jej widzieć.

Nie wini go za to. Sama siebie też nie chciałaby widywać.

– Albo płacisz, albo się wynosisz.

– Zaraz. Daj mi kilka minut.

– Nie masz kilku minut. Kilka godzin temu minął ostateczny termin, więc wóz albo przewóz. Płać albo wynocha. – Przygląda się, taksuje ją od stóp do głów. Pociąga nosem i krzywi się. Ale ma ochotę. Widać to. Jakby jego oczy były ustami i już cieszyły się posiłkiem. – Czyli nie masz pieniędzy?

– Okej. Nie. Nie mam pieniędzy.

– Więc musisz się wynosić.

– No to się wyniosę. Kwadrans i mnie nie ma.

– Nie masz kwadransa. Za minutę nie chcę cię tu widzieć.

– Co?! Weź, kurwa, nie żartuj. W minutę nie da się niczego zrobić. Minuta nie wystarczy na podgrzanie kawy w mikrofalce. Nie bądź dupkiem.

Jej głowa pulsuje, jakby serce wsiadło do windy i wjechało na samą górę do penthouse'u, i teraz biło tuż za jej oczami.

– No wiesz – mówi, a ona już wie, jak to się skończy. – Moglibyśmy załatwić to inaczej. Znaleźć jakieś rozwiązanie...

I jego wzrok przesuwa się po jej udach, biodrach i cyckach. Kiedy taksującym wzrokiem dociera do jej twarzy, widzi pędzącą w swoim kierunku pięść. Miriam trafia go prosto w nos. Centralnie.

W tej chwili widzi najprawdopodobniej jedynie gwiazdki.

Nad ustami pojawiają się dwa bliźniacze ślady krwi, jakby z dziurek od nosa wypełzły dwie dżdżownice.

Miriam zatrzaskuje drzwi, zasuwa rygiel i rzuca się w pośpiechu przez pokój. Łapie rzeczy jak popadnie i wciska je do torby. W jej głowie panuje szaleństwo i ma wrażenie, że biegnie po świeżo wylanym betonie. Niemniej jeśli się coś zrobiło, nie da się tego cofnąć. Teraz ten dupek albo wezwie gliny, albo...

ŁUP, ŁUP, ŁUP, ŁUP

KOP, KOP, KOP, KOP

– Ty pierdolona dziwko!

...albo będzie chciał się odegrać i zbije ją na kwaśne jabłko.

Miriam wchodzi do łazienki i otwiera tylne okno. Ostatnie spojrzenie na swoje odbicie w lustrze – różowe kosmyki, które ufarbowała sobie kilka dni temu, cały czas są piękne, reszta włosów pozostaje biała jak wysuszone słońcem kości – i przeciska się przez otwór na zewnątrz. Ląduje na tylnym parkingu.

Biegnie. Tak daleko, jak potrafi, zanim się zasapie i będzie potrzebowała papierosa.

Czyli bliżej, niż miała nadzieję.

Stoi na brzegu rzeki. Woda ma dziś szary kolor i jest spieniona. Niebo ma kolor kamienia. Woda i niebo przenikają się wzajemnie. Nieapetyczny pasztecik.

Papieros. Zapalniczka. Ufff.

Po prawej: trzask gałązki. Włoch. Odwraca się.

Nie. To nie on.

Włamywacz.

– Ładnie się goi ta rana na głowie.

To dziewczyna. Lauren. Nie ta młoda dziewczynka, tylko ona za osiemnaście lat. Skóra dookoła szyi jest poharatana, luźna i pokryta zakrzepłą krwią.

Powietrze świszczy w rozcięciu, kiedy łapie oddech.

Miriam unosi dłoń i przesuwa opuszkami palców po miejscu, gdzie kula mordercy ze sklepu otarła się o jej głowę. Rana rzeczywiście się goi. Mimo to, gdyby tylko chciała, mogłaby oderwać strupek i otworzyć ją na nowo. Myśli o tym przez chwilę. Na razie nie widzi potrzeby.

– Twoja za to nie. – Spogląda na dziewczynę idącą obok niej wzdłuż rzeki. Gdzieś wysoko przesuwa się kształt samolotu. – Może spróbuj jakiejś maści, żeby się nie babrało.

– Ech, Miriam. Ucieczka. Ucieczka. Ucieczka. Starasz się zapomnieć.

– Wiesz, wolę, kiedy odwiedzasz mnie we śnie. Te halucynacje są trochę przerażające.

– Wolę, kiedy używasz słowa „wizje”.

– Wizje? Jak spotkanie z duchami opiekuńczymi? Może się czegoś naćpałam i jak Indianie będę przeżywała inicjację? Zobaczę jaguara, pokonam go i będę musiała zjeść jego serce?

– Może lepiej obetnij mu głowę.

Na to Miriam nie ma gotowej odpowiedzi.

Włamywacz zaczyna śpiewać starą piosenkę: *Signs, signs, everywhere a sign. Blocking up the scenery, breaking my mind.* Dziewczyna podnosi głowę. Odsłania bezkrwawy otwór przełyku.

– Widziałaś tatuaż mordercy?

– Ptak.

– Jaskółka.

– No tak, jaskółka, zgadza się.

Włamywacz potakuje.

– Według egipskiej mitologii jaskółki siadywały na dziobach wszystkich łodzi płynących na tamten świat. Ale to nie tylko o to chodzi. Niektóre kultury uważały jaskółki za złośliwe i przebiegłe stworzenia. Takie niedobre ptaszyska. Zły urok. Przekleństwo. Jaskółki znajdziesz w każdej mitologii.

– Czy w tych mitologicznych czasach tylko obciągali? – Miriam otwiera usta, jakby robiła komuś loda, i wypycha policzek językiem. – No wiesz, same ptaki i ptaki. Okej, nie patrz tak na mnie.

– Ten ptak – Włamywacz całkowicie ignoruje jej dowcip – jest znaczącym symbolem. Powinnaś się bliżej temu przyjrzeć.

– Brzmi jak zadanie domowe.

– Może i tak. Gdybyś ty tylko wiedziała, gdzie znaleźć jakąkolwiek szkołę.

– Racja, gdybym tylko wiedziała. – Miriam kiwa głową, a potem patrzy przed siebie i widzi drogę prowadzącą do żelaznej bramy szkoły Caldecott.
– Gdybym tylko.

– Masz zadanie do wykonania – mówi Włamywacz.

– Wiem. Wiem. – Wie.

Ale Włamywacza już nie ma.

DROGA ZAMKNIĘTA

– E-e. – Homer kręci głową. – Nie. Nie ma mowy. Idź sobie. Gdzieś indziej.

Miriam stoi przy żelaznych szczeblach bramy, trzyma je dłońmi i przyciska twarz do przerwy między nimi.

– To mi zajmie tylko kilka chwil. Przysięgam. Wpuść mnie.

– Mowy nie ma. Narozrabiałaś ostatnio okropnie. Jesteś na mojej liście. – Wychyla się ze swojej budki i dodaje szeptem: – Tak między nami: nie jest dobrze być na tej liście.

– Nie zapominaj, że jestem przyjaciółką Louisa!

– Dziewczyno, mnie z tym gościem nic nie łączy! Nie mam wobec niego długów! To tylko miły, jednooki biały kierowca ciężarówki, który raz po raz robi coś charytatywnie dla szkoły. Nie jesteśmy kumplami ani nic takiego. Nie ocalił mi życia, nie wyciągnął z paszczy rekina ani w ogóle nic dla mnie nie zrobił. Cholera.

– Zapłacę ci.

Homer mruży oczy.

– Ile?

– A ile chcesz?

Myśli.

– Pięćdziesiąt dolców.

– Czterdzieści.

– Pięćdziesiąt.

– Niech ci będzie.

– To podaj mi je może między szczelkami bramy.

Uśmiecha się.

– Sprawa jest taka, że chwilowo nie mam przy sobie pięćdziesięciu dolarów.

– Jaka szkoda.

– Będę ci dłużna.

– Nie pożyczam pieniędzy zwariowanym zdzirom.

– To nie było miłe.

– Ale to prawda.

Tak, to prawda.

– A jeśli... jeślibym po prostu przeszła przez płot?

– Wtedy zadzwoniłbym po gliny i oni by ci się dobrali do dupy.

– O rany, ale pomyśl o biurokracji. Musiałbyś chyba wypełniać jakieś papiery, pisać raporty? Chrzanić taką robotę. Co, nie mam racji? Cholera, człowieku! Tyle papierów!

Homer się śmieje.

– Co ty sobie myślisz, że mam tutaj coś lepszego do roboty? Siedzę przez cały dzień w tej budzie i patrzę na bramę, jakby było na co. Chętnie wypełniam papiery, zawsze to jakaś odmiana. Czasem w narożniku nabazgrołę jakiś uśmieszek albo ładne cycki, żeby było trochę śmiechu.

– W porządku. Niech będzie. A jeśli wślizgnę się w jakimś innym miejscu? Tam gdzie akurat nie patrzysz?

– Płot jest pod prądem. Poparzyłabyś sobie pupcię.

Miriam marszczy brwi.

– Ogrodzenie jest pod napięciem? Robisz mnie w konia.

– Nie. Bzzzz. Mówię prawdę.

– To chyba trochę przesada.

– Czasem dziewczęta usiłują uciekać. Niektóre z nich trafiają tutaj na

podstawie wyroku sądu, inne są oddawane przez rodziców, którzy nie chcą, żeby poszły siedzieć... rozumiesz, nikt nie ma interesu, żeby sobie od nas poszły.

– Czyli to miejsce jest jak więzienie.

– Dla niektórych tak. Ale całkiem ładne i przyjazne więzienie. Co nie zmienia faktu, że więzienie.

Miriam pociera policzki. Jest zmęczona. Ma strasznego kaca: czuje, jakby coś wypychało jej oczy z głowy.

– Dobra. To jak będzie? Wchodzę czy nie?

– Chyba nie, panienko.

Dziewczyna prycha.

– Panienko. Dobrze. – Wyciąga dłoń. To ostatnia deska ratunku. – Mimo wszystko miło mi, Homer.

Mężczyzna wzrusza ramionami, jakby było mu wszystko jedno. Chwyta ją za rękę...

Sala w szpitalu. Wszystko szare z wyjątkiem kilku kwiatów, które rozjaśniają to miejsce, i migoczącego telewizora w narożniku. Homer leży w łóżku, wpatruje się w sufit. Ma puste oczy jak niezapisana tablica, bo nikogo nie ma już w domu: jest martwy, choć jeszcze żyje. Ciało wciąż funkcjonuje, mózg praktycznie się poddał, a umysł zmienił w warzywo. Cokolwiek z Homera w nim jeszcze zostało, balansuje przez ułamek sekundy na jego wargach, a potem... znika w ciemności i nagle monitory gasną, a do sali wpada lekarz z respiratorem. Do łóżka podbiega kobieta i młoda dziewczyna. Kobieta woła ojca po imieniu, dziewczyna jest wstrząśnięta, bo nie widziała jeszcze czegoś takiego na żywo. A Homera już nie ma. Jest martwy – martwy.

– Masz wnuczkę – mówi szybko, cofając dłoń.

– No i? – pyta Homer podejrzliwie.

– Nie jest uczennicą... – Miriam wskazuje palcem na tabliczkę z nazwą szkoły.

– Nie. No pewnie, że nie. To dobra dziewczyna. Ma matkę, która o nią dba. I mnie.

Miriam nie mam nastroju do szczerości, ale nie ma innego wyjścia.

– Homer, wiesz w ogóle, po co przyjechałam?

– Chodziło o panią Wizniewsky. Słyszałem coś o mocach parapsychicznych. Chyba.

– Nie chyba. To prawda. Ja widzę różne rzeczy. Wiem na przykład, że masz córkę. – Miriam zamyka oczy. Przypomina sobie wizję. – Ma metr sześćdziesiąt pięć. Pachnie lawendą. Krótkie włosy. Znamię na szyi. Wygląda jak odcisk małego palca. Jej córka, twoja wnuczka, teraz strzelam, bo nie wiem tego na pewno, ma jedenaście, może dwanaście lat. Kucyki. Aparat na zębach.

Homer tężeje.

– Nie ma aparatu. – Spuszcza wzrok. – Ale lekarze twierdzą, że powinna mieć. Dałem jej pieniądze, żeby sobie sprawiła taki. Skąd to wszystko wiesz? I skąd ja mogę wiedzieć, że sobie ze mną nie pogrywasz? Może dowiedziałas się tego wcześniej i chcesz mnie oszukać?

– Nie możesz mieć pewności. Ale, Homer, stary przyjacielu, posłuchaj mnie uważnie, bo powiem ci coś ważnego. W szkole jest pewna dziewczynka, mała dziewczynka, mniej więcej w wieku twojej wnuczki. Umrze. Ktoś chce ją zamordować. Wiem o tym, bo widziałam to w swoich wizjach. Chcę mu przeszkodzić. Ale nic nie poradzę, jeśli nie wpuścisz mnie do środka.

– Jesteś szalona – mówi.

– Możliwe. Nawet prawdopodobne. Zgadza się. I mówię prawdę.

– Wpuszczę cię – mówi w końcu.

– Dzięki. Chcesz wiedzieć, jak umrzesz?

Myśli przez chwilę. Potem potrząsa głową.

– Nie, dzięki.

Mówiąc to, otwiera bramę.

WYZNANIA ŻYWEJ MARTWEJ DZIEWCZYNY

Dziewczęta patrzą z niedowierzaniem. Widzą, jak się wślizguje bocznym wejściem. Niektóre okazują zaniepokojenie. Inne chichoczą, uśmiechają się i odwracają. Część kiwa głowami, jakby chciały okazać uznanie dla kolejnej niegrzecznej dziewczyny.

Trwa przerwa między zajęciami. Dziewczyny nie mają szafek: posiadają jedynie otwarte regały, bez drzwiczek i bez zasłon. Nie ma mowy, żeby ukryć tam paczkę fajek, butelkę jacka daniel'sa czy jakąś inną kontrabandę. Tak jej się przynajmniej wydaje, dopóki nie trafia na regał, przy którym tłoczy się kilka dziewcząt. Nastolatek. Czternasto-, może piętnastolatek.

Wszystkie obracają się w jej stronę. Sapia przestraszone. Na buziach mają jakieś okruszki.

Jedna z nich, Latynoska ze sztucznymi rzęsami, które wyglądają jak odnóża pajaków, odwraca głowę. Inna, biała dziewczyna z pulchnymi policzkami, ale ciałem szczupłym i pozbawionym jakichkolwiek krągłości jak młode drzewko, nerwowo wyciera z warg ślady po czekoladzie.

Słyszą szelest miętego papierka po słodyczach, kiedy próbują go ukryć.

Kolejna dziewczyna zatrząskuje gwałtownie książkę – podręcznik z wydrążonym środkiem, na więzienną modłę, kiedy ktoś chce przemycić do środka pistolet albo...

– O rany, wy ukrywacie jedzenie – mówi Miriam, z trudem wydobywając z siebie głos. Nie może uwierzyć w to, co widzi.

– Co? – Pulchny Policzek patrzy na nią przerażonym wzrokiem i oblewa

się rumieńcem. – Co? O, nie! Nie. Nie.

Latynoska cmoka językiem.

– No i? To coś strasznego? Jadłyśmy tylko ciasteczka.

– Okej, ale co w tym złego? – Miriam kręci głową.

– HFCS.

– Nie mam pojęcia, co to takiego.

– Syrop kukurydziany. Substancja słodząca.

– Wciąż nie łapię.

– Nie wolno nam tutaj jeść śmieciowego jedzenia. Tylko zdrowe rzeczy – Pulchny Policzek wyrzuca z siebie kolejne słowa, jakby musiała pokonać wstyd, żeby to wytłumaczyć. – Przykro mi.

– No tak. – Miriam się zamyśla. – Okej. W porządku. Nie ma sprawy. To proponuję układ. Potrzebuję informacji. Jak je dostanę, nie powiem kierownikowi, że w podręcznikach ukrywacie niezdrowe, słodzone jedzenie. Nie pisnę też słowem, że palicie crack i handlujecie nielegalnymi kopiami E.T.

– Nie palimy cracku. – Pulchny Policzek błednie.

– I co to, kurwa, jest E.T.? – pyta Latynoska.

Miriam, jesteś już stara. Jesteś pieprzonym dinozaurem, który pamięta czasy E.T.

– Nieważne. Powiedzcie mi tylko, gdzie mogę znaleźć Katey? Znaczą panią Wizniewsky?

Pulchny Policzek tłumaczy dokładnie, jak trafić do jej klasy. Opisuje każdy najdrobniejszy szczegół.

Miriam trafia przed pomieszczenie, które swoim wyglądem wrzeszczy na całe gardło: „Literatura!”. Gdyby dało się usłyszeć jego głos, musiałby być zachrypnięty. Książki piętrzą się wszędzie. Na ścianach plakaty Shakespeare’a, Jamesa Joyce’a i Marka Twaina. Jest jeszcze Stephen King i

Żaba Kermit, którzy radzą wszystkim, by CZYTAĆ KSIĄŻKI. Na tablicy jakiś rysunek podpisany jako piramida Freytaga.

Za biurkiem, na którym stoi drewniane jabłko z wyrzeźbionym śladem po ugryzieniu, siedzi Katey Wizniewsky.

Na widok Miriam zrywa się na równe nogi i potrząsa głową.

– Nie powinno cię tu być – mówi. – Słyszałam, co zrobiłaś. O przedstawieniu w gabinecie kierownika. Przede wszystkim nie powinnam była cię tu zapraszać. Zrobiłam błąd. Jakbym wpuściła lisa do kurnika...

– Umierasz.

To jedno słowo. Jak spadający topór.

Nauczycielka milknie. W jednej chwili traci oddech, jakby uderzona w splot słoneczny.

Potem się uśmiecha. I nawet zaczyna śmiać. Kiwa głową.

– Słucham.

Miriam przełyka ciężko.

– Zostało ci dziewięć miesięcy. Umrzesz trzeciego maja, kilka minut po południu. To rak. Rak trzustki. Przykro mi.

Potem wyjawia nauczycielce całą prawdę.

Jak nowotwór tworzy nowe przerzuty.

Jak herbata mrożona nie jest wystarczająco słodka.

Jak upuszcza i zbija szklanę.

Jak nie tyle umiera, ile po prostu... przestaje żyć.

Jak dobra jest taka śmierć – na tyle dobra, na ile śmierć w ogóle może być dobra.

Dopiero wtedy Katey zaprasza Miriam do środka sali lekcyjnej. Podchodzi do drzwi i delikatnie je zamyka, a potem wraca i siada za biurkiem.

Małym kluczykiem otwiera szufladę, a Miriam w tym czasie

przysuwa sobie jedną z dwuosobowych wiktoriańskich ławek i siada na niej.

Nauczycielka wydobywa ukrytą butelkę wina i czerwony plastikowy kubeczek. Okazuje się, że to dwa kubeczki, jeden w drugim. Stawia je obok siebie.

Wyciąga korek z butelki i nalewa do pełna. Podaje Miriam jeden z nich.

Dziewczyna bierze i pije. Drogie, wytrawne. Miriam nie jest wielką smakoszką wina. Wszyscy opowiadają, jakie to aromaty potrafią odnaleźć w tym alkoholu – czekolada, dym fajkowy, figi, świeżo ścięta trawa, pot dziewięciolatka z Kuby, który dwa tygodnie spędził na pełnym morzu, dryfując na tratwie ze skrzynek po bananach – ale ona potrafi wyczuć jedynie „grona gniewu”.

Niezależnie od tego winko przyjemnie wchodzi. Gryzące, lekko kwaskowate, w sam raz.

– Wiedziałam – mówi Katey, kiwając głową po długim łyku. – Wiedziałam. Wiedziałam, że umieram.

– Przykro mi – odpowiada Miriam. Nie wie, co innego mogłaby powiedzieć.

– Niepotrzebnie. No cóż. Właściwie to masz rację. Powinno być ci przykro, ale tylko dlatego, że mnie okłamałaś. – Katey chichocze i potrząsa głową. – Ale wiedziałam, że kłamiesz. To też wiedziałam.

– Zachowujesz się, jakbyś była wręcz szczęśliwa.

– Ulżyło mi. Naprawdę. Wszyscy myśleli, że jestem jakaś nienormalna. Ale może ja też mam jakieś zdolności parapsychiczne? Coś się w każdym razie dzieje w mojej głowie, bo... bo po prostu czułam, że tak jest. A ty jedynie to potwierdziłaś.

Katey kończy swoje wino. Nalewa po raz drugi.

– Co zamierzasz?

– Rany. Nie mam pojęcia. Co się robi, kiedy się wie, że lada chwila nastąpi koniec?

– Poddaje się. – Zazwyczaj inaczej to wygląda niż w jej przypadku, myśli.

Przez twarz nauczycielki przesuwa się cień smutku jak cień chmury, która na chwilę zasłoniła słońce. Albo cień drapieżnego ptaka.

Ale szybko znika.

– Niech będzie, co ma być – mówi, przepijając kubeczkem do Miriam. Plastik przy uderzeniu wydaje niezadowolony trzask. Potem kobieta wychyla wino do końca. – Ta cała sytuacja przypomina mi trochę taką starą piosenkę: „Most Londyński wali się, wali się, wali się. Wszystko umiera. Entropia dopada każdego”.

– Pocieszające.

– To uważaj, bo zaraz będzie jeszcze przyjemniej. Dawniej przy budowie mostów poświęcano dzieci. Przesąd głosił, że martwe dziecko zamurowane w jednym z filarów będzie pomagać mu trwać przez lata. Tak w każdym razie mówi legenda. Ale to bez znaczenia. Bo w końcu każdy most się przewraca.

Wtedy Katey nagle wyciąga przed siebie dłoń z pustym kubeczkem, odchrząkuje i mocnym głosem z niemal brytyjskim akcentem zaczyna deklamować.

– „Czy w końcu na mych ziemiach zaprowadzę ład? Most Londyński wali się, wali się, wali się. *Poi s’ascose nel foco che gli affina. Quando fiam uti chelidon.* – O jaskółko, jaskółko, *Le Prince d’Aquitane*”.

Miriam pstryka palcami.

– Co to ma, do cholery, znaczyć?

– To fragment wiersza.

– Wiersza.

– Tak jest. T.S. Eliot. *Ziemia jałowa*.

– Jaskółka. Dlaczego akurat jaskółka?

– Zgadza się. Jaskółka. Taki ptak. – Katey odruchowo na powrót staje się nauczycielką i zaczyna wykład, jak na zajęciach. – Zwrot *quando fiam uti chelidon* to po łacinie. I oznacza pytanie, kiedy mówca będzie jak jaskółka. Chociaż pełna fraza brzmi: *quando fiam uti chelidon, ut tacere desinam*. Co znaczy: Kiedyż będę jak jaskółka, bym mógł przestać milczeć? To nawiązanie do mitu o Filomeli, której obcięto język...

Trzask. Miriam nie zdaje sobie sprawy, ale gwałtownie zaciska dłonie na plastikowym kubeczku i niszczy go. Z pęknięć kapie czerwone wino i ścieka po jej przedramieniu i łokciu.

Niewiele brakuje, a zemdląaby. Jaskółki, odcięte języki i martwe dzieci zamurowane w mostach. Głęboko w jej wnętrzu pojawia się gorący strach i niepewność, jak ogień z lufy w czasie wystrzału.

– Musimy o tym porozmawiać. Ale nie teraz. Potrzebuję twojej pomocy. Musisz mi przekazać pewną informację. Wiem, że nie będziesz zachwycona, ale to nic nie zmienia. Potrzebuję informacji o jednej z twoich uczennic.

– Ach. No nie wiem. Nie powinnam...

– Lauren Martin. Muszę wiedzieć, gdzie jest. W tej chwili.

– Nie mogę udzielać takich informacji o naszych uczennicach.

– Jeśli tego nie zrobisz – mówi Miriam – może ją spotkać coś bardzo złego. Nie żądam żadnych delikatnych danych. Muszę wiedzieć, gdzie ma zajęcia. Żeby z nią porozmawiać. Katey, daj spokój. Musisz mi pomóc.

W końcu nauczycielka daje za wygraną. Z szuflady biurka wyjmuje Macbooka i otwiera plan zajęć.

– Lauren Martin, Lauren Martin. Nie mam z nią zajęć, ale troszkę zdążyłam ją poznać... o, proszę. Już mam. – Przesuwa palcem po ekranie. –

W tej chwili ma zajęcia z samoobrony. Z Beckiem Danielsem. W piwnicy, niedaleko stołówki. Powiesz mi, o co chodzi?

Miriam przygryza dolną wargę.

– Sama dokładnie nie wiem. Jednak lepiej będzie, jak z nią porozmawiam.

Rusza w kierunku drzwi, ale Katey jeszcze ją woła.

– Napijesz się ze mną? Dzisiaj wieczorem? Może zjemy kolację?

Miriam waha się, ale widzi możliwości, które się przed nią otwierają.

– Pewnie. Super.

– Applebee's? Osiemnasta? Wiesz, gdzie to jest?

Miriam zmusza się do uśmiechu i składa dłonie.

– Ja i Applebee's jesteśmy ze sobą tak blisko.

BRUDNA GRA

Miriam podchodzi do sali gimnastycznej i zagląda do środka przez okienko w drzwiach. Akurat na czas, by zobaczyć Lauren Martin, dwunastoletniego rudego krasnala. Dziewczynka właśnie kopie koleżankę kolanem w krocze, poprawia uderzeniem otwartą dłońią w gardło, a na zakończenie posyła ją na niebieską matę.

Aż się podłoga zatrzęsała.

Druga dziewczynka, blada i krucha jak porcelanowa lalka, z grzywą czarnych włosów związanych szeroką frotką, natychmiast wstaje, prostuje się i przeciwniczki kłaniają się sobie.

Najwyższy czas zacząć działać.

Miriam otwiera cicho podwójne drzwi i wślizguje się do środka, tak jak wsuwa się kartkę przez kratki wentylacyjne. Dziewczęta stają z powrotem w szeregu: dwanaście nastolatek, może kilka więcej, ustawia się w równiutkiej linii. Wszystkie mają na sobie identyczne stroje sportowe ze znaczkiem szkoły Caldecott.

Mężczyzna prowadzący zajęcia jest wysoki, szczupły i umięśniony. Jego klatka piersiowa jest niczym odwrócony trójkąt uwięziony w przyciasnej białej bluzce z krótkim rękawem. Ciemne oczy. Błyszczące włosy. I kanciasta szczęka, na której można by postawić wieżowiec.

Klaszcze w dłonie.

– W porządku. Przypomnijcie mi, proszę, sześć podstawowych punktów, w które należy uderzać.

Dziewczęta odpowiadają jednym głosem, jakby wypowiadały mantrę.

– Oczy, nos, gardło, krocze, kolana i stopy.

– Jeszcze raz! I szybciej!

– Oczy, nos, gardło, krocze, kolana i stopy.

Znów klaszcze, a potem się kłania.

Wtedy Miriam zauważa, że za trenerem stoi tablica z wypisaną listą miejsc, w które należy uderzać.

A nad listą: „JAK WALCZYĆ JAK BABA”.

Miriam kiwa z uznaniem głową.

Kiedy dziewczęta odpowiadają ukłonem na ukłon, trener zauważa ją kątem oka.

Nie podchodzi. Odzywa się za to dość głośno, żeby wszyscy mogli go słyszeć.

– Tak?

– Eee. Hmm. – Nie spodziewała się tego. – Szukam siostry.

– Siostry. Jest na moich zajęciach? – Uśmiecha się szeroko.

– Aha. To ona. – Miriam wskazuje palcem na Lauren. – Lauren.

Trener przywołuje Lauren do siebie. Dziewczynka spogląda na Miriam.

– Sensei, czy mogę?

Sensei. Nie mogła przypomnieć sobie tego słowa.

– Czy to twoja siostra?

Mała jest nie w ciemną bita.

– Tak jest. To Megan.

– W takim razie proszę bardzo, Lora.

Lora? Lauren – Lora. Aha.

Super. Kolejne ptaszysko. Tym razem papuga.

Dziewczynka idzie w jej stronę, nie spuszczając z Miriam ostrożnego spojrzenia. Otwiera drzwi, wychodzi na korytarz i cofa się.

– Nie dostaniesz znów na głowę? Bo ostatnio, jak mnie dotknęłaś, to

zrobiłaś niezły teatr.

Miriam waha się.

– Nie mogę obiecać.

– Myślałam, że coś ci się wtedy stało.

– Hm. Prawie. – Miriam niemalże czuje w jej obecności zapach płonących kwiatów. Niemalże czuje drżenie, w jakie wprawi podłogę uderzenie toporka. Nie myśl o tym, nakazuje sobie. – Naprawdę masz siostrę o imieniu Megan?

– Coś ty. Akurat to mi przyszło do głowy.

– Niezły refleks.

Mała jest podejrzliwa.

– Okej. To po co przyszłaś? Chyba nie po to, żeby się naprawdę zamienić na mamy? Wiesz, to był dowcip, nie?

– Oczywiście, maleńka, wyobraź sobie, że rozumiem, na czym polegają żarty.

– To o co chodzi?

– Chciałam... chciałam cię po prostu zobaczyć. – Nie ma pojęcia, jak miałyby jej to pomóc rozwiązać zagadkę morderstwa, które wydarzy się za kilka lat, ale nie ma innego pomysłu.

Lauren spogląda na nią wyczekująco. Unosi jedną brew.

– Wiesz, chyba zaczynam się ciebie bać. Jesteś dziwna.

– Nie, nie jestem. Staram się ciebie chronić.

– Mówiłam, odbija ci. Jesteś lesbą?

– Nie rozumiesz, staram się ci pomóc. Ale wiesz co? Mam tego powoli dość. I ciebie też.

– Dzięki, to było miłe.

Miriam myśli: pieprzyć to, prawda cię wyzwoli. Ostatnio otacza się samymi kłamstwami. Lepiej będzie wyrzygać prawdę niż męczyć się z

brzuchem pełnym sraczki kłamstw.

– Niech będzie, maleńka. Posłuchaj. Mam taki specjalny dar. Coś jak medium, łapiesz? Tylko że nie jestem taką zwykłą babcią, co robi voodoo. Nie potrafię lewitować ani robić innych sztuczek. Nie czytam z rąk ani z kupy osła, a na widok kart do tarota zbiera mi się na wymioty. Ale to, co potrafię... no właśnie. Wystarczy, że kogoś dotknę, a wiem, jak ten ktoś umrze. I widziałam, jak ty umrzesz. I nie chcę, żeby to się stało.

Lauren mruga powiekami i robi maleńki krok w tył.

– Muszę już lecieć.

– Poczekaj. Wysłuchaj mnie do końca. Nie chcesz wiedzieć nic więcej? Dziewczyna idzie w kierunku sali gimnastycznej.

– Nie, dzięki. Dość już słyszałam.

– Zostaniesz zamordowana.

Lauren pokazuje jej uniesiony kciuk, uśmiecha się sztucznie i kiwa teatralnie głową.

– Super! Dziękuję, że dałaś mi znać! Musimy się jeszcze spotkać i to obgadać! – Potem przestaje udawać i mruży: – Idiotka.

– Poczekaj!

Lauren otwiera plecami drzwi i wraca na salę gimnastyczną. Zostawia Miriam samą, ze swoim kciukiem wetkniętym jej w tyłek.

W przerośni oczywiście.

Chce wyjść na zewnątrz, może zapalić papierosa, ale zanim zdąży się ruszyć, ponownie otwierają się drzwi do sali. W progu stoi nauczyciel. „Sensei”. Pan Szczeka.

– Proszę pani – woła. – Proszę poczekać!

Mężczyzna promieniuje pewnością siebie. Głowa uniesiona, proste plecy. Szeroki uśmiech. Okaz zdrowia.

Odrażający typ.

– Co jest, Bruce Lee?

Garnitur białych zębów. Gdyby przejechać po nich kciukiem, zapiszczałyby jak szkło.

– Nie jest pani jej siostrą.

– Doprawdy? Nie jestem? Słyszałeś zresztą. Jestem Melissa.

– Megan.

– Zgadza się. Megan. Melissa to zdrobnienie. Miło było poznać. Beck, zgadza się?

– To zdrobnienie od Becketta.

– Fajne imię.

– Jest pani tą kobietą z gabinetu kierownika.

Miriam mruży oczy. Udaje, że się zastanawia.

– Nie, nie przypominam sobie. Ale to brzmi jak fabuła pornola. Muszę cię rozczarować: pornole to tylko gra. To się nie dzieje naprawdę. Głuptasie. Serio myślałeś, że dziewczyny się tak wypinają? Otóż nie. A większość facetów nie ma kutasów-gigantów wielkości salami. Pomyślałeś kiedyś, ile muszą zeżreć viagry, żeby w ogóle stanąć na wysokości zadania? Pornokutasy wyglądają przerażająco, jeśli mam być szczerą. I to, powiem ci, jest największy problem tej branży. Zbyt wiele zbliżeń. Widzisz każdą żyłkę, każdy wrośnięty włos, każde znamię, pryszczka, żylaka, oparzenia papierosami...

– Chciałbym wiedzieć, co pani tu naprawdę robi.

Uśmiech ani na sekundę nie znika mu z twarzy. Jego spokój doprowadza Miriam do szaleństwa.

– Jak to co? Stoję sobie na korytarzu i monologuję – to chyba dobre słowo – na temat kondycji branży pornograficznej, w obecności mistrza karate ze szkoły dla dziewcząt. Idę o zakład, że te małolatki cieszą się z takiego trenera. Zgadza się? Aha, czyli mam rację. Szarpałyby jak kotki

słoninkę.

Tym razem uderza w szczerłość.

– Czego pani chciała od Lory?

– Pomóc jej.

– U nas może liczyć na taką pomoc, jakiej potrzebuje.

– Aha. Wybacz, ale nie wierzę w pomoc instytucjonalną. To nie działa. Poza tym w tej sprawie szkoła akurat niewiele może jej pomóc. Chodzi o naprawdę gardłową sprawę. A takie sprawy wymagają specjalistycznej pomocy.

– A pani jest specjalistką, jak rozumiem.

Miriam uśmiecha się i udaje, że całuje powietrze.

Spojrzenie nauczyciela ucieka na chwilę na prawo. Miriam podąża za nim i patrzy w dół korytarza, w stronę rozwidlenia, i widzi...

Z klatki schodowej wynurzają się Spuchlak i Mario, dwójka strażników.

– Wezwalesz ochronę – mówi. – Jesteś uroczy.

– Bardzo dbam o moje dziewczęta.

Miriam potrząsa głową.

– Rany, ty tak na serio? Ciekawe, kto jest dla nich większym zagrożeniem, ja czy ty.

Ciężkie kroki – bieg, już nie marsz – dobiegają z korytarza ze strażnikami. Nie musi patrzeć w tamtą stronę. Wie, że pędzą po nią.

A to oznacza, że najwyższy czas rzucić się do ucieczki.

Rusza pędem przed siebie. Mijając senseia, klepie go mocno w pośladek.

Strażnicy depczą jej po piętach.

Przed nią majaczą drzwi do stołówki.

Gwar uczennic jedzących lunch jest coraz głośniejszy.

Doskonale.

Miriam dopada do wejścia, napiera wściekle ramieniem na drzwi i już

jest w środku, w stołówce pełnej dziewcząt.

BRUDNA GRA II: BITWA NA POSIŁKI

To nie jest typowa stołówka szkoły średniej.

Dziewczęta siedzą przy okrągłych drewnianych stołach, a nie przy zwykłych, podłużnych, z aluminium i plastiku. Podłogę przykrywa stary i zakurzony czerwony dywan. Pod sufitem zamiast zwykłych świetlówek wiszą eleganckie żyrandole, które zalewają pomieszczenie ciepłym złotym światłem. Na końcu pomieszczenia znajduje się kuchnia i lada do wydawania posiłków. I automat z napojami. Bufet. Elegancki gość w wysokiej czapce szefa kuchni kroi apetyczne żeberka, jakby przygotowywał posiłek dla gości w Białym Domu.

Zapach uderza w nozdrza: ciemny sos i pizza, i coś słodkiego, coś z jabłkami i cynamonem. Głód skręca jej kiszki.

Ile bym dała, żeby w mojej szkole serwowali takie żarcie, myśli.

Ale nie ma czasu na podobne rozważania.

Pogoń jest tuż-tuż. Depczą jej po piętach.

Wszyscy patrzą w jej stronę. Miriam rzuca się między stoły. Dwie nastoletnie bliźniaczki z kucykami przecinają jej drogę, każda z tacą zastawioną jedzeniem. Zamierają jak sarna na widok reflektorów pędzącego auta.

Miriam skręca w prawo, uciekając przed Spuchlakiem, który wyciąga w jej kierunku dłonie. Dziewczyna wskakuje na stół i biegnie po nim. Czuje, że trafia stopą w czyjś talerz. Niewiele brakuje, a straciłaby równowagę i rozbiłaby sobie głowę. Wyrzuca ręce przed siebie, w jakiś sposób się ratuje.

Zeskakuje na podłogę. Przemyka obok jakiejś dziewczynki, która stoi jak

słup soli i nie wie, co się dzieje. Kolejna jest w trakcie pakowania książek do torby.

Strażnicy nie wskakują na stoły. Mario zostaje z tyłu. Dopiero teraz Miriam uświadamia sobie, że wcale nie wygląda jak Mario. Wygląda raczej jak Ron Jeremy. Głowa jak kabaczek. Pedobródka. Z wyglądu trudno ocenić, co strażnik nosi w spodniach.

Tydzień oglądania porno zmienia punkt widzenia!

Za to Spuchlak! Ten idzie jak taran. Łokciami przepycha się między nastolatkami. Biodrem przestawia kolejne stoły. Rozlewa napoje. W powietrzu unosi się pisk. Na jego łysej czaszce pojawia się wielka żyła – tak duża, że można by ją złapać obiema dłońmi.

Miriam sięga po tacę z jedzeniem i ciska nią w jego stronę. Udko kurczaka trafia go z głuchym plaśnięciem między oczy, po czym spada na podłogę.

Zatrzymuje się, odwraca w jego stronę i uderza dłonią w pierś.

– Co jest? Ha? No dalej, bierz mnie!

Kiedy jest już blisko, kopniakiem posyła krzesło w jego kierunku.

No dalej, jeszcze troszeczkę, myśli.

Wyjście jest tuż za nią. Czerwony podświetlony znak. Droga ewakuacyjna.

Bliżej, bliżej.

Znów się odwraca i pędzi w stronę drzwi. Po drodze przewraca stos tac z resztkami jedzenia i napojów. Z przeraźliwym hałasem upadają na podłogę.

Mężczyzna przeskakuje nad nimi jak umięśniona, stękająca gazela.

Miriam chce dopaść drzwi.

I właśnie wtedy z łazienki w stołówce wychodzi mała dziewczynka...

Czarna dziewczynka. Ma w nosie dziurkę po kolczyku i pofalowane i nieposkromione włosy. Zupełnie jakby stanęła w kałuży i wsadziła palec do

kontakty.

Jej twarz pulsuje. Zamiast niej pojawiają się kolejne rozmyte obrazy czaszki, skóry i zamkniętych oczu, jakby jej głowa była zamknięta w słoiku z formaldehydem.

Miriam ma wrażenie, że ktoś z daleka wyświecła na jej twarzy film.

Stara się ją ominąć, ale dziewczynka uskakuje w tę samą stronę co ona. Unosi dłonie, Miriam robi to samo i...

Płonące kwiaty. Olejek pomarańczowy. Tym razem w ciasnym wnętrzu spalonego autobusu szkolnego. Dziewczynka leży na kozetce. Ta sama dziewczynka. Za dwa lata.

W męczarniach wiła się i łkała, i język gryzła, aż skoła. I głos jej ucichł, jak jej dzień, paznokcie też okryła czerń. Piosenka. Mężczyzna w ptasiej masce. Mężczyzna z tatuażem jaskółki. Oto i on, z toporkiem w dłoni. Kopie mocno, żeby włączyć hamulec kozetki na kółkach. Nie chce, żeby się przesuwała, bo autobus jest lekko przechylony.

Knebel z drutu kolczastego. Wycięte nożem wielkie ikisy na dłoniach i na stopach. Dziewczynka ma obcięte włosy. Tylko gdzieniegdzie pozostały pojedyncze loki, jakby trafiła wcześniej w łapska niewidomego fryzjera.

Mała krzyczy, kiedy mężczyzna staje na zniszczonych siedzeniach starego autobusu, by przyjąć dogodną pozycję.

Stoi teraz nad nią. Śpiewa.

Ci, co jak Polly, są pośród nas, odrzućcie grzech ten, nim macie czas. Inaczej wieczność, pewnośc tę mam, przyjdzie wam spędzić u piekła bram. Topór opada ciężko.

Głowa dziewczynki spada na podłogę między siedzeniami i turla się w stronę miejsca kierowcy. Mężczyzna rzuca się za nią w pogoń jak ptak za uciekającym robakiem. Śmieje się, jakby to była zabawa. Nie ma już w dłoni toporka. Trzyma za to nóż o zagiętym ostrzu. Żeby odciąć język.

...wpadają na siebie, obracają się i rozdzielają, a Miriam ma wrażenie, że jest jak zepsuta karuzela, która się kręci i kręci, i nikt nie może jej zatrzymać. Jest jej niedobrze i traci orientację. Nie wie, gdzie jest góra, a gdzie dół, gdzie prawa, a gdzie lewa strona.

Odwraca się, otumaniona, i widzi przed sobą drzwi z napisem: WYJŚCIE.

Spuchlak ciągnie się za nią jak smród zgnilizny za zepsutym mięsem.

Bum. Razem wypadają na zewnątrz. Drzwi otwierają się na całą szerokość. Gołębie zrywają się do lotu, kiedy na betonową rampę padają dwa ciała. Gdyby nie zielona metalowa barierka, poleciliby dalej, na parking trzy metry poniżej.

Wpadają na metalowe zabezpieczenie jak w sieć.

To dla Miriam szansa, której potrzebowała.

Chwyta go za głowę...

Strasznie utył. Jego brzuch to już nie oponka – to całe wielkie koło traktora rozciągające zapomniane mięśnie i wypełnione bulgoczącym tłuszczem. Ma czterdzieści pięć lat. Już od ponad dziesięciu nie pracuje w szkole. Rozpina kołnierz koszuli i schodzi ciężko do piwnicy, gdzie widzi swoich starych przyjaciół: sztangę i ławeczkę. Spogląda na nie, jakby nie mógł się zdecydować, ale w końcu wzrusza ramionami, jak gdyby chciał powiedzieć: „A co tam!”. Stękając, wciska się pod poprzeczkę sztangi – a to niełatwe zadanie. W końcu mu się udaje. Wciska swoje obfite fałdki pod ciężkie żelazo. Sztanga drży, ale się nie rusza. Na jego czole pojawia się coraz więcej kropli potu. Wydaje stęki, jakby miał zaraz urodzić, i nagle wytrzeszcza oczy, jak postacie z kreskówek, a przez jego ciało, z agresją niedźwiedzia rozwalającego moskitierę, przewala się atak serca...

...i łubudu! Uderza nią o metalową barierkę.

Spuchlak wydaje syczący dźwięk, a potem przytłumiony okrzyk wściekłości i oplata ją swoimi mocarnymi ramionami. Zamyka Miriam w miażdżącym uścisku. Dziewczyna czuje, jak w głowie pulsuje jej krew. Ma wrażenie, że to balon, który z każdą chwilą robi się coraz większy i większy.

Ochroniarz nie pozostawił jej miejsca na najdrobniejszy ruch. Lada chwila dołączy do nich Ron Jeremy, Mario. Pewnie dzierżąc w dłoni gaz pieprzowy albo paralizator. A wtedy będzie po zabawie.

Twarz Spuchlaka znajduje się tuż obok jej twarzy. Szczerzy zęby jak dzikie zwierzę.

I to, w takim razie, trzeba wykorzystać.

Miriam odchyła głowę w tył i z całej siły uderza czołem. Trafia go w nos. Przeciwnik wydaje bulgoczący odgłos i na tyle rozluźnia uścisk, że udaje jej się wyrwać.

Potem przeskakuje nad nim, wspina się na barierkę i ucieka do lasu, jak szalona rakietą napędzana adrenaliną i zawrotami głowy.

Nikt jej nie goni.

Mimo to ma wrażenie, że podąża za nią jakiś duch: duch nie jednej, ale dwóch dziewcząt. Obu z odciętymi głowami. Obie niosą swoje odcięte głowy. Brakuje im języków.

Kiedy dociera do budki stróża, sapie, dyszy, rzęzi i nie może złapać oddechu. Tłumaczy sobie, że to wszystko przez ohydnie czyste powietrze, a nie przez płuca zawalone smołą i nikotyną. Jak łatwo jej oddychać, gdy w końcu zapala papierosa.

Dym wypełnia jej płuca. Oczyszcza umysł. Zaciska niewidzialną pięść na mdłościach i wciska je głęboko tam, skąd przyszły.

Z budki wygląda Homer. Obserwuje ją, jakby była jakąś wyjątkowo

zabawną wiewiórką albo małpką, która uciekła z zoo.

– Nie wyglądasz dobrze – mówi.

– Ale czuję się cudownie. Jak w niebie. Zajebicie. – Spogląda za siebie i widzi Spuchlaka galopującego drogą. Znów kaszle, a potem wypuszcza przez nos dwie strugi połkniętego dymu.

– Czy mogłabym...

Nie kończy, ale wskazuje na bramę. Homer potakuje i naciska guzik.

Skrzydła się rozsuwają.

– Miło było cię widzieć.

– Ciebie też. Będziemy mieli jeszcze kiedyś szansę się spotkać?

Jakiś głos w jej głowie mówi: Nie waż mi się tu kiedykolwiek wracać. Nigdy! Ale potem znów widzi twarze dwóch zamordowanych dziewczynek.

– Tak. Chyba tak.

Macha jej na pożegnanie.

Potem Miriam znika.

PIJĄC Z MARTWĄ KOBIETĄ

Miriam jest w bardzo złym nastroju. Gdyby była postacią z filmu rysunkowego, nad jej głową unosiłaby się ciemna chmura z błyskawicami.

Siedzi przy stoliku w Najprzeciętniejszej Amerykańskiej Restauracji i bawi się kieliszkiem wódki. Todd – tego wieczoru znów za barem, niewinna owieczka z twarzą przypominającą pizzę z roztopionym serem – zaproponował wszystkie whisky, jakie mieli w karcie, ale żadna z nich nie była warta złamanego centa.

Została więc wódka. Czysta. Praktycznie bez smaku. Kopie jak wściekły muł.

Miriam dostrzega cień padający na stolik.

Zamyka oczy. Spodziewa się kelnerki, ale takiej z ptasią maską na głowie, której z dzioba będą się unosić strużki dymu, a spod spodu usłyszy głos, który będzie coś mówił o martwych dziewczynkach i zadaniu do wykonania.

Przy stoliku stoi Katey.

Nauczycielka siada.

Uśmiecha się. Rozpiera ją energia. Ma zaczerwienione policzki.

Miriam wykrzywia się, patrząc na wódkę.

– Wyglądasz... – Mruga powiekami. – Jakbyś była w ciąży. No wiesz, mówi się, że kobiety w ciąży promienieją. Więc wyglądasz, jakbyś zaszła.

Katey robi gest, jakby chciała powiedzieć: „Daj spokój!”.

– Nie jestem w ciąży.

– Wiem. Wiem przecież. Tylko mówię, że wyglądasz, jakbyś była.

– W porządku. Ty za to nie jesteś chyba w najlepszym humorze.

Miriam szczyrzy zęby, a potem łapie nimi krawędź kieliszka. Spogląda znad wódki jak pies strzegący kości.

– Słuchaj – mówi Katey. – Policzyłam wszystko dokładnie. Zostało mi dwieście sześćdziesiąt osiem dni życia i nie mam zamiaru spędzić tego czasu w nieprzyjemny sposób.

– I dobrze. Rozsądnie. Ale w takim razie oświeć mnie, jak zamierzasz go spędzić.

Katey uśmiecha się. Szczyrze. Nie udaje. Może widać odrobinę smutku, lecz to bez znaczenia, skoro się uśmiecha.

– Tak naprawdę nie mam jeszcze pojęcia.

– Tylko nie myśl nad tym zbyt długo. – Miriam wypija całą wódkę. Potem odsuwa pusty kieliszek na brzeg stołu. – Dzisiaj ty stawiasz. Bo ja nie mam pieniędzy.

Katey wzrusza ramionami.

– Nie ma sprawy. Jeśli chcesz, kupię ci coś do zjedzenia.

Miriam bulgocze w żołądku. Wciąż jeszcze targa nią niepokój: w jej brzuchu chlupocze morze kwasu. Jedzenie może pomóc. Możliwe też, że zaraz je zwróci. I co z tego! Przecież to nie jej pieniądze. Mamrocze słowa podziękowania.

– Wyjaśnij mi coś – prosi Katey. – Powiedziałaś, że w chwili śmierci będę z kimś rozmawiała.

– Aha. Duży gość. Ma na imię Steve.

– Nie znam żadnego Steve’a. No cóż. Mam, co prawda, kuzyna Steviego, ale on jest kilka lat młodszy ode mnie i bardzo drobny.

– Nie mam pojęcia, kto to. Pamiętaj, że to wizja przyszłości i kiedyś możesz przecież spotkać gościa o imieniu Steve. I właśnie on będzie z tobą, kiedy... wiesz, kiedy uderzysz w kosmiczne kimono.

– Hm. – Katey zamyśla się na chwilę. – Będę po chemioterapii?

– Co?

– No wiesz, chemioterapii? Czy będę wyglądała, jakbym to brała? Miriam marszczy nos. Skóra na czole tworzy wielkie V ze zmarszczek.

– Nie, raczej nie. Nie jesteś łysa. Nie wyglądasz też na wychudzoną.

– Cholerka. To niedobrze. Musiałabym trochę zrzucić. Ale masz rację. Nie czuję, żebym miała brać chemioterapię. Wiesz, jakość życia i takie tam. Chcę zachować wszystko tak, jak jest, najdłużej, jak mogę.

– Będziesz dalej uczyła?

– Tak.

– Dlaczego? Dlaczego po prostu nie rzucisz pracy? Mogłabyś uciec, zwać na jakąś wyspę, zażywać masaży i trochę innych przyjemności z pięknie opalonym chłopcem imieniem Manuel.

– To mnie nie ominie. Mam trochę urlopu do wykorzystania. Ale nie mogę zostawić moich dziewcząt samych.

– Przecież jesteś tylko ich nauczycielką.

– Tylko nauczycielką? Cholera, ależ ty masz talent! Przy tobie czuję, że dokonałam właściwego wyboru ścieżki zawodowej! – Katey śmieje się. – Widzę, jak na mnie patrzysz. Nigdy nie miałaś prawdziwej nauczycielki, prawda? Takiej z powołania? Takiej, która by cię inspirowała i sprawiała, że sama chcesz się uczyć?

– Nie do końca rozumiem pytanie, ale nie, nigdy nie miałam nauczycielki, która wchodziłaby na stół i czytała nam poezję, jeśli o to chodzi. Nikt też nigdy nie nadstawiał za mnie karku, nie dostałam od nauczyciela ani nauczycielki kwiatów, ale też żaden nie chciał mnie przelecieć. – Bębni palcami w blat stołu, a potem nagle zaciska pięść. Ileż by dała, żeby móc tu zapalić! – No dobra, miałam kiedyś dobrego nauczyciela. Literatury. Poznał mnie z Poem, Plath i Dickinson.

A w myślach dodaje: I jeszcze z Keatsem, Donne'em i Yeatsem, i tymi wszystkimi narwanymi przygłupami, którzy sprawili, że chciałam spotkać się z Benem Hodgem i pójść z nim do lasu, i napić się likieru miętowego. Z tym samym Benem, który odstrzelił sobie potem tył głowy. Tym Benem, którego dziecko zmarło.

– Mam nadzieję, że ja jestem taką nauczycielką, którą dziewczęta zapamiętają. Może takie jest moje przeznaczenie. Cel życia. Żeby coś po sobie zostawić. – Podchodzi kelnerka. Katey zamawia drink tropikalny dla siebie i kolejną wódkę dla partnerki. Prosi ją jeszcze tylko, żeby przełamała alkohol odrobiną soku porzeczkowego, na co Miriam robi kwaśną minę, jeszcze kwaśniejszą niż dotychczas. – Te dziewczęta potrzebują pomocy. Część z nich błądzi tylko w delikatnej mgiełce, ale niektóre zagubiły się w prawdziwej ciemności. To dziewczynki, które były wykorzystywane przez rodziców. Molestowane przez innych. Narkomanki. Osobowości z zaburzeniami emocjonalnymi. Niektóre się samookaleczają. Ich rodziny, do diabła, cały świat przestał się nimi interesować. Porzucone na pastwę wilków i innych drapieżników musiały samotnie przemierzać niebezpieczną dżunglę. Potrzebują pomocy. I tylko my możemy im ją zapewnić, nie oczekując niczego w zamian. A to znaczy, że wciąż mam tam coś do roboty.

Miriam, ty też masz coś do roboty!

Wraca kelnerka. Nie ma ptasiej maski. Nie ma blizn na szyi. Cudowna noc.

Podaje Miriam wódkę z sokiem. Potem stawia przed Katey szklanę, która wygląda jak naczynie z płynem do zmywania okien przybranym plasterkami pomarańczy, wisienek i nie jedną, ale dwiema papierowymi parasolkami.

Drink wygląda tak dziewczęco, że Miriam czuje, że swędzi ją macica.

– Muszę ci powiedzieć – odzywa się Miriam – że w tej waszej szkole nie ma się wrażenia, że to szkoła dla skrzywionych dziewcząt. Raczej jak placówka dla dzieci z bogatych domów. Nadziane gówniary nadzianych tatusiów. Jakby musiały dawać z siebie wszystko, żeby dostać tam miejsce, a rodzice dawali dupy, komu trzeba, żeby tylko im to załatwić. No wiesz, szkoła dla dzieciaków, którym się wszystko należy: greckie kolumny, stara cegła i bluszcz na ścianach.

– Taki był pomysł. Żeby nie dostawały od nas minimum. Chcemy dać im absolutnie wszystko. Opłacony wstęp w dorosłe życie pierwszą klasą. – Katey upija łycezek alkoholu przez cienką czerwoną słomkę, tak cienką, że wygląda jak wycięty kawałek ludzkiej żyłki. Aż mruży oczy z uciechy. – Mm. Mmm! Wspaniałe. Chcesz spróbować?

– Nie piję tej chemii.

Katey macha lekceważąco dłonią.

– Nie wiesz, co tracisz. Mniejsza z tym. Niektórzy rodzice rzeczywiście są gotowi płacić ciałem za naszą szkołę. Dziewczynki z bogatych domów też miewają kłopoty. Czasem bogate małolaty mają znacznie większe problemy! Anoreksja. Lekomania.

– Zakupoholizm! – Miriam udaje przerażenie.

– Nie wygłupiaj się.

– Nie wiem, czy potrafię.

– Mają takie same problemy jak my wszyscy. A ich rodzice, być może nieświadomie, pomagają opłacić miejsca tym dziewczętom, które inaczej nie mogłyby sobie na to pozwolić. Poza tym dostajemy dobrowolne datki i subwencje stanowe. Wszystko po to, żeby pomóc tym dzieciom nie tyle przetrwać, co dać im całkiem nowy start.

– Dzieciom? Tylko dziewczynkom. Chłopców u was nie ma.

– Skupiamy się na dziewczętach, to prawda. Im jest znacznie trudniej.

Świat traktuje dziewczęta, jakby były obywatelkami drugiej kategorii, daleko za mężczyznami. Musiałyśmy walczyć dużo dłużej i ciężiej...

Dzwoni telefon Miriam.

Louis.

Dziewczyna uniesionym palcem daje znać Katey, żeby przerwała, kciukiem i palcem wskazującym łapie słuchawkę, jakby podnosiła chusteczkę, którą podtarła się po seksie.

Plum. Wrzuca go do szklanki z wodą.

– Widzisz? – mówi. – Ja nie zgadzam się na bycie obywatelką drugiej kategorii. Nie możemy się podporządkowywać mężczyznom. Całkowicie się z tobą zgadzam. Dobra. O czym mówiłaś?

– Hm. – Katey nie może oderwać wzroku od martwego telefonu, z którego wciąż uciekają pojedyncze bąbelki powietrza. – Staralam się tylko powiedzieć, że musimy czasem ostro walczyć, żeby zająć należne nam miejsce. Kiedy mężczyzna ginie, nikt nie pyta, czy sobie na to zasłużył. A kiedy kobieta zostaje zgwałcona, to o co pytają? Jak była ubrana, czy go prowokowała i czy dostatecznie głośno i wyraźnie powiedziała „nie”. Zupełnie jakby za krótka spódniczka czy brak krzyku oznaczały przyzwolenie na gwałt. Młode dziewczyny mają jeszcze gorzej, bo odbiera im się prawo głosu. I nikt nie przemawia w ich imieniu. Właśnie tutaj pojawiają się my. To nasza rola. Dajemy im siłę.

Miriam nic nie mówi. Wprawdzie myśli, że to wszystko gównem prawda, ale wie, że tak nie jest. Słowa Katey są prawdziwe. Przez ostatnie dziesięć lat jest w drodze. Unosi się jakoś na powierzchni tego ścieku i na palcach jednej dłoni mogłaby policzyć tych, którzy potraktowali ją w tym czasie jak piękny liść płynący strumieniem. Pozostali widzieli w niej śmieć unoszony prądem rynsztoka. Była dla nich warta tyle samo co pusta torebka po żarciu z McDonalda wypełniona zużytymi strzykawkami.

Louis był wyjątkiem. On traktował ją wyjątkowo.

Louis.

Cholera, cholera, cholera.

Obie zamawiają jedzenie. Miriam decyduje się na hamburgera, i to jest najbardziej przeciętny hamburger, jakiego kiedykolwiek jadła, ale nie jest przy tym zły, nie do końca, bo myśli, że skoro piekli go tak długo, że konsystencją przypomina krążek do gry w hokeja, to przynajmniej nie zarazi się bakteriami *E. coli* – *E. coli* to inaczej bakterie z kupy – a wódka, którą go popije, załatwi te najbardziej twarde bakterie, które się jeszcze ostały.

Przez większość czasu mówi Katey.

Pod koniec posiłku Miriam podnosi pozostałe kawałki bułki i moczy je w keczupie, po czym zjada.

Nie spotkała się z Katey bez celu. Już najwyższa pora wyłożyć kawę na ławę.

– Macie tu seryjnego mordercę – mówi.

Katey niemal wybucha śmiechem.

– Co?

– Powiedziałam ci, że potrzebuję informacji o Lauren Martin, bo może jej się coś stać. Miałam na myśli, że umrze. A nawet gorzej. Dzisiaj się dowiedziałam, że nie będzie jedyną ofiarą.

Potem opowiada jej wszystko, co wie.

Nie przemilcza żadnego szczegółu: ani drutu kolczastego, ani wyciętych icksów na dłoniach i stopach, ani kozetki, ani ptasiej maski, ani toporka, ani wiązanek pogrzebowych. Niczego. Odrąbane głowy. Wycięte języki. Kiedy kończy, nauczycielka wygląda jak wrak człowieka. Jak wydrążona dynia.

– Ty naprawdę to masz – mówi blada, słaba, spocona.

Miriam potakuje.

– To właśnie widzę.

– Och! – Katey mruga.

– Zgadza się. W wizjach, które mam, widzę różne rzeczy i one nie zawsze są dla nas logiczne. Szczegóły zmuszają do zadawania pytań, na które nie znam odpowiedzi. I dlatego – Miriam przerywa i pije. – Dlatego chcę porozmawiać o jaskółkach. Takich ptakach.

– Dlaczego akurat o nich?

– Morderca ma taki tatuaż. Wcześniej wspomniałaś o jakiejś Filomilo.

– Filomeli. Córka króla Aten.

– Co miała wspólnego z jaskółkami?

Katey opowiada Miriam jej historię.

Mówi o tym, że Filomela była córką króla Pandona i siostrą Prokne. Obie dziewczęta były śliczne. Prokne wyszła za Tereusa, króla Daulis, i wyjechała, by z nim zamieszkać. Przez pięć lat siostry się nie widziały i Prokne zaczęła tęsknić za Filomelą.

Posłała więc męża, żeby przywiózł Filomełę, by siostry znów mogły być razem. Lecz kiedy Tereus spotkał siostrę żony, uznał, że jest piękniejsza od niej. Była tak piękna, że nie potrafił nad sobą zapanować i ją zgwałcił.

Żeby Filomela nikomu o tym nie powiedziała, swoim mieczem obciął jej język, a potem ją ukrył. Żonie wyjaśnił, że jej siostra nie żyje.

– Mężczyźni. – Miriam kręci głową. – Od zawsze uroczy. Co się stało potem? I co to ma wspólnego z jaskółkami?

– Filomela pozostawała w ukryciu, lecz tkła precudne kobierce. Ozdabiała je obrazami, na których wyjaśniała, co się z nią stało. Jeden z gobelinów zapakowała i wysłała Prokne jako anonimowy prezent. Prokne, kiedy go zobaczyła, zrozumiała, co się naprawdę wydarzyło. Ruszyła w podróż, odnalazła siostrę i wspólnie zaplanowały zemstę.

– I co? Udało im się?

– Tak, udało. Prokne przygotowała mężowi posiłek. On go zjadł i bardzo mu smakowało. Kiedy skończył i oblizał palce, z kuchni wyszła Filomela z głową Itysa, jego pierworodnego syna. To z niego Prokne przygotowała mężowi posiłek.

Odcięte języki.

Odcięte głowy.

– Kurczę, ci Grecy wiedzieli, jak się bawić. – Miriam upija łyk swojej zbyt słodkiej i zbyt cierpkiej wódki z sokiem porzeczkowym. – Wciąż nie wiem, co z tymi jaskółkami.

– Już mówię. – Katey upija długi łyk swojego radioaktywnego drinka. – Tereus, co zrozumiałe, nie był zachwycony skonsumowaniem swojego pierworodnego syna. Bo mężczyźni, moja droga, nie potrafią przegrywać. I Tereus był tego dobitnym przykładem. Rzucił się z mieczem w pogoń za siostrami, dopadł je i już chciał je zamordować, kiedy nagle... – Kolejny łyk.

Miriam robi minę pod tytułem: „Jestem-tutaj-mówże-wreszcie!”.

– Bogom zrobiło się ich żal, więc zamienili wszystkich w ptaki.

No proszę. I już wszystko jasne.

– Okej. Niech zgadnę, w co zamienili Filomele?

– W jaskółkę. W tamtych czasach uważano, że jaskółki są pozbawione głosu. Oczywiście dzisiaj wiemy, że nie są nieme. – Katey wpatruje się gdzieś w dal, bez najmniejszych wątpliwości usiłując rozgryźć, co to wszystko może mieć wspólnego ze śmiercią dziewczynki imieniem Lauren.

– Prokne została słowikiem, a król Tereus dudkiem.

– Dydkiem? Jaja sobie robisz?

– Dudkiem. Takim ptakiem. Według niektórych mitów stał się jastrzębiem. Dudek jest... trudnym do przeoczenia ptakiem. Czarno-białym, z główką upstrzoną pomarańczowymi piórkami. To jakby korona.

Miriam pociąga nosem.

– Tak to jest, że na końcu facet został oczywiście najfajniejszym ptakiem. Głupi bogowie. Gdybym to ja miała taką moc, zamieniłabym go w... cholera, nie znam zbyt wielu ptaków. W papużkę z jednym skrzydełkiem, skaczącą po dnie nieposprzątej klatki.

– Nie wiem, jak to skomentować. – Katey w końcu wyjmuje słomkę ze szklanki i odkłada na chusteczkę. Cienki plastik krwawi na niebiesko. Kobieta chwyta swoje akwarium obiema dłońmi i wypija resztę. – Chyba tego właśnie potrzebowałam – mówi, drżąc z zadowolenia.

– Aha – mruczy Miriam: oschle i ze znużeniem. Jest jak pusta łupinka orzecha. W jej głowie stada ptaków machają skrzydłami. Niektóre trzymają w dziobach obcięte języki. Inne łączą się w grupy, by unieść w powietrze odrąbane głowy. – No, okej. Chyba już czas ruszać.

– Powinnyśmy to powtórzyć.

– Hm. – Mruknięcie nie ma w sobie zaproszenia.

– Gdzie zatrzymałaś się na noc?

Miriam wstaje. Sięga po torbę i zarzuca ją na ramię.

– Jeszcze nigdzie. Dzisiaj wywalili mnie z motelu, bo nie zapłaciłam za pobyt. Coś wykombinuję.

– Wykombinujesz?

– Może prześpię się pod mostem. Może będę miała fuksa i kimnę w porzuconym samochodzie.

– Jesteś bezdomna. – Nauczycielka wymawia te słowa z taką samą miną, z jaką wypowiada się zdanie: Masz raka trzustki i zostało ci najwyżej dziewięć miesięcy życia.

– Nie pierwszy i nie ostatni raz. Wiesz, jedną trzecią mojego dotychczasowego życia spędziłam w drodze. Nigdy nie miałam miejsca, które nazwałabym domem. – Wzrusza ramionami, jakby słyszała w głowie

słowa swojej matki: „Takie życie. Nic nie poradzisz”.

– Możesz zatrzymać się u mnie.

Miriam prycha tak gwałtownie, że boi się, że może zwymiotować wódką.

– Chyba żartujesz.

– Nie. Co masz do stracenia?

– Złe pytanie. Powinnaś się zastanowić, co ty masz do stracenia. I ja ci na nie odpowiem: bezpieczeństwo, zdrowe zmysły, zdrowe pojmowanie braterstwa i w ogóle dobrobyt. Zdrowie. Szczęście. Nadzieję.

Katey potrząsa głową i uśmiecha się smutno.

– Otacza cię ciemna chmura, Miriam. Jesteś w niej uwięziona. Jakby wielka chmara much. Albo zbliżająca się burza.

– Jestem trucizną. Jestem skazą. Dobrzy ludzie powinni trzymać się ode mnie z dala. Chcesz wiedzieć, co ja myślę o świecie? O innych? Banda wieśniaków. Czekają tylko, żeby ktoś zrobił coś za nich. I jeśli nie będę ostrożna, mogę tak zacząć myśleć o tobie. Mogę zrobić coś za ciebie, ale wezmę cię wtedy ze sobą i zobaczysz, co to za podróż: przez rozbryzgi krwi i łzy. Nie życzę ci tego, Katey. Jesteś zbyt miła.

Nauczycielka milknie. Wyjmuje kartę debetową i kładzie przy rachunku. Kiedy podnosi spojrzenie, ma wilgotne oczy. Szkliste i błyszczące, jak stare kule w wirującym śniegu.

– Za dziewięć miesięcy umrę. Nic, co mogłabyś mi zrobić, nie zmieni tego faktu.

– Mogę zmienić ten cenny czas w plugastwo.

– Pozwól, że zrobię to dla ciebie. Umarłabym dwieście sześćdziesiąt siedem dni wcześniej, gdybym musiała, leżąc w łóżku, myśleć o tobie, zakopanej gdzieś w starych kartonach i gazetach. Zatrzymaj się u mnie.

Miriam się waha. Ale co może jeszcze powiedzieć?

To zły pomysł, owszem, ale przecież jest królową złych pomysłów.

A ten nie był nawet jej.

– No dobra. Ale ja śpię na górnym łóżku.

POWRÓT LOUISA

Katey mieszka w typowym podmiejskim domku, niecałe pół godziny drogi od szkoły. Dość blisko rzeki – patrząc przez okno łazienki na piętrze, można zobaczyć księżyc przeglądający się w jej wodach. Błyszczą jak potłuczone szkło.

Wystrój domu przyprawia Miriam o dreszcz obrzydzenia – prowincja wychyla się z każdego kąta, z ciekawą domieszką fiksacji na punkcie kogutów. Katey odwiesza klucze na wieszak w kształcie koguta – jego stopy są haczykami. Wyjmuje ciastka z dzbanka w kształcie koguta. Poduszki z wyszytymi kogucikami. Przy drzwiach wycieraczka z kogutem.

Miriam próbuje nie wypuszczać z ust słów, które starają się uciec, ale są jak muchy omijające sprytnie packę.

– Widzę, że niejednego ptaka miałaś w rękach.

Katey blednie. Jest zaszokowana. Krew odpływa jej z twarzy.

– Wybacz – mówi Miriam. – Nie mogłam się powstrzymać. To jak choroba.

Ale wtedy nauczycielka zaczyna się trząść i chichotać, by w końcu wybuchnąć jak Wezuwiusz niekontrolowanym śmiechem. Miriam jest uratowana.

– No chyba lubię ptaki – mówi, a łzy ciekną jej po policzkach. – Ptaki!

Sposób, w jaki chichocze, sprawia, że Miriam również wybucha śmiechem i przez dobre pół minuty obie rechoczą jak oszalałe. W końcu się uspokajają i Katey mówi:

– Naprawdę tego potrzebowałam. – Trze oczy. – Chyba już najwyższy

czas położyć się spać.

Nauczycielka ścieli dla Miriam kanapę. Kładzie na niej ciężki, puszysty brązowy koc.

Ale Miriam nie jest zmęczona.

Wódka powinna ją przygasić. Ale nie przygasiła.

W głowie krążą myśli. Karuzela obrzydliwych obrazów.

Dwie dziewczynki. Nie, nie jedna, tylko dwie. Lauren i ta druga. Jedyne, co je łączy, to szkoła. Na razie. Czy się znają? Czy są przyjaciółkami?

Filomela i Prokne.

Milczenie jaskółki. Obcięcie języka. Pozbawianie dzieci głów.

„Most Londyński wali się...”

Nie. Nie, nie, nie. Nie teraz. W nocy i tak już niczego nie zrobi. Później. Miriam stara się odsunąć to od siebie. Gdzieś zamknąć. Zostawić.

Wstaje. Chodzi po kuchni. Na lodówce magnesy w kształcie kogutów. Otwiera zamrażarkę. Znajduje pudełko lodów czekoladowych. Siada na kanapie, otwiera lody i zaczyna jeść.

Włącza telewizję.

Program kulinarny.

Pstryk.

Coś o wulkanach na Hawajach.

Klik.

Zakupy. Bla, bla, bla, bla, genialny supermop.

Pstryk.

Amerykański wilkołak w Londynie. Końcówka filmu. Tytułowy wilkołak szaleje na placu Piccadilly Circus. Krew się leje. Panika. Samochody trąbią. Wrzaski. Bestia urywa przechodniowi głowę i rzuca na środek ulicy.

Pstryk.

Telewizor gaśnie.

Miriam kręci się w głowie. Jest przytłoczona zadaniem, które ma do wykonania. Siedzi i tuli się do lodów, myśląc, że jest tragicznym wybawicielem. Co zrobić, dziewczyny, na innego wybawiciela nie macie co liczyć. Widziały gały, co brały.

Oczywiście myśli też o rzeczy, o której usilnie starała się nie myśleć:

Rozwiązanie tajemnicy morderstw nie zamyka sprawy. Mam jeszcze coś do zrobienia.

Muszę zabić mordercę.

Wtedy coś słyszy.

Kroki. Zza drzwi.

Przez okno obok wejścia Miriam widzi cień. Na zewnątrz, w ciemności.

Klamka się porusza.

Sięga do swojej torby, w której trzyma tani chiński nóż sprężynowy, który kupiła na wyprzedaży. Jakies osiem miesięcy wcześniej.

Potem rusza w stronę drzwi. Nagle myśli, że dobrze by było, gdyby Katey miała judasza.

Miriam przyciska guzik, wyskakuje ostrze noża, a ona otwiera gwałtownie drzwi.

I niewiele brakuje, a dźgnęłaby Louisa w potężną pięść uniesioną do pukania.

– Miriam – mówi. Ma szczerą, zbolałą i zrozpaczoną minę. Ten wyraz twarzy bardzo ją nakręca. Jak woda na rozgrzane węgle. Powstaje sycząca, gorąca para.

– Jednooki Frankenstein – odpowiada. Uśmiecha się. Promienieje. Jest podniecona.

Rzuca nóż za siebie – nie interesuje jej, gdzie wyląduje. To, jak na niego wskakuje, przypomina spotkanie dwóch przyciągających się magnesów. Klik i są razem. Pasują idealnie.

Unoszą ją mocarne dłonie.

Obejmuje go nogami. Jego wacek sterczy jak pręt zbrojeniowy.

Otwarte usta. Spotykają się gwałtownie. Brak delikatności. Tylko głód.

– Tęskniłam za tobą – sapie mu do ucha. A potem gryzie.

Louis sadza ją na stoliku kawowym. Otwartą dłonią masuje miejsce między jej nogami, jakby ścisnął piłkę do koszykówki. Fala gorąca przepływa z jej krocza wprost do mózgu. Chce go wewnątrz. Do samego końca. Do serca. Do mózgu.

– Zdejmij mi koszulę – mówi, przełykając głośno. – Szybko.

Jej palce, zazwyczaj bardzo zwinne, nie mogą sobie poradzić z guzikami koszuli L.L. Beam. Chwyta pierwszy zębami. Odgryza go i pluje nim o ścianę. Kawałek plastiku odbija się i wpada do grzejnika pod spodem.

Wsuwa palce w przestrzeń między guzikami. Niczym maszyna do rozpychania żeber w czasie operacji serca rozciąga ją mocno na boki. Deszcz guzików lata po pokoju jak chmura kul wystrzelonych na oślep.

Nagle wszystko zamiera.

Jego klatka piersiowa, jego naga klatka piersiowa jest odsłonięta.

Nie ma na niej włosów. Zostały zgolone równo ze skórą.

Wytatuowana jaskółka – czerwona i spuchnięta, jakby dopiero co wydziergana – prezentuje się na jego ciele.

Miriam spogląda na twarz mężczyzny.

– Nie – mówi, a jej głos to jęk. – Nie ty.

Louis cofa pięść i wali ją mocno w nos. Dziewczyna czuje, że nos pęka, kość się łamie, a krew rusza dwoma wartkimi strumieniami po jej brodzie.

Gramoli się z powrotem na stół, kiedy Louis zakłada koszulę.

– Podoba ci się mój tatuaż? – pyta.

– Pierdol się.

Tym razem uderza w brzuch. Miriam składa się wpół i spada między stół

a telewizor. Krew plami dywan. Ma wrażenie, że coś w jej wnętrzu umiera.

Malutkie, płaczące dzieciątko.

Louis chwyta ją za kostki i przyciąga do siebie. Dywan pali ją w plecy, kiedy się po nim przesuwają.

Ma w dłoni nóż, jej nóż. Wygląda niemal śmiesznie, jak zabawka w jego gigantycznej pięści.

– Ty – syczy i spluwa.

– Włamywacz. Włamywacz.

Nie-Louis śmieje się.

Chwyta ją za dłoń. Przyciska wnętrzem do dywanu.

Zaczyna ciąć.

Nie widzi, co dokładnie robi, ale za to wszystko czuje.

Ukłucie ostrza, kiedy nóż przecina jej skórę. Ból rysowanych linii. Tortura przybiera kształt.

Podwójny ogon, wychylone w tył skrzydła, głowa i dzióbek skierowane w górę.

Jaskółka.

Identyczna jak na jego tatużu.

– To ty jesteś jaskółką – mówi Nie-Louis. – Ja jestem drozdem.

– Nie mam pojęcia, co to ma znaczyć.

– Dowiesz się. Jeszcze się dowiesz. Ja sprawię, żebyś się dowiedziała. Myślałaś, że możesz sobie dać spokój? Niech to będzie dla ciebie przypomnieniem, Miriam Black, kobieto, która widzi plany kostuchy. Niech to ci zawsze przypomina...

Cofa dłoń z nożem. Ma palce czerwone od krwi.

– ...że masz zadanie do wykonania i nie pozwolimy ci się wycofać, dopóki nie będziesz gotowa.

Miriam krzyczy. Ale z jej ust nie wydobywa się jej głos.

To krzyk Lauren Martin, kiedy morderca obcina jej głowę.

CZĘŚĆ TRZECIA

ŚLAD BARWNIKA I KRWI

„Sama, wstyd odłożywszy, opowiem twe czyny. Jeśli los pozwoli, pójdę do ludzi, jeśli w lesie pozostanę, las napęlnię swą skargą, wzruszę świadome skały. Usłysz niebo i bóg, jeżeli jest na niebie”.

Owidiusz, *Przemiany*,
tłum. Bruno Kiciński, wersy 545–550

ZGNIECIONA PUSZKA

Jeśli spędzi się za kierownicą zbyt dużo czasu i na dodatek jest już późno, droga zaczyna płynąć jak przedmioty na obrazach Salvadora Dalego. Louis otwiera kolejną puszkę napoju energetyzującego i kilkoma łykami wypija całą zawartość. Smakuje dziwnie, jak mieszanina syropu na kaszel i octu winnego przefiltrowana przez spoconą skarpetkę.

Dziś na otwartej pacy wiezie wielkie szpule kabla. Ze stanu Nowy Jork do Charlotte w Karolinie Północnej.

Wybrał ładniejszą drogę. Z przyjemniejszymi widokami, choć za to wolniejszą. To błąd. Jednak on się nie przejmuje. Po prostu woli jechać I-77. Dłużej, lecz spokojniej i w mniejszym ruchu.

W tej chwili na drodze jest pusto. Z rzadka jedynie mijają go albo wyprzedza jakiś samochód. Krótki błysk pary reflektorów. Jak stroboskop. Cyk. I go nie ma.

Zegar na desce rozdzielczej – podświetlony na niebiesko LCD – wskazuje północ.

Bardzo długo jedzie już bez odpoczynku. Od lat tak nie robi. Dalekie kursy. Noce w trasie. Dużo godzin, dużo pieniędzy.

Ale nie o to mu chodzi. Louis nie potrzebuje pieniędzy. Nie jest majętnym człowiekiem, ale też nie ma wiele rachunków do opłacenia – właściwie to żadnych, z wyjątkiem czynszu za przyczepę kempingową na Long Beach Island w New Jersey. Większość ludzi w Ameryce kolekcjonuje kolejne pożyczki i kredyty. On jest ich przeciwnikiem – on kolekcjonuje pieniądze. Gromadzi je, jak gromadzą się kłęby kurzu pod

łóżkiem.

Jego ojciec był bardzo podobny. Odkładał pieniądze na emeryturę. Nieprzerwanie mówił o emeryturze. Jak to będzie wspaniale. Shangri-La. Siódme niebo. Raj na ziemi. Dzień, w którym wypuszczą go z klatki i będzie znów wolny.

Staruszek zmarł na rok przed emeryturą. Wypadek na wózku widłowym.

Oszczędności ojca przypadły Louisowi, bo matka zmarła kilka lat wcześniej na rozedmę płuc. Wystarczyły na opłatę kursu prawa jazdy na ciężarówkę i na zakup pierwszej maszyny.

Lata później Louis robi dokładnie to samo co ojciec. Oszczędza. Oszczędza. Czeka na coś.

A może – ale to tylko przypuszczenie – ucieka przed czymś?

Przed Miriam.

Nawet teraz, choć się stara, wciąż nie może przestać na nią wpadać. Jest jak duch, który zamiast nawiedzać opuszczone domy, wziął się na człowieka. Niezależnie, jak daleko odjedzie, ona już tam na niego czeka.

Nie jest pewien, czy ją kocha. Nie wie nawet, czy w ogóle da się kogoś takiego kochać. Ale wie, że mu na niej zależy. Bardzo. Wyjątkowo. Niezależnie, czy jej się to podoba, czy nie. W tej chwili jest przekonany, że na pewno nie.

Świerzbienie. Unosi łatkę zasłaniającą pusty oczodół i drapie się po skórze. Zawsze kiedy pomyśli o Miriam, to miejsce zaczyna go swędzieć.

To z jej winy stracił oko, ale też tylko jej zawdzięcza, że nie stracił wtedy życia.

I to jest najprawdziwsza ironia losu. Właśnie tak.

Nie wini jej za nic. Tak w każdym razie myśli. Tylko że w noc jak ta, kiedy jest sam na sam z drogą, białym odbłaskowym pasem pobocza i żółtą przerywaną środkową linią, która wygląda jak zaszyte nacięcie po sekcji

zwłok – właśnie wtedy nie jest już taki pewien.

I tu jest pies pogrzebany. Tak czy siak, nie może przestać o niej myśleć.

Czuje się przez to jak osoba uzależniona. Wziął ten kurs, żeby się oczyścić i wyleczyć.

Wszystko na nic.

Włącza radio. Uruchamia automatyczne szukanie sygnału. Jakiegokolwiek audycji. Słyszy szum tła, stacje nadające muzykę country i programy religijne, aż w końcu trafia i zatrzymuje się na radiu Art Bell i nocnej audycji *Coast-To-Coast AM*, w której prowadzący mówi o UFO, teoriach spiskowych i wszystkich dziwactwach, o jakie można posądzać Amerykanów. Art Bell – najlepszy przyjaciel kierowcy ciężarówki.

Jazda pustą szosą, w środku nocy, przypomina rejs jachtem we mgle. Dryf bez celu.

Niespodziewanie dostrzega coś w świetle długich świateł. Jakiś kształt.

Kształt, który w końcu zaczyna przypominać samochód. Uszkodzony samochód. Kierowcy ciężarówek nazywają je „zgniecioną puszką”.

Ten stoi na asfalcie.

Louis ma dość czasu, żeby spokojnie zareagować. Rozpoczyna hamowanie. Zwalnia. Mógłby go pewnie ominąć, bo choć auto stoi prostopadle do krawędzi, po drugiej stronie jest dość miejsca. Ale powinien zareagować. Ktoś w środku może potrzebować pomocy.

Wewnątrz auta palą się światełka.

Spod maski wydostają się strużki dymu.

Zatrzymuje ciężarówkę. Nie wyłącza reflektorów. Nie wysiadając, przygląda się wrakowi.

Honda accord. Model sprzed pięciu czy sześciu lat. Może nie miał wypadku i nie jest uszkodzony. Z tej odległości nie dostrzega żadnych wgnieceń. Tylko oba koła od jego strony są płaskie.

Nie gasi silnika. Reflektory też zostawia włączone.

Wysiada z szoferki.

Na zewnątrz uderza go znajomy zapach: gryząca woń koncentratu do chłodnic jak gorzka zielona krew płynąca po asfalcie. Tworzy kałużę, w której stoi przednia, pozbawiona powietrza opona.

Louis obchodzi samochód dookoła. Opony po drugiej stronie też są płaskie.

Wewnątrz nikogo nie ma. Ale światła w środku są zapalone.

Nagle słyszy coś za sobą.

Szuranie. Drapanie. Zgrzytanie.

Odwraca się i...

I zapiera mu dech w piersi.

Ma wrażenie, że patrzy na scenę wyjętą żywcem z filmu Hitchcocka. Cała droga – cała! – zniknęła pod ptakami. Kruki. Drozdy. Wróble. Szpaki. Poruszają się nerwowo. Pazurkami drapią po asfalcie. Drap, drap. Drap, drap.

Dzioby skierowane w bok.

Ale oczy patrzą wprost na niego.

Niektóre wydają jakieś dźwięki. Albo kłapią dziobami. Albo z ich gardeł wydobywa się głębokie krakanie. Louis jest pewny, że w każdej chwili mogą się zerwać i rzucić na niego. Każdy z nich. Albo wszystkie razem – dzioby, skrzydła i szpony. Czuje strach – przerażenie na myśl o tym, że jeśli zaatakują, straci jedyne oko. Do końca życia zostanie niewidomy. W wiecznym mroku.

Uciekaj od nich. Natychmiast stąd uciekaj!

Jego ciężarówka stoi zbyt daleko. Sześć czy siedem metrów to niedużo – ale też stanowczo zbyt wiele, jeśli musiałby przedzierać się przez czarny falujący dywan okropnych ptaszysk.

Samochód. Wskakuj do samochodu.

Powolutku rusza w stronę auta. Najciszej, jak potrafi, otwiera drzwi. Wciska się ostrożnie do środka, co nie jest proste przy jego rozmiarach.

Klatką piersiową napiera na kierownicę. Siedzenie jest zbyt mocno dosunięte.

Po omacku zaczyna szukać. Spogląda na boki fotela i wsuwa rękę pod spód, by zlokalizować dźwignię do przesuwania siedzenia kierowcy...

Kiedy podnosi głowę, na desce rozdzielczej zauważa spasłego kruka. Jest wewnątrz samochodu. Razem z nim. Louis zaciska zęby i walczy, żeby nie stracić panowania nad sobą, bo jego pierwsza myśl to: łap, łap, łap, łap, łap i urwij mu łeb, no urywaj mu łeb, ale nabiera głęboko powietrza i czeka.

Z dziurek w dziobie ptaka unoszą się strużki dymu.

Pociąga nosem. To nikotyna.

– Jak leci, Lou? – pyta kruk.

Mówi głosem Miriam.

Niewiele brakuje, a Louis zrobiłby w spodnie.

Ptaki na zewnątrz zbliżają się i zaczynają wskakiwać na maskę. Gorzej. Słyszy ich pazury, jak drapią o dach i tylną klapę.

– Hej – odzywa się znów kruk, dalej wiernie naśladowując sposób mówienia Miriam. – Jednooki! Kapitan Przystojniak z USS Cyklop! Słyszysz mnie?

– To się nie dzieje naprawdę – mówi Louis z naciskiem.

– No nie, staruszkule, nie gadaj bzdur. To się dzieje. Serio. Czy ci się to podoba, czy nie. Mam dla ciebie wiadomość. Wydłub więc miodek z uszków, misiaczku, i słuchaj uważnie. Słuchasz?

– Tak... słucham...

– Miriam ma kłopoty. Siedzi w nich po pachy i coraz szybciej się zapada. Wpadła jak śliwka w gówna. W morze gówna. Nie ma ani łodzi

ratunkowej, ani tratwy. Nie ma nawet tych małych nadmuchiwanych poduszek na ramiona. Siły ciemności jednoczą się przeciwko niej, Lou. Nie podoba im się, że przekreśliła im plany. Zmienia przeznaczenie, a przeznaczenie ma ten śmieszny zwyczaj, że oddaje mocniej, niż dostaje. Wali, kurwa, na odlew!

– O czym ty w ogóle mówisz? – pyta Louis. Zaciska powiekę i mruży, potrząsając głową. – Nie mogę uwierzyć, że rozmawiam z ptakiem!

– Staram się wytłumaczyć ci, że Miriam będzie trupem, jeśli natychmiast jej nie pomożesz. Natychmiast! Daj sobie spokój z pretensjami, wyrzutami sumienia i innymi pierdami i pędź do niej. Miriam nie jest z żelaza. Jeśli nie wyciągniesz jej z tej powodzi gówna, gwarantuję, że się utopi.

– Kim... – Nie jest w stanie nabrać powietrza, żeby dokończyć pytanie.

Ptak nie ma takich problemów.

– Kim jestem? Przyjacielem. Przyjacielem, Lou.

A potem podrywa się do lotu.

Wewnątrz samochodu.

W jego stronę.

Louis unosi ręce i zasłania się. Chce chwycić ptaka, zanim jego szpony dosięgną oka...

Opuszcza ramiona i rozgląda się.

To nie jest honda accord.

Wciąż siedzi w szoferce swojej ciężarówki. Na miejscu kierowcy. Silnik pracuje, mrużąc cicho. „Zgnieciona puszka” – czyli honda na oponach bez powietrza – stoi na drodze. Widzi ją w świetle reflektorów.

To tylko sen. Zasnąłeś i tyle. Długa droga. Długa noc. Trochę mgły. Zasugerowałeś się. Odplynałeś i kimnąłeś. To źle, cholera, bardzo źle, ale tak czy inaczej znacznie lepiej, niż mogło być. To, co widziałeś, nie było prawdziwe. Wymysł, zwidy i sen, ot co.

Wtedy dostrzega kruka paradującego po dachu samochodu. Rozkołysany krok. Przypomina Charliego Chaplina. Zwierzę unosi łąpek i spogląda na ciężarówkę, by po chwili odlecieć i rozpląnąć się w ciemności.

Louis wyjeżdża z powrotem na drogę, dodaje gazu i rusza przed siebie.

Wtedy nagle znów to czuje: swędzenie.

Swędzi go skóra pod łątką na oko. Nic takiego, trochę poswędzi, myśli. Zawsze tak ma, kiedy myśli o Miriam. Odchyła materiał. Drapie się po brzegu pustego oczodołu.

Ale swędzenie nie przechodzi. Jest coraz gorsze. Pali.

Pięć mil dalej zjeżdża z głównej drogi, znajduje stację benzynową i zatrzymuje ciężarówkę.

Unosi łątkę, jakby otwierał skrzynkę na listy, i zaczyna drapać, coraz głębiej i głębiej w pozbawionym oka oczodole. Drap, drap, drap, aż nagle palcem wskazującym dotyka czegoś ostrego. Czegoś sterczącego z dna pustej dziury.

Zbiera mu się na wymioty.

Kłuje się, obmacując przeszkodę. Chce wyczuć, co to jest.

Chwyta i zaczyna ciągnąć.

Czuje wtedy mokre łaskotanie na wewnętrznych ściankach oczodołu, a potem coś okropnego i przerażającego, jakby coś przemieszczało się przez jego wnętrze i chciało się uwolnić...

To pióro. Ptasie pióro, całe mokre od krwi.

Ale to nie koniec. Ciągnie je dalej, bo tkwi głęboko i jeszcze dużo go zostało. Coraz więcej.

Włosy. Mokre włosy. Mokre włosy przywiązane do końcówki pióra. Ma ostry zapach, zapach zepsucia, jak...

Jak woda z rzeki.

Louis otwiera drzwi. Nie wysiadając, wymiotuje. Nikt go nie widzi, bo

parking jest pusty.

Kiedy kończy i się trochę uspokaja, wychodzi z szoferki i odłącza przyczepę.

Musi jechać do Miriam. Nie ma czasu do stracenia. Nie ma teraz czasu, żeby bawić się w dostawy towaru, a gdyby wziął ładunek ze sobą, uznano by to za kradzież.

W takim wypadku najlepiej zostawić to tutaj. Zadzwoń po kogoś na zmianę. Powie, że to sytuacja awaryjna, poda miejsce, gdzie znajdą przyczepę, a oni kogoś przyślą. Po takim numerze nie ma co liczyć na kolejne zlecenia z tej firmy. To jak wilczy bilet. Ma wielką nadzieję, że inni spedytorzy się o tym nie dowiedzą.

Nie ma innego wyjścia. Musi to zrobić.

Nie potrafi zapomnieć, co powiedział mu kruk.

Wybiera numer Miriam, żeby z nią porozmawiać. Od razu włącza się poczta głosowa.

Siły ciemności jednoczą się przeciwko niej, Lou.

– Miriam, już pędzę!

WRÓBEL W NA DŁONI

Krew na dywanie. To pierwsza rzecz, jaką Katey widzi po przebudzeniu. Właściwie to nie tylko krew – jeszcze połamany stolik kawowy, przewrócone pudełko lodów czekoladowych, łyżeczkę przyklepioną do kanapy i Miriam przykucniętą pośrodku podłogi jak gargulec. Szuka czegoś w starej książce telefonicznej.

Katey mruga. Wygląda jak siedem nieszczęść wciśniętych w paskudny różowy szlafroczek.

– To... krew – chrypi przez ściśnięte gardło.

Miriam nie podnosi głowy. Zamiast tego wyciąga w górę dłoń tak, by mogła dostrzec jej grzbiet: ma na nim wyciętą w skórze jaskółkę.

Niedaleko, na podłodze, leży nóż – narzędzie. Ostrze jest brudne, rdzawoczerwone.

Palec Miriam przesuwa się w dół kolumny numerów telefonów. Znajduje kolejny i zapisuje go sobie na kawałku papieru, który leży obok książki telefonicznej.

Katey mówi przytłumionym głosem:

– Mój Boże, ty się okaleczasz...

– Co? – Miriam gwałtownie odchyła głowę na plecy. Widzi Katey do góry nogami. – To nie ja to sobie zrobiłam.

No cóż, to akurat trudno byłoby jej udowodnić. Nie ma połamanego nosa, za to stolik kawowy zmienił się w kupę zniszczonego drewna. A na jej dłoni widać jaskółkę. Nacięcia już nie krwawią, za to są opuchnięte i pokryte czarnym pancerzem strupków. Nie jest pewna, jak to się stało. To

też nie pierwszy raz, kiedy jej wizje stają się nieco bolesne, ale za to po raz pierwszy po wizji pozostał ślad.

Powinna zacząć panikować.

Jednak teraz nie ma na to szczególnie czasu.

– Posprzątam ten bałagan – kłamie. – Ja tylko miałam... miałam jedną z tych wizji, o których ci mówiłam. I sprawy wymknęły się spod kontroli.

– Skoro twierdzisz, że nie ty to zrobiłaś, to zdradzisz mi kto?

– Powiedziałam przed chwilą, to wizje.

– To jakieś szaleństwo.

– Zgadza się. Aha. No wiem, wiem. Cholera, to wszystko jest strasznie pokręcone. – Przewraca stronę. Spisuje na kartce kolejne numery telefonów. I kolejne adresy.

Katey podchodzi i staje obok. Spogląda w dół. Jest całkowicie zdezorientowana.

– Nie wiem... nie jestem pewna, czy pokręcone to najwłaściwsze słowo w tym kontekście.

Miriam słyszy w jej głosie obawę. To jak dobiegający z drugiego pokoju szum telewizora, który nie pozwala się skupić. Czasem zatem trzeba postawić sprawę jasno.

– Słuchaj, Katey. Jeśli ci się nie podoba, wystarczy jedno słowo, a będziesz miała mnie z głowy. Jeśli chcesz mnie zostawić, to tylko pamiętaj, jestem wampirem, a ty wzięłaś mnie pod swój dach z własnej woli. Zaprosiłaś mnie. I pamiętaj, że cię ostrzegałam. Nie będzie ci łatwo, co to, to nie. Zdecydowałaś się zaryzykować, to musisz się liczyć z plamami krwi na dywanie i popieprzonymi rozmowami o piątej nad ranem. Chcesz, żebym sobie poszła, spoko, nie będę zła. Pyk, i już mnie nie ma. Spakuję się i nigdy mnie już nie zobaczysz. – Wstaje i przysuwa twarz tak blisko twarzy Katey, że nauczycielka musi spojrzeć jej w oczy. – To może być

ostatnia szansa, żeby dać sobie z tym spokój. Jeśli chcesz wysiąść z tego autobusu, to tylko teraz, bo jak linia Miriam Black rusza, to albo masz zapięte pasy, albo wypadasz przez okno. Czas się zdecydować. Nie ma innego wyjścia. Pod pokład albo za burzę.

– Ja... chyba muszę napić się kawy.

Nauczycielka odchodzi chwiejnym krokiem, jak zombie.

Miriam woła za nią.

– Zrób mi też. W dużym kubku. Czarną jak smoła w piekle. Dzięki!

Po jakimś czasie Katey wraca i stawia przed Miriam dzbanek pełen czarnego naparu.

– Nic większego nie znalazłam.

Ślurp.

– Mmm. Pychota. Czuję się... nie wiem... jak Japonka.

Na tym koniec rozmowy. Miriam wraca do książki telefonicznej.

– Spałaś w ogóle? – pyta Katey.

– Nie.

– Aha.

Nauczycielka obchodzi pokój, starając się doprowadzić go choć trochę do porządku. Pudełko po lodach, łyżka, nóż.

– Czego właściwie szukasz w tej książce?

– Najpierw chciałam użyć twojego notebooka, ale nie miałam hasła. Sporo czasu mi zeszło, zanim znalazłam książkę. Czy ludzie w ogóle jeszcze używają książek telefonicznych? Super, że swojej jeszcze nie wyrzuciłaś. Szukam salonów tatuażu. Wszystkie studia w okolicy.

– Chodzi ci o tę jaskółkę?

– Zgadza się. – Miriam chwyta dzbanek obiema rękoma i upija duży łyk. Wchłania w siebie ciepło, przez chwilę pozwala się unieść przyjemnemu zapomnieniu. – Uwielbiam kawę, bo jest jak mój facet: gorący, czarny i za

chwilę poczuję go w gardle.

– Chyba nie odważę się tego skomentować. Zapytam jedynie, czy mogę ci jakoś pomóc? – Katey spogląda na dziewczynę. – Z tą... sprawą.

– Chciałabym skorzystać z twojego telefonu.

– Jest w kuchni. Bezprzewodowy. Stoi w ładowarce.

– Nie o to mi chodziło. Potrzebuję twojego telefonu komórkowego.

Katey milknie na chwilę, ale w końcu potakuje.

– Zaraz ci go przyniosę. I tak go nie lubię. Czuję się uwiązana. Jak na smyczy.

– Dzięki, Katey.

– Powstrzymasz zabójcę, prawda?

– Powstrzymam – odpowiada. Niezależnie, czy w to wierzy, czy nie.

RODZINNY PORANEK

Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa, trzeba zapłacić czynsz i jeśli Annie Valentine nie wytrzaśnie skądś odpowiedniej ilości gotówki, ta przyciasna szafa, którą nazywa mieszkankiem, nie będzie już jej mieszkankiem. Z samego rana przyszli ją o tym powiadomić – jeszcze zanim słońce wzeszło. Walili w drzwi. I zostawili dokument. Nie dokument „Przypomnienie o płatności”. Nie dokument „Wezwanie do płatności” jak ostatnim razem. Nie. Pod drzwi wsunęli nakaz eksmisji. Eksmisji. Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa.

W głowie słyszy głos jak matka – ustawicznie karcąca i, choć niewidoczna, wiecznie obecna – mówi: Nigdy nie chciałaś na nic pracować, Annie. Już jako dziecko nie wysilałaś się nawet, by przytrzymać sobie butelkę.

To ulubiony zwrot matki.

Już jako dziecko...

Nie chciałaś trzymać butelki.

Nie zaczęłaś mówić tak wcześnie jak twój brat.

Nie chciałaś się nauczyć korzystać z nocnika jak wszystkie inne dziewczynki.

Nie potrafiłaś naprawić samochodu, położyć płytek w łazience czy złożyć za rodziców zeznania podatkowego. A dobre dziewczynki robią takie rzeczy.

Przy tym nigdy nie powiedzieli, że jest głupia. Nigdy nie powiedzieli jej niczego niemiłego. Jednak pogarda była obecna niemal bez przerwy. Kryła

się w cieniu innych słów jak strachy pod łóżkiem.

Dziś ma osiemnaście lat. Dopiero osiemnaście lat. Powinna już wiedzieć, czego chce od życia. Rodzice powiedzieli, że może wrócić do nich, do domu, ale tego nie robi, cholera, oczywiście, że nie. Wolałaby przytrzasnąć sobie sutki pułapką na myszy niż cofnąć się i znów wylądować w tym piekle.

Czyli musi znaleźć sposób, żeby zatrzymać to mieszkanie.

Ale nie ma pracy. Wylali ją z Wendy's. Wylali ją z U.S. Gas – Jemeńczyk oskarżył ją o przywłaszczenie, co jest tylko delikatniejszym określeniem kradzieży. Bo kradła, nie da się ukryć. Tyle że akurat on nie miał szans, żeby się o tym dowiedzieć. Tylko ta głupia krowa, Marjorie, zasyfiona cipa z pomarańczową peruczką, musiała mu donieść. A przy tym sama na potęgę robiła lewizny.

Co teraz? Co teraz, co teraz, co teraz, co teraz, kurwa, kurwa, kurwa.

Uspokój się.

Nie wywalą cię z mieszkania przed końcem tygodnia.

Wszystko jest w porządku. Musisz się tylko skupić i znaleźć rozwiązanie.

Siada przy składanym łóżku, otwiera torbę z Wal-Martu i z jej przepastnych głębin wyjmuje szczypce, śrubokręt i przepaloną żarówkę. Mleczne szkło jest od środka pobrudzone czarnym nalotem.

Za pierwszym razem, kiedy to robiła, zbiła żarówkę. Drobne kawałki szkła utkwily jej w dłoni. Musiała użyć pincety, żeby je powymować spod skóry. Trzęsącymi się rękoma. Niektóre przeoczyła i zostawiła. Tkwily tam, dopóki ciało samo się ich nie pozbyło.

Teraz jest już w tym całkiem dobra.

Szczypcami ostrożnie usuwa dolną część żarówki. Nie cały metal z gwintem, tylko jego spód.

Śrubokrętem kruszy i wydłubuje całą resztę wnętrzości. Szkło, główny słupek i wszystkie druciki.

Annie ponownie sięga do torby. Wyjmuje z niej puszkę sprężonego powietrza, pudełko słomek do picia i rolkę czarnej taśmy izolacyjnej.

Faza druga.

Psiknięcie sprężonym powietrzem pozwala oczyścić wnętrze żarówki.

Spod poduszki kanapy wydobywa niewielkie drewniane pudełko. Kiedyś trzymała w nim karty tarota, ale uznała, że są do niczego. Nigdy nie powiedziały jej niczego sensownego o przyszłości, a poza tym, żeby cokolwiek z nich zrozumieć, trzeba było używać jakiejś idiotycznej książeczki. Bez niej nie dało się niczego zinterpretować.

Dziś przechowuje w niej niewielką plastikową torebeczkę z białym proszkiem. Z bliska wygląda jak sól morską albo jak pył potłuczonego szkła, który przed chwilą wydmuchała z bańki.

Wsypuje krystaliczną metamfetaminę do pustego szkła.

Potem wsuwa do środka końcówkę plastikowej słomki i starannie okleja taśmą izolacyjną. Całość musi być szczelna jak kubeczek niekapek.

Na podłodze szuka zapalniczki. Gdzieś tu musi być. W końcu znajduje ją pod kanapą.

Annie żałuje, że nie ma już swojej szklanej fajki, ale Jeff ją ukradł. Pierdolony kutas. Jeff zawsze wynosi jej rzeczy. A ona się nie przeciwstawia. I nie ma pojęcia dlaczego. Jeff jest pasożytem. Ktoś powinien zrobić światu przysługę i go sprzątnąć, żeby nie zatruwał Ziemi swoją obecnością. Mimo to Annie robi wszystko, czego tylko sobie zażyczy i gdziekolwiek sobie tego zażyczy, bo tak naprawdę bardzo go kocha i ma nadzieję, że pewnego dnia się zmieni i będzie dla niej dobry.

Do diabła z nim.

Jazda po tym specjale powinna ją uspokoić.

Zapala zapalniczkę i podsuwa płomień pod żarówkę. Narkotyk bąbelkuje. Biel zmienia się w brudną czerń. Z której unoszą się opary. Wciąga je.

Jasność rozbrzmiewa w jej głowie jak uderzenia dzwonów. W jednej chwili odzyskuje ostrość widzenia. Jest jednocześnie spokojna i podniecona. Wie, dlaczego nazywa się tak, jak się nazywa, bo sama czuje się taka... hm...

Jak kryształ. Krystaliczna.

To zupełnie jak spojrzenie w lustro, które odbija obrazy setek innych lusterek. Palenie tego cudu pozwala jej dostrzec możliwości – wszystko, czego jest w stanie dokonać.

Nagle dzwoni jej telefon.

Dzwonek Tiny Tempah. *Miami 2 Ibiza*.

Powinna sprawdzić, kto dzwoni, zanim odbierze, ale nie myśli o tym, a kiedy słyszy głos swojej matki, jest już za późno na reakcję.

– Annie – mówi matka. – Annie, to ja, mama.

Sądząc po głosie, jest mocno przeziębiona.

– Co? – warczy Annie. – Co znowu? Czego chcesz?

– Annie, wiem o nakazie eksmisji.

Skąd, do cholery, może o tym wiedzieć?

Szpiegowwała ją. No właśnie, szpiegowwała. Mama znów sprawdza, co robi.

– Cholera jasna, zostawcie mnie w końcu w spokoju! Nie... – Skup się, nabierz głęboko powietrza. – Odwalcie się ode mnie i przestańcie po mnie jeździć! Dam sobie radę, rozumiesz?

– Chcę ci pomóc. Nie pozwolę, żeby moja córka wylądowała na ulicy.

– Przecież to ty mnie w to wpakowałaś. To twoja wina. – To ma sens. Jest logiczne. No przecież. To jest wina matki. I ojca, oczywiście, też.

Dlatego że spędzał całe dni i noce nieruchomo na kanapie jak jakiś otłuszczony nowotwór. Groteskowy i śmieszny. Nie miał w sobie dość charakteru, by być choćby nowotworem złośliwym.

– Dam ci pieniądze.

Te słowa są jak zrzucona bomba. Jak granat błyskowy, którym się ogłusza i oślepia przeciwników.

– Serio? – pyta Annie. Zaczyna drzeć, aż jej zęby szczękają. Zaciska je, żeby nie było ich słychać. Wkłada w to tyle siły, że dostaje skurczu szczęki.

– Nie mam wiele. Ale na czynsz powinno wystarczyć.

Na czynsz wystarczy? Cholera, to ratuje jej życie. No, chyba że zamiast czynszu opłaci kolejną dawkę krystalicznej metamfetaminy. Meta pomaga jej myśleć. Dzięki niej wymyśli, skąd zdobyć pieniądze na czynsz.

Bystrzacha.

– No dobrze, ale potrzebuję tych pieniędzy natychmiast – mówi.

– Spotkajmy się.

– Gdzie? Kiedy?

– Przystanek autobusowy niedaleko twojego mieszkania. Ten w pobliżu rzeki.

– Na ulicy Archer.

– Tak jest. To ten. Będę za godzinę.

W końcu pyta, ale nie dlatego, żeby ją to obchodziło, ale dlatego, że czuje, że powinna udać współczucie matce, skoro ta się zdecydowała zadzwonić i oferuje jej pieniądze.

– A u ciebie wszystko w porządku? Bo mówisz, jakbyś miała zatknięty nos.

– Uczulenie. Trawy i drzewa strasznie pylą o tej porze roku.

– Aha. Do zobaczenia za godzinę.

– Kocham cię, Annie.

Nie, tak daleko Annie nie potrafi się posunąć. Owszem, chce nawet, ale...

Kciukiem szybko przerywa połączenie.

Pozostała godzina sto razy kurczy się, a potem rozciąga w nieskończoność, by znów wpaść w ten obłądny cykl. Annie sprząta mieszkanie. Jak szalona szuka kluczy, aż w końcu uświadamia sobie, że nie są jej potrzebne, bo wychodzi tylko na chwilę, a przystanek jest raptem kilka kroków stąd. Stara się coś zjeść, ale nie czuje głodu. Wypala do końca metamfetaminę.

Wszystko znów staje się jasne, czyste i oczywiste. Życie w wysokiej rozdzielczości. Niezrównana jakość.

Nareszcie, już czas. Właściwie to po czasie. Jest dziesięć minut spóźniona.

Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa, kurwa.

Mama się wścieknie. Jeśli ma szansę, by ją wkurzyć, nie zawaha się. Zrobi wszystko, byle wyprowadzić ją z równowagi. Jak jakiś imperatyw. Jest jak pies tarzający się w padlinie – kocha ten smród. Prawdziwa męczennica.

Annie wybiega z mieszkania i pędzi na spotkanie. Pada deszcz. Nie zwraca na to uwagi. W końcu to tylko kapuśniaczek. Jakby Bóg splunął na jej włosy.

Przy nieczynnym korcie tenisowym mijają kilkoro dzieciaków z sąsiedztwa. Mają kaptury naciągnięte głęboko na oczy i siedzą na płocie z łańcuchów. Jednemu z nich – chłopakowi w wielkich butach i z lizakiem w ustach – kiwa na powitanie głową. Ten odpowiada w taki sam sposób.

Ma na imię Chase. Chodzi z Chizzy.

Ma dopiero trzynaście lat, ale sprzedaje niesamowicie dobry towar. Niedługo się spotkają.

Po chwili Annie słyszy rzekę. Przytłumiony szum mętnej wody.

Wzdłuż ulicy rosną drzewa. Dęby. Pojedyncze liście żółkną. Część już opadła i leży na trawie. Kilka przesuwa się po chodniku, gnanych wiatrem.

Dziewczyna stara się nie pośliznąć. Mokry asfalt i gówniane tenisówki są stworzone, żeby powodować takie niebezpieczeństwo. Właśnie tak działa na nią krystaliczna metamfetamina: sprawia, że staje się superważna. Ostrożna. Bystra.

Przystanek autobusowy przy zakręcie nie jest szczególnie okazały. Brakuje mu tych szyb z plexiglasu, którymi otoczone są przystanki w mieście. Ten przypomina wiecznie wilgotną, porośniętą mchem drewnianą skrzynkę z reklamami powieszonymi po każdej stronie. W tym wypadku to firma instalacyjna i dom pogrzebowy. Sypie się już i butwieje na narożnikach, a deski na końcach zaczynają przypominać miotłę.

Nie widzi matki.

Wpada pod daszek przystanku. Ktoś czeka na autobus. Jakiś zarośnięty szczupły mężczyzna w grubym płaszczu. Nie jest jeszcze tak zimno, żeby nosić płaszcze, ale co tam. To wolny kraj i jak ktoś chce chodzić w płaszczu, to nic jej do tego. Stoi i czeka, nic więcej nie robi. Głęboko wciśnięta czapka zasłania mu oczy.

Na ziemi leżą podarte gazety – mokre i spęczniałe. Ulotki, reklamówki, katalogi i strony powyrywane z książki telefonicznej.

– Czy była tutaj... kobieta? Starsza ode mnie? – pyta dziwnego gościa.

– Hm? Hmm, e-e. Nie.

– Dość niska. Krótko ścięte włosy. Podjechała pewnie... – Cholera, jakim samochodem teraz jeździ? – Fordem. Chyba tak, niebieskim fordem focusem.

Fajna fura. Sama chciałaby mieć taki.

– Powiedziałem już, że nie.

Dobrze. W porządku. Dzięki za pomoc, dupku.

Wychodzi na zewnątrz, znów na deszcz i rozgląda się w prawo i w lewo. Nic. Żadnych zaparkowanych samochodów. Nikogo. Matki nie widać. Albo już tu była i pojechała, albo się spóźni.

Mama nigdy się nie spóźnia.

Słyszy za sobą jakiś ruch – to nieznajomy mężczyzna. Pod jego stopami szeleszczą porozrzucane papiery i ulotki.

A potem słyszy coś jeszcze: szept matki, dobiegający zza jej pleców.

– Głupiutka Annie.

Chce się obrócić, ale...

Coś ciężkiego trafia ją w tył głowy i świat przyspiesza nagle w kierunku czarnej dziury, w której się pogrąża. Przez chwilę Annie jeszcze nie traci przytomności: czuje, że jest na czworakach na ziemi, a przed nią, po chodniku, jak krab przesuwają się żółte liście. Nagły powiew wiatru porywa go z jej pola widzenia.

Wtedy kolejne uderzenie spada na jej odsłoniętą głowę.

Annie Valentine traci przytomność.

KOŃ TROJAŃSKI

Deszcz – a raczej gęsta, bardzo wilgotna mgła – osiada na przedniej szybie samochodu, zapaćkanej pyłkami drzew. Wycieraczki świetnie się spisują, rozmazując całość po szkle.

Miriam pyta Katey o obie dziewczynki. Katey zna czarnoskórą nastolatkę z nastroszonymi włosami. Nazywa się Tavena White. Jej matka jest alkoholiczką i żyje z pomocy społecznej. Ojciec dawno temu wyłudował w więzieniu za rozbieranie i sprzedaż kradzionych samochodów. Miał dziupłę gdzieś na przedmieściach Scranton.

– Zawsze mnie śmieszy, kiedy spotykam czarną osobę o nazwisku White – mówi Miriam. Katey spogląda na nią z oburzeniem. – Ej, no daj spokój, przecież to nie jest rasistowska uwaga. To tylko życzliwa ironia. I to podwójna ironia, bo...

Teraz chwila przerwy. Niech sama wpadnie.

– Bo ty się nazywasz Miriam Black.

– Ta-dam! Dziesięć punktów i kredki!

Taa, z całą pewnością Tavena będzie równie zachwycona dowcipem, kiedy szalencie odetnie jej głowę.

Miriam wstrząsa zimny dreszcz. Ma wrażenie, że po jej plecach maszeruje stado mrówek.

W końcu wjazd na teren szkoły.

Żelazna brama jest otwarta. Homer stoi obok, czujny i uważny. Samochód przed nimi wjeżdża do środka. Miriam widzi, że ktokolwiek jest jego kierowcą, wystarczy, by pokazał przepustkę.

Następna w kolejce jest Katey. Podjeżdża, pokazuje swoją. Miriam macha dyskretnie Homerowi. Ruszają dalej.

Katey zatrzymuje się na parkingu dla nauczycieli. W kilku pierwszych rzędach nie ma ani jednego wolnego miejsca. Dziewczyna uświadamia sobie, że część personelu musiała spędzić tu noc – to przecież szkoła z internatem. Skrzydło mieszkalne, pełne nastolatek, właśnie budzi się ze snu. Ktoś musi być na miejscu dwadzieścia cztery godziny na dobę. Sprzątaczkę, strażnicę, pewnie też pielęgniarkę.

– Mówiłam ci – odzywa się Katey, kiedy samochód nieruchomieje na miejscu parkingowym. – Mówiłam ci, że sama zaniósę im wiadomość od ciebie.

– Wiem. Ale jeśli ktoś cię zauważy, to wylecisz z roboty. Jeśli wyleciałabyś z roboty, to byłaby to moja wina. Więc nie, dzięki. Jest wcześnie rano. Dam sobie radę. Przemknę się korytarzami, nikt mnie nie zobaczy.

Katey odwraca się w jej stronę.

– Wspaniale, że chcesz pomóc tym dziewczętom. Kiedy kończą szkołę i opuszczają nasze mury, zostają same, zdane tylko na siebie. Staramy się pomagać im w dalszej edukacji, mamy też program praktyk i staży, żeby łatwiej znalazły pracę. To przynosi efekty. Niektóre radzą sobie naprawdę wspaniale. Chyba nawet większość. Jednak nie wszystkie. Niektóre wracają do dawnych przyzwyczajzeń. Albo do swoich dysfunkcyjnych rodzin. Narkotyki. Prostyucja. Przestępstwa. Nic nie możemy zrobić. Kiedy kończą osiemnaście lat, nie możemy ich dłużej trzymać. Byłabyś zaskoczona, gdybyś wiedziała, ile z nich po prostu... znika.

– Znika?

– Tak, znika. Myślę, że uciekają do dużych miast. Do Harrisburga. Pittsburgha. Niektóre pewnie jadą do Allentown albo Filadelfii. Wiele z

nich mówi o Nowym Jorku.

Dziewczęta znikają w wieku osiemnastu lat, myśli Miriam.

Gdzieś w głowie czuje łaskotanie czarnego jak smoła pióra. Czy tylko one dwie? Może są też inne? Tavena i Lora to tylko początek? A może są tylko fragmentem jakiegoś pokręconego planu świra?

Zimne dreszcze nie ustają. Mrówki maszerują dalej.

W tej chwili i tak nic nie poradzi.

– Potrzebuję pieniędzy – mówi do Katey.

– Słucham? Ach, pieniędzy.

– Na taksówki. Albo autobusy.

Nauczycielka podaje jej dwie dwudziestki.

– To ci wystarczy?

– Pewnie. – Milknie na chwilę. – Wiesz, dawniej znalazłabym sobie kogoś takiego jak ty i po prostu bym... poczekała. Poczekała, aż rak cię wykończy. A potem bym cię okradła. Karty kredytowe. Gotówka z portfela. Może zwinęłabym ci laptopa i wstawiła do lombardu.

– Skąd mam wiedzieć, że nie robisz tego teraz? Skąd mam wiedzieć, że nie czekasz? Może to, co mówisz, to tylko kłamstwo?

Miriam słyszy pytanie nauczycielki i wie, że wcale tak nie myśli – jest jak ryba, która połknęła haczyk. Tylko że tym razem haczyk jest prawdziwy.

Tak czy inaczej, nie przychodzi jej do głowy żadna dobra odpowiedź.

ECSTASY

Bogaty dzieciak. Bywalec nocnych klubów. Trup.

Kaszle. Na jego wargach pojawiają się różowe bąbelki. Prawą dłonią szuka Miriam i chwyta ją za kolano. Lewa drży, zanurzona w brudnej

kałuży. Na powierzchni wody unosi się puste opakowanie po chińskim jedzeniu.

Ma na imię Nick. Leży w bocznej alejce i spogląda na dziewczynę.

– Gdzie byłaś? – pyta. Każde słowo podkreślone kolejną porcją krwawej piany na ustach.

– Gdzie indziej – odpowiada. Głaszcze go po głowie.

– Nie wiem, skąd się wzięli. Nie widziałem ich.

– Wiem.

– Okradli mnie.

Ma oczy królika potrąconego przez samochód: wilgotne i przerażone.

– Zabrali mi telefon. Zabrali mój zegarek. Zegarek zabrali. Pieniądze też wzięli. Wszystkie. I nie sprzedali mi tabletek. Rozumiesz? W ogóle nie mieli ecstasy!

Przy ostatnim słowie pęka bąbelek krwi. Czerwone kropelki lądują jej na policzku.

Nie wyciera ich. Ma wrażenie, że to byłoby niedelikatne.

– Nie wzięli ci butów.

– Musisz zadzwonić po karetkę.

Miriam przygryza wewnątrz policzka i nie przestaje głaskać go po twarzy.

– Nick, to już na nic. Nikt ci nie może pomóc. Nie wyjdiesz z tego. – Chłopak sięga w jej stronę, ale ona się odsuwa i kuca przy jego stopach. Chwyta go za łydkę i unosi jedną nogę.

– Co ty gadasz... dlaczego? Przecież nic mnie nawet nie boli. Jest mi tylko zimno.

– Jest ci zimno, bo leżysz w kałuży. Masz szczęście, bo dzięki temu nie cierpisz. Zimna woda znieczula ranę. – Mówiąc to, zdejmuje mu but ze stopy, drogi model Nike. Jest szczerze zaskoczona, że napastnicy ich nie wzięli. No dobrze, nie jest zaskoczona. Wiedziała, że ich nie wezmą.

Zobaczyła, jak to się stanie, w dniu, kiedy spotkała Nicka i dała się zaprosić do gównianego klubu, w którym grali dubstep. Dwa tygodnie temu.

– Nie mów tak, nic mi nie jest. Zobaczysz, wstanę i pokażę ci, że nic mi nie jest. Zobaczysz.

Próbuje się podnieść, ale ledwie udaje mu się dźwignąć głowę.

– Nóż trafił cię w nerkę. To bardzo niebezpieczna rana, ale jeszcze do uratowania. Znacznie gorzej wygląda sprawa z przeciętą tętnicą. Tu już nic się nie da zrobić. Wykrwawisz się na śmierć.

– Co? Skąd to wszystko wiesz?

– Wiem, i tyle, Nick. Po prostu wiem. Wiedziałam od samego początku – mówi i nagle żałuje, że wiedziała, bo teraz chłopak wie, kim naprawdę jest.

– Dlaczego... dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Dlaczego niczego nie zrobiłaś? Przecież nie musiałem dzisiaj kupować tabletek! Mogłaś mi powiedzieć. Mogłaś mnie ostrzec. Powstrzymać...

Nick w bucie trzyma dwie karty kredytowe. Napastnicy ukradli mu kasę, ale to tutaj chłopak ukrył prawdziwe bogactwo – plastikowe pieniądze tatusia. Staruszek śpi na pieniądzach i nie broni synowi dostępu do swojego majątku.

– Nie, nie mogłabym cię powstrzymać – wyjaśnia, przysuwając się do niego na czworakach. – Bo to tak nie działa. Możesz mi wierzyć: już nieraz próbowałam. I co? I gówno. Zawsze robiło się jeszcze gorzej. Nawet gdybym ci powiedziała, i tak byś mi nie uwierzył. Gdybym cię przykuła do kaloryfera, uwolniłbyś się i uciekł. Gdybym zdzieliła cię w łeb tosterem, nie udałooby mi się cię ogłuszyć, ty byś zwał i popędził prosto tutaj, do tej ciemnej alejki, spotkałbyś handlarzy towarem, a oni sprzedaliby ci kosę w plecy.

– Jesteś potworem – mówi. A potem dodaje tonem naburmuszonego małego dziecka: – Nienawidzę cię.

– Wiem, że mnie nienawidzisz. Rozumiem to. Czułabym tak samo. Ale nie jestem potworem, Nick. Ja tylko sprzątam po prawdziwym potworze. Przykro mi, że tak to się kończy. I dzięki za dobrą zabawę. Byłeś uroczy.

Całuje chłopaka w policzek, a jego ciało zaczyna się trząść jak porażone prądem. Tarza się w kałuży własnej krwi.

KOCHANE MARTWE DZIEWCZĘTA

W szkole o poranku panuje cisza i spokój. Budynek wydaje swoje własne dźwięki – jakieś trzaski, skrzywienia, bulgot rur w ścianach. A drewniana podłoga piszczy i jęczy, nawet kiedy Miriam posuwa się ostrożnie po dywanach wyściełających korytarz.

Przez okna wpada słabe światło rozproszone ściekającymi po szybach kroplami deszczu. Miriam, nie wiedzieć czemu, ma wrażenie, że tonie.

Włosy ufarbowane wodą z rzeki. Popękane naczynka w żółtych oczach.

W niektórych miejscach światło przebija się jaśniejszym snopem, w którym widać unoszące się drobinki kurzu.

Półki uczennic są starannie opisane – nie na kawałkach taśmy przyklejonych do drewna, lecz na prawdziwych tabliczkach przykręconych śrubami. Na każdej znajduje się wygrawerowane nazwisko.

W szkole uczy się niemal pół tysiąca dziewcząt z siedmiu roczników, a to daje pięćset półek. Regały ustawione jeden obok drugiego przypominają ogromny stojak na wino, z półeczkami przechylonymi na bok jak puste diamenty.

W każdej innej sytuacji musiałyby sprawdzać je wszystkie po kolei, ale na szczęście Katey opisała jej dokładnie, gdzie powinna szukać. Dobrze mieć kogoś stąd...

Najpierw zostawić kartkę z wiadomością do Lory. Potem do Taveny White.

Miriam przemyka wzdłuż regałów jak nerwowy koliber.

– Elizabeth Hope. Gwen Shawcatch. Trisha Barnes.

Nie, nie, nie.

– Molly Deerfield, Carla Rodriguez, Becky, Nellie, Lakesha, Cristina...

I proszę, oto jest. Lauren Martin.

Przykuca i wsuwa karteczkę do półeczki.

Za jej plecami ktoś odkasłuje.

A niech to kurwa jasna strzeli.

Miriam odwraca się.

Stoi przed nią Beck Daniels. Ma na sobie dżinsy i białą krótką koszulkę w serek. Zaciska usta, które wyglądają jak pozioma kreska przebiegająca przez środek monumentalnej szczęki.

Mogłabym złapać się tej szczęki i zacząć podciągać jak na drążku, myśli.

– Mieliśmy już przyjemność – mówi.

– No przecież. Wojownik Ninja, prawda?

– Znalazła pani coś ciekawego w rzeczach uczennic?

– To pytanie jest cholernie obraźliwie.

Na Becku nie robi to najmniejszego wrażenia.

– Powinna pani trzymać się od nich z daleka.

– Zostawiłam tylko wiadomość. Dla mojej siostry.

– Aha. Dla siostry. Ta wersja jest już spalona, pani Black.

Miriam wstaje. Krzyżuje ramiona na piersiach.

– No cóż. Bywa.

– Powie mi pani w końcu, czego naprawdę pani szuka?

– Dobrze. Ta historia z siostrą rzeczywiście była wymyślona. Chcę zamienić kilka słów z Lorą Martin. I Taveną White. Tyle że nie ma sensu się z tym zdradzać. – Hej, słuchaj, dasz mi tym razem fory? Wezwałeś już tych wesołków?

– Strażników?

– Doktora Steryda i jego włoskiego pomocnika, pornohydraulika.

– To, odpowiednio, Sims i Horvath.

– Steryd i Mario.

Czyżby się uśmiechnął?

– Nie, nie wzywałem ich. Poprzednim razem nieźle sobie pani poradziła... Widziałem nagranie z monitoringu. Zrobiła pani na mnie wrażenie.

– Ano, dobra w tym jestem. – Puszczą oko. – Wracając do interesów. Mam przesrane, prawda? Zatargasz mnie prosto do pierdła?

– Do pierdła?

– Do więzienia. To synonim, nie wiedziałeś?

– Oczywiście, że wiedziałem.

– To o co chodzi? Nie lubisz słów? Ja bardzo lubię.

– Wspaniale. Nie, nie zamierzam pani nigdzie zaciągać.

– Masz prawo wezwać policję. Prawdę mówiąc, jestem troszkę zaskoczona, że poprzednim razem nikt jej nie wezwał. Tym bardziej zdziwiona, że macie przecież nagranie, z tego, co słyszę?

Wzrusza ramionami. Podchodzi kawałek bliżej. Tylko jeden krok, ale to wystarczy, żeby wzbudzić jej strach. Podniecenie. Coś, co Miriam naprawdę lubi.

– Nigdy nie wzywamy policji, jeśli możemy tego uniknąć. Niektóre z naszych podopiecznych zbyt wiele już miały z nią w życiu do czynienia. Nie chcemy zakłócać procesu, który ma skutkować ich rozwojem. Więc nie, nie wezwę policji. Przynajmniej jeśli mi pani powie, dlaczego Lora ma otrzymać tę wiadomość. Czego pani od niej chce? Co jest w niej takiego interesującego, że musiała pani wrócić?

Miriam zaczyna przesuwając się powolutku w prawo. On rusza w lewo. Okrążają jakiś niewidoczny punkt – słup, do którego oboje przywiązani są

niewidzialnymi smyczami.

– Staram się ją ochronić.

– Ochronić? Przed czym?

– Nawet gdybym ci powiedziała, i tak byś mi nie uwierzył.

– Może się pani zdziwić.

– Mowy nie ma, kung-fu Panda.

Okrażają się. Ani na chwilę nie ustają. Jak ćmy dookoła żarówki. Jak krew spływająca umywalką.

– Wolę wierzyć, że to ja jestem tutaj, żeby je chronić – mówi. – Nie pani. Ja. Ja i pozostali nauczyciele, i nauczycielki. Naszym zadaniem jest dogłębnie uczyć i ich obrona.

– Trochę główniana praca dla kogoś takiego jak ty.

To go boli. Krzywi się odrobinę, garbi. Jakby dostał w brzuch niewidzialną pięścią. Zadziwiająca. I dziwne. Czyżby naprawdę tak kochał tę robotę?

– Wiesz co? – Zmienia ton i sposób zwracania się do niej. – Potrafisz się ruszać. Wyjaśnijmy to sobie w sali gimnastycznej. Mały sparring. Jeśli mnie pokonasz, będziesz mogła odejść. Nie będę zadawał żadnych pytań.

– A jeśli to ty pokonasz mnie? Całkowicie niemożliwe, ale jestem ciekawa.

– Wtedy zadzwonię po policję.

– Umowa stoi. – Myśli przy tym: Nie ma żadnej umowy, ciołku. Co my jesteśmy, jacyś dżentelmeni? Żeby pojedynki sobie urządzać? Miriam Black ma honor głęboko w cipie. Bezsensowny wymysł. Kolejny. Honor. Przypomniała sobie pewien toast:

Mam honor wznieść toast...

Brzdęk...

Za piękne konie, piękne kobiety i tych, którzy je dosiadają.

A potem kneblują usta drutem kolczastym i odcinają języki.

Zaciska pięści.

– Wszystko w porządku? – pyta Beck. – Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

– Skończ chrzanić – odpowiada. – Załatwmy to szybko.

BRZYDKIE SŁOWA

W pustej sali gimnastycznej każdy dźwięk odbija się echem. Każdy krok na niebieskiej macie. Każda zmiana pozycji. Każde sięgnięcie nosem, każde wyłamanie stawów, każde mlaśnięcie ustami.

Beck składa dłonie w kształt świątyni buddyjskiej i powoli zgina się w pasie, pochylając się w ukłonie przed przeciwnikiem. Miriam się nie opierała.

Kiedy nauczyciel trwa w ukłonie, kopie go w głowę.

Jej czarny but trafia go dokładnie w bok głowy. Mężczyzna zatacza się w lewą stronę.

Jednak nie upada i ani na chwilę nie spuszcza jej z oczu. Otrząsa się jedynie. Zaczyna przechylać się na boki jak bokser rozpoczynający walkę – albo jak kobra gotowa go ataku.

Pierdol się, sensei. No śmiało, atakuj, bądź jak kobra.

A ja będę pieprzoną mangustą.

– Przed niczym się nie cofniesz, co? – pyta, oblizując zęby.

– Przed niczym.

– Co tam jeszcze masz, co? Twój ruch.

Nie ma co czekać. Rusza przed siebie i uderza prostym. Ale on jest gotowy. Uchyła się i chwyta ją za nadgarstek...

Dwadzieścia lat później. Beck Daniels. Włosy ścięte krótko przy skórze, pieprz i sól. Jest chudszy. Bardziej gibki. Nieprzyjemniejszy. Twardy i zwarty jak wyprawiona, naciągnięta skóra. Rozgląda się po swoim gabinecie. Dyplomy i zdjęcia, medale i puchary – wszystkie są śladami

zwycięstw, które odniósł – jego dziewczęta, w różnych miejscach, walczą i wygrywają. Jedno zdjęcie – jego zdjęcie sprzed dwudziestu lat, jak krzyczy w uniesieniu, widząc uczennicę zadającą idealne kopnięcie w tułów przeciwnika. Obok zdjęcia ściana jest wgnieciona, jakby ktoś uderzył w nią łokciem.

...a potem kopie kolanem w brzuch. Mocno, ale nie dość mocno, żeby straciła oddech albo zwymiotowała poranną kawę z papierosami. Jeszcze kiedy jest zgięta nad jego kolanem, odpycha ją mocno, aż Miriam traci równowagę i ląduje na plecach...

Odsuwa fotel na kółkach i siada. Otwiera dolną szufladę biurka i wyjmuje z niej kilkanaście pamiątkowych albumów kolejnych roczników opuszczających szkołę – przynajmniej dwanaście. Wszystkie są oprawione w skórę, a na okładce mają wytłoczony herb szkoły Caldecott. Otwiera je i przygląda się zdjęciom uczennic. Czuje kluchę w gardle. Serce wali mu coraz szybciej i szybciej.

...wtedy przymierza się do ostatecznego uderzenia. W trakcie ruchu zmienia zdanie, jakby stracił zainteresowanie zwycięstwem. Przesuwa się tylko nad nią jak olbrzym o wyrzeźbionej z granitu szczęce. Lecz kiedy on traci animusz i darowuje jej uderzenie, Miriam nie ma zamiaru mu odpuszczać i wykorzystuje okazję, waląc go z całej siły w krocze.

Odkłada albumy. Przeciera oczy. Odchyła głowę i przez nos nabiera głęboko powietrza.

Beck jest szybszy. Zauważa cios, obraca się i przyjmuje go na udo. Ponownie zaciska palce na jej nadgarstku. Wykręca jej rękę i dostrzega jaskółkę wyciętą nożem na skórze. Pękają strupki, z rany zaczyna ciec krew

i...

Beck Daniels otwiera następnie środkową szufladę biurka i wyjmuje z niej swoją czterdziestkę piątkę, M1911 z usuniętym numerem seryjnym. Pistolet jest brudny, widać na nim plamy i wykwity rdzy. Wyjmuje magazynek i sprawdza amunicję – na samej górze połyskuje nowy pocisk. Wsuwa magazynek na swoje miejsce.

...szarpnięciem podnosi ją z maty i stawia na nogi jak dziecko szmacianą lalkę. Miriam uwalnia się i próbuje uderzyć go w głowę. Beck robi unik. W normalnych warunkach walczyłyby nieczysto, tak naprawdę nieczysto, podwójnie nieczysto, sypiąc mu piaskiem w oczy czy szukając w trawie dookoła kija do golfa. Lecz tutaj, na sali gimnastycznej, nie ma takich możliwości. Decyduje się na uderzenie czterema połączonymi palcami w gardło. Bierze zamach zakrwawioną dłonią. Beck znów reaguje dostatecznie szybko i opuszcza brodę, blokując cios. Zanim Miriam widzi, na co się zanosi, nauczyciel podcina ją, jednocześnie odpychając od siebie. Dziewczyna ponownie ląduje na macie...

Pistolet ma metaliczny smak; jak moneta. Muszka drapie go w podniebienie. Przed drzwiami gabinetu słyhać czyjeś kroki. Pukanie. I BUM! Mózg pryska na boki, jak kaszanka z otwartego blendera. Kawalki trafiają w ozdobną tabliczkę z wygrawerowanym napisem i wprawiają ją w drżenie. Ciało spada z fotela.

Zbliża się do niej. Miriam podkurcza gwałtownie nogi i kopie go piętą w policzek. Mężczyzna przewraca się, a ona wskakuje na niego i jest na górze. Ale nie na długo, o nie, bo on obejmuje ją nogami i przekręca na prawo. Nie zatrzymuje się, dopóki Miriam nie znajdzie się znów pod nim. Przytrzymuje ją tak.

Miriam nie wie, co się dzieje. Zanim zdążyła zareagować, jego wargi przyciskają się do jej, a jej język wędruje w jego ustach jak mysz szukająca sera. Dłonie Becka wsuwają się pod jej koszulkę. Jej dłonie ściągnęły mu spodnie.

Wszystko jest głodem i żarem, i odległym echem wystrzału, i cudownym, choć bardziej odrażającym, spotkaniem dwóch zaburzonych istnień, słabych i chorych, łączących się tylko na krótką chwilę.

Spleceni wpadają do jego gabinetu. Nad ich głowami włącza się świetlówka – buczy jak pszczoła zamknięta w słoiku.

Wewnątrz jest inaczej, a jednak tak samo.

Mniej dyplomów, mniej zdjęć i mniej pucharów. Kolekcja dopiero zaczyna się rozrastać.

Biurko jest ładniejsze.

Pomieszczenie czystsze.

Unosi ją za biodra i rzuca na blat. Jej kolana znajdują drogę między jego uda, ale tym razem to nie jest kopnięcie – tym razem to ciśnienie i żar, i pragnienie, które idą w parze.

Chwyta za koszulkę i unosi ją, obnażając jego pierś. Mięśnie mężczyzny są jak szczebelki drabiny – twarde i sterczące, że mogłaby się po nich wspinać.

Beck trzyma w dłoniach jej głowę i przyciąga do siebie.

Silne pchnięcie i zatacza się w tył. Uśmiecha się. Znów oblizuje zęby.

– To moja praca – syczy Miriam, a potem oblizuje dla niego zęby. Obraca ją gwałtownie. Dziewczyna traci równowagę i uderza łokciem w ścianę z gipsokartonu, wprawiając w kołysanie oprawione zdjęcie...

Jedno zdjęcie – jego zdjęcie sprzed dwudziestu lat, jak krzyczy w uniesieniu, widząc uczennicę zadającą idealne kopnięcie w tułów przeciwnika. Obok zdjęcia ściana jest wgnieciona, jakby ktoś uderzył w nią

łokciem...

Świat zaczyna się trząść. Włączają się alarmy. Syreny. Łuuu-łuuuuu
łuuu-łuuuu.

Gabinet przestaje być gabinetem. Zmienia się w grobowiec.

Na ścianie widzi ślady krwi, której jeszcze tam nie ma.

Mózg, czarny i martwy, na grawerowanej tabliczce.

Echo wystrzału z pistoletu.

Zapach spalonego prochu już unosi się w powietrzu, choć jeszcze go nie
czuć – jak duch.

To nieprawda. Nie dzisiaj. I nie przez najbliższe dwadzieścia lat.

On jest towarem uszkodzonym. Śmierć przez samobójstwo. Miriam
wyobraża sobie siebie, rozłożoną na jego biurku, na plecach, z bluzką
podciągniętą pod szyję, piersiami na wierzchu, nogami rozrzuconymi na
boki i majtkami kołyszącymi się na dużym palcu stopy.

Śmierć zagnieżdżyła się tutaj jak ptak pod powałą i znów, jak poprzednio,
coraz bardziej ją to podnieca. Jest jak pożar buszu, głodna i chce jeść, i jeść,
i jeść. Płomienie łączą się z innymi płomieniami, by walczyć, kopulować i
płonąć żywym ogniem.

Beck unosi ją, ona oplata jego biodra nogami. Zaczyna zdejmować jej
bluzkę. Ale właśnie wtedy je dostrzega.

Za plecami nauczyciela stoją trzy duchy.

Louis z uniesioną łatką na oku. Z pustego, zmasakrowanego oczodołu
spogląda na nią główka drozda.

Lauren Martin. Ma zbyt mocno odchyloną głowę. Rana na szyi jest
rozwarta, poszarpana na brzegach i krwawa. Powietrze świszczy przez
uszkodzoną tchawicę. Przy każdym oddechu tworzą się czerwone bąbelki.

I Beck Daniels. Osobiście. Za dwadzieścia lat. Ma pięćdziesiątkę na
karku. W miejscu potylicy kwitnie szkarłatny kwiat z płatkami z

rozsadzonej czaszki, poszarpanej skóry i przypalonego mózgu.

Miriam wyrywa się z uścisku Becka – prawdziwego Becka.

Mężczyzna myśli, że to część jej gry, i znów sięga w jej kierunku, ale ona znów się wyrywa. Chwyta ją za nadgarstek. Opiera się. On wciąż jest przekonany, że to gra, ale ona już się nie bawi. Chce uciec, ale Beck jest silny...

Miriam opiera się o biurko. Wykorzystuje je jako punkt podparcia i kopie go z całej siły w klatkę piersiową. Mężczyzna pada na plecy. Z metalowej szafki na akta spada kilka teczek. Ich zawartość rozsypuje się po podłodze.

W końcu do niego dociera.

– Nie rozumiem? – mówi.

– Nie mogę.

Chcę.

Ale Louis...

Lora.

Tavena.

– Dlaczego nie?

– Mam pracę. Muszę coś załatwić.

– Tutaj? Pracujesz tutaj?

– Nnnnn... tak. – To znacznie łatwiejsze niż tłumaczenie, co ma na myśli. – Jestem już spóźniona.

– Ach... – Jest załamany. – No tak. Oczywiście. Pierwszy dzwonek jest już za chwilę, więc... Mogę do ciebie zadzwonić? – Brzmi, jakby nie był pewien, czy powinien.

– Możesz. – Ale numeru i tak mu nie da.

– Z twoją ręką... wszystko w porządku? – Krew już wysycha.

– Wszystko okej.

– To ptak, prawda?

– Jaskółka.

– No tak.

Niezręczna cisza.

Nie ma miejsca na żadne nowe słowa. Miriam obciąga bluzkę, zapina dzinsy i w milczeniu wychodzi z biura.

CZARNO-BIAŁO

Miriam jest wytrącona z równowagi tym, co się właśnie wydarzyło u Becka Danielsa. Jakby wciąż jeszcze z nim walczyła, jakby wciąż lądowała na macie w sali gimnastycznej, jakby znów prawie się z nim bzykała.

Zanim udaje jej się dostać na piętro, żeby odnaleźć półkę Taveny White, dziewczęta wychodzą ze skrzydła internatu, by przygotować się do zajęć.

I proszę. Przy fontannie stoi Tavena White.

Jej włosy wciąż sterczą na wszystkie strony. Wielkie, pełne wyrazu oczy.

Rozmawia z przyjaciółkami.

Miriam nie wie, dlaczego jest taka nerwowa. Wspomnienie własnych doświadczeń szkolnych nie daje jej spokoju – wraca w najnieodpowiedniejszym momencie, by ją dręczyć.

Podchodzi do dziewczynki.

– Cześć – mówi. Macha złożoną karteczką z wiadomością, jakby chciała coś w ten sposób przekazać.

– Hej – odpowiada Tavena, a koleżanki patrzą na nią z nieukrywaną podejrzliwością. Nagle w oczach dziewczynki pojawia się wyraz zaskoczenia. – To pani była wczoraj w stołówce!

– Nie, to nie ja. Musiałś mnie z kimś pomylić. – Miriam stara się jej podać wiadomość na karteczce. – Proszę. Chciałam ci to dać.

Lecz Tavena nie wyciąga dłoni, żeby ją odebrać. Cała grupa odsuwa się kilka kroków. Miriam dopiero teraz dostrzega, że usiłuje przekazać kartkę zakrwawioną ręką. Ups.

Tavena rozgląda się, szukając kogoś, kto mógłby jej pomóc.

– Weź to, proszę – mówi Miriam, zmuszając się do uśmiechu. – I nie bój się, nie jestem tym obcym, z którym nie wolno wam rozmawiać. Jestem przyjaciółką i miałam tylko przekazać ci tę wiadomość. Nic więcej. A to na ręce to nie krew. Tylko farba. Tak, farba. Taka zwykła.

Oczy Taveny błyszczą dziko.

– Mama zawsze mi powtarzała, że mam nie rozmawiać z dziwnymi białymi kobietami.

– I dobrze. Widać, że wie, co mówi. Ale moja prababcia była Cherokee. – Kłamie. – Trzymaj, to tylko kartka. Nic więcej.

Tavena dostrzega kogoś za plecami Miriam.

– Pan Caldecott, pani Caldecott...

Miriam odwraca się. Widzi pielęgniarkę. Kobieta idzie w ich stronę. Klaszcze w dłonie.

– Ty mały szpiclu – warczy Miriam.

– Panna Black, prawda? – pyta pielęgniarka. – Prawdę mówiąc, miałam nadzieję, że już się nie spotkamy.

– Cóż mogę powiedzieć? Jestem jak opryszczka. Nie da się mnie pozbyć.

– Dziewczęta, możecie iść.

Tavena i jej koleżanki znikają. A Miriam wciąż trzyma w dłoni wiadomość. Cholera.

– Ja też mogę sobie pójść?

– Zaczynam się martwić pani nadmierną fascynacją naszymi uczennicami.

– Nie ma się czego obawiać. Słowo. Jestem nieszkodliwa.

– Najpierw dręczy pani Lauren Martin. Potem Tavenę White. Czy jest coś, o czym chciałaby mi pani powiedzieć?

Miriam milczy.

– Jest pani ranna w dłoń. Chodźmy może do gabinetu zabiegowego.

Opatrzę ranę.

– Żeby wezwać policję, kiedy się nie będę spodziewać? O nie, dziękuję.

– Dziewczyna zaczyna się odsuwać. Jest pewna, że starsza kobieta nie będzie próbowała jej zatrzymać. – Świetna szkoła, naprawdę. Ale muszę już lecieć.

– Jeśli jeszcze raz panią tu zobaczę, będzie pani miała problemy – mówi Caldecott.

– To był ostatni raz – kłamie Miriam. – Słowo honoru.

Żeby podkreślić obietnicę, kreśli palcami krzyżyk na sercu.

Poza tym ma coś do roboty. Musi zadzwonić w kilka miejsc.

LOTEM JASKÓŁKI

W każdym mieście i każdym miasteczku autobus jest jak filtr w brudnym basenie: wychwytuje brudy, gnijące liście, martwe żaby i zużyte gумы. Tutaj jest tak samo. Gość w pierwszym rzędzie cuchnie moczem i chipsami. Jest ubrany zgodnie z kanonem mody obowiązującym wśród włóczęgów, lecz Miriam nie ma pewności, czy jest hipsterem, czy rzeczywiście jest bezdomny.

Poza nim jest jeszcze dzieciak emo z twarzą mało widoczną zza metalowych ozdób, które nosi. Nie wygląda, jakby był po prostu naćpany – wygląda, jakby skonfiskował i spożył na miejscu całą wytwórnę narkotyków.

Za nim siedzi gość z głupkowskim wyrazem twarzy w przekrzywionej czapce. Przed wyjściem z domu musiał się wykąpać w wodzie kolońskiej. Kiwa głową w rytm muzyki, której inni nie słyszą.

Naprzeciwko niego widać śmiertelnie otyłe krówsko. Jej szarzące włosy przyciśnięte do głowy czepkiem pod prysznic wyglądają jak kot uwięziony w worku. Rozmawia przez telefon, krzycząc coś o swoich receptach.

W autobusie jest jeszcze Miriam Black.

Siedzi z tyłu.

Przez kilka godzin czekała na przystanku. Dzwoniła. Cały czas. Kontaktowała się z tatuażystami i studiami tatuażu w trzech stanach. Od Bloomsburga aż do Harrisburga.

Co telefon, to to samo pytanie.

Czy kiedykolwiek robiliście tatuaż jaskółki?

Pojawiły się odpowiedzi „tak”. Dziesiątki. Setki. Tatuaż jaskółki? Cholernie popularny. Niemalże powszechny. Wszyscy je mają w ofercie. Sailor Jerry. Ed Hardy. To już nie igła w stogu siana. To igła w stogu igieł.

Stara się opisać kształt.

Mówi, że to tylko kontur. Żadnych ozdób. Sam kształt ptaka – sylwetka z wyciętymi oczyma. Wytatuowana na piersi mężczyzny. Nie na cyckach jakiejś laski. Nie na spuchniętym bicepsie. Męskim. Torsie.

Nie, odpowiadają. Nie robili.

A potem kolejny telefon i rozmowa z Bryanem. Gość, który ma studio o nazwie Ink Monkey. Mówi, że robił coś takiego. Kilka razy. Prosty kształt. Powtarza to, o co zapytała. Żadnych ozdób.

Umawia się z nim.

Wskakuje do autobusu.

Niestety, jego studio znajduje się w mieście o nazwie Ash Creek.

Miriam je zna. Tam dorastała. Chociaż nie dokładnie tam. Na przedmieściach. Ale poczta była w Ash Creek.

Dlatego wszystko zaczyna wyglądać przerażająco znajomo.

Autobus mijają stary stragan przy farmie. The Honey Hole! Oczywiście, że go zna. Chodziła tam piechotą. Wrzucała kilka monet do puszek i kupowała miód.

Kiedyś stragan był czerwony jak cegła, czerwony jak świeżo pomalowana obora. Teraz jest brudny, zbutwiały i przechylony. Farba odchodzi z niego płatami, już jej praktycznie nie ma. Litery na znaku wyblakły. Tylko część da się odczytać. *he Honey Ho*.

Ma wrażenie, że w jej żołądku kłębi się stado głodnych węży.

Nie myśl o tym, tylko o tym nie myśl.

Myśl o tym, co masz do zrobienia, Black!

Jest cała spięta. Czuje się, jakby wnętrzości ścisnęła jej ogromna pięść.

To takie samo uczucie, jakie ogarnia dziecko na widok szkoły, którą zna i do której za żadne skarby nie chce iść.

Ktoś chce usiąść na miejscu obok. Autobus jeszcze się nie zatrzymał, ale ona najwyraźniej szuka wygodniejszego fotela. Chuda dziwka. Czterdzieści, ale wygląda na sześćdziesiąt lat. Wariatka. Może nauczycielka plastyki? Może wariatka i nauczycielka plastyki jednocześnie? Wielkie kolczyki. Luźna sukienka w psychodeliczne wzory.

Miriam otwiera nóż sprężynowy i ostrzem wydlubuje brud spod paznokci – stara się, by kobieta dobrze to widziała, zanim postanowi zostać obok niej.

– Jeśli dotkniesz mnie jakąś częścią swojego ciała, odetnę ją – mówi szybko.

Kobieta nieruchomieje w pół drogi i nie siada. Ucieka, żeby znaleźć inne miejsce.

Na dworze wszystko układa się w znajomy obraz. Miriam zna te drzewa. Te skrzynki pocztowe. Już blisko.

– Nie, nie, nie – powtarza pod nosem. – Nawet o tym nie myśl.

Ale i tak o tym myśli.

Nie tylko o tym myśli. Robi to.

Nie ma pojęcia, o co chodzi w walce przeznaczenia z wolną wolą, i nie potrafi powiedzieć, po której jest stronie. Wie jedynie, że podnosi się z fotela.

Unosi dłoń.

Chwyta za cięgno dzwonka.

I mocno za nie szarpie.

Autobus hamuje. Wszyscy lecą naprzód.

Nie rób tego, nie rób tego, nie rób tego.

Podchodzi do kierowcy. Mężczyzna spogląda na nią, jakby pośrodku czoła miała trzecie oko, tylko jedno ramię i wielkie cycki na brodzie: dziwoląg, mutant, zagrożenie.

Siadaj na miejscu, durna cipo.

– Chcę wysiąść – mówi Miriam.

– Co? – pyta kierowca, wielki czarny mężczyzna z plamami wątrobowymi na łysawej głowie.

– Otwieraj, kurwa, drzwi! – warczy bezdomny hipster o aromacie szczyń i chipsów.

Miriam krzywi się.

– Słyszałeś... tego kogoś.

Syk. Droga wolna.

Miriam wysiada na deszcz.

DARK HOLLOW

Droga Dark Hollow.

Długa, bez wydzielonych pasów. W połowie długości asfalt kończy się i przechodzi w szuter.

Miriam stoi na samym początku. Spogląda przed siebie w dal i widzi długi asfaltowy jezior upstrzony dziurami i wybrukowany liśćmi. Drzewa pochylają się nad nim, jakby chciały go zadusić, rozedrzeć na kawałki i wymazać z mapy świata. Z miejsca, gdzie stoi, nie może dostrzec żadnych domów – przy tej drodze nigdy nie mieszkało wielu ludzi – ale jest pewna, że szybko kogoś dostrzeże; stare wiejskie domy jak twarde białe zęby, okna jak oczy. Gotowe, by ją połknąć i wypluć.

Deszcz osiągnął wyższy poziom rozwoju – nie jest już zasłoną mokrej mgły. Zmienił się w prawdziwy deszcz. Nie po raz pierwszy będzie wyglądała jak przemoczony pies.

Idąc drogą, to z jednej, to z drugiej strony słyszy czyjeś kroki.

Liście. Opadają. Przesuwają się po ziemi popychane wiatrem. Dopiero potem nieruchomieją, przyszpilone do asfaltu kroplami deszczu.

Innym razem to tylko wiewiórka: szary błysk futra. Mknie po ziemi, wskakuje na drzewo i potrząsa ogonem, jakby chciała jej pogrozić albo ostrzec inne wiewiórki, albo może wskoczyć jej w majtki i dopełnić szalonego wiewiórczego aktu.

Za którymś razem, kiedy spogląda, ktoś tam naprawdę jest.

Ben Hodges. Nie ma całej potylicy. Zamiast niej zieje szkarłatny krater. Czaszka zmieniła się w pękniętą miskę czerwonych płatków

śniadaniowych.

Idzie razem z nią. Dłonie trzyma głęboko w kieszeniach.

– No proszę, dzisiaj żaden ptak nie wyżera ci mózgu – mówi, a jej głos ledwie przebija się przez zacinający deszcz. Jedyne akt przekory, na jaki może sobie pozwolić.

– Nie mam pojęcia, do czego pijesz – odpowiada, ale potem się uśmiecha. To mina Bena, jakby go miała przed sobą. Jego uśmiech jest jak strzała, która kiedyś przeszła jej serce, została ułamana, a ostry koniec tkwi w niej nadal i przy każdym uderzeniu serca kłuje ją boleśnie. – Nie rób takiej smutnej miny. To przecież nie twoja wina, że się zabiłem. Nie tylko twoja, w każdym razie.

Miriam zaciska szczęki.

– Przestań, kurwa, udawać, że to naprawdę ty. Bo nie jesteś Benem.

Kolejny uśmiech.

– Nie, masz rację. Nie jestem.

– No dobrze, to co teraz? Czemu zawdzięczam przyjemność w ten tak nie jesienny jeszcze dzień? – Jakby w podziękowaniu za komplement niebem wstrząsa odległy grzmot, podobny do huku ciężarówki podskakującej na progu zwalniającym na międzystanówce. – Wpadłeś znów spuścić mi łomot? Połamać mną stół? Wyciąć kolejnego ptaka? Drugą rękę mam jeszcze zdrową.

– Nie, tak tylko pomyślałem, że wyglądasz strasznie samotnie. Jesteś już tak blisko i teraz to. Odwiedziny w domu są zupełnie nie na miejscu. Rozproszą cię. Po co ci to?

– Pierdol się, okej? Chciałam i tyle.

– Doprawdy?

Nie odpowiada mu. Nie zna odpowiedzi.

– Wiesz, że mógłbyś mi po prostu powiedzieć, co robić. – Wyprzedza go,

obraca się i idzie tyłem, patrząc mu w oczy. Unosi dłoń jak do przybicia piątki. – Napisz mi na ręce nazwisko. To mi wystarczy. Albo na kawałku papieru. Może adres? Jak będzie? Panie Wszystkowiedzący Włamywaczu? Sir? Powiedz mi, gdzie znajdę mordercę, to wpadnę do niego z ostatnim namaszczeniem.

– To nic nie da. Poza tym nie mam papieru. Ani długopisu.

Uśmiecha się. Dopiero teraz dostrzega robaki kłębiące się między jego zębami.

W jej głowie rozlega się płacz noworodka.

Kolejna strzała przeszywająca jej serce.

– To spraw, żeby się pojawił. Cholera, przecież i tak nie jesteś prawdziwy. Sięgnij do dziury w potylicy i wyciągnij ze środka coś do pisania. Albo każ jakiemuś ptaszysku przynieść.

– To tak nie działa. Poza tym wcale nie wiem więcej od ciebie.

– Łżesz.

Wzrusza ramionami.

– Serio?

Pieprzyć go. Bierze zamach i uderza, lecz jej pięść przecina powietrze. Słyszcy łopot skrzydeł, jakby do lotu zerwało się całe stado ptaków – dźwięk robi się coraz głośniejszy i głośniejszy, aż w końcu rośnie tak strasznie, że jest ogłuszającym rykiem – a mimo to nie widzi żadnego ptaka. Ani jednego. Obraca się, patrzy w niebo, rozgląda się, ale poza deszczem nie widzi niczego. Tylko krople i liście, a hałas nie chce ustać. Dzwoni jej w uszach i...

Dźwięk milknie. Nie ma go. I to nie tak, że znika stopniowo. Nie – w pełnym pędzie trafia na ścianę.

Kiedy się odwraca, poznaje to miejsce.

Jest w domu.

Chryste, dom wygląda jak rudera.

To stary wiejski budynek: wąski, dwukondygnacyjny, wzniesiony z kamienia. Z zewnątrz ma tylko cztery narożniki, ale wewnątrz nieskończoną ilość kątów, wąskich przejść, dziwacznych zakrętów i drzwiczek, które Miriam uważała za wrota dla krasnali.

Dawniej matka Miriam utrzymywała cały dom w nienagannym stanie. Kiedy przychodziła jesień, schody prowadzące do wejścia zdobiły dynie i tykwy. W koszyczkach kwitły bratki we wszystkich kolorach tęczy. Ptaki ćwierkały w karmnikach. Odmalowane okiennice. Wszystko na swoim miejscu. Gdyby na ziemię spadło niedobre nasionko, w następnej chwili zjawiłaby się matka z pincetą, by usunąć niechcianą roślinną spermę ze swojej wypielegnowanej posesji.

To oczywiście przesada. Ale tylko trochę.

Jednak teraz...

Nie ma kwiatów, zniknęły karmniki, nie widać bratków. Nie ma dyń, nie ma tykw, nie ma niczego. Okiennice wyglądają, jakby od lat nikt ich nie odmalowywał. Kilka zwisa smętnie na wyłamanych zawiasach poniżej okien, które miały chronić.

Stopnie prowadzące do wejścia są obłupane na brzegach. Kilka kamiennych płytek zniknęło, inne są połamane.

Działkę przejęły we władanie chwasty i proklamowały tu swoje królestwo. Najemnicy upadku, niechciane rośliny, dokonują bezkrwawego przewrotu i bez strat własnych anektują dom, rozsadzają chodniki, obsadzając wszystkie pęknięcia schodów, i powoli, ale systematycznie poszerzają zajęte otwory. Dzikie wino usiłuje rozebrać budynek swoimi długimi palcami. Nie uda mu się teraz – nie dziś i nie jutro, ale, w końcu, to też nieuniknione.

Rynny całe pokryte rdzą. Zatkane liśćmi i ptasimi gniazdami.

Jedno okno wybite.

Skrzynka pocztowa jak pies ze zwieszoną głową. Smutny Snoopy patrzy na stopy.

Można odnieść wrażenie, że cały dom się lekko przechyla. Zupełnie jakby skłaniał się ku upadkowi, jakby pogodził się z tym, co i tak się stanie.

Odejdź. Zawróć i odejdź. Po prostu. Widziałas, co chciałaś zobaczyć. Teraz już wiesz, myśli Miriam.

Niewiele ją to kosztuje. Raptem dziesięć dodatkowych kroków i stanie na werandzie. Wystarczy zapukać, nic więcej.

Możesz znów zobaczyć matkę.

I tu jest pies pogrzebany.

Czy naprawdę tego chce? Czy jest gotowa? Czy to wszystko warte jest burzy, jaką sam pomysł wywołał w jej wnętrzu?

Wtedy niespodziewanie dzwoni telefon. Komórka Katey.

Nieznany numer.

Kurwa. I tak odbiera.

– Cześć, mamó – mówi ktoś. Znajomy głos.

– Lora? – pyta.

– Dostałam wiadomość.

– A czy ja tam napisałam, żebyś mówiła do mnie mamó? To, kurwa, trochę nienormalne, wiesz?

– Tak, ale powiedziałam, że muszę zadzwonić do mamy, i dzięki temu mam prawo rozmawiać na osobności. Okej, już nas nie podsłuchują. I nie będę mówiła do ciebie mamó. Chryste.

– Masz szczęście.

– Wporzo. To czego ode mnie chciałaś, wariatko?

Miriam nie może oderwać wzroku od domu. Czyżby przed chwilą

poruszyły się zasłony? Nie. Może. Chyba.

– Chcę ocalić ci życie.

– Ja nie mogę, znowu to samo. Gdzie jesteś?

– Co? Ach. Stoję przed domem, w którym się wychowałam. Należy do mojej matki.

– Myślałam, że nie lubisz swojej mamy?

– Sama nie wiem. Na pewno nie lubiłam. Ale teraz nie jestem już pewna.

Od lat się nie widziałyśmy.

Dziewczynka czeka z odpowiedzią.

– Smutne – mówi w końcu.

– Pewnie tak. Ale to też dobrze. Nie jestem dla niej odpowiednią osobą. A ona dla mnie. Po co pchać się w taki konflikt i komplikować sobie życie?

– Skądś to znam. Strasznie tęsknię za moją mamą. Nienawidzę jej i jednocześnie chcę ją zobaczyć.

– Kurwa, ale to popieprzone.

– Zgadza się. – Głębokie westchnienie. – Naprawdę jesteś medium?

Masz jakieś moce?

– Żebyś wiedziała.

– Udowodnij. Co mam na sobie?

– Co ty jesteś, panienska z sekstelefonu? – odpowiada Miriam. – Poza tym mogłaś wybrać trudniejsze pytanie. Masz na sobie swój mundurek szkolny.

– Ups. No tak. Hmm. Racja. W takim razie, co trzymam w ręku?

– Nie mam pojęcia. Pacynkę? Martwą wiewiórkę? Puskę po zupie pełną ludzkich zębów? Słuchaj, to nie działa w ten sposób. Moje voodoo dotyczy tylko jednej jedynej rzeczy. Śmierci. Widzę, jak ludzie umierają. I to wszystko. Koniec.

Lora robi hrmmm.

– Musisz mieć strasznie smutne życie.

– Dzięki, że mi o tym przypomniałaś. Muszę kończyć, żeby poszukać trujących grzybków. Nazbieram i zjem tyle, żeby mnie zabiły. A potem przyjdą niedźwiedzie i zgwałcą i zjedzą moje martwe ciało.

– O rany, naprawdę wiesz, jak rozmawiać z nastolatkami. Podsuwasz mojej szalonej wyobraźni obrazy niecodziennej niedźwiedziej miłości.

– Niedźwiedzia miłość. Brzmi nieźle.

– Dzięki. Dobra, koniec ściemniania, wariatko.

– Nie jestem wariatką.

– Niech ci będzie. Mów, o co ci chodzi.

– Musisz mieć oczy szeroko otwarte. Morderca jeszcze się po ciebie nie wybiera, ale jestem pewna, że już zaczął robić swoje i zabija inne dziewczyny. Poza tym nigdy nie wiadomo: możliwe, że już teraz cię obserwuje. Może to ktoś, kogo znasz. Daj mi znać, jeśli zauważysz coś dziwnego.

– Rany, całe to miejsce jest przecież dziwaczne.

– Zgadza się.

– Wiedziałaś na przykład, że szkolna pielęgniarka jest w rzeczywistości właścicielką wszystkiego tutaj?

– Obiło mi się o uszy.

– I jeszcze coś. W rzece jest sum. Jest dość duży, żeby pożreć człowieka. A przynajmniej dziecko. Ludzie mówią, że to może być manat, który zabłądził tu z Florydy.

– Ciekawe, ale wiesz, nie chodziło mi o takie rzeczy, kiedy wspomniałam o czymś niecodziennym. Bądź po prostu ostrożna i uważaj na siebie. Dobrze? Gdyby... gdyby coś się działo, zadzwoń do mnie.

– Nie ma sprawy. Jak chcesz, wariatko.

– Gdybyś tylko wiedziała, jak bardzo cię nie lubię.

– Nieprawda, lubisz mnie. Dlatego się o mnie troszczysz. Pozdrów ode mnie swoją mamę.

– Nie będziesz mi mówiła, co mam... – zaczyna Miriam, ale nie kończy.

Dziewczynka się rozłącza.

Mała głupia cipa.

Miriam zostaje sam na sam z domem. Ze zniszczonym, podupadającym domem. Zrujnowanym domem. Czy jej matka też jest w takim stanie? Zrujnowana?

Pozdrów ode mnie swoją mamę!

Nie będziesz mi mówiła, co mam robić.

Potem odwraca się na pięcie i rusza z powrotem. Idzie w kierunku drogi.

Skręca w prawo.

Idzie dalej.

Nie dzisiaj, myśli. Nie dzisiaj.

Ale za plecami słyszy jakiś hałas. Szczęknięcie i skrzypienie otwieranych drzwi.

I czyjś głos woła za nią.

– Halo? Kto to?

Męski głos.

Hm.

Zawraca, mruży oczy i unosi dłoń, żeby osłonić twarz przed zacinającym deszczem. W drzwiach domu, w którym dorastała, stoi jakiś mężczyzna. Ma na sobie stary brudny T-shirt i prążkowane bokserki. W dłoni trzyma miskę płatków śniadaniowych. Na koziej bródce widać ślady mleka. Wygląda na pięćdziesiąt kilka lat.

Miriam powoli rusza w stronę domu.

Mężczyzna trzyma łyżkę, jakby był gotów użyć jej jak broni i zdzielić

intruza w sam środek czoła.

– Czy my się znamy? – pyta, marszcząc twarz. Z brody dalej kapie mu mleko. Wyciera ją nadgarstkiem. – Wyglądasz jakoś znajomo.

– Cześć, wujku Jack – odpowiada Miriam. I na powitanie kiwa dłonią.

– Ach. Miriam. No proszę, aleś wyrosła.

– Ano wyrosłam.

– Pewnie przyjechałaś odwiedzić mamę, co?

Nie wiem.

– No pewnie.

Marszczy czoło. Wzrusza ramionami.

– W takim razie zapraszam.

CO SIĘ STAŁO Z MATKĄ

Miriam niemal pęka serce.

Nie jest pedantką. Ale jej matka uwielbiała porządek. A to, co widzi w domu, to obraz nędzy i rozpacz. Brud. Miejsce, którego świnia nie nazwałaby domem bez paskudnego zażenowania.

Po prawej stronie od wejścia jest kuchnia. Najprawdziwszy koszmar senny. Talerze, garnki i miski na wielkich stosach. Na blatach plamy przyschniętego starego jedzenia. Brudna kuchenka mikrofalowa – ta sama, której używała Miriam, kiedy tu mieszkała – mruga zegarem z godziną 12.00. Puste puszk. Puszki po żarciu dla psów, myśli. O Boże, wuj Jack zjada Pedigree.

Na szczęście w tej samej chwili widzi małego puchatego pieska. Biegnie, stukając pazurkami po drewnianej podłodze. Różowy język z obsesyjną miłością wylizuje jej but.

Wuj Jack odsuwa psinę wykrzywionym palcem nogi.

– Spadaj, Pooki, wynocha. Zostaw ją w spokoju. No dalej, już cię nie ma!

Pazurki znów stukoczą o podłogę, zwierzę w końcu odzyskuje trakcję i bestia znika.

– Wejdz. – Jack daje jej znak dłonią.

Zapach wnętrza domu doskonale pasuje do tego, co widzi. Pleśń, kurz, stęchlizna, pies i coś jeszcze...

O Boże, to matka.

Śmierć.

To odległa woń szczyń i gówna. I sprayu do odświeżania powietrza, który ktoś obficie rozpylił, żeby przykryć pierwszą woń. Tak pachną szpitale i domy starców.

Jack wchodzi do salonu i siada ciężko na miękkim rozkładanym fotelu, którego dziesięć lat temu jeszcze tam nie było, i zaczyna grzebać łyżką w płatkach śniadaniowych – jakichś tanich, paskudnie kolorowych. Jest bardzo poważny.

Na suficie plamy po zalaniu.

W narożniku stary telewizor ze szklanym kineskopem, a na jego wierzchu mały i tani z płaskim ekranem.

Na ścianach poprzekrzywiane obrazki.

– Jak to było? – pyta. – Jak matka... odeszła?

Mężczyzna mruży oczy. Przygląda jej się przez chwilę, siorbiąc mleko.

– Skąd o tym wiesz?

– Czuję zapach.

– Ach. Hm. Okej. Pewnego dnia po prostu nas opuściła. Kto jak kto, ale ty powinnaś wiedzieć najlepiej.

Kto jak kto, ale ty...

– Jak to się stało? Co się wydarzyło?

Wuj Jack prycha. Słysząc wyraźnie bulgot flegmy w gardle.

– Ja cię kręcę, no jak to jak, nie wiem dokładnie. Wiem tylko, że pewnego dnia podjęła taką decyzję i było po wszystkim.

Decyzja.

– Czy była chora?

– No chyba. – Robi się zły. – I tak dalej nic nie rozumiem.

– Jack, przestań owijać w bawełnę i wykrztuś to z siebie. Jak odeszła?

– Nie wiem! – mówi, nagle zdenerwowany. – Autobusem, co nie? A potem, cholera, chyba samolotem? Tak, myślę, że to był samolot. Nic mi do

tego, jak podróżuje.

– Autobus. Samolot. Podróżuje? – Miriam wyobraża sobie Ponurego Żniwiarza za sterami samolotu, radośnie poprawiającego czapkę kapitana i przypinkę ze złotymi skrzydłami. – Jasna kurweńka, o czym ty w ogóle mówisz?

– O twojej matce. I o tym, jak się dostała na Florydę.

– Flo-kurwa-rydę?

– O niech mnie, ależ mała Miriam nauczyła się słów!

– Wujek, przestań pierdolić, dobra? Mówisz, że mama jest na Florydzie.

I żyje.

Spogląda na nią jak na wariatkę.

– No od początku to powtarzam. – Śmieje się. – A ty myślałaś, że nie żyje? Niezłe. Nie, po prostu zwinęła się i uciekła na południe. Ot co.

– To dlaczego nie powiedziałaś tego normalnie?

– Myślałem, że wiesz! Powiedziałaś, że wiesz. Że to... czujesz. – Marszczy brwi. Hałaśliwie siorbie kolorowe i słodkie mleko z miseczki. – Tak teraz myślę, że to dziwaczna rzecz, żeby mówić takie coś.

– Doprawdy? Co ty nie powiesz? – Miriam czuje, jak rozluźnia się pięść ściskająca dotychczas jej wnętrzności. – W takim razie co tutaj tak śmierdzi?

– Tutaj śmierdzi?

Ten smród to jego smród.

– Nieważne zresztą. Dobra, a kiedy matka wyjechała na Florydę?

– Nie pamiętam... Będzie ze dwa lata, jak nie lepiej. Pojechała pomóc przy budowie jakiegoś nowego kościoła i zdecydowała, że tam zostanie.

Floryda. Blee. Na horyzoncie znów pojawia się Ponury Żniwiarz, lecz tym razem nie leci, ale płynie na skuterze wodnym wzdłuż wybrzeża. Po drodze wymachuje kosą, ścinając starszków taplających się po obu

stronach. Zabawa, słońce, rak skóry i zbiorniki na kał po operacji jelit.

Trudno jej wyobrazić sobie matkę w takim otoczeniu. Jest okrągła jak orzeszek. I twarda jak kamień nerkowy. Ma jasną karnację. Nie tyle się opala, co po prostu obchodzi ze skóry.

Miriam jest nawet szczęśliwa, że nie doszło do spotkania. Nie dzisiaj i pewnie już nigdy. Ale jest jeszcze to dziwaczne uczucie – właściwie to czego dotyczy? Czyżby chodziło o chmurę wzburzonych osadów rozczarowania? I znów: rozczarowania czym? Tym, że nie zobaczy Najukochańszej Mamusi? Mamy, która traktowała ją jak obywatela drugiej kategorii? Poniżała ją do dnia, kiedy wyszło na jaw, że jest w ciąży?

– Co tam? – Jack odstawia miseczkę po płatkach na niedbałym stosie magazynów wędkarskich i myśliwskich. – Jak ci się powodzi?

– Cudownie – odwarkuje Miriam. Wysuwa papierosa z paczki. – Mogę?

– Tylko jeśli mnie poczęstujesz.

Miriam pstryka mu papierosem na kolana. Łapie. Zanim zdążył wsunąć go między obwisłe psie wargi, Miriam podsuwa mu ogień.

– Gdzie się podziewałaś? – pyta.

– Tu i tam.

– Bardzo dawno cię nie widzieliśmy.

– My? Wy mnie nie widzieliście? Chryste. Przecież wcześniej widywaliśmy się i tak raz na kilka lat, w najlepszym razie.

Ilekcóż potrzebowałaś pieniędzy. Albo nie miałaś się gdzie podziać. Albo musiałaś się kryć przed glinami. Bogobojna i prawa mama, ukrywająca uciekającego przed sprawiedliwością złoczyńcę. Ileż musiała się nakombinować, żeby to uzasadnić. Bóg wybacza. Albo: po to się ma rodzinę. Dla rodziny, Miriam, tylko dla rodziny. Wszyscy dbamy o siebie nawzajem, nawet jeśli to wymaga od nas poświęceń. Wiedziałybyś, gdybyś nie była taką egoistką.

– Ale chyba mam prawo tęsknić za swoją siostrzenicą, nie?

– Daj se siana. Nie tęskniłeś za mną.

– Okej. Może i nie. Ale twoja matka tak.

Miriam wzrusza ramionami.

– Ma pecha.

– Wiem, że możesz mieć o mnie złe zdanie. Nie powinnaś. Zmieniłem się.

– Oj, Jack, ludzie się nie zmieniają. Nigdy. Po prostu wpadają w coraz to nowe kłopoty.

– Rany, jesteś strasznie zgorzkniała jak na tak młodą kobietę.

– No popatrz, a zawsze byłam taką optymistką!

Wuj Jack wydobywa z kieszeni pomietą chusteczkę i wydmuchuje długo nos.

– Rozumiem. To, co cię spotkało, to nie było nic przyjemnego. No, ta sprawa z chłopakiem i... – Przerywa i nie wie, jak to powiedzieć. – Chodzi o to, że rozumiem, dlaczego ruszyłaś w świat. Jednak powinnaś była wrócić. Albo chociaż zatelefonować. Twoja biedna matka została sama. Ty ją walnęłaś z nienacka w twarz i związałaś.

– No dobrze. – Miriam uśmiecha się i klaszcze radośnie. – Cudownie było się spotkać i poplotkować, ale muszę już lecieć.

Wypuszcza dym z płuc i odwraca się w kierunku wyjścia.

– Aha, no pewnie. Już, uciekaj. Tylko tyle potrafisz.

– Przepraszam. Wydawało mi się czy naprawdę coś powiedziałaś? – Spogląda na niego. – Masz tupet, były-złodzieju-samochodów. O rany, a pamiętasz, jak przez dwa lata nie dawałeś znaku życia, a potem niespodziewanie pojawiłeś się pijany w cztery dupy i wjechałeś samochodem w to drzewo po drugiej stronie ulicy? Przez kilka dni nie miałyśmy potem prądu, ale czy zostałeś pomóc? Bo o ile mnie pamięć nie

myli, wygramoliłeś się z wraku i ruszyłeś przed siebie, jak Mojżesz przez pieprzoną pustynię! Dawniej byłeś obleśnym włóczęgą i dzisiaj jesteś nim nadal. Do zobaczenia, Jack. Przekaż mamie, że... a co tam, przekaz jej, co sobie chcesz.

Tym razem naprawdę wychodzi. Przesłupuje nad mopowatym psem, który radośnie tupta do pomieszczenia stanowiącego zagrożenie dla życia – czyli kuchni.

Jack dźwiga się z fotela i rusza za nią.

– Taka jesteś mądra, co? – krzyczy, biegnąc za nią. – Po mojemu to ty też nie masz nawet nocnika, żeby się wyszczać. Pewnie. Masz rację. Jestem włóczęgą. Zgoda. Nie mam niczego. Ale to nie moja wina. Mam dysleksję i dysgrafię. I problemy z depresją. Więc daj mi, z łaski swojej, spokój.

Miriam zatrzymuje się w progu i odwraca, by spojrzeć mu w twarz. Dopiero teraz widzi, jak bardzo jest wynędzniały: zapadnięte głęboko policzki, podkrążone oczy, zęby koloru płwocin po żuciu tytoniu. Jednak nie potrafi znaleźć w sobie współczucia dla tego człowieka. Tylko gniew. Może jest zła na niego. Może na coś innego.

– Przykro mi, ale jesteś nie tylko żałosny, ale też głupi – mówi. – I to też nie moja wina. Ja kontroluję swoje życie, Jack. Potrafisz sobie wyobrazić, że jako dziecko myślałam, że jesteś fajnym gościem? Cholera. No dalej, śmiało, podkul ogon i spadaj na swój zarzygany, śmierdzący fotel.

– Stałaś się okropnie nieprzyjemna. – Potrzęsa głową.

– Nieprawda. Stałam się uczciwa – syczy. – Gówniane złudzenia zostały wybite ze mnie szuflą do śniegu, na podłodze w szkolnej łazience.

Jack sięga w jej stronę, ale ona się odsuwa.

Nie chce zobaczyć, jak umrze. Wie, że to będzie żałosny i bezsensowny zgon. Pewnie zaśnie w fotelu z zapalonym papierosem na kolanach i spali się jak wysuszona choinka. Albo uderzy się o coś, straci przytomność i

głodny pies zeżre mu twarz.

Odchodzi.

– Po co w ogóle przyjeżdżałaś, co? – krzyczy za nią. Stoi boso na najwyższym stopniu.

Miriam nawet nie próbuje mu tłumaczyć.

– Może byś chociaż wzięła numer do swojej matki? Albo jej adres?

Nie zatrzymuje się.

Bo ma zadanie do wykonania.

BARWNIK

Idzie do samego końca, nigdzie się nie zatrzymując. Potem Dark Hollow. Dociera do skrzyżowania z główną drogą. Jest przemoczona do suchej nitki i jeszcze bardziej. Ma przed sobą kolejne pół godziny marszu do Ash Creek, które nawet dzisiaj składa się z kilku krzyżujących się ulic ze światłami na każdym z czterech skrzyżowań. Nic się tam nie dzieje. Są samochody. Wszystkie tylko przejazdem. Każdy akurat wyjeżdża, zostawiając Ash Creek w lusterku wstecznym.

Tak jak ona, dziesięć lat temu.

Niektóre miejsca wyglądają wciąż identycznie. Grill z kiełbaskami nic się nie zmienił. Obok budka z lodami, ze znaku zwisa wielki rożek z pomalowanej na różowo sklejki. Niestrudzony czas atakował go przez lata i dziś niewiele zostało na nim farby. Na narożniku sklep wszystko-za-dolara. To samo miejsce, ta sama nazwa. Wszystko-Za-Dolara-U-Bennera. I tylko zmienił się asortyment. Za dolca nic się już nie kupi. Nawet główniane piłeczki z automatu przy wejściu kosztują więcej.

Miriam widzi też zmiany.

Stacja benzynowa Pappy's Gas stała się stacją Exxon.

Nie ma też parku pośrodku miasteczka. Jego miejsce zajęły klockowate bloki i domki jednorodzinne.

Ceglany Grill u Luberta to dziś apteka sieci Rite-Aid.

A w miejscu, gdzie niegdyś można było wypić kawę, dziś znajduje się studio tatuażu Ink Monkey Studio.

Miriam nie może powstrzymać uśmiechu. Jej matka narobiłaby w gacie,

widząc to wszystko. Pracownia tatuażu? O, świecie! Równie dobrze mogłaby tam stać wieża Babel, by Bóg zniszczył ją jak wieżę z klocków. Targowisko próżności i wynaturzeń. Przygotujcie parasole, pontony i parkę lwów, bo kolejny potop to tylko kwestia czasu!

Wciąż nie potrafi uwierzyć, że matka mieszka teraz na Florydzie. Floryda. Aligatory. Kubańczycy. Starzy ludzie i karaluchy tak wielkie, że można je nosić zamiast kapeluszy.

Pal diabli.

Wchodzi do środka. Odzywa się czarujący dzwoneczek zawieszony nad drzwiami.

Dzyń, dzyń!

Spodziewa się wnętrza obskurnego, mrocznego, industrialnego – słabe światło, zapach papierosów, może rozlane piwo. Coś ryczącego z głośników.

Ale gdzie tam. Jest jasno i czysto. Na podłodze panele. Na ścianie błyszcząca gablotka z koszulkami, naklejkami na zderzak i zapalniczkami – wszystko z logo studia.

Rozczarowujące.

Za ladą na tablicy zaprezentowane projekty tatuaży: czaszki, smoki, flagi i jakieś azjatyckie uduchowione pierdy.

W narożniku niewielki telewizor na wysięgniku sterczącym ze ściany. Wiadomości lokalne.

Klient opiera się o ladę. Szczupła dziewczyna, figurą przypomina Miriam. Jasnoniebieskie dżinsy opuszczają się trochę, a w przerwie między nimi i różową bluzeczką widać stringi w kolorze identycznym jak włosy Miriam.

Rozmawia z gościem po drugiej stronie. Młodym chłopakiem. Zmierzwił włosy mają sprawiać wrażenie, że zupełnie o nie nie dba, ale

przygotowanie fryzury wiązało się pewnie z dwugodzinnym nakładaniem jakiegoś lepkiego gówna, żeby się trzymały. Płatki uszu ma rozciągnięte i obwisłe. Obciążają je dwie płaskie nakrętki do kół.

Między chłopakiem a dziewczyną leży otwarta książka. Album z projektami tatuaży.

– Sama nie wiem – mówi. – To będzie mój pierwszy tatuaż. Chcę, żeby był specjalny. Chcę, żeby coś oznaczał.

Przewraca kolejne strony, a chłopak ze zrozumieniem kiwa głową.

Miriam przewraca oczyma.

Opiera się o ladę tuż obok niedoszłej klientki i potrąca ją biodrem.

Potem udaje chichot i mówi:

– Ups, przepraszam! Hej, a myślałaś, żeby sobie strzelić motylka? Albo jednoroźca? Albo, mój Boże, chińskie szlaczki oznaczające motylka przysiadającego na rogu jednoroźca?

Dziewczyna nie wie, co powiedzieć. Nie jest pewna, czy to dowcip. Spogląda na chłopaka za ladą i pyta na wszelki wypadek:

– Zrobilibyście coś takiego?

– Hmm – odpowiada, powstrzymując śmiech. – Może?

Miriam pstryka dziewczynę w nos...

Ma sto lat. To jej urodziny. Stoi przed nią wielki tort. Jedna świeczka zamiast stu, bo, na Boga, nie starczyłoby jej oddechu, żeby zgasić takie ognisko. Dzieci, dzieci, dzieci i znajomi zebrali się, by z nią świętować. Staruszka odchyła się, by nabrać powietrza do słabiutkich jak tetrowa pieluszka płuc, a potem porusza się do przodu, by dmuchnąć i – od ściany żyły odrywa się skrzep i trafia prosto do mózgu, przez który przechodzi, robiąc tyle szkód, co pocisk kaliber .22, i zabija ją w ułamku sekundy. Kiedy pada na plecy, nogi sterczą wysoko w powietrzu, jak nogi złej więdźmy zgniecionej przez domek Dorotki, a na kostce widać niewielkiego

niebieskiego motylka – teraz trochę już rozciągniętego.

...a ona odskakuje.

– Hej, co to...!

– Nie, głuptasie, nie mają tego w ofercie. Jeśli naprawdę chcesz, żeby twój tatuaż coś oznaczał, nie da się przyjść i wybrać go sobie z jakiejś głupiej książeczki. Musiałabyś przyjść, wiedząc już, czego dokładnie chcesz. Walisz wtedy projektem na ladę i mówisz: „Chcę na pośladku nosić wizerunek pieprzonego tygrysa, bo jestem jak Rocky, gotowa do walki i nigdy się nie poddamę”!

– Hmm... chyba jeszcze nie jestem gotowa.

Gość za ladą przygląda się całej scenie ze zblazowanym uśmiechem i obojętnością.

– No pewnie, że nie jesteś gotowa, idiotko! Tatuaż jest manifestacją twojego wnętrza na zewnątrz. To, kurwa, głębokie, musisz to zrozumieć.

– Rany, masz rację! A jaki ty masz tatuaż?

– Uchwyty nad pośladkami. Jak gość mnie posuwa od tyłu, może przynajmniej udawać, że się tego trzyma. Niezłe, nie?

Dziewczyna robi przerażoną minę.

Miriam strzela palcami.

– Jeśli nie chcesz dać się pokłuć, to nie zajmuj miejsca i sprawdź po drugiej stronie ulicy, czy cię tam nie ma.

– Nie rozumiem... skoro tu jestem...

– Kurwa, czy ty mnie słuchasz? Wypierdalaj!

Dziewczyna błędnie i biegiem opuszcza studio.

Gość za ladą mruga zaskoczony.

– To było niezłe. Nie wiem, czy zauważyłaś, ale to była moja klientka?

– Wróci. Masz moje słowo. Zażyczy sobie motylka. I jeszcze jedno. Tak naprawdę nie macie tych chińskich znaczków oznaczających motylka na

jednorozcu, prawda?

– Zgadza się. To znaczy nie. Nie mamy.

– Uff. To dobrze. W takim razie możemy iść dalej. Ty jesteś Bryan?

– Tak. Dlaczego pytasz?

W pierwszym odruchu Miriam chce podać mu rękę, ale – nieeee, nie chce wiedzieć, jak umrze. Zbyt fajnie wygląda. Znając jej szczęście, dowiedziałyby się, że zejdzie w jakiejś mocno kontrowersyjnej czy krępującej sytuacji – na przykład zgwałcony analnie przez rozochoczoną pandę albo coś w tym rodzaju. Wtedy rozmowa potoczyłaby się zapewne nie tak, jak zaplanowała. Wystarczy, że musiała oglądać tę małą tipsiarę w wieku stu lat. Blee.

– To ja dzwoniłam. Chodziło o tatuaż z jaskółką.

– No tak. Pamiętam. – Nachyla się i stękając, wyjmując spod lady inny album, tym razem naprawdę rozepchany. Na każdej stronie rysunki i zdjęcia wzorów. – Robię dokumentację każdej dziary, jaką stworzę.

Zaczyna przerzucać kolejne strony. Szkielety na motocyklach, imiona dziewczyn, bluszcz oplatający biceps, twarz diabła po wewnętrznej stronie kobiecego uda.

Przewraca kartkę i widać na niej zwój drutu kolczastego zapleciony dookoła nadgarstka jakiejś dziewczyny.

Miriam z trudem opanowuje dreszcz przerażenia.

Kilkanaście kolejnych stron: tatuaże jaskółek. Dziesiątki wzorów. Robione różowym barwnikiem, niebieskim, z puchatymi piórami, słodkimi oczkami, trzymające w pazurkach wstążki z imionami ukochanych osób. Po chwili Bryan pokazuje jej ostatnią stronę i stuka palcem w umieszczone tam zdjęcie.

– Proszę, to on.

Korek szampana nie wystrzelił w powietrze; opadł żałośnie na podłogę.

– Nie tego szukałam – mówi. Cholera.

Jaskółka została wytatuowana na męskim bicepsie. I o ile rozdwojony ogon i rozłożone skrzydła są rzeczywiście bardzo wyraźne, na obrazku znajduje się cały szereg wiernie oddanych szczegółów: pojedyncze pióra, wyraźne oczy.

– Jaskółka, której szukam, jest wytatuowana na klatce piersiowej mężczyzny. To raczej sam kształt ptaka, taki sam jak tutaj, ale praktycznie bez żadnych szczegółów. Stary, przecież mówiłam wyraźnie przez telefon. Sam kontur. Jedynym dodatkiem są oczy, ale nawet one to tylko małe kółka, puste w środku.

– A to nie, przykro mi. To jedyny, jaki mam w...

Ostatnie słowo, jakie mówi, to „księżce”, ale Miriam go nie słyszy, bo nagle wszystkie dźwięki zaczynają falować i stają się niewyraźne, jakby ktoś w jej głowie bawił się gałkami na stole mikserskim. Dziewczyna czuje falę ciepła, a jej wzrok traci ostrość.

Cofa się o krok i wtedy to zauważa.

Na ekranie telewizora w górnym narożniku pomieszczenia.

Twarz nastoletniej dziewczyny. W wiadomościach.

Widzi czaszkę. Otwarte usta. Z oczu płynie krew.

Po chwili obraz wraca do normy i znów widzi wszystko normalnie.

Bryan patrzy na nią z zaciekawionym.

– W porządku...?

Ale ona błyskawicznie go ucisza uniesionym palcem.

Słucha. I ogląda.

– Osiemnastoletnia Annie Valentine została porwana przez mężczyznę w bluzie z kapturem. Po raz ostatni widziano ją wciąganą do autobusu typu A przez mężczyznę w bluzie z kapturem. Świadkowie twierdzą, że miała zakrwawioną głowę.

– Autobus szkolny... – Miriam mamrocze pod nosem.

Ponownie pokazują to samo zdjęcie. Wygląda jak fotografia ściągnięta z Facebooka. Długie proste włosy. Przeciętą twarz. Dziewczyna, z jaką się żenisz, a nie o jakiej śnią faceci. Na obrazku wygląda, jakby była pijana. W dłoni trzyma plastikowy kubek z zawartością w kolorze sików. Budweiser albo coors. Albo jeszcze inne piwo light.

Znów pojawia się czaszka, czasem jest wyraźniejsza, czasem znacznie mniej.

Tak samo widziała twarz Taveny White.

Znak. Jak znak na rozdrożu, wskazujący jej kierunek ku przeznaczeniu. Lecz dziś jej przeznaczenie jest zalaną drogą. Zerwanym mostem. Miną pułapką.

– Nie, nie, nie... – powtarza Miriam. To się dzieje. To się dzieje właśnie teraz. Nie za dwa lata. Dziś. I może trwa już od dawna.

– O co chodzi? Znasz tę dziewczynę?

– N...nie... – Przecież nie może powiedzieć mu prawdy. Nie może. Dociera za to do niej, że czas ucieka. Może zresztą tak było od początku? Myślała, że ma jeszcze dwa lata, a to całkiem sporo. Jednak nie. Właśnie została porwana dziewczyna. Być może jest już martwa.

Miriam niemalże słyszy tykanie. I szelest skrzydeł.

– O rany, wyglądasz, jakbyś strasznie przeżyła porwanie dziewczyny, której nie znasz.

Świerzbi ją skóra. Ma wrażenie, że wszystkie zęby jej wibrują. Cały stres minionego dnia – matka na Florydzie, wuj Jack i jego pieprzenie, to, co się wydarzyło u Becka w gabinecie, a teraz wiadomości – wszystko razem jest jak ostry sztylet wbity w jej kark i wciskany coraz głębiej i głębiej.

– Masz tutaj... masz może komputer?

– Co? Tak, pewnie.

- Muszę z niego skorzystać.
- Wybacz, ale to tylko do prywatnego użytku.
- Okej, powtórzę wolniej, żebyś zrozumiał. Muszę z niego skorzystać.
- To nie jest biblioteka publiczna.

Miriam sięga do kieszeni i wyjmując zmięty banknot dwudziestodolarowy. Rzuca go na ladę.

– To moja pierwsza propozycja. Druga będzie znacznie mniej opłacalna, za to przerażająca jak cholera. Posłuchaj mojej rady i schowaj pieniądze do kieszeni, bo taniej ci to wyjdzie, niż jak by mi miało odpierdolić w twoim eleganckim i czystym studiu.

Przygląda jej się uważnie. Ma w sobie coś nieprzewidywalnego i on musi widzieć szaleństwo błyszczące w jej oczach. Połyskujące i niebezpieczne.

- Chodź – mówi, niedbale chwytając pogniecioną dwudziestkę.

O BOGOWIE GOOGLE'A, WYSŁUCHAJCIE MYCH SMĘTNYCH ZAWODZEŃ

Komputer – laptop – stoi na niewielkim stoliku zaraz obok obrotowego, regulowanego fotela w brązowo-bordowym kolorze. Miriam dostrzega wszystkie utensylia przynależne takiemu miejscu: elektryczną igłę do nakładania barwnika, waciki, opatrunki i środki odkażające.

Bryan podsuwa jej niewielkie krzesło biurowe na kółkach, a ona bez wahania sadza na nim swoje cztery litery i skupia wzrok na laptopie. Ale nic nie robi.

Znów unosi wzrok i patrzy na chłopaka.

– Masz tutaj internet, prawda?

– Pewnie.

– Super.

Dalej wpatruje się w komputer.

Cmoka językiem o podniebienie. Naciska jakiś klawisz. Laptop budzi się z uśpiania.

Na pulpicie bałagan maleńkich ikonek, obrazków i innych hieroglifów.

– Czy twój komputer ma Google? – pyta.

– Co? Nie... komputer nie ma Google'a. To tylko komputer. Ale każdy komputer z dostępem do sieci może połączyć się z tą witryną.

– No tak. Racja. Oczywiście.

Dotyka touchpada pod klawiaturą i wtedy na ekranie pojawia się kursor.

– Waaaw. No na-resz-cie! I to nazywam komputerowaniem!

– Wybacz pytanie, ale czy potrafisz posługiwać się komputerem?

– No cóż. Chyba. Hm. Chyba raczej nie.

– Poważnie?

– Poważnie.

– Ile masz lat? Bo chyba jesteś najmłodszej wyglądającą osiemdziesiątką, jaką kiedykolwiek widziałem.

Miriam obraca się razem z krzesłem.

– Hej, morda w kubę, kolego. Od przeszło dziesięciu lat jestem bezdomna, okej? A nawet wcześniej. Moja szkoła nie przejawiała jakiegoś nadmiernego zapалу do nauczania dzieciaków o cudownościach wszechmocnej... Super-Cyber-Info-Strady.

– Wstawaj.

– Z przyjemnością.

Miriam posłusznie ustępuje mu miejsca. Bryan klika jedną z ikonek i momentalnie pojawia się okno jakiegoś programu.

Na pierwszym planie widać kolorowe literki układające się w napis „Google”.

– Dobra, czego szukamy?

– Autobusu szkolnego.

Wzrusza ramionami, ale zaczyna wpisywać zapytanie.

– Nie, czekaj. On powiedział, że to był autobus szkolny typu A. Chcę wiedzieć, co to znaczy.

Chłopak wybiera opcję grafiki i na ekranie pojawiają się zdjęcia autobusów. I Miriam rozumie, co to za pojazd.

– To autobus specjalny – mówi. – Debilomobil.

– Nie wolno tak mówić, to obraźliwe.

– Wybacz, księżniczko. Nie miałam zamiaru urazić twojej wrażliwości społecznej. No ale skoro już ją uraziłam, to chcesz ją posmarować jakąś maścią? A może chciałabyś coś na tę wysypkę w pochwie?

– Słuchaj, staram ci się pomóc, a ty zachowujesz się wyjątkowo nieprzyjemnie.

– Nieprawda, to ty jesteś wyjątkowo nieprzyjemny – odpowiada.

Chłopak obraca się w jej stronę i spogląda poważnym wzrokiem.

– Moja bratanica jest upośledzona umysłowo. Nie prosiła o to. I nie prosiła też o przygłupów jak ty, którzy będą ją męczyli i przezywali w sposób, na jaki nie zasługuje. Mogłabyś się postarać i zachowywać trochę milej.

– W porządku. Okej. Już. – Widzi, że Bryan jej nie wierzy. – Przepraszam. Wiem. Jestem paskudna. Suka. Możemy wrócić do googlowania?

– Co teraz?

Miriam myśli. W swojej wizji widziała już autobus – w wizji, w której mordowana była Tavena – i to też mógł być autobus typu A. Tylko że był cały wypalony w środku.

– Wpisz „ptasia maska”.

Wpisuje. I znów wybiera opcję pokazywania obrazków.

Tweety, Angry Birds, maski karnawałowe...

– Ta! – krzyczy, stukając w ekran.

Jej palec wskazuje obrazek – rysunek – przedstawiający mężczyznę w długiej, skórzanej szacie i ptasiej masce, identycznej jak maska z jej wizji.

Klik.

– *Medico della peste* – czyta Bryan. – Tak nazywano lekarzy zajmujących się chorymi na dżumę. W czasach zarazy.

– Przeróżające maski.

– Zdecydowanie. Oczy były wykonane ze szkła, dzioby miały dziurki i służyły jako... średniowieczne maski gazowe.

Miriam nie musi patrzeć na ekran, żeby rozumieć, o co chodzi.

– Wkładali tam szmatki z olejkami eterycznymi? Suszone kwiaty i inne gówna?

– Kamforę. Olejek bergamotowy. I zgadza się, róże i goździki.

Zaraza. Dziób. Ptak.

Autobus szkolny.

Tatuaż jaskółki.

– Jaskółka. Weź, wygoogluj jaskółkę. Ale nie, nie to słowo, tylko tatuaż jaskółki.

– Nie będę tego szukał. Ja to wszystko wiem!

– Cholera, mam cię zaprosić na obiad, żebyś mi pomógł? Mama cię nie nauczyła, że trzeba pomagać innym?

– Okej, już ci mówię. Jaskółki tatuowali sobie marynarze. Bosmani...

– Bosman? To ten gruby czerwony, co się miota między majtkami?

– ...i zwykli marynarze tak ozdabiali skórę. To był znak, który wiązał się z liczbą przepłyniętych mil morskich. No wiesz, każda jaskółka to tyle i tyle tysięcy mil. Nie jestem pewien, ale chyba też ma coś wspólnego z przekroczeniem równika. Nie przypomnę sobie teraz. A kiedy umierali na morzu, wierzyli, że jaskółki uniosą ich dusze i zaprowadzą prosto do nieba.

Miriam powstrzymuje dreszcze.

Chłopak mówi dalej:

– Jeden z bardziej znanych artystów robiących marynistyczne tatuaże, Sailor Jerry, spopularyzował swoją wersję jaskółki, ale z tego, co mówisz, to szukasz czegoś znacznie starszego niż jego projekt.

Miriam jęczy.

– Dzięki. Wielkie dzięki za pomoc – mówi, ale zdaje sobie sprawę, że w jej głosie nie słyhać wdzięczności.

– Nie, zaraz, poczekaj! – Chłopak wstaje, sięga po telefon i podnosi go z ładowarki. Wybiera jakiś numer.

– Co jest? – pyta Miriam.

Bryan unosi palec, żeby była cicho.

– Hej – mówi do słuchawki. – Tato, to ja.

Cisza.

– Słuchaj, mam szybkie pytanie...

Cisza.

– Oczywiście, że się nie wykręcąm. Jedziemy na ryby i koniec.

Miriam ma duże trudności z wyobrażeniem sobie tego dzieciaka machającego wędką.

– Nie, wiem. Będę. Tak, przyjadę na obiad. Daj znać mamie... słuchaj, tato, nie rozłączaj się! Posłuchaj. Pamiętasz, jak robiłeś tatuaże oficerom z Dowództwa Systemów Zaopatrzenia Floty?

Cisza.

– Przypomnij sobie, czy któremuś z nich robiłeś jaskółkę? Ptaka. Tak, dokładnie, z podwójnym ogonem.

Bryan zasłania dłonią mikrofon i mówi do Miriam:

– Robił ich całą masę.

– Zapytaj w takim razie, czy któryś z nich był... sama nie wiem. Chudy. Żyłasty. Ooo! Mam! Zapytaj, czy któryś z nich nie był nieco szurnięty?

Bryan powtarza pytanie.

Cisza.

Chłopak spogląda na Miriam. Kiwa głową.

– W porządku. Tak. Mówi, że był taki jeden i wszyscy myśleli, że rzeczywiście ma nierówno pod sufitem. Ale to było czterdzieści kilka lat temu.

Czy to możliwe? Czy morderca wyglądał rzeczywiście tak staro?

Może. Wizja była dość ciemna.

A ta maska...

Może, cholera, może...

Poza tym to wszystko, co ma.

– Potrzebuję jego nazwiska – prosi. – I adresu. Cokolwiek. Potrzebuję.

Bryan prosi ojca, żeby chwilę poczekał, a potem pyta Miriam:

– Dlaczego?

– Dlaczego co?

– Dlaczego to takie ważne?

Dziewczyna oblizuje usta. Czuje krew pulsującą w mózgu.

– Po prostu. Ważne.

– To za mało.

– W porządku. Naprawdę chcesz wiedzieć? Nie ma sprawy. Jestem medium. Na wolności jest pojeb, który morduje dziewczynki i będzie dalej to robił, odcinając im głowy, a potem wycinając z nich języki, o ile go nie powstrzymam. Proszę bardzo. Masz już powód. Wystarczy?

Bryan wytrzeszcza oczy. Są wielkie jak reflektory ciężarówki. Nie jest zaskoczony – jest ciężko przerażony. Jakby otworzył drzwi do izolatki i dopiero teraz dostrzegł jej szaleństwo w pełnym blasku ścian pomazanych ekskrementami i krwią spod połamanych paznokci i rozdartego w szale ciała.

I nie odwracając od niej wzroku, mówi do słuchawki:

– Dobra, tato, to na razie, później jeszcze zadzwonię.

I rozłącza się.

Każde uderzenie jej serca jest jak kopnięcie wściekłego muła.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Powinnaś już pójść – mówi. – Pomogłem ci. Idź już.

– Nie jestem wariatką.

– Skoro tak twierdzisz. – Unosi obie ręce. – Ale teraz proszę. Idź już sobie. Proszę.

– Bierz ten cholerny telefon i dzwoń do ojca. Potrzebuję tej informacji. Potrzebuję jej!

Bryan wypowiada słowo, które ma ostatecznie zakończyć tę sprawę.

– Nie.

Zanim Miriam się orientuje, co robi, ma w dłoni nóż. Kciukiem odnajduje przycisk zwalniający sprężynę i w tej samej chwili z rękojeści, niczym kobra, wyskakuje ostrze. Samym czubkiem opiera je o gardło Bryana. Po skórze ścieka pojedyncza kropla krwi i znika pod jego koszulką.

Przez cały czas uważa, żeby go nie dotknąć – nie wejść w kontakt z jego ciałem. Nie chce wiedzieć. Obawia się tego, co mogłaby zobaczyć. Przeraza ją myśl, że zobaczy ostrze swojego noża nacinające jego gardło w przymusowej tracheotomii.

– Lubię cię – mówi przez zaciśnięte zęby. – Ale jestem na granicy, rozumiesz? Jeśli natychmiast nie złapiesz za słuchawkę i nie wykręcisz numeru do tatuśka, bez mrugnięcia okiem poszerzę ci uśmiech. Masz zdobyć dla mnie tę informację. Do roboty.

Chłopak potakuje, bardzo powoli. Ma w oczach łzy strachu.

Sięga po telefon. Wybiera powtarzanie numeru.

– Tato, sorry, że jeszcze raz ci zawracam głowę – drży mu głos. Tak intensywnie wpatruje się w jej ramię z nożem, że pewnie w końcu wypaliłby jej dziurę w skórze. – Słuchaj, mam... pytanie. Pamiętasz jeszcze tego klienta... tak. Super. Tak. Dzięki.

Szeptem zwraca się do Miriam.

– Carl Keener. Mówi, że lata temu odszedł ze służby w NAVSUP i zamieszkał gdzieś tu w okolicy. Ponoć w Northumberland.

– NAVSUP? Co to?

– Mówiłem wcześniej. To zaopatrzenie marynarki wojennej... zajmują się... – Marszczy czoło. – Cholera, nie wiem. Zaopatrzeniem. – Potem

przyciska telefon do ucha. – Tak... tata mówi, że organizują jedzenie, pocztę, amunicję i wszystko inne... Keener pracował w jakimś magazynie.

– Świetnie. – To powinno wystarczyć. Cofa się kawałek. Ale nie opuszcza noża. Pilnuje jedynie, żeby nie celować mu w gardło.

Czubek jest czerwony jak główka zapalniczki. Krew Bryana błyszczy w sztucznym świetle.

– Dzięki – mówi. Jest spokojniejsza. On wręcz przeciwnie. Zwykle „dzięki” go nie udobrucha. Wciąż jest rozdygotany jak grzechotka. – Wybacz. Jeśli potrafisz.

– Tak traktujesz wszystkich, którzy ci pomagają?

Nie potrafi mu odpowiedzieć.

Albo może nie chce.

BÓG RZEKI

Witam, szukam Carla Keenera. Służył w marynarce, razem z moim ojcem. Pracowali w NAVSUP, a potem nie widzieli się przeszło dwadzieścia lat. Tata ma raka prostaty. Lekarze twierdzą, że wyjdzie z tego, ale... tata woli być przygotowany i na wszelki wypadek szuka kontaktu ze starymi przyjaciółmi. Mówi, że nigdy nic nie wiadomo.

Taką historyjkę sprzedaje.

Złapała taksówkę do Northumberland i wędruje teraz ulicami zapyziałych przedmieść – bliźniaki, domy wielorodzinne i jednorodzinne, maleńkie trawniczki, wszystko ściśnięte razem i poprzecinane krzyżującymi się uliczkami totalnego zadupia. Niebo ciągle szcza deszczem. Miriam jest całkiem przemoczona, a nadzieje, że szybko jej się powiedzie, spaliły na panewce.

Nikt go tu nie zna.

Przynajmniej na razie nie trafiła na nikogo, kto by go znał. Poza tym miasto jest kurewsko większe niż Ash Creek. Bez dwóch zdań. Z południa zrobiło się popołudnie i z każdą mijającą godziną – cholera, z każdą sekundą – Annie Valentine jest odrobinę bliższa śmierci. Możliwe, że już nie żyje.

Miriam jest mokra. Zmęczona. I zagubiona. Od rana nie miała w ustach niczego poza kilkoma małymi marchewkami i herbatniczkami od Homera.

Traci nadzieję.

Jest na granicy.

Northumberland leży nad rzeką Susquehanna, dokładnie w jej

rozwidleniu, dziesięć mil na północ od miejsca, w którym przed laty powstała szkoła Caldecott. Na mapie wygląda to tak, jakby miasteczko było prastarym bogiem i rozdzielało wody rzeki na dwie strony.

Bóg rzeki.

W ten sposób Miriam wraca do początku. Do miejsca, w którym zaczęła. Wsiadła z taksówki zaraz przy niewielkim parku zwanym tutaj Pineknott. Potem ruszyła na północ, pod wiaduktem kolejowym, i dotarła do miejsca, które tutejsi mieszkańcy uważali zapewne za Główną Ulicę Miasta – Water Street, biegnącą wzdłuż rzeki.

Idzie w tamtą stronę. Z powrotem wzdłuż brzegu. W kierunku miejsca, gdzie stoją wiktoriańskie budynki. Tam widziała kilka lokali z jedzeniem. Wie, że jeśli zaraz nie nakarmi słabnącego ciała, potknie się i umrze z głodu. Dostrzega sklep o nazwie Blue Moon Deli.

Wchodząc do środka, wpada na kogoś, kto akurat wychodzi – pulchnego gościa o aparycji księgowego, z głową jak dynia i w okularach. Już chce mu nawrzucać, ale gryzie się w język. On może go jeszcze wyciąć...

– Przepraszam – mówi i wyjeżdża ze swoją historyjką. Bla, bla, bla, tatuś, bla, bla, bla, rak, bla, starzy przyjaciele. Mężczyzna jest z synem. Chłopak ma zmierzwioną czuprynę, pomarańczową kurtkę i luźne bojówki.

– Niestety – mówi księgowy. – Bardzo mi przykro, ale nie...

– Powiedziała pani Keener? – pyta nastolatek.

Miriam potwierdza, że tak właśnie powiedziała.

– Nie wiem, czy na pewno o niego pani chodzi, ale jest jeden gość, Carl Keener, który pracuje na pół etatu w szkole, jako konserwator. Woźny. Taki starszy facio, tak? Może troszkę... – gwałtownie milknie.

– Troszkę co?

– No wie pani, on jest trochę dziwny. Gada jakieś pier... głupoty. I gapi się na dziewczyny.

Dziwny woźny. Ogląda się za nastolatkami. Mówi dziwaczne rzeczy do uczniów.

Tak. Tak. Tak! To musi być on.

– W jakiej szkole pracuje?

– W technicznej.

– Okej, ale jak się nazywa?

– Sun-Tech – wyjaśnia dzieciak.

W tym momencie do rozmowy włącza się ojciec.

– Tylko że to nie jest tutaj, w mieście. Szkoła jest w New Berlin. Musi pani wrócić na międzystanową jedenastkę, pojechać na południe do skrzyżowania z piętnastką, potem na północ do trzydziestki czwórki i dalej na zachód. Jeśli zobaczy pani billboard z nazwą szpitala, to znaczy, że jest pani za daleko...

– Daleko to?

– Będzie jakieś dwadzieścia minut, nie więcej.

Miriam wygrzebuje z kieszeni resztę pieniędzy. Zostało jej sześć dolarów i jakieś drobne. Wystarczy na szybki posiłek w Blue Moon albo na taksówkę do szkoły, żeby zobaczyć, czy uda jej się... właściwie to sama nie wie, co miałyby tam zrobić. Wykraść akta pracowników? Może. Może ktoś da jej adres Keenera.

Głód jest dziwnym uczuciem. Kiedy Miriam długo nie je, robi się humorzasta. Ale teraz całkowicie przechodzi jej ochota na kanapkę, bo wie, że z każdym ugryzieniem słyszałaby wzmagające się krzyki umierającej dziewczynki. Już teraz w jej głowie rozbrzmiewa piosenka mordercy, słyszy stuknięcie siekiery i zgrzyt ostrza obcinającego język.

I już po wszystkim. Straciła apetyt. Decyzja podjęta.

– Dzięki – mówi i puszcza przodem księgowego i jego syna.

GDY POJAWIA SIĘ CHEMIA

Taksówka zjawia się dopiero po godzinie. Tak to już bywa w takich miejscach. Inaczej niż w dużych miastach, gdzie wystarczy unieść dłoń, kiedy mija cię jedna z setek taryf, a kierowca natychmiast cię zauważa. Tutaj trzeba zatelefonować. A potem czekać. I jeszcze trochę czekać.

Zadzwoiła z Blue Moon.

Czuje zapachy wydobywające się z kuchni. Musztarda. Rosół. Świeżo wypieczony chleb – chleb, pulchne drożdżowe ciastko, węglowodanowy wypełniacz żołądka.

Wystarczy tylko przywołać obraz mordercy i martwej dziewczyny.

Na jedną chwilę.

Ktoś zostawia połowę kanapki na stole i wstaje. Leży na tacce. Nawet jej nie ugryzł; przeciął na pół i porzucił.

Widzi kawałek szynki. Kusi. Jak dziewczyna pokazująca kawałek uda.

Podkrada się bliżej, jak drapieżnik czający się na ofiarę.

Rozlega się dzwonek. Otwierają się drzwi. Kierowca pyta głośno – zbyt głośno:

– Witam, kto zamawiał taksówkę?

Unosi dłoń i odpowiada.

– Ja, już lecę, sekundka.

Lecz kiedy się odwraca, uśmiechnięta dziewczyna z obsługi wyrzuca całą zawartość do wielkiego kosza na śmieci.

Teraz to Miriam ma ochotę obciąć komuś głowę.

Dziesięć minut później. Miriam siedzi na tylnej kanapie taksówki.

Deszcz zalewa przednią szybę.

Wycieraczki pracowicie wędrują tam i z powrotem, a że kierowca nie kwapi się, by włączyć radio, to jedyny dźwięk, jaki słyszy – trzeszczenie i skrzypienie gumy o szybę. I jeszcze szum opon na mokrym asfalcie.

Otwiera okno. Zapala papierosa. Nie pyta, czy może.

Wydmuchuje dym na zewnątrz.

Nagle czuje, że tęskni za Louistem. Chciałaby, żeby był tu z nią. I żeby jej powiedział, że nie wolno palić.

A przede wszystkim, żeby to on wszędzie ją woził.

Wyrzuca papieros za okno – wirujący kształt, błysk resztki żaru pośród szarej ściany deszczu – i chce zamknąć okno, kiedy nagle coś czuje.

Chemiczny zapach niesiony przez wiatr. Jak podwójna dawka jakiegoś taniego szamponu. Jak Garnier Fructis przepuszczony przez gnijące wnętrzności martwego oposa. Pali ją w oczy i nagle czuje się przytłoczona. Ma wrażenie, że taksówka ją zgniata, że jest robakiem w ściskanej puszcze po coli...

Nie może oddychać. Robi jej się zimno.

Palce same się zaciskają. Paznokcie wbijają w skórę dłoni.

Nagle: olśnienie. Ja przecież znam ten zapach!

Nie czuła go osobiście, wdychając woń nosem.

Zna go z jednej z wizji. Z pierwszej wizji. Tej, w której Lora ma osiemnaście lat i zostaje pozbawiona głowy w wypalonym starym domu.

Czasem wizje mają swój zapach. Czasem nie pachną niczym. Nie ma tutaj żadnej reguły. Niekiedy to czyjeś ostatnie trzydzieści sekund. Czasem pięć minut. Bierze, co dostaje.

Cokolwiek, co podsunie jej potwór o głowie kruka i zamieszkujące ją duchy.

A teraz olfaktoryczna pamięć uderza ją w twarz otwartą dłonią.

Przełyka kluczę, która smakuje żółcią wymiocin i kwasu z pustego żołądka, i bierze się w garść, by zadać pytanie.

– Co... – Tylko nie zwymiotuj, nie zwymiotuj. – Co to za zapach?

– He? – Kierowca spogląda krótko w lusterko wsteczne, wytrącony nagle z hipnotycznego transu, w który wprowadziła go monotonia drogi.

– Smród. Ten cholerny... ten chemiczny smród.

– Ach. To. Rany, już nie zwracam na to uwagi. Czasem wiatr przesuwa go nad miastem i wtedy wszędzie czuć, ale zazwyczaj go wypieram.

Miriam warczy niecierpliwie.

– Nie da się wyprzeć zapachu. Wypiera się... cholera, nieważne, chcę tylko wiedzieć, co to, kurwa, jest?

– Fabryka farby Sus-Q Color. – Sus-Q to skrót od Susquehanna. – Robią pigmenty, barwniki i takie tam.

Mieszka niedaleko zakładu. Carl Keener mieszka niedaleko fabryki farby Sus-Q Color. Musi. Czuje drapanie w nosie, jakby dłubała tam sobie ostrzem noża.

– Zmiana planów. Jedziemy do fabryki.

– Ale to na północ, a mieliśmy jechać na zachód, do New Berlin?

– Zgadza się. Ale już nie mamy. I właśnie dlatego nazywamy to zmianą planów, proste? Chryste, rób, co mówię, okej?

Czuje, że jest blisko.

Wszystkie komórki jej ciała mrowią jak mrowisko.

ZAKŁAD

– Tutaj! – wyje Miriam, pukając kierowcę w ramię. – Tutaj! Wsiadam!
Opony samochodu zagłębiają się w wilgotną ziemię na poboczu drogi.
Deszcz zalewa szyby, utrudniając wyglądanie.
To bez znaczenia, bo ona i tak wie, co widzi.
To musi być to.

Szutrowy podjazd odchodzący od głównej drogi. Płot z siatki i brama mająca zatrzymać nieproszonych gości. Ogrodzenie wieńczą niedbałe pętle porzewiałego drutu kolczastego.

Znaki wystają z ziemi i są przymocowane do płotu. Kawałki sklejki i blacha. Ostrzeżenia wypisane sprayem, koślawym pismem – niektóre litery są wielkie, inne pisane.

Zakaz Polowań!

Nr #Jeden Bóg Obserwuje!

Czy Istnieje Życie Po Śmierci? Włamywacz dowiesz się

STÓJ ALBO GIŃ

Nie Wolno Przekraczać Płotu

Nie Chcemy Włamywaczy

No i oczywiście sakramentalne:

ZAKAZ WSTĘPU

Włamywacze. Miriam zna to słowo.

I na koniec, wisienka na torcie, podbródkowy kończący walkę, amen po modlitwie: siedem kruków. Część siedzi na znakach. Inne na bramie.

Obserwują ją.

– Dziękuję – mówi, rzucając resztę pieniędzy na siedzenie pasażera. Potem wysiada. Kiedy zatrzaskuje drzwi, ptaki zrywają się do lotu i uciekają na pobliskie drzewa. Siadają na gałęziach i patrzą dalej.

Kiedy samochód zawraca na wąskiej drodze, po niebie przetacza się grzmot.

Miriam zostaje sama.

W powietrzu unosi się smród chemii.

Z miejsca, w którym stoi, niewiele widać. Za bramą ciągnie się dalej droga. Dawniej szutrowa – w taki deszcz szybko zmieniała się w błotnistą. Skręca w las. Z jakiegoś powodu przypomina jej dojazd do szkoły Caldecott. Zamiast herbu szkoły na bramie wiszą znaki wymalowane przez szaleńca. Zamiast bramy z żelaznymi prętami zakończonymi liliami ogrodzenie wieńczy zwoje drutu kolczastego.

Drut kolczasty, Miriam natychmiast to zauważa, zwiesza się do środka. Nie na zewnątrz.

Nie chodzi o to, żeby ludzie nie wchodzili na zamknięty teren. On nie chce, żeby ktoś mu uciekł.

Caldecott to miejsce, gdzie dziewczęta otrzymują swoją drugą szansę. Uczą się i dorastają.

Natomiast tutaj...

To miejsce, gdzie dziewczętom odbiera się wszelkie szanse i perspektywy.

Gdzie cierpią i giną.

I teraz jedna z nich może tam być. Martwa albo umierająca.

Nie ma co marnować czasu. Miriam przerzuca kurtkę przez drut kolczasty i wspina się po siatce jak małpka. Kurtka chroni ją przed kolcami, kiedy prześlizguje się na drugą stronę. Zeskakuje i ląduje kolanami i dłońmi w błocie.

Chce zabrać kurtkę, ale się zahaczyła. Cholera.

Nie czas teraz na takie głupoty.

Rusza przed siebie; adrenalina dodaje jej sił. Żołądek pali jak kwasem z głodu i zdenerwowania. Buty grzęzną w błotnistej drodze.

Kruki uważnie śledzą każdy jej krok. Przeskakują z drzewa na drzewo. Milczące kształty ukryte za zasłoną deszczu.

Kiedy tylko mijają zakręt, widzi miejsce, w którym mieszka Keener.

To złom samochodowy. Nie zwykły złom, gdzie ludzie przychodzą sprzedać albo kupić metalowe części. Nie, to jest złom, gdzie wyrzuca się śmieci. Setki metrów zawalonych bezużytecznymi wrakami niegdyś przydatnych rzeczy. Zdekompletowany oldsmobile. Kilka kontenerów i koszy na śmieci. Pług. Kawałki blachy. Maszyny i silniki, nie wiadomo do czego ani skąd.

I autobus szkolny. Nie typu A. Ale jest tam: stoi pośród porzewiałego kłębówiska złomu. Niedaleko widać niewielki biały domek z czarnym grzybem porastającym tynk – plamą wyrastającą jakby z samego piekła.

Kiedy to widzi, kruki na gałęziach robią się niespokojne. Zaczynają kłapać dziobami i krakać na alarm. Wszystkie siedem naraz zrywa się do lotu...

Miriam słyszy szum opon w błocie.

Błyskawicznie rzuca się między śmieci i znika za zardzewiałym kontenerem z powyginanymi ściankami.

Na złomowisko wjeżdża krótki żółty autobus – typu A, taki, jakim wozi

się turystów albo starych ludzi.

Ma włączone reflektory. W snopach światła połyskują pojedyncze krople deszczu.

Przez chwilę stoi w miejscu. Miriam nie może dostrzec, kto jest w środku. Widzi jedynie zarys.

W końcu reflektory gasną. Kierowca wyłącza silnik.

A ona po raz pierwszy może zobaczyć mordercę bez ptasiej maski.

Jest wysoki. Ramiona jak płatanina napiętych postronków. Dokładnie jak w wizji. I jest starszy – to też się zgadza. Keener kończy pięćdziesiątkę, możliwe, że ma sześćdziesiąt kilka lat. Mocne, wytrenowane ciało. Ramiona szerokie, głowa uniesiona, podbródek wysunięty. Nawet z tej odległości widzi jego ciemne oczy i nos skrzywiony lekko na lewą stronę – raz złamanego nosa nie da się równo nastawić, nigdy przenigdy. Wygląda, jakby bezustannie przyciskał go do szkła.

Nagłe przerażenie odbiera jej oddech.

O nie, o nie, o nie, o nie...

Ma jej kurtkę.

Naraz słyszy szum. Znów coś jedzie. Za szkolnym autobusem zatrzymuje się radiowóz; policja stanowa.

W jej głowie pojawia się przerażająca wizja przyszłości: policjant aresztuje Keenera, zabiera go ze sobą, mężczyzna znika i jest już dla niej niedostępny, zamknięty w strzeżonych sądach i więzieniach – w miejscach, gdzie go już nie dopadnie. A potem wychodzi na wolność akurat na czas, żeby dokonać tych wszystkich morderstw. I nikt nie może go już powstrzymać. Przeznaczenie starannie układa swoje puzzle. Chce mieć pewność, że co ma się wydarzyć, musi się wydarzyć.

Policjant wysiada z samochodu, a Keener jakby już na niego czekał. Gliniarz chroni się pod czarnym parasolem, ale on – on się zachowuje,

jakby w ogóle nie padało.

Keener podaje mu kurtkę.

Policjant wygląda jak pies. Jak buldog. Jest niski, szeroki i ma czarne wąsy w kształcie końskiej podkowy, bardziej podkreślające niż ukrywające jego cofniętą dolną szczękę.

Nie słyszy, o czym rozmawiają. Ale obydwaj spoglądają na złomowisko. Jakby kogoś szukali. Jakby szukali kogoś takiego jak ona.

Miriam przykuca i chowa głowę za kontenerem. Wstrzymuje oddech i zaciska powieki, jakby to mogło jej jakoś pomóc.

Wysłuchuje się w deszcz. W głosy. W spokojne warczenie silnika radiowozu i grzmot przetaczający się gdzieś po niebie.

Potem znów szum opon.

Kto tym razem?

Zaczyna się robić ciekawie. Impreza jakaś?

Ale kiedy wygląda, widzi, że to policjant zawraca i rusza w kierunku wyjazdu. Znika między drzewami. Miriam nie jest pewna, czy powinna czuć ulgę, czy strach, że go nie ma.

Jedno jest pewne, gliniarz szukał tu właśnie jej. Tak było. Ktoś dał mu znać. Pewnie biedny Bryan zawiadomił policję. Dlaczego nie miałby zadzwonić? Prawie podcięła mu gardło i powtarzała nazwisko Keenera, jakby był celem mafijnej dintojry. Jakby była płatnym zabójcą z kontraktem na jego śmierć.

A nie jest tak?

To pytanie rozbrzmiewa w jej głowie echem.

Keener rusza w stronę domu, ale potem zatrzymuje się nagle w połowie drogi. Rozgląda się uważnie, podejrzliwie unosząc głowę. Zmienia kierunek i podchodzi do kłębowiska złomu. Każdy krok to młaśnięcie błota.

Idzie prosto do niej.

Miriam szybko ucieka na czworakach z dotychczasowej kryjówki i znajduje następną – tym razem za śmietnikiem wypełnionym po brzegi starym drewnem.

Stara się uspokoić oddech. Wstrzymuje go. Nie dysz jak pies, idiotko, bo cię usłyszy. Keener dotarł do jej poprzedniej kryjówki. Stoi tam. Słyszy go i jego kroki. Słyszy, jak warczy i kopie ze złości błoto.

I znów idzie.

Miriam nie może wskoczyć do środka, bo śmietnik jest pełen. Przywiera więc plecami do metalowego kontenera i powoli przesuwa się dookoła. Kiedy Keener jest po jednej stronie, ona kryje się po drugiej. Stara się w nic nie uderzyć, żeby nie robić hałasu.

– Jest tu kto? – krzyczy mężczyzna. Jego głos jest jak dwie szorujące o siebie płyty eternitu, jak trące kamienie. – Czy to twoja kurtka?

Odejdź, odejdź, odejdź, kurwa, wypierdalaj.

Mężczyzna zaczyna okrążyć śmietnik. Idzie w jej kierunku. Miriam rzuca się przed siebie. Dopada zardzewiałego, niegdyś białego volkswagena i wciska się pod niego. Kiedy się czołga, podwija jej się koszula i brudna deszczówka zmieszana z błotem wlewa jej się do dżinsów. Wbija palce głęboko w mokrą ziemię i chowa się najgłębiej, jak może.

Spogląda za siebie, akurat na czas, by dostrzec, jak Keener odwraca się w jej stronę.

Zupełnie jakby coś zauważył.

Ale nie jest pewny.

Zwyrodnialec ociera twarz z kropli deszczu.

I idzie w jej stronę.

Nie ruszaj się. Trawa, czarna od błota, stanowi zasłonę, ale na wszelki wypadek prawie zanurza się w szlamie.

Keener idzie powoli. Jakby tylko czekał, aż wyskoczy z ukrycia, jak

jelonek przestraszony hałasem. Wtedy mógłby ją dopaść i rozerwać na strzępy. Ma zdziczałą twarz. Dręczy go głód.

Dociera do samochodu.

Stoi tuż obok. Właściwie nad nią.

Centymetry oddzielają jej twarz od jego roboczych buciorów z obitymi blachą czubkami.

Nie zaglądał pod spód!

Miriam wsuwa dłoń do kieszeni i wyjmuję z niej nóż. Kciuk nieruchomieje nad przyciskiem zwalniającym sprężynę ostrza.

Dźgnij go teraz, myśli. Spuść z niego krew jak ze świni. Tylko czy uda jej się przebić buty? Czy na pewno ma dość miejsca, by wziąć zamach? A jeśli nie trafi? Albo ostrze się ześliźnie? Zrób to! To twoja jedyna szansa!

Wtedy ponownie rozlega się chrząknięcie.

Mężczyzna zaczyna się oddalać.

Miriam wypuszcza z płuc powietrze. Od dłuższej chwili nie ważyła się oddychać. Keener idzie w stronę domu, klucząc między stertami śmieci i złomu.

Dziewczyna leży jeszcze przez chwilę pod autem. Serce wali jej jak oszalałe, aż słyszy szum krwi w uszach. Pewnie niewiele brakuje, żeby zrobił jej się jakiś tętniak.

Wtedy dociera do niej nowy dźwięk. I to nie kroki ani nie chrząkanie i pokaskywanie Keenera.

To głos.

Głos dziewczynki.

Nie rozumie, co mówi, ale nie może być daleko.

Wyczołguje się spod samochodu od strony pasażera i nieruchomieje na czworakach – na wszelki wypadek, gdyby Keener jeszcze obserwował teren. Nie podnoś się i bądź dyskretna, powtarza w myślach.

Przez jakiś czas trwa bez ruchu. Nastawia ucha. Stara się nie słyszeć dźwięków tła, które powoduje deszcz.

Wtedy znów słyszy.

– Jest tu kto?

Głos. Dziewczynki. Jest niedaleko.

Miriam przesuwając się pośpiesznie naprzód, zgięta w pół. Przywiera do pnia powykrzywianego dębu – dziwnie wyglądający element prawdziwego życia pośrodku pustyni martwych śmieci.

I znów. Głos.

– Pomocy! Proszę, niech mi ktoś pomoże!

Cichy. Z echem.

Przed sobą Miriam dostrzega kolejny kontener: zielony, z wymalowanym na burcie nieczytelnym napisem – o jego konserwację zadbał Ojciec Czas ręką w rękę z Matką Naturą. Kontener jest dłuższy niż pozostałe. Ma około dwudziestu stóp długości. Może więcej.

Głos. Głos dochodzi z jego wnętrza.

Zamyka i więzi ofiary w kontenerze.

To ma sens. W jakiś pokręcony, chory sposób to rozsądne. Ukryć je przed światem. Ale z dala od domu. Tylko czasem przyprowadza je do siebie, żeby odwalić trochę brudnej roboty, prawda? A może tak dopiero będzie? Może to zmiana, która pojawi się dopiero w nadchodzących latach?

Nie ma czasu, żeby się nad tym zastanawiać.

Miriam dopada do kontenera. Przyciska ucho do bocznej ściany. Stuka palcem wskazującym, na tyle cicho, żeby nie wzbudzić poruszenia na zewnątrz, ale dość głośno, by ktoś, kto jest w środku, nie pomylił tego ze stukotem deszczu.

Jeszcze mocniej przyciska ucho do zimnego metalu.

Słyszy:

– Kto tam? Szybko! Szybko, zanim wróci!

Miriam spieszy do drzwi kontenera. Okazuje się, że są otwarte. Wewnątrz panuje ciemność, ale nie całkowita: widzi dziewczynkę. Ledwie ją dostrzega, właściwie to bardziej zauważa jakiś kształt, zwinięty z tyłu kontenera.

– Już jestem – mówi. – Przyszłam, żeby ci pomóc.

Krok za krokiem, po kawałeczku, wchodzi coraz głębiej.

– Proszę – jęczy dziewczynka, siąka nosem i płacze.

– Już idę.

– Uratuj mnie – szepcze. – Uratuj mnie.

Nagle dziewczynka wstaje. Porusza się naprawdę szybko. Pędzi w stronę Miriam. Biały kształt w ciemności, kroki odbijające się mocnym echem – bum, bum, bum...

Dopiero wtedy Miriam dostrzega swoją pomyłkę.

To nie ta dziewczynka. To nawet nie jest dziewczynka.

To on.

Keener.

Nie ma czasu na ucieczkę. Nie ma czasu na nic – poślizgnęłaby się i upadła, a on wylądowałby na niej. Decyduje się stawić mu czoło. Zwalnia sprężynę i otwiera nóż...

Ale Keener jest szybki.

I też ma broń.

Kantówkę. Solidną. Wziął ją z kosza na odpadki.

Miriam krzyczy i dźga nożem...

...czuje, że ostrze zagłębia się w ciało...

...on wrzeszczy i trafia ją w głowę kantówką.

Miriam pada na ziemię. Twarzą do góry. Nie ma już noża – został wbity w Keenera. Przed oczyma kołują jej gwiazdki i płatki śniegu. Odwraca się.

Wstaje na czworaki. Chwiejnie posuwa się naprzód.

Słyszy jego rżenie.

Słyszy swój nóż zgrzytający o metalową podłogę.

Wyczołguje się na zewnątrz, na deszcz. Wspina się na nogi.

Chce zacząć biec...

Ale za piętę chwyta ją szczupłe palce i mocno ciągną. Chwieje się i, pozbawiona podparcia, pada przed siebie, klatką piersiową w błoto.

– Pomóż mi – mówi Keener, znów udając głos dziewczynki. Jest w tym dobry. Nie jaskółka, ale drozd przedrzeźniacz. Po chwili odzywa się już swoim mocnym głosem.

– Jesteś włamywaczem.

Włamywaczu, myśli Miriam. Pomóż mi.

Kantówka trafia ją w potylicę.

Potem jest już tylko błoto, deszcz i ciemność.

CHATKA Z PIERNIKA

Bam.

Matka upuszcza na ziemię kartonowe pudło. Tuż przed nią. W środku obijają się o siebie pudełka z płytami CD – Social Distortion, Smashing Pumpkins, Nine Inch Nails. Na płytach: komiksy. Z samej góry spogląda Batman w starciu z Killer Croc. Poniżej widać kawałek czegoś z serii X-Men. Miriam gromadzi tanie wydania książek, na które poluje w antykwariacie w Sunbury – Poppy Brite, Stephen Kinga, Roberta McCammona. *Buszujący w zbożu. Rzeźnia numer pięć.*

– To wszystko śmieci – mówi matka. Stoi przed nią i splata dłonie. Nerwowo ssie cukierek. Przesuwa go językiem z jednej strony na drugą. Skąd wiadomo, że ssie go nerwowo? Matka je słodczy tylko wtedy, kiedy

jest mocno zdenerwowana.

Miriam nie ma pojęcia, co powiedzieć. Przęłyka jedynie głośno i podnosi wzrok.

– Jak je znalazłaś?

– Kiedy w jednym pokoju jest kilka osób, to z całą pewnością nie ta jest najmądrzejsza, która się za taką uważa – odpowiada matka. – Myślałaś, że jesteś sprytna, prawda? Wydawało ci się. Chcesz wiedzieć, co znalazłam? Kiedy przechodziłam pod wejściem na strych, zauważyłam coś dziwnego na linie do otwierania wejścia na górę. Coś czerwonego i lepkiego. To był dżem. Truskawkowy. Pomyślałam sobie, ciekawe, kto zjada codziennie ranno grzanki z dżemem truskawkowym. I wiesz co? To nie ja. A że mieszkamy tutaj tylko we dwie, to myślałam dalej, co też moja mała Miriam może robić na strychu? I znalazłam to wszystko. Pod kartonem ze starymi ubraniami.

– Przepraszam, mamo.

– Miriam, ukrywałaś coś przede mną. Kłamałaś, żeby to plugastwo nie wyszło na jaw. W tym kartonie nie znajdziesz dzieł naszego Pana. On tego nie stworzył. Nie tak cię wychowałam. – Mówiąc to, nabiera pełne garści popkultury i wysypuje ją z powrotem do kartonu. Szelest i stukot. – Seks, wynaturzenia i strach. Wszystko, co najgorsze.

Miriam chce wstać i powiedzieć, że to nieprawda, że te rzeczy nie robią jej krzywdy, nie przezywają jej, nie mówią, że jest głupia i tłusta, ani nie oceniają, czy pójdzie do nieba, czy nie. Każda piosenka na płytach, każda strona w książkach, każdy obrazek w komiksach to wrota, dzięki którym może się stąd wyrwać i uciec przed mrokiem smutnego życia.

Chce mówić znacznie gorsze rzeczy. Chce użyć niedobrych słów, ostrych i obraźliwych, które ranią jak małe noże. Cipa, kurwa, suka, pierdol się, jebać to wszystko. Jej usta kipią trucizną, jak zupa może kipieć jadem

kielbasianym. A w głowie słyszy cichy głosik: Co by na to powiedział wuj Jack?

Lecz i ta myśl, i wszystkie inne, obumierają jak uschnięty bluszcz.

Nie jest typem dziewczyny, która potrafi odpyskować. Jest raczej cicha. Szara myszka z manierami, która śni czasem, że jest złym szczurem.

– Naprawdę, nie mam pojęcia, co z tobą zrobić – mówi matka, potrząsając głową. Słysząc stukanie karmelka o zęby, a jego zapach przyprawia Miriam o mdłości. – Nie wiem, co z ciebie będzie. Ale nie mam dobrych przeczuć. Myślę, że jesteś złym człowiekiem i twoim przeznaczeniem jest występki. Jesteś bezwartościową, niedobrą osobą. Nie korzystasz z daru, jakim jest miłość Boga, tylko przynosisz wszystkim dookoła brud i zniszczenie. Co chcesz powiedzieć?

– Poprawię się. Poprawię. Przysięgam.

– Żebyś wiedziała. Zaczniemy dziś wieczorem. Weź ten karton. I opróżnij go do paleniska na zewnątrz. Poczekaj tam na mnie.

Godzinę później karton stoi pośrodku okręgu z kamieni – dawnej rabaty, której budowę matka zarzuciła na rzecz stworzenia prawdziwego paleniska. Dziś chce je wykorzystać zgodnie z przeznaczeniem. Wylewa do środka całą buteleczkę podpałki. Zapala zapałkę.

Jasne światło. Fala ciepła. Błysk ognia.

Karton płonie. Czarny dym z topiącego się plastiku. Słowa i obrazy pożerane przez ogniste fale, stracone, lecz niezapomniane.

Miriam rozważa wepchnięcie matki do ognia. To byłoby jak spalenie wiedzy w jej własnej kuchni, w domku z piernika.

Jednak tego nie robi. Zamiast buntu jest płacz. Czuje się bezwartościowa, jak powiedziała matka. Wraca do domu, by pomodlić się do Boga. Niech uczyni ją dobrą dziewczynką.

BIEDNA POLLY, SZALONA POLLY

Smak pyłu i błota na języku.

Nacisk. Jej głowa w imadle. Niemal czuje trzask pękających kości, jak lód na zamrzniętym jeziorze.

Powoli zaczyna słyszeć – dociera do niej kakofonia dźwięków, od dzikiego dzwonienia do pulsowania: wysoki pisk i jęk, który przechodzi płynnie w szum rzeki krwi tętniącej w jej żyłach i rozsadzającej bębenki uszne.

Opiera się dłońmi za plecami; jej ramiona przeszywa bolesne ukłucie, kiedy czegokolwiek dotyka. Pada do tyłu na ziemię. Uderza się w głowę. Nie ma pojęcia, gdzie jest.

Głęboki oddech.

Obraca głowę. Policzek dotyka chłodnej ziemi.

Gdzie może być?

Widzi kamienne ściany. Wzdłuż nich rząd drewnianych półek. Są przykręcone. I wszystkie puste. Wyżej, pod sufitem, wisi pojedyncza żarówka na drucie. Rozprasza delikatnie mrok, ale nie można powiedzieć, by świeciła.

Piwnica. Jest w jakiejś piwnicy. Gdzie? Czyżby to była ziemianka? Magazyn na zapasy. Pod domem.

Odwraca głowę w drugą stronę i widzi ją.

Annie Valentine.

Siedzi oparta o ścianę, w miejscu, gdzie nie ma półek. Opiera głowę na kolanach. Jest całkiem naga i się trzęsie. Jej ciało pokrywa brud i siniaki.

I rany. Niektóre są świeże. Inne nie.

Włosy, potargane i mokre od potu, kleją się do jej nóg jak mokry i brudny mop do mycia podłóg.

Miriam przewraca się na bok. Ma wrażenie, że głowa jej spuchła do rozmiarów balonu. Czerwony urodzinowy balonik. Nasila się też dzwonięcie w uszach.

Unosi dłonie i przygląda się im. Widzi wyraźnie – dwa wycięte ostrzem ikсы. Po wewnętrznej stronie.

Siada bardzo powoli, jak przesuwający się lodowiec.

Głaszcze dłońmi nagie stopy. Na każdej duży icks. Zaschnięta krew. Rany są spuchnięte.

Ona również jest naga. Nie ma spodni, a to oznacza, że nie ma też telefonu i noża. Za nią stary piec do ogrzewania wody ustawiony na cementowych blokach. Jeszcze dalej – kolejne niewielkie pomieszczenie – komórka wypełniona czymś, co wygląda na resztki dawnych zapasów węgla.

Po przeciwnej stronie – strome schody w górę. Farba ołowiana odchodzi z nich płatkami jak skóra z trędowatego. Drzwi powyżej są zamknięte. Wokół krawędzi przecieka do środka światło.

– Hej – mówi Miriam. Jej poszarpany, zachrypnięty głos jest cieniem swego poprzednika. – Valentine?

Dziewczynka unosi głowę, ale nic nie mówi.

– Gdzie jesteśmy? – pyta Miriam. – Czy to dom Keenera? Od jak dawna cię tu trzyma?

Wciąż cisza.

– Wiesz cokolwiek, co mogłoby nam pomóc?

Annie Valentine jest całkowicie bezużyteczna. Najprawdopodobniej jest w szoku. Jej umysł przypomina tablicę wytartą do czysta.

– Jesteśmy teraz we dwie – tłumaczy dalej Miriam. – Możemy go pokonać. – W tej chwili nie czuje się na siłach do walki nawet z raczkującym niemowlakiem, całkowicie wykluczając konfrontację z seryjnym mordercą uzbrojonym w toporek. Jednak nie mają innych opcji. – Słuchaj, we dwie damy sobie z nim radę. Rozumiesz? Valentine, spójrz na mnie! Valentine! Spójrz na mnie.

W końcu dziewczyna unosi głowę i kieruje na nią wzrok, jednak nie potrafi się na niczym skupić, jakby jej myśli ślizgały się po lodzie. Ma puste, martwe oczy. Dryfuje, nie wiosłuje i nie steruje.

Miriam wstaje. Czynność zajmuje jej sporo czasu i jest bolesna.

Kiedy dotyka stopami ziemi, czuje straszny ból poranionej skóry. Musi balansować na piętach.

Ma zawroty głowy – ból wgryza się w czaszkę – niewiele brakuje, by ponownie wylądowała na ziemi.

Miriam przeprowadza inspekcję całego ciała, po omacku sprawdza, w jakim jest stanie. Nie ma połamanych żeber, nie jest pocięta. Nie ma ran, jak Valentine. Nie wie dlaczego.

Sprawdza palcami podbrzusze. Nie krwawi. Nie czuje bólu. Ma zawroty głowy i mdłości i wydaje jej się, że świat wiruje wokół niej, ale ma przynajmniej pewność, że Keener jej nie zgwałcił.

Za to głowa to inna sprawa. Jej utlenione na różowo włosy są przyklejone do czaszki warstwą zaschniętej krwi. Rana po kuli – niemal zagojona i tylko włosy nie zdążyły na niej jeszcze odrosnąć – jest po drugiej stronie głowy.

Nie są takie same.

Ma nadzieję, że policyjny patolog to zauważy.

Nie myśl tak.

Wyjdiesz z tego.

Dalej. Ruszaj się. Szukaj. Znajdź.

Sufit nad jej głową zajęczał i zatrzeszczał – kroki. Na górze jest Keener. Coś ciężkiego – pewnie szafa albo inny mebel – przesunął po drewnianej podłodze.

Szybko.

Kuśtyka pospiesznie do starej komórki na węgiel. Tutaj nie ma pieca, ale widzi miejsce, w którym niegdyś musiał stać. Stare piwniczne drzwi. Wątle. Wyglądają jak kilka na wpół przegniłych deseczek połączonych poprzeczną listwą. Kiedy jednak próbuje je otworzyć, nawet nie drgną. Po drugiej stronie słychać dzwonięcie metalu.

Miriam pozostawia ślady na podłodze pokrytej węglowym pyłem. Czarne drobinki przyklejają się do ran pod stopami. Jeśli Keener jej nie zabije, to umrze od zakażenia.

Wraca do pierwszego pomieszczenia. Wspina się na schody. Stara się zachować ciszę, co jest skazane na niepowodzenie. Stare drewniane stopnie skrzypią, trzeszczą i wyją jak stara kobieta na łożu śmierci. Miriam stara się posuwać na czworakach.

Na samym szczycie wygląda przez szparę po ukruszonej cegle pod drzwiami. Czy to, co widzi, to wyjście? Sądząc po wielkości piwnicy i tym, co zdążyła zauważyć, kryjąc się na złomowisku, jest przekonana, że dom ma tylko jeden pokój, kuchnię i łazienkę. A w takim razie drzwi muszą prowadzić na dwór.

Drzwi są wykonane z drewna i mają wprawioną starą szybę. Za nimi znajduje się otwierana moskitiera.

Przez okno widać, że zapadła noc.

Ale nagle coś zasłania jej widok.

Dwie kolumny. Dwa ciemne buty.

Keener.

Dzwonią klucze. Pędząc na dół, słyszy jeszcze głucho uderzenie kłódki o drzwi. Po drodze niemal się przewraca, spada i łamie kręgosłup.

Zatrzymuje się przy Annie Valentine, która zaczęła kołysać się w przód i w tył. Dźwięki wydobywające się z jej gardła przypominają skowyt rannego zwierzęcia. Uwięzionego w potrzasku, ze zmiażdżoną łapą.

– Wyciągnę nas z tego – mówi Miriam. Pędzi do magazynu na węgiel. Schyla się i z ziemi podnosi garść pyłu.

Potem wraca i staje pod żarówką. Nieruchomieje – co jest niemal niewykonalne, bo jej ciało kołysze się na boki jak statek w czasie kurewskiego sztormu.

Keener otwiera drzwi. Powoli schodzi na dół.

W dłoni trzyma starą drewnianą pałkę ze skórzaną pętelką założoną na nadgarstek. Na końcu pałki widać dwie metalowe wypustki.

Przeskakują między nimi iskry.

Bat elektryczny z połowy dwudziestego wieku.

Co gorsza, ma na sobie maskę: maskę upodabniającą go do lekarza zarazy. Jakby właśnie przyszedł uprzątnąć ciała. Z dziobu unosi się słaby dym. Miriam czuje woń palonych ziół i kwiatów. Lora, Tavena, Valentine, ja, przywiązane do stołu, zakneblowane drutem kolczastym. Obcięte głowy, usunięte języki. Na dodatek Miriam musi walczyć z ciemnością, która chce ją ogarnąć i unieruchomić.

Oczy w masce są zasłonięte szkłem. Gogle zostały przymocowane na stałe do skóry maski za pomocą mosiężnych śrub.

W odruchu sprzeciwu Miriam rzuca w jego stronę pył węglowy.

Za swój wysiłek zostaje porażona w brzuch batem elektrycznym.

Świat rozbłyskuje dodatkowym blaskiem. Ma wrażenie, że żarówka nad jej głową zmieniła się w supernową, a piwnica zrobiła się jasna i ciepła. Zupełnie jakby była uwięziona wewnątrz błyskawicy.

W następnej chwili jest już na podłodze – nie pamięta, jak się tam dostała. Drżą jej ręce i nogi, a palce u stóp i u rąk zaciskają się.

Jęk rannego zwierzęcia robi się coraz bardziej intensywny. Zaczyna przypominać agonię kota z połamanymi nogami albo zająca w szczękach lisa.

To Annie Valentine.

Keener ciągnie ją za włosy po schodach.

Nastolatka kopie na oślep, za co Keener razi ją prądem tuż poniżej obojczyka. Miriam chce wyciągnąć ramię, ale szybko się orientuje, że jej połączenia nerwowe są jeszcze zawieszane. Jedyne, co może zrobić, to zwinąć się w kłębek i przyjąć pozycję embrionalną.

Keener wlecze Annie do pomieszczenia na górze. Wychodzą. Mężczyzna zatrząskuje za sobą drzwi. Cały dom się trzęsie.

Czy je zablokował? Założył kłódkę?

Nie, nie słyszy szczęknięcia mechanizmu.

Miriam stara się znaleźć siły i wziąć się w garść. Cholera, nie tylko: usiłuje doszukać się duszy w swoim ciele. To jakby ścięła łączące wolę z mięśniami, umysł z kończynami, zostały przecięte. Nie może rozewrzeć szczęk. Palce ma nienaturalnie zgięte, podobne do zwierzęcych szponów. Miriam czuje, że w każdej chwili może zrobić pod siebie.

Wtedy dostrzega Annie Valentine. Siedzi w tym samym miejscu.

Zwinięta.

Wpatruje się tępo przed siebie.

Jak...?

Czy to był tylko sen? Koszmar, z którego się właśnie przebudziła?

Nagle Annie otwiera usta, a z pomiędzy jej warg wychyla się główka kruka – śliska i błyszcząca krwią i wydzieliną. Kracze na nią.

– Nie chcemy w-w-włamywaczy – mamrocze Miriam. Śmieje się.

Trochę. Ale jej śmiech szybko przechodzi w płacz. Łzy zmywają brud z jej policzków.

– Rzeka wzbiera – mówi kruk.

– Pie-erdol się.

– Masz zadanie do wykonania.

– Czy-y ja się-ę, kurwa, ją-ą-ąkam? Powiedziałam: pier-dol się.

Wszystko jest flegmą, smarkami i łzami.

– Oddycha dymem ze spalonych kwiatów, bo nie chce zostać zbrukany waszą nieczystością. – Kruk przechyla główkę to na jedną, to na drugą stronę. Jakby się przyglądał uciekającemu robaczekowi. – On wierzy, że nie tylko jesteście chore, ale że same jesteście chorobą. Uważa się za chirurga, który oczyszcza rany świata z gangreny.

Miriam wciąga z powrotem do nosa bąbelki z wydzieliny i mruga, żeby pozbyć się napływających łez.

– Bardzo mi pomogłeś. Niesamowite. A że do trzech razy sztuka: pierdol się.

– Rzeka wzbiera.

– Pierdol. Się.

– Masz zadanie do wykonania.

– Pie... – Ale zanim dokończyła pierwszy wyraz, Annie Valentine i kruk znikają.

Za to na górze rozlega się krzyk. To ona.

Wycie szybko cichnie. Zmienia się w bulgot.

Kroki przecinające podłogę nad głową Miriam.

Zamierza ją zabić. Zaraz to zrobi.

Miriam słyszy Keenera, jak zaczyna śpiewać. Nie potrafi rozróżnić pojedynczych słów, ale słyszy ponurą melodię i niepokojący rytm. Znów piosenka o Polly?

Ta piosenka?

Wstawaj.

Stara się poruszyć. Ciało nie reaguje na rozkazy. Łokieć ucieka spod niej i znów ląduje na ziemi.

Wstawaj!

Nogi ma jak z waty. Nie może im rozkazywać, bo jej nie słuchają. Owszem, poruszają się, ale nie tak, jak ona chce.

WSTAWAJ!

Miriam przewraca się na bok. Ręce pod ciałem. Kolana również. Unieść się. Na czworaki.

Widzi piec do wody.

Podparty, jak ona. Nie na rękach i kolanach. Na betonowych kostkach.

Doczołguje się do niego. Oplata ramionami jeden z betonowych bloków. Ciągnie.

Kloc nawet nie zadrzał.

Ciągnij, ciągnij, ciągnij...

Porowata powierzchnia bloku wgryza jej się w dłonie. Dziewczyna czuje świeżą krew sączącą się z nacięć na skórze. Strupki pękają, rany się otwierają. Krew działa jak smar i nie pomaga – nic a nic...

Ty głupia cipo, jeśli nie poruszysz tym gównem, wszyscy umrą!

Ty.

Valentine.

Tavena.

Lora.

I ile innych nastolatek?

W pomieszczeniu nad piwnicą słyhać rozbrzmiewającą piosenkę. Zapach wysuszonych i palonych róż drapie ją w nos. Słyszy, jak Keener wraca do pokoju. Pewnie tym razem z siekierą.

Prawym ramieniem obejmuje betonowy blok i z całej siły ciągnie. Wie, że jeśli będzie zbyt wolna, przewracający się piec zmiążdży jej dłoń.

Mimo to nie przestaje. Zamyka jedynie oczy.

Po pewnym czasie orientuje się, że szepcze modlitwy. Nie do Boga. Modli się do Włamywacza.

Miriam daje z siebie wszystko – wkłada całą energię w ramię i w ciągnięcie. W końcu betonowy blok zgrzyta o metalowe dno ogrzewacza do wody, który niespodziewanie kołysze się i przechyla...

Ale nie pada na ziemię, nie robi szkód i nie wydaje najmniejszego dźwięku.

Miriam jest wolna.

Chwyta betonowy bloczek.

Podnosi go obiema zakrwawionymi dłońmi.

Nadszedł czas, by zabić Carla Keenera. Nadszedł czas, by zakończyć jego śpiew.

**PORZUĆ GRZESZNĄ ŚCIEŻKĘ,
BYŚ NIE ŻAŁOWAŁ**

Drzwi się otwierają. Na szczęście są całkowicie bezgłośnie, jakby robiły Miriam jakąś przysługę – przysługę gwarantowaną przez Parlament Drzwi.

Myśl jest idiotycznie bezsensowna. Ale co może począć, skoro tak się czuje? Skrzyżowane przewody. Szalony wir w głowie. Czaszka pulsuje tak gwałtownie, jakby przeniosło się do niej serce.

Betonowy klocek, szary, upstrzony śladami czerwieni – jej czerwieni – spoczywa wygodnie w jej ramionach.

Przed sobą ma drzwi. To wyjście.

Mogłaby sobie pójść.

Odejść i wrócić jakiegoś innego dnia.

Albo i nie wrócić. To zresztą bez znaczenia.

Te dziewczynki też są bez znaczenia. Miriam jest samolubnym stworzeniem. Stworzona, by przetrwać. Jak karaluch kryjący się pod łóżkiem.

Miriam podchodzi do drzwi.

Wygląda na zewnątrz. Deszcz szumi. Zachęca ją, by wyszła. Oczyszcza. Daje oczyszczenie. Deszcz to hymn niebios.

Dla niej, zamkniętej gdzieś w piwnicy pod domem, to tylko kolejna piosenka.

Chór jęków i wrzasków. Żałosny płacz Annie Valentine.

Zawodzenie i ta idiotyczna piosenka.

– Miast słuchać wszelakich dobrych rad, cielesnych żądy toczył mnie

jad...

Miriam odwraca się od drzwi.

Wchodzi głębiej do domu. Domu bez żadnych dekoracji. Z zamokniętymi tapetami na ścianach. Ze zniszczonymi meblami sprzed kilkadziesiąt lat. Spodziewała się brudu, ale go nie zauważa. Jest czysto. Nie ma telewizora. Nie ma książek. Żadnych bibelotów. Nic. Sterylna czystość. Zupełnie jakby zakłócenie porządku było obrazą, formą naruszenia zasad, sączącą się trucizną.

Miriam, ukrywałaś coś przede mną. Kłamałaś, żeby to plugastwo nie wyszło na jaw. W tym kartonie nie znajdziesz dzieł naszego Pana. On tego nie stworzył. Nie tak cię wychowałam.

Pomieszczenie za salonem – które w normalnym domu wykorzystywane byłoby jako pokój dzienny – to zupełnie inna historia.

Przygaszone światła. Na podłodze plandeka.

Pośrodku stara drewniana kozetka.

Niewielki stolik karciany. Miriam dostrzega na nim kilka rzeczy. Niektórych nie rozpoznaje, inne tak. Jej ubranie, jej torba, telefon Katey.

W narożniku leży zwój drutu kolczastego, a na nim kombinerki.

Annie Valentine jest przywiązana. Drut kolczasty oplata jej usta.

W pomieszczeniu jest jeszcze Carl Keener.

Zwrócony w stronę dziewczyny, stoi tyłem do Miriam. Prawe ramię owinięte bandażem. Jest ciemne i przesiąknięte. To tam trafiła go nożem.

Toporek trzyma jedną dłonią. Drugą unosi zapalniczkę zippo ze stolika karcianego. Otwiera ją i zapala. Podsuwa ogień pod dziób maski.

Miriam słyszy trzaskanie żaru pożerającego wyschnięte zioła i kwiaty.

Mężczyzna nabiera głęboko powietrza i je wypuszcza – dwie ciężkie chmury dymu. Zupełnie jakby oddech wielkiego smoka.

Keener śpiewa:

– Umieram więc, słowo się rzekło, niech Polly złą pochłonie piekło.

Unosi siekierę nad głowę.

– W męczarniach wiła się i łkała...

Miriam skrada się naprzód. Unosi wysoko nad głowę swoją broń – betonowy blok. To broń jaskiniowca: zero finezji, dużo brutalności.

– I język gryzła...

Masz zadanie do wykonania.

– Aż sko...

Dziewczyna z całej siły uderza go betonowym blokiem w tył zakapturzonej głowy.

Carl Keener zatacza się. Wykorzystuje stylisko topora, by oprzeć się o kozetkę i nie paść na ziemię.

Miriam ponownie unosi blok. Czuje się powolna, jakby jej ciało było zanurzone w lepkim soku. Jak komar uwięziony w bursztynie. Lecz podczas gdy ona jest wolna, Keener działa szybko. Bierze zamach obuchem i trafia ją w twarz. Uderza z boku. Krew kapie po policzku, a ona się cofa.

Blok betonu wyślizguje jej się z dłoni. Miriam zatacza się. Musi się wesprzeć o framugę.

Gwiazdy...

Supernowa...

Mroczne cienie jak ptaki między gwałtownymi rozbłyskami.

Keener zaciska rękę na jej gardle.

Dziewczyna czuje zapach palonych kwiatów. Kwiatów z wieńców pogrzebowych. Woń róż. Goździków. Przez dziury w masce da się dostrzec kawałki żaru.

Keener cofa dłoń, bierze zamach i uderza. Warczy.

Uderza ją raz. W usta. Łapie za głowę i uderza potylicą we framugę. Wszystko jest bólem. A jedzenie smakuje kwaśną miedzią.

Znów słyszy zbliżającą się pięść.

Odzywa się telefon.

To telefon Katey.

Wystarczy. Mężczyzna odwraca głowę. Jest zaskoczony, wściekły, zdziwiony. Przestaje ją dusić.

Oddycha dymem ze spalonych kwiatów, bo nie chce zostać zbrukany waszą nieczystością.

Tym razem to ona chwyta...

Za dziób.

Kciukiem zatyka jedną dziurkę w szalonej masce ptaka, a drugą zasłania rozkrwawionymi ustami. Potem nabiera jak najwięcej powietrza i z całej siły wdmuchuje je do środka.

Tlen z jej oddechu budzi płomienie. Miriam widzi przez szklane oczy, że w środku wirują płonące kawałki suszonych kwiatów. Niespodziewanie mężczyzna zaczyna się łać przez ręce. Upada na stolik karciany. Krzyczy coś niewyraźnie, ukryty pod kapturem. Rozpaczliwie chce zdjąć z siebie maskę...

A kiedy w końcu mu się udaje, Miriam już czeka.

Z nożycami do drutu kolczastego.

Wbija je głęboko w jego gardło.

Znowu.

I znowu.

Aż do momentu, kiedy gardła nie da się bardziej zmasakrować.

CZĘŚĆ CZWARTA
ECHO DROZDA
PRZEDRZEŹNIACZA

*Zaśnij, dziecinko, niech noc cię nie przeraża,
Tatuś ci kupi drozda, co powtarza.
A jeśli powtarzać będzie ze wstrętem,
Tatuś ci kupi pierścioneł z diamentem.*

Kołysanka(przekład tłumacza)

POMYŁKA

Nie mów nikomu, że tu byłam.

Louis, proszę... przyjedź po mnie.

Jesteś już bezpieczna. Już – bezpieczna.

Szybko.

Nic nie mów.

Szybko.

Północ w jaskrawym świetle szpitalnych świetlówek. Sterylny smród środków odkażających. Intensywny zapach czystości sprawia, że wszystko wydaje się bardzo brudne.

Nie leży w żadnej sali. Nie musi. Jest na oddziale ratunkowym. Przestrzeń oddzielona parawanami jest niewiele większa od szafy. Kiedy lekarz ją bada, przysiada na niebieskim koszu na śmieci, jakby to było krzesło.

Mówią, że ma wstrząśnienie mózgu. Bez krwawienia wewnątrzczaszkowego. Jest tylko mocno pobita. Usunęli jej wyłamany ząb. Z tyłu. Na szczęście. Dzięki temu nie wygląda jak wieśniara żująca tytoń.

Żadnych szwów. Teraz stosują coś o nazwie Dermabond. Klej do skóry, wyjaśnił jej lekarz. Nacięcia na dłoniach i stopach zostają posmarowane żółtobrazowym roztworem jodyny. To sprawia, że czuje się jak nastolatka, kiedy koniki polne, które łapała, obsrywały jej ręce.

I nie ma złamań. Zaskakujące.

– Znów szpital – mówi Louis. Jego ciężkie dłonie głaszczą ją po plecach. Dobrze się z tym czuje. Przyjemnie. Ciepło.

– Oby ostatni raz – odpowiada. Ma zachrypnięty, charczący głos, jakby pół dnia łykała wełnę szklaną, zapijając whisky. – Ale obawiam się, że jeszcze tu wrócę.

Całuje ją w głowę – tam nie ma żadnych ran. Miriam nie potrafi powiedzieć, czy to rodzicielski, braterski czy grzecznościowy pocałunek. Albo pocałunek kochanka.

Ma to w dupie. Bo i tak było przyjemnie.

– Twój telefon ocalił mi życie – mówi. – Mnie i tej dziewczynie.

– Jak to?

Opowiada mu: gdyby nie zadzwonił, Keener byłby dalej skupiony. A tak o wszystkim zadecydowała chwila nieuwagi, dosłownie ułamek sekundy. To dało jej przewagę.

Louis chwyta jej podbródek w dłonie i przysuwa do swojej twarzy.

– Jak się czujesz? Tam na miejscu było bardzo... nieciekawie.

Oj, było. Na ścianach plamy jej krwi. Krew Annie kapiąca na podłogę. Szkarłatne ślady na niebieskim linoleum. A Keener...

Stoi tuż za Louisem. Tak, teraz. Ale nie jest prawdziwy. Miriam wie o tym. Jednak wygląda dokładnie tak jak w domu. Tatar zamiast gardła. Miriam nie potrafi sobie przypomnieć, ile razy wbiła w niego nożyce do cięcia drutu. Tak czy inaczej, za mało, by obciąć mu głowę. Ale niewiele brakowało.

Wcielenie Włamywacza odchyła głowę w tył, a potem przemawia przez zmasakrowaną krtani.

– Dobra robota! Prawdziwa morderczyni! – bulgocze rozerwane gardło.

Słyszy podekscytowany łopot skrzydeł. Keener znika.

– Wszystko w porządku – mówi. Kiedyś prześladowały ją słowa: „Takie życie. Nic nie zmienisz”. Dziś ma wrażenie, że zastąpiło je zdecydowane: „Jestem, jaka jestem”.

Morderczyni!

– Jesteś pewna, że nie chcesz rozmawiać z policją?

Miriam zadzwoniła do Louisa. Najpierw. Dopiero kiedy przyjechał, wezwała policję. Ale anonimowo.

– Całkowicie. Zbyt wiele razy byłam widziana na miejscach różnych zbrodni. W końcu któryś pomyśli, że to dziwne. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję, to wężące gliny i problemy z nimi. – Tym bardziej że jestem, jaka jestem, i robię, co robię. – Wystarczy, że fatalnie się czuję z tym, że musiałam ją tam zostawić.

– Musiałas, ale nie powinnaś się tym martwić. Policja jej pomoże.

– Mimo wszystko. Nie powinna była zostawać sama w takim stanie. Nawet na pięć czy dziesięć minut. Nie w tamtym domu. Nie chcę myśleć, co się działo w jej głowie. Mózg musi mieć jak jajka wymieszane na jajecznicę.

– Ocaliłaś jej życie, nie zapominaj o tym. Wyjdzie z tego. Pozwól sobie na odrobinę odpoczynku. I pamiętaj, że też tam byłem. – Całuje ją w policzek. Nie jest pewna, co to ma oznaczać. – Uratowałaś ją i pozostałe dziewczyny. Bardzo żałuję, że nie dałaś mi znać. Pomógłbym.

– Pojechałeś z ładunkiem. Miałam wrażenie, że chcesz być daleko.

Może sama też trochę chciałam pobyć bez ciebie, dodała w myślach. Potrzebowałam trochę samotności.

– Nigdy już nie pozwolę na coś takiego. Jestem, żeby cię chronić. Ty masz swoją misję, a ja swoją. Moja żona... – głos mu się załamuje.

Miriam nie potrafi sobie wyobrazić, o czym teraz myśli. Może o tym, że stracił wcześniej jedną kobietę i że mógł właśnie stracić drugą? Nie wie, czy to normalne, że łączy wspomnienie martwej żony z nią jak łódź z kotwicą. Ale, normalne czy nie, podoba jej się to, co czuje. Pociąga ją. Tonie w charakterystyczny dla siebie sposób.

– Zobaczysz, że wszystko rozgryziemy – mówi Louis. – Chcę, żebyś pamiętała, że będę cię bronił. Od tej chwili. Na zawsze.

– Dzięki – odpowiada. I uśmiecha się do niego.

Niedaleko wybucha małe zamieszanie. Na korytarzu. Słysząc znajomy głos. Podniesiony. I spanikowany.

W drzwiach pojawia się pani Wizniewsky. Dyszy.

– O Boże! – mówi, dopadając Miriam. Z całych sił ją obejmuje.

Miriam jęczy i chrząka, a potem odpowiada niezręcznie tym samym.

– Jestem strasznie obolała – mamrocze dziewczyna.

– Przepraszam, przepraszam! – Katey cofa się kawałek. Przygląda jej się uważnie. – Tak się cieszę, że zadzwoniłaś. A jeszcze bardziej, że nic ci nie jest.

– Dzięki za telefon. – Miriam oddaje jej komórkę leżącą na stoliku obok łóżka. – Uratował mi życie.

– To Louis. Pojawił się u mnie zdesperowany jak głodny pies – opowiada nauczycielka. – Mówił, że szukał cię wszędzie, gdzie się dało. W waszym starym motelu, dzwonił na stary numer i wszystko na nic. Nie mógł cię znaleźć. Dobrze, że zdecydował się zajrzeć do mnie. Chryste, alez oberwałaś!

Miriam wzrusza ramionami.

– Na szczęście tym razem nikt mnie nie dźgnął w cycki.

– Na szczęście, to ty przeżyłaś.

– Keenerowi się ta sztuka nie udała. – Miriam czuje falę chorej dumy. Kołysze się jak czerwony balonik. Nad jej głową.

– A ta druga dziewczyna? Biedactwo. Jak ona się nazywała? Amy Valentine?

– Annie. Z nią jest gorzej. Nie wiem, czy kiedykolwiek będzie taka jak wcześniej.

Wtedy Miriam zauważyła dziwne spojrzenie Katey. To, jak poruszają się jej brwi, jak układają usta, by wypowiedzieć słowa, które zaraz wypowie. Kiedy w końcu mówi, brzmi to tak:

– Jesteś pewna, że nic ci nie jest? Masz wstrząśnienie mózgu. To prawda?

– Hej, wiem, który mamy rok. Wiem, ile mam palców i ile powinnam mieć. Dlaczego o to pytasz?

– Bo ta dziewczyna, Annie Valentine... Ona nie żyje, Miriam. We wszystkich wiadomościach o tym mówią.

WIDOKÓWKA Z PIEKŁA

Przenoszą się do pokoju niedaleko. Prawdziwa szpitalna sala. Na jednym z łóżek śpi starszy mężczyzna. Wygląda jak połamana lalka – nogi w gipsie na wyciągach i usztywnione biodra.

W narożniku, na ścianie, telewizor. Miriam nachyla się nad chorym i odbiera mu pilota. Włącza telewizję. Pacjent się porusza, mamrocze coś, ale śpi dalej.

Miriam przełącza kanały. Pstryk. Pstryk. Pstryk.

Proszę.

Nie może uwierzyć w to, co widzi.

Na ekranie jest wszystko. Kurewski horror i jeszcze trochę.

Gliny. Wozy transmisyjne. Helikopter. Wszyscy w miejscu, gdzie mieszkał Keener.

A jego dom płonie.

Ogień bucha mimo zacinającego deszczu. Płoną niektóre miejsca na wielkim śmietniku koło domu, rozdzielone labiryntem przejść i ścieżek. Płomienie i czarny dym unoszą się z kontenera, kilku samochodów i długiego zniszczonego autobusu.

Stara się poskładać wszystko w logiczną całość. Może dziewczynie odbiło? Może ostatnia nitka, która trzymała ją jeszcze w kupie, pękła? Wtedy mogło zdarzyć się wszystko. Mogła znaleźć kanister z benzyną i spalić miejsce tortur.

Ale z tego, co mówią, znaleziono dwa ciała.

Carla Keenera, pięćdziesiąt sześć lat. Zwęglone.

I Annie Valentine. Osiemnaście lat.

Na zewnątrz.

Postrzelona w skroń.

Miriam dopada do kosza na śmieci i wymiotuje wszystko, co miała w żołądku.

Może znalazła broń. Broń była w domu.

Potem się zabiła.

Tak musiało być.

Coś się dzieje z tyłu jej głowy. Jakby pukanie. Jak ptak łapiący robaka.

Dzwoni telefon.

Miriam odchyła głowę znad kosza na śmieci i widzi, że to ponownie telefon Katey. Kobieta spogląda na ekranik. Robi zatroskaną minę.

Pospiesznie zbliża się do Miriam. I podaje jej słuchawkę.

Z głośniczka płynie głos Lory. Dziewczynka szepcze:

– Kazałaś zadzwonić, jeśli wydarzy się coś dziwnego – mówi ledwie słyszalnie.

Miriam chrząka i wyciera usta.

– Co? Mów, co się dzieje. Jesteś cała?

– Tak, nic mi nie jest. Wymknęłam się, żeby zadzwonić. Horvath mnie nie widział. Ale to nie chodzi o mnie. Tu chodzi o ciebie.

– O czym ty mówisz?

– Ktoś zostawił coś pod moimi drzwiami. Kawalek papieru... z wiadomością.

– Co to za wiadomość? Co tam jest napisane?

– To kilka słów. „Zła Miriam, odrzuć swój grzech. Inaczej wieczność, pewność tę mam, przyjdzie ci spędzić u piekła bram”.

Serce Miriam przeszywa lodowate ostrze strachu.

– Wracaj do swojego pokoju – syczy. – Szybko! Idź!

– Trochę... trochę się boję.

Miriam nabiera głęboko powietrza. Z całych sił powstrzymuje mdłości.

– Zamknij drzwi na zamek. Zaraz tam będę. Słowo.

ZŁY CZAS NA WYZNANIA

Kabina ciężarówki Louisa wydaje się ciasna. Miriam czuje się w niej jak w worku na zwłoki zatopionym głęboko pod wodą. Deszcz leje strumieniami i zalewa przednią szybę, potęgując to wrażenie. I to nie tylko dlatego, że mają dodatkowego pasażera – Katey, która siedzi za nimi, na łóżku – ale dlatego, że Miriam nie może zrozumieć, co się właściwie wydarzyło. Zbyt wiele pytań naraz. Zbyt wiele tajemnic, które trzeba zgłębić.

Na początek śmierć Annie Valentine. Samobójstwo? Może... Jej umysł był jak wypatroszony pluszak. Miriam do teraz czuje wyrzuty sumienia, że zostawiła tę biedną, poranioną dziewczynę samą. Okaleczoną. Jej rany nie były świeże. To znaczy, że nie Keener je zadał. Czyżby narkomanka? Uzależniona od metamfetaminy? Tak, możliwe. To by też wyjaśniało samobójstwo.

Lecz kartka z informacją wetknięta pod drzwi Lory...

„Odrzuć swój grzech. Inaczej wieczność, pewność tę mam, przyjdzie ci spędzić u piekła bram”.

Piosenka Keenera.

O biednej Polly.

Tyle że teraz to piosenka o biednej Miriam.

Ktoś wie. Znów: czy to mógł być Keener? Dość długo leżała u niego nieprzytomna, żeby wsiadł do samochodu, pojechał do szkoły i wrócił. Mógł już od jakiegoś czasu obserwować Lorę, przygotowując jej śmierć. Tak, to możliwe.

A jednak taka wersja ma w sobie fałszywą nutę.

Stuk, stuk, stuk.

Miriam włącza radio. Przeszukuje stacje, czekając na wiadomości.

„Drużyna z Filadelfii nie zagra już w tym roku...

...w najbliższych dniach spodziewać się należy intensywnych opadów ze względu na bliskość tropikalnego sztormu Esmeralda...

A teraz jazz w wykonaniu Mumbai Xochitl jako część naszego bloku muzycznego...”

Wyłącza radio. Pociera skronie. Ma wrażenie, że jej zatoki są wypchane zakrwawioną watą.

– Może powinniśmy byli zostać w szpitalu – mówi Louis. – Chcieli zatrzymać cię na kolejną noc. Żeby się upewnić, co z twoim wstrząśnieniem mózgu.

Miriam prycha.

– Pieprzę, co chcieli, bo czuję się całkiem dobrze. Poza tym... – Zapala papierosa, otwiera okno i wydmuchuje dym na zewnątrz. – Poza tym będę brała, co mi kazali. Czyli łyżkę cukru.

Łyżkę cukru, w połączeniu z trzydziestoma siedmioma rodzajami środków kancerogennych. Mniam.

– Słuchaj, muszę ci coś powiedzieć – odzywa się Louis.

– To chyba nie jest najlepszy czas na osobiste wyznania.

– Może jednak jest.

Katey przysłuchuje się ich wymianie zdań. Miriam wzdycha, zapala kolejnego papierosa, unosi go w okaleczonej dłoni i wydmuchuje chmurę dymu na zewnątrz.

– Niech będzie. Ale ja pierwsza. – I zanim Louisowi udaje się jej przerwać, strzela jak rakietą: – Ja... między mną a jednym z nauczycieli prawie do czegoś doszło. To trener. Albo sensei. Czy jak tam siebie

nazywa.

Pierwsza odzywa się Katey.

– Beck Daniels?

– Znam go... Spotkaliśmy się. Raz. – Louis gwałtownie się prostuje. – Dostarczałem maty na salę gimnastyczną.

– Nie pieprzyliśmy się.

– Uhm.

Miriam widzi, jak zaciska dłonie na kierownicy. Gdyby zamiast kierownicy trzymał czyjeś plecy, ich właściciel padłby na ziemię z pogruchotanymi łopatkami.

– Walczyliśmy. Tak dosłownie. Rzuciliśmy się na siebie, a potem to już samo poszło. I myśmy prawie... ale tylko prawie, bo do niczego nie doszło... cholera, wiesz co? Powinnam była zachować to dla siebie. Wiedziałam, że to zły czas na wyznania.

Louis nabiera głęboko powietrza i wypuszcza je nosem, jakby chciał albo się uspokoić, albo zebrać w sobie dość energii, by zamordować wszystkich w sfoferce samą siłą umysłu.

– Już cię nie opuszczę.

– Co?

– Mam zadanie. Moim zadaniem jest cię chronić. – Kolejny, pełen zdenerwowania, oddech przez nos. – Widziałem coś.

– O rany, nie wierzę! Widziałeś Świętego Mikołaja?! Czy kolejny odcinek serialu? A może chupacabrę?

– Ptaka. Kruka.

Miriam tężeje.

Opowiada jej o wszystkim. Nie tylko o jednym kruku, ale o całej drodze pełnej kruków – z których tylko jeden się liczył. I że mówił jej głosem. A potem o piórze w pustym oczodole. I kosmykach włosów unurzanych w

błocie.

– Włamywacz – mówi Miriam głośno, mocno akcentując imię, jakie mu nadała. Wypuszcza swój wewnętrzny głos z klatki.

Bo to oznacza, że Włamywacz istnieje naprawdę. Nie jest więźniem jej umysłu. Nie jest wyrazem jej podświadomości.

– Co pewien czas spotykam się z Włamywaczem. Zawsze myślałam, że to tylko ja... że mam go w głowie i tyle...

– To całkiem prawdopodobne – odzywa się Katey. – Możliwe, że to, co zobaczył Louis, to ty... Nie potrafię znaleźć lepszego słowa: transmitowałaś swoje wizje.

– Ta wiadomość sprawiła, że natychmiast przyjechałem – wyjaśnia Louis. – Katey może mieć rację. Ptak mówił twoim głosem, co by potwierdzało tę wersję.

Przed nimi brama wjazdowa na teren szkoły.

O tej porze nikt nie siedzi w budce; jest już pierwsza w nocy. Katey wyskakuje z szoferki i podchodzi do betonowego filaru, na którym zawieszono herb szkoły Caldecott. Odsuwa jedną z cegieł i ich oczom ukazuje się klawiatura z białymi przyciskami.

Wprowadza jakiś kod i po kilku chwilach brama się otwiera. Podjeżdżają na parking przed budynkiem i parkują. Louis wyłącza silnik, a Miriam kładzie mu dłoń na ramieniu.

– Lepiej będzie, jak poczekaś w samochodzie. Na wszelki wypadek, gdybyśmy musiały uciekać. Katey idzie ze mną, bo ma klucze, więc mnie wprowadzi.

Katey pokazuje pęk z breloczkiem i uśmiecha się smutno.

– Ja też idę – warczy mężczyzna. – Nie żartowałem, kiedy mówiłem, że jestem tu, żeby cię chronić. Nie puszcę cię tam samej.

– To jest szkoła dla dziewcząt. Rozumiesz? Szkoła pełna dziewczynek!

Jestem przekonana, że jedna czy dwie z nich potrafią wystrugać nóż z kostki mydła, ale z większością pozostałych powinnam dać sobie radę.

– Wariat, który zostawił ci tę notkę, może być na terenie szkoły.

– O rany, pomyśl! Chcemy tam wejść, nie wzbudzając niepotrzebnego zainteresowania. Nie nazywam cię Frankensteinem tylko ze względu na ukryte zamiłowanie do noszenia butów na platformie. Jesteś gigantyczny. Damy sobie radę – mówi Miriam i ma wielką nadzieję, że tak jest w rzeczywistości. Tak naprawdę nie chodzi wcale o to, że boi się zwracać na siebie uwagę. Wyznania w czasie jazdy wprawiły ją w zakłopotanie i jeszcze nie czuje się całkiem dobrze. Potrzebuje trochę przestrzeni. Zakłada, że Louisowi też przyda się odrobina czasu w samotności.

Nie uśmiecha się, ale w końcu potakuje.

– Niech będzie. Tylko nie siedźcie tam za długo.

– Nie będziemy.

W pierwszym odruchu chce pocałować go w policzek, ale jednak tego nie robi – czy nie byłoby to wysłaniem sprzecznych informacji? A poza tym, czy w ogóle ma pojęcie, jaką wiadomość chce mu wysłać?

Zamiast pocałunku macha mu dłonią.

Potem kiwa głową i mówi:

– Nie wiem, po jaką kurwę ci macham.

Louis spogląda na nią, jakby patrzył na całkowitą świruskę. I pewnie ma rację.

Czerwieniąc się, Miriam wyskakuje z szoferki i biegnie dołączyć do Katey, która czeka już na nią przy drzwiach.

KORYTARZ CZERWONYCH DRZWI

Skrzydło szkoły, w którym mieści się internat dla dziewcząt, jest połączone z głównym budynkiem. O tej porze w głównym budynku panują ciemności. Nic nie widać, ale Katey na szczęście wie, gdzie iść. Stoją przy drzwiach. Nauczycielka przesuwając po omacku klucze na kółku, szukając właściwego, kiedy niespodziewanie z balkonu na piętrze pada snop światła.

Miriam chwytając Katey za łokieć i ciągnie ją za drewniany stół, na którym stoi ekspres do kawy i ceramiczny dzbanek.

Snop robi się coraz jaśniejszy. Z korytarza na piętrze wyłania się mężczyzna, wygląda przez balkon i zaczyna schodzić do lobby. Z każdym krokiem światło latarki podskakuje. Potem omiata hol jak promień latarni morskiej.

Rozlega się skrzek radia, a ukryta w ciemności postać odpowiada.

– Dałbym głowę, że coś słyszałem. Jestem w lobby.

Miriam zna ten głos.

To Sims. Alias Pan Steryd.

Głos z krótkofalówki znów coś przekazuje, ale ona nie potrafi rozróżnić pojedynczych słów. Kto to? Drugi strażnik? Horvath?

– Jestem – mówi Sims. – Nie, nic nie widzę. Aha, nic. Dobra, wracam dokończyć obchód. A ty tym razem zostaw moją parówkę w spokoju.

Miriam w pierwszym – niedobrym – odruchu chciała zażartować z dwóch facetów zjadających sobie parówki, lecz tym razem zdrowy rozsądek zwycięża. Czuje przypływ dumy. Ojejku, jaka duża dziewczynka!

Kiedy zdążyła dorosnąć?

Sims wraca klatką schodową na górę.

Katey nabiera głęboko powietrza i szepcze:

– Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł.

– Nie mamy innego wyjścia. To, co się dzieje, jest totalnie popieprzone i muszę się dowiedzieć, co to takiego. Proszę?

Katey kiwa głową. Podchodzi do drzwi.

Znajduje właściwy klucz. Otwiera zamek.

Za drzwiami widać schody. Są z ciemnego drewna, przykryte zakurzonym dywanem. W brązowych kinkietach na ścianach wkręcono plastikowe elektryczne świece.

– Tutaj niedaleko jest biuro szefowej internatu. To pani Betty. Od czasu do czasu chodzi po korytarzach i sprawdza wszystko, więc pójdę ją zająć, żeby cię nie zaskoczyła. Tak na wszelki wypadek. Pokój Lauren Martin znajduje się na trzecim piętrze. Ma numer trzysta dwadzieścia dwa. Dasz sobie radę?

Miriam nie jest pewna. Ale kiwa głową.

Katey rusza wykonać swoją część misji, a Miriam, przeskakując po dwa stopnie naraz, wbiega na trzecie piętro. Otwiera drzwi i wygląda na korytarz. Pusto. Zaczyna się skradać.

Po obu stronach korytarza ciągną się rzędy czerwonych drzwi. Jeszcze więcej ornamentów z wiśniowego drewna, jeszcze więcej ciężkich, zakurzonych dywanów, które równie dobrze mogłyby wyściełać korytarze jakiegoś wiktoriańskiego burdelu, i jeszcze więcej brązowych kinkietów. Szpary pod drzwiami całkowicie ciemne. Dziewczęta śpią.

Miriam pędzi naprzód. Szuka numeru trzysta dwadzieścia dwa.

W głowie słyszy piosenkę The Rolling Stones.

I see a red door and I want to paint it black.

Jest. Pokój Lory.

Delikatnie drapie w drzwi.

Te otwierają się gwałtownie...

Czyjaś dłoń chwyta ją za nadgarstek i wciąga do pograżonego w mroku wnętrza.

PRZEZNACZENIA I TAK NIE ZMIENISZ

Miriam uderza boleśnie biodrem o narożnik szafki. W szufladach i na półkach słycać hałas ułożonych w środku przedmiotów. Sięga do kieszeni po nóż, jednak zanim zdąży go wyciągnąć, kawałek przed nią włącza się latarka, oświetlając od spodu czyjaś twarz.

Dziewczyna widzi przed sobą Lauren Martin i jeszcze jakąś dziewczynkę o okrągłej twarzy. Z wyglądu przypomina Miriam bohaterkę jednego z seriali telewizyjnych.

– Cześć, wariatko – mówi Lora.

– Cześć, wariatko – powtarza druga dziewczyna.

– Nie przeginajcie – odpowiada Miriam, wskazując na współlokatorkę Lory. – Poza tym ty nie masz podstaw, żeby tak do mnie mówić. A jak będziesz, to ja ciebie będę nazywała jeszcze gorzej. Czaisz?

– Jesteś walnięta – mówi tusta dziewczynka.

– Cholera, przecież nawet mnie nie znasz!

– Cisza! Zamknijcie się! – syczy Lora. – Miriam, to jest Missy. Missy, to jest Miriam. Podajcie sobie ręce i będzie po wszystkim.

Miriam pokazuje jej język, ale posłusznie wyciąga dłoń.

Missy, cały czas podświetlając się latarką, robi to samo i...

Jest sporo szczuplejsza. Nie ma śladu po tłustej nastolatce z nosem Karla Maldena. Missy leży wyciągnięta na zabytkowej lekarskiej kozetce.

Rozpoczyna się piosenka: Pewnego dnia jej głupie serce raptownie zaniemogło wielce...

Wypalone ściany.

Mężczyzna z tatuażem jaskółki i maską lekarza z czasów dżumy.

Kwiaty z wieńców pogrzebowych, żarzące się. Dym przez dziurki w dziobie.

Morderca Przedrzeźniacz śpiewa.

Missy walczy, szarpie się, płacze, zaciska zęby na drucie kolczastym. Okruchy rdzy spadają na jej wyschnięty język.

Siekiera unosi się w górę.

Siekiera gwałtownie opada.

Głowa dziewczyny nie zostaje całkowicie oddzielona od korpusu. Kręgosłup został przecięty, lecz resztę skóry i ciała musi przeciąć nożycami do drutu.

Język zostaje wycięty.

Piosenka się kończy.

Drozd Przedrzeźniacz się śmieje.

...Miriam znów wpada biodrem na szafkę, odskakując od Missy. Na dodatek boli ją dłoń z wyciętym iksem. Jednak znacznie większy i dziwniejszy rodzaj bólu sprawia jej świadomość, że to jeszcze nie koniec i że Keener nie odszedł. Drozd Przedrzeźniacz żyje i dziewczynki wciąż są skazane na śmierć. Przez chwilę widzi niewyraźną czaszkę unoszącą się przed twarzami nastolatek. Mruga szybko powiekami i wizja rozplywa się w powietrzu.

– Cholera – mruczy Miriam i przyciska zaciśnięte pięści do ust. Przygryza je tak mocno, że przez moment ma wrażenie, że przegryzie skórę. – Cholera, cholera, cholera.

Jak?

Jak?

Carl Keener. Żyje? Przecież go zabiła. I to nie zabiła ot tak, po prostu – zmieniła jego gardło w mielonkę na kotlety. Jego truchło stygło, kiedy

czekała na Louisa, a Annie Valentine siedziała roztrzęsiona na lekarskiej kozetce. Miriam zdjęła jej z twarzy drut kolczasty i rozpięła skórzane paski, którymi była unieruchomiona.

I co? I jest. Czeka na nie. Gdzieś w przyszłości.

Narodzony ponownie.

W jaki sposób Carl Keener mógł powrócić do życia?

Nagle wszystko wydaje się rozmyte i niewyraźne. Niczego nie jest już pewna. Świat wiruje dookoła niej.

Życie Miriam i tak nigdy nie było stabilne – brakowało jej solidnego, niewzruszonego fundamentu rozsądku. Zawsze mogła za to liczyć na prawdziwość swoich wizji. Wydawało jej się, że skoro uratowała Louisa, to może uratować pozostałych.

Co w takim razie poszło nie tak?

Czyżby sprawa z Louistem to był tylko przypadek? Przeoczenie?

Bo w tej chwili miała wrażenie, że przeznaczenie przejrzało jej sztuczkę. I zrobiło wszystko, by ją wykolegować z interesu.

Głos matki: Taki los. I nic nie poradzisz...

– Nie ocalałam was – mówi Miriam przerażonym szeptem.

– O cholera, ona naprawdę jest walnięta – mamrocze Missy.

Lora daje jej kuksańca w ramię.

– Co to znaczy?

– Niczemu nie przeszkodziłam. Umrzecie tak czy inaczej. Zabiłam Carla Keenera, zaszlachtowałam go, kurwa, jak świnie, ale on i tak was dopadnie.

Annie Valentine. Z kulą w głowie.

Ogień. Płonie dom.

Nagle dostrzega coś, czego wcześniej nie widziała. We wszystkich wizjach dom i autobus są spalone. Kiedy morderca zabierał się do mordowania, robił to w otoczeniu osmolonych ścian domu i na wpół

stopionego plastiku wnętrza autobusu. Tymczasem pożar wybuchł dopiero teraz. Już po śmierci Keenera.

Prawdopodobnie właśnie przez nią.

Keener nie jest jedynym zabójcą. To niemożliwe.

Nagle ktoś wali pięścią w drzwi.

Z korytarza dobiega głos Simsa.

– Proszę wyjść, pani Black. Wiem, że pani tam jest.

A niech to szlag trafi!

Miriam wrywa latarkę Missy i oświetla okno. Za szkłem mającą grube stalowe kraty. Tą drogą raczej mu nie ucieknę.

Lora krzyczy podniesionym głosem.

– Nikogo tu nie ma! Niech pan nam da pospać.

– W szkole są kamery. Nikogo nie nabierzecie.

Missy kryje twarz w dłoniach.

– Wywałą nas stąd! Wyrzucą na zbity pysk!

Lora znów ją szturcha.

– Odsuńcie się – mówi do nich Miriam. – Już! Stańcie pod oknem!

Czy ma jakiś wybór? Otwiera posłusznie drzwi.

W progu stoi Sims. Z początku dziewczyna ma wrażenie, że ochroniarz trzyma w dłoni pistolet, lecz z bliska nie można się pomylić – to paralizator.

Nienawidzi tych urządzeń.

– Proszę wyjść z pokoju – mówi mężczyzna. – Powoli.

– Już. W porządku. Idę. Powoli.

Robi krok naprzód. Spogląda mu przez ramię.

– Rany, naprawdę musiałeś wzywać posiłki? To Horvath?

Sims odwraca się.

To kłamstwo. Korytarz za jego plecami jest pusty.

Ale ona potrzebowała chwili nieuwagi.

Momentalnie uderza latarką, jakby w rękę trzymała nóż – metalowa obudowa tańczy w powietrzu i trafia Simsa prosto między oczy. Mężczyzna pociąga za spust paralizatora, lecz Miriam jest na to przygotowana. Wcześniej odskakuje na bok i rzuca się przed siebie. Wpada na ochroniarza i powala go na ziemię.

A potem zrywa się do ucieczki. On się jednak nie daje. Rzuca się za nią jak muchy na gówno. Dziewczyna czuje za plecami jego ciężkie kroki. Trzęsie się od nich cały budynek. Musi mu uciec. Musi. Nie ma czasu, żeby dać się zamknąć. Nie ma czasu na gliny, biurokrację i inne głupoty.

Przedrzeźniacz żyje i chce działać. Dopóki on żyje, Lora i pozostałe dziewczyny skazane są na śmierć.

SZELEST SKRZYDEŁ

Trudno nie narobić hałasu.

Pierwotnie plan był taki, by całą sprawę załatwić bez niepotrzebnego zamieszania, bez alarmowania strażników i bez: nie, panie władzo, no przecież, że nie włamywałam się do tej szkoły, żeby... hola, czy to są kajdanki?

Ale plan spalił na pierdolonej panewce.

Mija zakręt i widzi przed sobą niewielki stolik z imitacją chińskiej emaliowanej wazy. Przechodząc obok, przewraca go na podłogę. Rozlega się łomot.

Nie zatrzymuje w ten sposób Simsa, ale zanim się orientuje, co się dzieje, mężczyzna chwyta niepotłuczoną wazę, bierze zamach i ciska nią jak piłką do futbolu amerykańskiego. Celuje w jej głowę.

W porządku. Można i tak. Najwyraźniej jemu nie przeszkadza robienie hałasu.

Nagranie jej ucieczki na pewno nie przyniesie jej Oscara, lecz w tej chwili to akurat najmniejsze zmartwienie. Największe zaś to – uchyla się i w tej samej sekundzie mija ją waza, trafia w czerwone drzwi i roztrzaskuje się na nich, a kawałeczki ceramiki kłują ją w policzek – nie dać się trafić w twarz ciężką wazą.

Naprzeciwko niej jest druga klatka schodowa.

Dopada do drzwi. Otwiera je i wypada na zewnątrz.

Tam zatrzymuje się i czeka, schowana między ścianą a drzwiami.

Kiedy słyszy Simsa, napiera na nie całym ciałem i uderza pędzącego

mężczyznę w chwili, kiedy ten przeskakuje próg.

Drzwi trafiają go w okrągłą, gładką głowę. Ochroniarz pada na tyłek.

Miriam rzuca się w dół, przeskakując nad poręczą na schody poniżej, kiedy tylko wysokość nie grozi skruceniem kostki. Każdy taki skok wywołuje ból promieniujący z pokaleczonych stóp aż do kolan i ud. W tej chwili czuje, jak krew przesącza się przez skarpetki. Jednak nie ma czasu na myślenie. Nie ma czasu na przystanki.

Z trzeciego piętra na drugie, z drugiego na pierwsze – już słyszy go nad sobą. Łomot ciężkich stóp łubudubułub-udubułubudubu. Wie, że tym razem ochroniarz nie da za wygraną.

W jego żyłach płynie red bull i sterydy anaboliczne, pierdolony koksiarz, a co gorsza, ma do wyrównania rachunki. Sims nie zamierza się poddawać. I nie ma mowy, żeby mogła poradzić sobie z nim w bezpośrednim starciu. O nie. Wcześniej po prostu wykorzystwała zaskoczenie.

A teraz? Ma pocięte dłonie i stopy, boli ją głowa, jakby ktoś zagrał nią w piłkę, a mózg obija się w niej jak kości w kubku do gry. Nie ma cienia szansy.

Musi znaleźć jakąś kryjówkę.

Na drzwiach przed sobą dostrzega wygrawerowany na mosiężnej tabliczce napis: SALE LEKCYJNE.

Niech będzie.

Napiera na nie ramieniem i z rozpędem wpada do skrzydła dydaktycznego. Ciemność rozpraszają jedynie czerwone lampki ewakuacyjne.

Natychmiast dostrzega znajomy znak: stołówka.

Mogłaby się w niej ukryć. Tyle że nie zna jej rozkładu.

Ale tuż obok jest... sala gimnastyczna. Duże pomieszczenie. Cała masa kryjówek, w których mogłaby się schować: materace, rozkładane tablice,

kozły do skakania, ogromne piłki lekarskie. Może nawet biuro Becka.

Schylona przemyka wzdłuż korytarza, niemal wpadając na fontannę, której nie dostrzega w porę. Nagle słyszy trzask drzwi. To Sims. Jest tylko kilka metrów za nią. Ledwie znalazł się na korytarzu, natychmiast włączył latarkę i zaczął sprawdzać wszystkie zakamarki.

Tymczasem drzwi do sali gimnastycznej są tylko kilka kroków od niej. Snop światła przesuwa się w jej stronę.

Ma jedną jedyną szansę. Musi ruszyć teraz.

Miriam zsuwa buty, zostawia je na podłodze i biegnie na samych piętach – pop, pop, pop, pop, pop – a światło przesuwa się w jej kierunku...

Dopada do podwójnych drzwi do sali gimnastycznej.

Nie musi otwierać ich szeroko. Wystarczy uchylić. Tak jak poprzednim razem.

Wśliznąć się. Jak duch.

Nie zamyka ich za sobą – pozwala, żeby same się cofnęły. Klik. W tej chwili przesuwa się po nich snop światła z latarki Simsa.

Modli się, żeby niczego nie zauważył.

Potem rzuca się pędem w mrok przed sobą. Ciemność, jak w całym budynku, rozprasza ją jedynie czerwone światełka ewakuacyjne. Nagle coś sobie uświadamia: kierują ją do dobrze oznaczonego wyjścia ewakuacyjnego.

Sala gimnastyczna ma osobne wyjście.

Ratunek.

Zapamiętuje, by odnaleźć miejsce pochówku architekta szkoły i zostawić mu na grobie wieniec świeżych kwiatów.

Miriam pędzi do wyjścia. Nagle dostrzega coś kątem oka...

W narożniku sali gimnastycznej, ze szpary między drzwiami a futryną sączy się inne światło. Białe. Drzwi do gabinetu Becka są lekko uchylone.

Ha!

Wtedy coś zasłania czerwony znak wyjścia ewakuacyjnego. Z sapnięciem wpada na to coś. Na nadgarstkach czuje czyjeś silne dłonie. Jest unieruchomiona. Chce jej się płakać, ale kiedy pociąga nosem, czuje znajomy zapach: prosty zapach mydła i potu.

Beck Daniels.

– Miriam? – pyta.

– Beck. Ups. O rany. Cześć.

– Co ty tu robisz?

Uwaga! Uwaga! Nie daj się! Odwróć pytanie!

– Co ja tu robię? Człowieku, ty mi lepiej powiedz, co ty tu robisz?! Przecież jest już druga w nocy, jak nie lepiej.

– Do północy ćwiczyłem kata, a potem przysiadłem nad papierkową robotą, bo mam trochę zaległości. Wydawało mi się, że słyszałem kogoś, i wyszedłem sprawdzić.

Puszcza jej nadgarstki. Jego dłonie lądują na jej biodrach. Nagle czuje się niespodziewanie bezpieczna. Przesuwa palcami po jego muskularnej klatce piersiowej.

Na poranionej skórze wnętrza dłoni czuje wilgoć jego potu.

Drzwi do sali gimnastycznej otwierają się gwałtownie.

Sims.

Cholera.

Odwraca się, żeby zobaczyć, co robi. Ochroniarz włącza wszystkie światła na sali – jaskrawe kule białego ognia zawieszane pod sufitem, które rozdzierają ciemność na kawałeczki i przepędzają ją z pomieszczenia. Miriam przez chwilę ma wrażenie, że spojrzała prosto w słońce.

Umięśniony stróż biegnie przez salę, jakby był komandosem z oddziału antyterrorystycznego. Nie zatrzymując się, zakłada na paralizator kolejną

kasetę z elektrodami do wystrzelenia.

– Daniels, odsuń się! – krzyczy. Ma purpurową twarz, a napompowane żyły wyglądają pod skórą jak korzenie drzewa unoszące asfalt. – Odsuń się! Ona jest niebezpieczna! Próbowwała skrzywdzić dwie dziewczynki w internacie!

Beck unosi dłonie, chwytą Miriam, ale szybko ją puszcza i robi krok w tył.

– Czy to prawda?

– Co? – Dziewczyna potrząsa głową. – Nie! Nie. Oczywiście, że nie. Mówiłam ci przecież, że przysłam, żeby je ocalić. Jasna kurwa, Beck, nie znasz mnie za dobrze, ale wiesz, że ten przygłup, którego nie chcieli nawet w policji, ma coś do mnie!

Sims patrzy na Becka.

– Beck, czy ona coś ci zrobiła? Zraniła cię?

– Chyba tak – mówi Beck. W jego głosie słychać przerażenie. Zaczyna się od niej odsuwać. Cofa się w kierunku Simsa.

Wtedy wszystko zaczyna się walić.

Na umięśnionej klatce piersiowej nauczyciela opina się biała sportowa koszulka.

Biały T-shirt jest mokry i czerwony. To krew.

Jej dłonie też są czerwone od krwi. To, co na nich czuła, to nie był jego pot.

A krwawe linie na jego ciele układają się w kształt...

Z początku Miriam jest przekonana, że to jest jej krew, ale...

O Boże...

Beck cofa się, aż staje za Simsem. Miriam potrząsa głową, wyciąga ręce i krzyczy:

– Sims! Chryste! Uciekaj! Uciekaj od niego!

Ale jest już za późno.

Beck porusza nadgarstkiem, a w jego dłoni pojawia się ostrze. Ostrze noża sprężynowego. Jej noża. Chwyta Simsa za czoło i jednym płynnym ruchem przyciąga jego głowę do piersi i podcina mu gardło.

Z przepołowionych tętnic i tchawicy tryska krew i świszczy powietrze. Czerwień zalewa podłogę sali gimnastycznej.

Wszystko powtarza i potęguje echo pustego pomieszczenia.

Ciało pada na ziemię.

Zginał od noża. Beck musiał jej go ukraść, kiedy wpadła na niego przy drzwiach.

Ale to nie tak miał umrzeć Sims!

Miał odejść na atak serca. Na własnej ławeczce do wyciskania. I dopiero za jedenaście lat.

Wszystko się miesza. To nie tak. Czy może jeszcze wierzyć swoim wizjom? Czy to, co widzi, to prawda?

Nie, nie może im wierzyć. Nie może wierzyć, że dopadła właściwego człowieka.

Carl Keener nie był jedynym mordercą.

– Jaskółka – mówi Miriam. Głos jej drży. Każde słowo jest jak pęknięta porcelanowa filiżanka. – Masz na piersi jaskółkę.

Czerwień z jego piersi przesiąka przez koszulkę i przybiera aż nazbyt znajomy kształt: zaokrąglone jak ostrza skrzydełka, spiczasty podwójny ogon i dziób skierowany ku górze, jakby ptak był w locie.

Uśmiecha się i podnosi koszulkę.

Tatuaż jest świeży. Bardzo świeży – bo wykonany tej nocy. Kropelki krwi zbierają się wzdłuż linii jak sok zbierający się na przeciętej kości grillowanego steku.

– Ty pierdolony kutasie – wyrzuca z siebie.

– Dobrze wychowane kobiety nie powinny się tak odzywać. – Robi krok w jej stronę. Rzuca nóż na drżące jeszcze ciało ochroniarza. – I nie powinny zabijać miłych panów ochroniarzy. To nieuprzejme.

– Ponoć macie tu kamery.

– A kto powiedział, że są włączone?

Kolejny krok. Miriam cofa się kawałek.

Wyście ewakuacyjne.

Idź do wyjścia ewakuacyjnego.

A stamtąd na parking. Do Louisa. Ratunek.

– Jesteś chory – mówi. Kolejny krok.

Zbliża się do niej.

Podchody trwają jeszcze chwilę. Miriam jest już blisko. Trzy metry. Może trochę mniej. Może trochę więcej.

– Daj spokój, Miriam. Jesteśmy przecież jak papużki nierozłączki. Wybacz, że znów o ptakach.

Miriam udaje odwagę. Wypina pierś.

– Nie wybaczę. To było zupełnie nie na miejscu. Powinieneś spalić się ze wstydu, bo to nawet nie było śmieszne.

– No proszę, jaka pyskata. To twój sposób obrony, tak? Mała dziewczynka kryje się za fasadą ironii, żeby świat się nie dowiedział, jak bardzo jest skrzywiona i skrzywdzona. I smutna. To, jak i co mówisz, to wszystko zmyłka. Taka magiczna sztuczka.

– Powinieneś zdechnąć.

– Nie rozumiesz. Jesteśmy do siebie podobni. Zabijamy, bo mamy cel.

– Nie jestem morderczynią.

Jeszcze półtora metra.

– Carl Keener byłby innego zdania. Nieźle go załatwiłaś.

– Pracowaliście razem? Ty i Keener? To ty zastrzeliłaś Annie?

Beck tylko się uśmiecha.

Już prawie.

Gotowa...

– Jest tyle rzeczy, o których nie masz pojęcia – mówi.

– Może i tak, ale kilka rzeczy wiem na pewno. – Miriam drżą usta. W oczach czuje palące łzy. – Wiem, że lubisz krzywdzić dziewczynki. I wiem jeszcze, że już żadnej nie skrzywdzisz. Może i jestem morderczynią. Może się nią stałam, a może byłam od samego początku. Keener odkrył prawdę. Ciebie też to czeka.

Teraz, biegnij!

Odwraca się i rzuca w kierunku wyjścia. Niczym błyskawica pokonuje ostatnie centymetry dzielące ją od wolności...

...wpada z impetem na drzwi...

...i się od nich odbija.

Napiera na klamkę.

Nic.

Krzyczy. Ciągnie. Kopie. Znow napiera i rzuca się całym ciałem. Ale drzwi ani drgną. Zaczyna płakać. Opiera głowę o chłodny metal. Dopiero teraz czuje, jak bardzo jest rozgrzana. Słyszy, jak Beck cmoka językiem. Jest tuż za nią.

– Zamknąłem je oczywiście. Wiem, przepisy BHP.

Miriam zaciska pięści.

Usiłuje odepchnąć się od drzwi nogami jak pływak na basenie. Planuje pobiec wprost do jego biura, gdzie być może ma gdzieś ukrytą broń – pistolet, którym pewnego dnia wypieprzy swój chory mózg na ściany gabinetu...

Ale Beck ma inne plany na wieczór.

Porusza się bardzo szybko. Ciska nią o ścianę. Uderza ją w obie nerki

naraz, odbierając całą siłę z nóg.

Chwyta ją, zanim pada na podłogę.

Oplata jej gardło ramieniem i zaciska, zgniatając tchawicę. Miriam zaczyna się dusić.

Sięga za siebie, szuka palcami jego twarzy. Walczy. Kopie.

Obraz przed jej oczyma zaczyna się rozmywać i lśnić na krawędziach. Potem pojawia się ciemność.

Chce wołać. Wzywać Louisa.

Chce coś powiedzieć. Cokolwiek.

Ale z jej gardła wydobywa się jedynie szept, zachrypnięty i niezrozumiały.

– Zaśnij – szepcze Beck. Całuje ją w policzek. – Ciii.

Posłusznie robi, co każe.

OBROŃCA

Druga trzydzieści nad ranem.

Louis nie wie, co robić.

Myśli. Mógłbym zepchnąć ich z drogi. Jego wielki mack poradziłby sobie. Wystarczyłoby uderzyć mocno w zderzak, samochód wpadłby w poślizg i wyleciał na pobocze.

Ale w środku jest Miriam. I jeszcze ta mała dziewczynka. Lora.

Dwadzieścia minut wcześniej siedział na parkingu i czekał. Z początku chciał pozwolić silnikowi pracować na luzie, ale w końcu go wyłączył. Czekanie na coś, co się może zdarzyć – cokolwiek! – było potwornie frustrujące. A na dodatek coraz bardziej martwił się o Miriam.

Potem się zaczęło.

Po drugiej stronie parkingu zatrzymuje się sedan. Louis na pierwszy rzut oka rozpoznaje mercedesa. Klasa S, najwyższa. Nowiutki.

Mężczyzna – z tej odległości nie może go rozpoznać, ale widzi, że jest młody, silny, ma ciemne włosy i białą krótką koszulkę z ciemnymi plamami.

Niesie dziewczynkę w taki sposób, w jaki nosi się kegę piwa czy beczkę: obejmuje ją w pasie, unieruchamiając jej ramiona. Louis nie ma pojęcia, czy jest zakneblowana, ale nie wydaje żadnych dźwięków.

Mężczyzna wrzuca ją na tylną kanapę mercedesa.

I wraca do środka.

Kilka chwil później pojawia się z kolejnym ciałem. Tym razem niesie je przewieszane przez ramię, jak zwinięty dywan. Louis dostrzega utlenione

na biało włosy przemieszane z oślepiająco różowymi kosmykami. Wie, kogo niesie tym razem.

W pierwszym odruchu chce wysiąść. Chce się z nimi zmierzyć.

Ale jest już za późno. Poza tym nie ma żadnego planu.

Jeśli chcesz ją uratować, musisz mieć przygotowany plan.

Straciłeś już żonę. Jej nie możesz stracić.

Ruszają. Louis za nimi.

Jedzie. Trzyma się na tyle daleko za czarnym samochodem, żeby widzieć jedynie jego czerwone tylne światła żarzące się w mroku jak oczy demona.

Co robić?

Przede wszystkim zachowaj spokój, powtarza sobie w myślach. Jedź, nie zgub ich z oczu.

Trzymaj się z tyłu i nie daj im uciec.

Zobaczysz, gdzie jadą.

Wtedy zadzwonisz po policję.

Mercedes przecina skrzyżowanie. Wielki znak STOP. Samochód się nie zatrzymuje. Przelatuje na drugą stronę, nawet nie zwalniając.

Louis chce zrobić to samo...

Świat rozbłyska kolorami. Czerwienią i błękitem. Ze wschodu pędzi radiowóz. Wreszcie! Oto nadchodzi kawaleria! – myśli Louis. Ale samochód zatrzymuje się na środku skrzyżowania. Teraz sam musi gwałtownie hamować.

Blokuje koła w ciężarówce. Opony zaczynają się ślizgać. Mack zatrzymuje się kilka metrów od wozu policji. O co chodzi?

Z radiowozu, od strony kierowcy, wysiada mężczyzna. Jest przysadzisty, korpulentny, wygląda trochę jak hydrant pożarowy. Krzaczaste wąsy w kształcie podkowy okalają jego usta.

Ma broń – colta pythona, kaliber .357, sądząc po wielkości lufy.

Policyjne światła odbijają się kolorowymi refleksami od niklowanej powierzchni.

Policjant unosi broń, celuje w przednią szybę i pociąga za spust.

Louis chwilę wcześniej rzuca się na prawą stronę i kładzie się na fotelu. Niemalże jednocześnie w szybie na wysokości jego głowy pojawia się dziura wielkości piłeczki do golfa. Słyszy kolejne dwa strzały. Ciężarówka kołysze się i opada naprzód.

Przestrzelił mi opony.

Potem kroki po lewej stronie szoferki.

Louis wyłącza silnik i wyjmuje kluczyki.

Drzwi kierowcy otwierają się gwałtownie, a policjant bez ostrzeżenia strzela do środka. Ale Louisa już tam nie ma: wycofał się wcześniej na drugą stronę, otwiera drzwi i wyskakuje na ulicę. Na dłoniach czuje kłucie ostrych kamyczków.

Opiera się, zaczyna wstawać...

Nieruchomieje na widok policjanta. Obszedł ciężarówkę od frontu.

Celuje z broni w jego głowę.

Louis unosi w górę rękę. Drugą, w której trzyma kluczyki do macka, ma zwieszoną wzdłuż ciała.

– Dlaczego? – pyta. Z rozpaczą. I niezrozumieniem.

Policjant wygląda, jakby myślał nad odpowiedzią.

– Bo tak.

Grubym kciukiem funkcjonariusz odciąga kurek colta.

Kciuk Louisa ma inne zadanie.

Na pilocie znajduje przycisk uzbrajający alarm. Przytrzymuje go.

Ciężarówka rozbłyskuje feerią barw, jak choinka na Boże Narodzenie. Wyją syreny, trąbi klakson.

To wystarczy, by policjant na chwilę się zdekoncentrował. Broń

podskakuje i strzela.

Ale Louis jest już przy gliniarzu, zgięty w pół, i atakuje go jak zawodowy futbolista. Powala go na ziemię.

Bum!

Kolba pistoletu ląduje na jego skroni.

Ale Louis nawet tego nie czuje.

Złość w nim kipi. Jest jak fala powodziowa przełamująca tamę. Nie kontroluje tego. Nie wie, co robi – jedyne, co się liczy, to że policjant stanął na jego drodze i chce go zatrzymać. Uniemożliwia mu odnalezienie Miriam. Co gorsza, musi brać udział w tym, co się z nią dzieje. Musi. Bo jak inaczej wyjaśnić próbę jego zabójstwa?

Louis chwyta go za nadgarstek.

A drugą rękę zaciska w pięść w ten sposób, że między palcem środkowym i wskazującym sterczy mu kluczyk do ciężarówki.

Uderza go prosto w usta.

Rozcina policjantowi dolną wargę – dokładnie w połowie. Po każdym ciosie na twarzy gliniarza pojawia się kolejne głębokie nacięcie. Ze wszystkich sączy się świeża krew.

Mężczyzna zaczyna się krztusić. Dusi się własną śliną i krwią.

Louis odbiera mu broń, cofa się i wstaje.

Policjant siada. Rękawem próbuje zatamować krew kapiącą ze zmasakrowanych ust. Unosi głowę i widzi wycelowaną w siebie broń.

– Jednooki gość celuje z jednookiej sploty – mówi niewyraźnie. Językiem bada uszkodzenia. Krzywi się. – Jeśli mogę coś powiedzieć, to wolę, jak ty na mnie patrzysz, bo giwera ma niedobre spojrzenie.

– Mów, co się tu dzieje. – Louis odciąga kurek.

– Nigdy nie zrozumiesz, jak daleko to sięga.

– Zastrzelę cię.

– Doprawdy? Bo widzisz, ja znam ludzi. Ty nie jesteś taki. Nie masz tego w sobie. Uwierz mi, potrafię rozpoznać zabójcę. – Uśmiecha się i spluwa krwią. – Ta twoja panienka, no wiesz, ta drobna, ona jest niesamowita. Ale ty? Do pięt jej nie dorastasz, Frankensteinie. Wielki łagodny baranek. I w dodatku masz problemy z ocenianiem odległości.

Broń trzęsie się w jego dłoniach.

Pokaż mu, myśli Louis.

Pokaż mu, na co cię stać.

Policjant się śmieje.

Louis pociąga za spust.

WUJ JACK

Jack trzyma papierosa między zębami. Co pewien czas wysuwa językiem drobinki tytoniu na wargi, chwytając je palcami i strzepuje w trawę.

– Tutaj – mówi, poprawiając jej głowę, by policzek przywarł do chłodnej broni. – Patrz wzdłuż lufy. Musisz połączyć szczerbinę, o, tutaj, z tym małym... no wiesz, z tym dzyndzelkiem na końcu lufy. Zamknij jedno oko. No dalej, zmruż je.

Miriam zamyka jedno oko. Zaciska je mocno i patrzy wzdłuż wiatrówki. W polu widzenia pojawia się sikorka. Dziobie coś na ziemi. Podnosi wijącego się robaczka, podrzuca go i znów podnosi.

– To będzie twój cel.

– Ptak? – pyta. – Chcesz, żebym zabiła ptaka?

– Tak jest. Słuchaj uważnie. Teraz musisz nabrać głęboko powietrza i powoli je wypuścić. Widziałem to na filmie, tak robią prawdziwi snajperzy. Jak je będziesz wydychała, serce ci troszkę zwolni i pociągniesz za spust. To znaczy nie szarpniesz, tylko, no wiesz, przyciśniesz go delikatnie,

jakbyś robiła sobie do...

Piff!

Ptaszek przewraca się na bok. Małe nóżki sterczą w powietrzu.

Miriam piszczy. Ciska wiatrówkę na trawnik, przeskakuje przez kamień, o który się opierała, i biegnie do ptaszka.

Obok truchła leży robak. Jest jeszcze żywy.

Za to ptak nie. Na trawie widać kilka kropelek krwi.

Jack zaciąga się papierosem, tak mocno, że słychać, jak żar pożera suchy tytoń. Rozbawiony wali się po biodrach i chichocze jak hiena.

– A niech mnie! Trafiłaś sikorkę w łepetynkę! Sikoreczka nie wybiera się do domku do dzieci, co nie?

Miriam unosi głowę. Ma wilgotne policzki.

– Do dzieci?

– No a jak! Cholera, kto go tam wie.

Sikorka nie jest samiczką i jest zbyt wcześnie, żeby sikorki miały już młode, ale Miriam nie może o tym wiedzieć: jest za młoda. Ma dopiero dwanaście lat.

– Powiedziałem, że ta już nigdy nie poleci. – Wyrzuca niedopałek papierosa. – Niezły strzał, mały zabójco.

– Nie jestem zabójcą!

– Ta ptaszynka twierdzi co innego.

Miriam wstaje. Ociera łzy.

– Nie mów tak!

– O co ci chodzi? Świetny strzał, mała. Powinnaś być dumna.

Miriam krzyżuje ramiona.

– Nie jestem morderczynią. I nie jestem mała. Mówisz niedobre rzeczy.

– Niech ci będzie. Jak tam chcesz. – Odwraca się i rusza z powrotem w stronę kamienia.

Ale Miriam jest szybsza. Pierwsza dopada wiatrówki i podnosi ją z ziemi.

– Zuch dziewczyna! O tym właśnie mówię! Dobra, co teraz zastrzelimy?

Nastolatka sięga do kieszeni po śrut, a Jack zapala kolejnego papierosa. Miriam łamie lufę, wsuwa do niej śrut i zatrzaskuje zamek.

Kiedy wuj Jack otwiera oczy, spogląda prosto w wylot.

– Powiedz to – mówi, nie przestając płakać.

– Co mam powiedzieć?

– Powiedz, że nie jestem zabójcą!

– Odłóż tę cholerną spluwę! Bo jeszcze zrobisz komuś krzywdę.

– Mów! – krzyczy.

Ale to nie robi na nim wrażenia. Rusza w jej stronę i sięga po wiatrówkę. Dziewczyna się cofa...

Piff!

Jack nagle zaczyna skakać jak zając użądłony przez pszczołę. Trzyma się kurczowo za kolano. Wyje jak opętany. Gubi papierosa. Odsuwa dłoń – dzinsy na kolanie mają niewielką dziurkę – rana nie wygląda groźnie.

Miriam ucieka między drzewa.

– Tylko nic nie mów matce! – krzyczy za nią Jack.

PAPUŻKI NIEROZŁĄCZKI

Stuk, stuk, stuk.

Miriam stara się nabrać powietrza. Tonie w cieniach.

Huczący nawał różnych dźwięków, jakby pędząca woda, jak załamujące się fale wzburzonego oceanu uderzające w błotniste brzegi rzeki Susquehanna.

Stuk, stuk, stuk.

I jeszcze ten dźwięk.

Stuk, stuk, stuk.

Ręce trzymają ją pod ciemną wodą. Zimną wodą.

Sięga głębiej. Cień ma kształt. Zaciska na nim palce. To lina.

Wysuwa się z jej dłoni i znów zanurza się pod powierzchnię, ponownie tonąc w głębinach – szum wody udający szum krwi w jej uszach. Dźwięk czyjegoś ostrego oddechu, wydychanego i nabieranego przez zaciśnięte zęby, jak odległe uderzenia w bęben.

Lecz jest. Znów lina. Chwyta ją i ciągnie, ciągnie, dopóki głowy nie rozsadza salwa honorowa eksplodujących neuronów. Przed oczyma widzi oślepiające błyski...

Stuk, stuk, stuk.

Otwiera gwałtownie oczy.

Nad sobą widzi kwadrat szarego światła. Rozmazanego, gęstego światła.

Deszcz spływa po oknie dachowym.

Kruk stoi pośrodku – pośrodku szkła rozdzielającego światy – ciepły i dziwnie przyjemny świat Miriam od lodowatego świata deszczu na

zewnątrz.

Ptak uderza dziobem o szybę.

Stuk, stuk, stuk, stuk, stuk, stuk.

Potem rozkłada skrzydła i odlatuje. Jego skrzydła zlewają się z ciemnymi burzowymi chmurami.

Miriam siada. Wykorzystuje do tego całą energię, jaką może z siebie wykrzesać. Każdy kawałek ciała, każda kończyna i każdy mięsień sprawiają jej ból. Ma wrażenie, że cała zeszywniała. A wszystkie śrubki i przeguby zardzewiały.

Nie spodziewa się tego, co widzi.

Jest w łóżku. Duże, wygodne łóżko. Biała pościel, biała narzuta. Pościel jest z prawdziwego pierza – wie, bo jedno z piór wychodzi przez materiał i kłuje ją w dłoń.

Jej dłoń spowija opatrunek. Wysuwa stopy spod przykrycia. Też w bandażach. Świeże. Nie te szpitalne.

W narożniku pokoju stoi spora koza. W środku pali się ogień.

Ładny dywan. Boazeria z ciemnego orzecha. Wszystko czyste i starannie wykonane. Ani drobinki kurzu. Jediną ozdobą pokoju jest obraz na ścianie, naprzeciwko łóżka. Osoba na poduszkach musi na niego patrzeć.

W dużym skrócie, to jakiś pierdolony bohomas.

Przedstawia starego człowieka – właściwie to nagiego, bo jego przypominające dżdżownicę genitalia przykrywa kawałek czarnego płótna. Trzyma na ręku płaczące dziecko, chłopca, gryzie go w pierś, a pomiędzy zębów wystaje mu kawałek ciała maluszka.

– To oryginał. – W progu pokoju staje kobieta.

Pielęgniarka. Nie, nie zwykła pielęgniarka. Założycielka i fundatorka szkoły.

Eleanor Caldecott.

– Czego? – pyta Miriam. Nie planowała być aż tak obcesowa. Ale nic nie może poradzić. Jest jak ząb z obnażonym nerwem. Wszystko ją boli, przez co czuje się uprawniona do zadawania bólu wszystkim wokół.

– Obraz. To Peter Paul Rubens. Oryginał. *Saturn pożerający swego syna*. Moim zdaniem lepszy niż Goya. Dla mnie Goya zawsze był na drugim miejscu.

– No cóż. – Miriam puka się w czoło. – Ktokolwiek to namalował, musiał być cholernie ujmującym człowiekiem. I mówiąc „ujmujący”, mam na myśli, że patrząc na jego dzieło, mam ochotę zarzygać piernat.

– Jak chcesz, mogę go zasłonić – mówi Caldecott i wchodzi, niosąc tacę.

– Nie ma sprawy, po co się wysilać. Poza tym trochę przesadzam. – Nagle czuje znajomy zapach, który aktywuje ośrodek przyjemności w jej mózgu. Bekon. Jajka. Kawa. Śniadanie. – Jeśli to rzeczywiście bekon, to mam ochotę cię wyściskać, a musisz wiedzieć, że zazwyczaj jestem przytulalska jak worek brudnych igieł po narkomanach. Jednak za bekon możesz liczyć na to, że otoczę cię czystą miłością.

Pielęgniarka – tym razem nie jest ubrana w szkolny uniform, lecz w białą prostą bluzeczkę i czarną spódnicę sięgającą kostek – stawia tacę.

– Proście, a będzie wam dane, moja droga.

Miriam nie marnuje czasu. Już nawet nie pamięta, kiedy po raz ostatni jadła prawdziwy posiłek. Bekon znika w jej ustach, popity wielkim łykiem kawy. Najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek jadła... Nóż i widelec zgrzytają o delikatną chińską porcelanę. Żuje głośno. Wydaje dźwięki wyrażające zachwyt: mmm, mniam, uuu, mmmm.

– Ależ byłaś głodna. – Caldecott nie odrywa od niej wzroku.

– Umieram z głodu. Umieram. To było... kilka naprawdę ciężkich dni.

Przełyka potężną porcję ledwie przeżutego jajka. Nic jej nie obchodzi, że gorące żółtko parzy przełyk, przesuwając się w stronę żołądka. – A jak w

ogóle się tu znalazłam? Znaleźliście mnie na podłodze w sali gimnastycznej i tak zostałam pani pacjentką? Czy wszyscy chorzy są tutaj traktowani po królewsku?

Eleanor się uśmiecha.

– Nie jesteś moją pacjentką.

– Okej, to w takim razie czym lub kim jestem? – Kawa. Kawa. Najlepsza rzecz na świecie. Gdyby tylko miała jeszcze papierosa. I kapkę irlandzkiej whisky, żeby domieszać. Dzięki temu wie, że jeszcze żyje: gdyby była w niebie, wszystkie te rzeczy znalazłyby się na tacy.

– To tak naprawdę jeszcze nie zostało postanowione – odpowiada Caldecott.

Miriam ma wrażenie, że w jej słowach dźwięczą sople lodu.

– O? Hmm. Czyli?

– Rankiem dostaniesz wybór. Na tym świecie wszystko zasadza się na podejmowaniu przez nas właściwych decyzji. I ty też staniesz przed wyborem.

– Wybory. – Miriam przeżuwa to słowo. Nagle śniadanie straciło swój unikalny smak. Niewiele brakuje, a wybuchłaby śmiechem, przy czym nawet „prawie śmiech” wystarczy, bo ból przeszył jej ciało. – Zazwyczaj jest tak, że nam się tylko wydaje, że możemy podjąć decyzję. Tymczasem wszystko jest już postanowione za nas. Świat po prostu nie działa w taki sposób.

– Dla ciebie zadziała.

– Teraz.

– Dla mnie też tak działa.

Miriam chce zapytać, co to miało, do cholery, znaczyć, ale w tej samej chwili ktoś staje w drzwiach.

Nie.

Sięga po nóż – co prawda to tylko nóż do masła, ale w końcu ma ostrze – podnosi go z tacy i cofa się na łóżku, aż plecami dotyka wezgłowia. Syczy przy tym jak kot. Miriam trzyma przed sobą srebrny sztuciec i wymachuje nim jak bronią. Chce mieć pewność, że to widzi.

– Jak podejdziesz bliżej, to cię pochlastam.

Eleanor Caldecott nie wygląda na zaskoczoną.

– Zatem pamiętasz mojego syna.

W drzwiach stoi Beck Daniels. Ma na sobie czystą koszulkę. Nie widać na niej krwi. Uśmiecha się delikatnie, jakby nigdy nic złego między nimi nie zaszło, jakby jej nie pobił i nie dusił na sali gimnastycznej. Tuż po tym, jak jej nożem zamordował szkolnego ochroniarza.

– Pani Black. – Beck robi w jej stronę delikatny ukłon.

– ...syn? – sapie dziewczyna.

– Cześć, mamó – odpowiada na to Beck.

– Witaj, Beckett. – Eleanor spogląda na Miriam. – Nie używamy tego samego nazwiska. I nie upubliczniamy faktu, że jesteśmy rodziną.

– To taki nasz mały sekret – wyjaśnia Beck i kładzie palec na ustach.

Miriam czuje się jak zaszczute zwierzę zapędzone w narożnik klatki. Z desperacją szuka drogi ucieczki. Beck zagradza sobą drzwi. Nie potrafi wzbić się w powietrze jak Batman. Po prawej stronie ma okno.

To może być jakaś opcja.

Unosi nóż. Zmienia chwyt na rękojeści. Dotychczas trzymała go ostrzem przed siebie, jakby chodziło o rzut, teraz ostrzem do środka, w sam raz do dźgania. Specjalnie robi to tak, żeby dokładnie widzieli. Musi.

Zaciska dłoń z taką siłą, że bieleją jej kostki.

– Ona się nie poddaje. To wojowniczką – tłumaczy matce Beck.

– Nie tylko wojowniczką. Ona jest czymś więcej – Eleanor potakuje.

Miriam prycha.

– Hej, jeszcze tu jestem. Słyszę was.

– Spójrz, jak trzyma nóż – mówi Beck, wskazując na nią.

Eleanor znów kiwa głową.

– I cały czas sprawdza okno.

– Pierdolcie się, idioci! Banda pojebów!

– Miriam. – Eleanor spogląda na dziewczynę. – Rozumiem, że możesz być wściekła. Na twoim miejscu każdy byłby wyprowadzony z równowagi. Bardzo wiele przeszłaś. Ale zanim zrobisz coś nieprzemyślanego, czuję się zobowiązana, by przypomnieć ci o dwóch kwestiach: mamy dziewczynkę. Mamy Lauren Martin.

Miriam ma wrażenie, że wielka pięść zaciska się na jej żołądku.

– Zamierzam ustalić z tobą dalsze losy tego dziecka, ale tylko pod warunkiem, że mnie wysłuchasz. I teraz muszę poruszyć kwestię numer dwa: jeśli zrobisz coś głupiego, możesz nie dostąpić przywileju zrozumienia, co się tutaj dzieje. Co więcej, nie przedstawię ci swojej oferty.

– Wsadź sobie tą ofertę głęboko w dupę. Tylko nie zapomnij owinać jej drutem kolczastym.

– Mam rozumieć, że nie zamierzasz wysłuchać mojej historii?

Miriam milczy. Opiera się o wezglowie, z miną naburmuszonego dziecka.

Eleanor się uśmiecha.

– Przyjmuję twoje milczenie za zgodę. No dobrze, w takim razie zacznę od momentu, w którym zostałam zgwałcona przez Carla Keenera.

OPOWIEŚĆ ELEANOR

Nie byłam grzeczną dziewczynką.

Miałam bogatych rodziców. Moja matka pochodziła z rodziny przemysłowców związanych z produkcją stali i transportem towarów. Natomiast ojciec robił karierę na najlepszych uniwersytetach kraju jako wykładowca i pracownik naukowy. Z założenia miałam uszczęśliwić jakiegoś młodego człowieka, zostając jego przykładną żoną. Uczęszczałam do żeńskiego college'u, żeby się nauczyć, jak zachowywać się właściwie, inteligentnie i wyrefinowanie, by służyć mężczyźnie w najlepszy sposób.

Ale, jak już wspomniałam, nie byłam grzeczną dziewczynką.

Należałam za to do drużyny żeglarskiej. Byłam w kółku jeździeckim. W grupie teatralnej. Śpiewałam w chórze. I sporo piłam. Paliłam marihuanę. Próbowалам LSD i grzybków halucynogennych. Poza tym, choć sama się nie zdecydowałam, znałam dziewczęta, które brały heroinę dostarczaną im przez czarnych dżentelmenów z getta. Koniec końców, byłam kimś, o kim można powiedzieć „kobieta wyzwolona”.

No i oczywiście dla moich rodziców byłam rozczarowaniem. To napawało mnie dumą. Nie zależało mi, żeby się im podporządkowywać. Matka piła, kryjąc to przed światem. A ojciec nigdy nie grzeszył serdecznością. Wiało od niego chłodem. Nie miałam rodzeństwa, więc też wszystkie oczekiwania zdeponowali we mnie. Nadużywanie ich uwagi sprawiało mi niewymowną radość.

Fama się rozeszła. Jak to zwykle bywa z dziewczętami takimi jak ja. Robiłam te rzeczy.

Kilka razy byłam w ciąży. Usuwałam je.

Pewnej nocy upiłam się do utraty przytomności i niewiele brakowało, a spadłabym z dachu jednego z budynków szkolnych.

Innej nocy z kolei ścigaliśmy się autem po mieście. W środku siedziało dwóch chłopców z katolickiego college'u, całkowicie pijanych, i ja, naćpana. Chłopacy mieli czerwonego buicka rivierę. Źle weszliśmy w któryś zakręt i samochód stoczył się z nasypu. Zrobiliśmy kilka przewrotek. Jeden z nich złamał sobie obojczyk, drugi nogę. Ja wyszłam z tego tylko z zadrapaniami. I kilkoma sinikami. Byłam zachwycona, mogąc pokazać siniaki mamie.

Fama się rozeszła.

Pewnej nocy byłam w piwnicach budynku Troxell. Mieściła się tam nasza świetlica. W jednym z pomieszczeń ze środkami czystości czekałam na koleżanki. Nie pamiętam już, co miały mi przynieść – pewnie jakieś narkotyki. Musisz wiedzieć, że miałam wtedy paczkę dziewcząt, które zawsze robiły to, co chciałam. Akurat tamtej nocy się spóźniły. To nie bez znaczenia. Dobrze się tam bawiłam sama, pijąc whisky z butelki i paląc papierosy. Nie przejmowałam się światem na zewnątrz.

Nagle drzwi się otworzyły i w progu stanął on. Carl Keener.

Był starszy ode mnie. O dwa lata.

Oczy miał ciemne jak węgiel. Był silny, umięśniony, miał kanciastą szczękę i okrutny uśmiech.

Znałam go z widzenia. Był stróżem nocnym. Wypożyczony do pilnowania z dyrekcji zaopatrzenia marynarki. Wpadł tam w jakieś kłopoty – nie mam pojęcia, co to było dokładnie, ale chodziły słuchy, że pobił się z kimś wyższym rangą czy zrobił coś równie głupiego – i za karę oddelegowali go do college'u, żeby pilnował nocą terenu kampusu. Wówczas często to praktykowano. Wierzono, że oficer marynarki to

szlachetny mężczyzna kierujący się honorem. Chodziło o to, że miał nie stanowić zagrożenia dla delikatnych, ciekawych życia dziewcząt.

Powiedziałam mu, że ma sobie iść. To mu się nie spodobało. Miał bardzo złe spojrzenie.

Powiedział, że nie, nie pójdzie. I nie poszedł. Potem chciał się napić mojego alkoholu. I zapalić mojego papierosa.

A ja pomyślałam, co tam, co mi może zrobić? Na dodatek matka pewnie by się spaliła ze złości, gdyby się dowiedziała, że popijam po schowkach z prostym stróżem.

Siedzieliśmy sobie i piliśmy. Opieraliśmy się o metalowe regały. Paliliśmy papierosy. Kiedy powietrze zrobiło się ciężkie od dymu, powiedziałam, że może pora wyjść i przejść się na spacer.

Powiedział, że nie, że woli zostać tam. Ze mną.

Potem położył dłoń na moim biodrze. Chciałam się odsunąć, ale schowek był tak ciasny, że ledwie starczyło miejsca dla nas dwojga. Poza tym on siedział od drzwi, blokując wyjście.

Znów to zrobił. Pozwoliłam mu. Żeby zobaczyć, co dalej.

Dłoń przesuwała się coraz wyżej. Szorstki dotyk, bez zainteresowania, jak zabawa znudzonego dzieciaka z kotem. I śmiał się, gardłowo, nisko chichocząc, jakby myślał o dowcipie, którego nikt inny i tak nie zrozumie. Jego dłoń, ku mojemu zaskoczeniu, nie zatrzymała się na piersi.

Nie, przesunęła się na gardło. Zacisnął palce. Nie dość mocno, żeby mnie przydusić, ale wystarczająco, żebym poczuła, jak krew pulsuje mi w głowie.

Ponownie kazałam mu przestać. Nie chciałam niczego więcej.

Próbowałam go odepchnąć i przejść do wyjścia, ale mnie złapał i pchnął z powrotem.

Zaczęłam płakać. Niezależnie, co robiłam wcześniej, nigdy nie

spotkałam się z nikim tak bezwzględny wobec mnie. Chłopcy czasem zachowywali się niewłaściwie. Ale nigdy nie przekraczali granicy. Wycofywali się, kiedy widzieli, że zacznę krzyczeć albo że po prostu nie chcę.

Znów go odepchnęłam. W odpowiedzi...

No cóż. Złapał mnie za włosy i uderzył moją głową o metalowy regał. Na ziemię posypały się butelki z płynem do mycia podłóg i ręczniki papierowe. Zaczęłam krzyczeć, na co dostałam pięścią w twarz.

Potem... odwrócił mnie tyłem. Przycisnął twarz do półek. Narożnik jednej z nich wbił mi się w usta.

Carl upił łyk alkoholu – bardzo duży łyk. Wszystko, do dna. Kiedy skończył, uderzył mnie butelką w plecy, dokładnie między łopatki.

Zadarł mi sukienkę.

Zanim się zorientowałam, było już po wszystkim. W jakiś sposób było gorzej, niż mogłam to sobie wyobrazić, ale jednocześnie też lepiej. Bolało, na szczęście nie mocno. Był brutalny, lecz nie na tyle, żeby mnie uszkodzić. Ból pojawił się wewnątrz. I to nie ból fizyczny. Ból świadomości, że trafiłam w końcu tam, gdzie sama się prosiłam, prowadząc takie życie. Ból zrozumienia, że dziewczynka z dobrego domu, ze świetnymi perspektywami, skończyła w schowku na środku czystości z wulgarnym i brutalnym przygłupem – okrutnym człowiekiem. Kimś, kto dla zabawy urywa muchom skrzydełka i zabija żaby, wypychając je petardami. Był głupi i obrzydliwy. Każde z nas zasłużyło na to, co dostało.

Dziewczyny, na które czekałam, w końcu się pojawiły.

Znalazły mnie samą w schowku. Skuloną na ziemi. Z zakrwawioną twarzą. Zakrwawioną głową. I zakrwawioną tam, na dole. Półnągą. I przerażoną.

Nie wiedziały, co zrobić. Zaprowadziły mnie do pielęgniarki. Kobieta

wezwała dziekana. Policji oczywiście nikt nie poinformował. Bo w tamtych czasach tak się nie robiło.

Powiedziałam o Carlu. Pewnie by go zwolnili, ale nie mieli okazji, bo po tamtej nocy nie pojawił się już w pracy.

Kierownictwo college'u skontaktowało się z moimi rodzicami.

Ojciec, który wykładał wtedy w Princeton, wrócił do domu.

Odebrali mnie ze szkoły i do końca semestru nigdzie nie wypuszczali.

Potem – zaskoczenie. Byłam w ciąży.

Ojciec, którego kochałam równie mocno, co nienawidziłam, powiedział mi wtedy, że Caldecottowie nigdy nie zgodzą się na zhańbienie rodziny i nigdy nie pozwolą, by ktoś unikał zobowiązań wobec nas.

A Carl Keener, powiedział, jest za coś odpowiedzialny.

Ojciec i dwóch wujów odnalazło Carla Keenera. Odczekali, aż skończy pracę w dostawach i ruszy do nowej, którą wcześniej znalazł – znów jako stróż nocny, ale w innej szkole, na północ od Chambersburga. Zarzucili mu kaptur na głowę i załadowali do bagażnika lincolna ojca. Zawieźli go do posiadłości – tutaj konkretnie – i pobili prawie na śmierć. A potem jeszcze raz. I jeszcze raz. Paradoks Zenona z Elei, tyle że zamiast Arystotelesa i żółwia – krew i sińce. Pamiętam jeszcze, jak mój ojciec mówił, że jeśli zostawić kogoś półżywego i znów go pobić, i znów zostawić półżywego, to tak naprawdę nigdy się go nie pozbawi życia.

Nie mam pojęcia, jak udało im się załatwić, żeby marynarka przestała go szukać. Pewnie zapłacili odpowiednią sumę. Poza tym zapewne jego zniknięcie było im na rękę. Miał sporo brudu za uszami – pobicia, oskarżenia o molestowanie. Myślę, że cieszyli się, że mają go z głowy.

My go zatrzymaliśmy.

Był nasz. Jak zwierzątko.

Chore zwierzątko.

Mieszkał sobie w szklarni. Podobny roślinom.

Wzięliśmy ślub dwie noce przed urodzeniem mojego pierwszego syna,
Edwina. W tej samej szklarni.

51
ZŁY DOTYK

Miriam przesuwając palcem po ostrzu noża do smarowania. Nie jest ostre. Mogłaby nim kogoś skrzywdzić, pod warunkiem że byłaby w stanie przycisnąć go do ziemi jak stek do talerza i zawzięcie piłować.

Tak czy inaczej, trzyma go przed sobą w wyciągniętej dłoni.

Kołysze nim.

Chce, żeby go widzieli.

Deszcz nie przestaje lać i wali w szybę z taką siłą, że Miriam przychodzi do głowy, że chce dostać się do środka...

Jak włamywacz.

– Urzekła mnie twoja historia! – mówi w końcu. – Taka pozytywna! I inspirująca! A zakończenie? Majstersztyk. Pięć gwiazdek, darmowa jajecznica i talon na skarpetki. Założę się, że w ekranizacji zagra Sandra Bullock i, sama nie wiem, pewnie Billy Bob Thornton jako zły Carl Keener. Tylko teraz tak sobie myślę, że, niech to diabli, ale przecież to chyba nie koniec, prawda? To nie może być koniec. Coś musi być między „i żyli długo i szczęśliwie” a „potem mój szanowany mąż – gwałciciel z uszkodzonym mózgiem, którego poślubiłam w szklarni – zaczął mordować nastolatki, przebrany za dziwnego ptaka”?

– Zgadza się – Eleanor potakuje i zaplata dłonie. – Historia przybiera niespodziewany obrót. Myślę, że powinnyśmy się przejść, żebyś poznała dalszą część. Jestem pewna, że chciałabyś spotkać się z Lauren i przekonać się, że jest cała i zdrowa. Jest w szklarni, na końcu drugiego skrzydła domu.

Miriam czuje kluczę w gardle.

Mogłabyś ją teraz dźgnąć.

Nie, jeszcze nie.

– Nic jej nie zrobiliście? I macie szczęście, bo jeśli coś by jej było, to...

– Przecież już powiedziałam, że nic jej nie jest. I nic się jej nie stanie, jeśli się dogadamy. Chodź, pokażę ci.

– Śmiało. Pokaż.

– Ale najpierw – Eleanor wyciąga dłoń – oddaj nóż.

– Mamo – mówi Beck i robi krok naprzód. Jest spięty. Wystarczy drgnienie głowy Eleanor, by zastygł w miejscu.

– Wszystko w porządku, Beckett. Miriam doskonale rozumie, że nożem niewiele tu zdołała. To tylko na pokaz.

Cholera. Błefuje czy wie?

Nie może wiedzieć.

Miriam opuszcza nóż. Ostrzem naprzód. Obserwuje, jak Beck na nią patrzy – jak jastrząb na gałęzi polujący na mysz. Nie ma pewności, kto jest kim – które z nas jest jastrzębiem, a które myszą?

Na twarzy Eleanor pojawia się uśmiech. Potrzebuje ułamka sekundy, żeby wbić jej nóż w gardło. Tylko co potem? Beck jest znacznie poważniejszym problemem.

Poza tym Miriam widzi teraz pewną możliwość.

Nie rzuca jej noża na wyciągniętą oczekująco dłoń.

Kładzie go delikatnie.

Opuszkami palców dotykając jej skóry...

Ciemność, straszna ciemność, zimna woda, błoto i muł, i krzyk. Wszystko jest jak popękane szkło i szum z radia nastawionego na pusty zakres między stacjami, złe dźwięki rozbrzmiewające w pustce, jak sen w sercu tornada albo na dnie wezbranej, dzikiej rzeki nocą. Wszystko jest niczym, a nic jest wszystkim i...

...Miriam sapie, stara się nabrać powietrza, ale nie może. Ma ściśnięte gardło. I płuca płaskie jak naleśniki. Łzy kapią jej z oczu i spływają po policzkach.

– Tak właśnie myślałam – mówi Eleanor. Jest spokojna. Opanowana. Jakby wiedziała, czego się spodziewać. – Poczekaj, zaraz przejdzie.

I ma rację – to trwa tylko chwilę. Płuca dziewczyny wypełniają się powietrzem jak balon podłączony do butli z tlenem. Głęboki, świszczący oddech – zimny, jasny i potężny – rozpycha jej ciało.

– Co zobaczyłaś? – pyta kobieta. Jest szczerze zainteresowana. Nachyla się, jak czasem ludzie oglądający horrory.

– Widziałam... – Chce skłamać. Myśli sobie: Powiedz jej, że to ty ją zabijesz, że potniesz ją toporkiem na kawałki i wrzucisz do rozdrabniarki do drewna. – Nic nie zobaczyłam. Słyszałam dźwięki. Okropne. Ale nic nie widziałam.

– To cię trochę przestraszyło, prawda? Przyzwyczyłaś się widzieć rzeczy; rzeczy będące poza zasięgiem innych.

– Przecież mnie nie znasz.

– Ależ znam. I też mam ten dar.

– To nie jest dar.

– Wręcz przeciwnie. Czasem, żeby coś naprawić, trzeba wcześniej to zepsuć. Władza i mądrość rodzą się z urazów. No dobrze, trochę wybiegam naprzód. Chodź ze mną i moim synem. Powiem ci całą resztę.

DO SZKLARNI

Idąc przez dom, Eleanor trzyma się obok Miriam. Kobieta ma w sobie coś niezaprzeczalnie wyjątkowego – zdaje się przemieszczać nad podłogą, płynnie jak łabędź po powierzchni jeziora, pewna swego piękna i władztwa. Nie ma w niej niczego z pielęgniarki, którą Miriam spotkała w szkole. Tam zachowywała się dyskretnie i spokojnie. Niemal służalczo.

Ale tutaj jest w swoim królestwie. Ona tu rządzi. Ustala zasady.

Beck idzie za nimi. Miriam czuje na łopatkach jego natarczywe spojrzenie. Pali jak papieros zgaszony na skórze. Wystarczy jeden niewłaściwy ruch, a zaczną działać.

Miriam nie marnuje czasu.

– Mówisz, że też jesteś medium.

– Zgadza się. Tak jak ty.

– Nie, nie jak ja. – Miriam przygryza skórę policzka. – Poza tym, skąd wiedziałaś?

Zatrzymują się u szczytu kręconych schodów prowadzących do foyer. Podczas gdy szkoła Caldecott utrzymana jest w stylu wiktoriańskim, dom Eleanor Caldecott został zaprojektowany w stylu retro. Lata pięćdziesiąte dwudziestego wieku w pełnym rozkwicie.

Jasne proste linie, zaokrąglone narożniki. Cała masa okien, przytłumione światło sączy się przez zalane deszczem szyby. Skromne kompozycje z paproci i orchidei – w foyer, przy dwóch staromodnych fotelach, przy drzwiach i w narożnikach.

– Dostałam to tamtej nocy, kiedy trafiliśmy na siebie z Carlem, w

schowku na środki czystości – wyjaśnia Eleanor.

Trafiliśmy na siebie, myśli Miriam. Chyba jest przesadnie delikatna.

– Tamtej nocy odkryłam, że dotykając ludzi, mogę zobaczyć nie tylko, kim się staną, ale też wszystkie konsekwencje ich wyborów i ciągi skutków, dla których staną się przyczyną, jakby życie każdego człowieka było wrzuceniem kamienia do stawu. Widziałam rozchodzące się fale. Każdy wybór to nowe fale. Nowe zmarszczki na powierzchni wody. Fascynujące. I przerażające. Wszystko jednocześnie.

To brzmi bardzo szczerze.

– Przy mnie nie zobaczyłaś niczego.

– Tylko ciemność i hałas.

Teraz też chyba mówi prawdę.

Ruszają schodami w dół. Beck kilka stopni za ich plecami. Miriam zastanawia się, czy nie czas zacząć działać, ale nie, decyduje, że jeszcze nie. Najpierw musi zobaczyć się z Lorą.

Na dole oczekuje ich znajoma twarz.

Edwin. Kierownik szkoły Caldecott.

Dopiero teraz Miriam to dostrzega: Edwin przypomina jej własną matkę. Jest niski, mizerny i taki... porządny. Trzyma filiżankę kawy. Z porcelany unosi się para, jak duch powstający ze świeżego grobu.

– Witam – mówi. – Mieliśmy już okazję się poznać.

– No proszę, czyli ty też bierzesz w tym udział. – Miriam kręci głową.

– Rodzina to rodzina. Musi trzymać się razem.

– Wiesz, że jesteś współwinny morderstwa.

W jego oczach pojawia się wesołość, choć usta pozostają niewzruszone.

– Wy, dziewczyny, macie takie powiedzenie, że jak się raz nie puścisz, to nie będziesz wiedziała, jak to jest. No właśnie. Mam rację?

– Mam nadzieję, że ktoś wlał ci do kawy środek do przetykania rur.

Upija solidny łyk.

– Mmm, pyszności. Miło było. Tymczasem muszę wracać do szkoły i zmierzyć się z bałaganem, którego narobiłaś. Niedobra dziewczynka, zamordowała nam strażnika. Znaleziono go martwego w sali gimnastycznej. – W jego oczach pojawiają się ogniki, jakby coś wiedział i rozkoszował się świadomością, że nikt poza nim nie ma pojęcia, o co chodzi. – Wybaczcie proszę.

I odchodzi.

Miriam przypomina sobie martwe ciało Simsa na podłodze. W tej samej chwili niebo przecina błyskawica.

Wszyscy czekają na twój ruch.

Rzeka wzbiera.

Eleanor rusza dalej.

– Nie przejmuj się tym na razie. Porozmawiajmy lepiej o Annie Valentine.

Miriam się spina.

– To ta martwa dziewczyna.

– Zgadza się. – Idą dalej korytarzem prowadzącym do drugiego skrzydła domu. Miriam zauważa pokój – pracownię, ze starym stołem kreślarskim, jakich dawniej używali architekci. Po przeciwnej stronie znajduje się biblioteka, której ściany sięgają dwa piętra wzwyż. Jedynym sposobem, żeby sięgnąć książkę z którejs z górnych półek, jest wejść na drabinę z kółkami zamiast nóżek. – Czy chcesz wiedzieć, co zobaczyłam, kiedy pięć lat temu spotkałam Annie Valentine?

– A mogę chcieć albo nie chcieć?

Eleanor zatrzymuje się gwałtownie. Spogląda Miriam prosto w oczy.

– Możemy przerwać naszą rozmowę w dogodnej dla ciebie chwili. Wystarczy jedno słowo, a zakończymy interes i z żalem się pożegnamy.

– Tak, i jeszcze pomachacie mi na do widzenia. Piękny eufemizm.
Odetniecie mi głowę, jak jakiś pierdolony pojeb z Al-Kaidy? Mam rację?

Kobieta milczy.

Beck się spina.

Miriam świerzbią ręce. Zaciska pięści.

Ale daje sobie spokój.

– Co tam. Niech będzie. Mów, co też się stało, kiedy spotkałaś tę biedną,
martwą dziewczynę.

GDYBY ANNIE VALENTINE ŻYŁA

W wieku osiemnastu lat Annie Valentine jest już uzależniona od narkotyków. Bierze metamfetaminę. W nałóg wciągnął ją chłopak, rok przed ukończeniem szkoły Caldecott.

Kiedy kończy dziewiętnaście lat, Annie dowiaduje się, że jest w ciąży. Potencjalnych ojców dziecka jest kilkunastu. Na dodatek ciąża jest patologiczna, bo Annie decyduje, że stan błogosławiony nie jest wystarczającym powodem, by zerwać z nałogiem. Dziecko rodzi się dwa i pół miesiąca za wcześnie, ma słabe serce i musi zostać w szpitalu. Jednak po jakimś czasie jego stan poprawia się na tyle, że może wrócić do domu z matką. W międzyczasie otrzymuje imię Alicia.

W wieku dwudziestu lat Annie uznaje, że w życiu brakuje jej mężczyzny. Wybiera słabego człowieka, dziesięć lat starszego od niej. Mężczyzna rozpaczliwie szuka miłości i jest gotów zrobić wszystko, byle tylko ją znaleźć. Sam nie jest uzależniony od krystalicznej metamfetaminy, jednak zdarza mu się za dużo wypić. Na imię ma Byron i wierzy – jak wielu ludzi tkwiących w niezdrowych związkach – że może pomóc Annie i uwolnić ją od tego, co ciągnie ją na dno. Po sześciu miesiącach z Annie Byron też uzależnia się od metamfetaminy.

W wieku dwudziestu jeden lat Annie jest z Byronem w jakimś podrzędnym motelu i szuka ofiary, którą mogłaby okraść. Alicia, która jeszcze nie ma dwóch lat, została sama w domu. Dziewczynka nie nauczyła się jeszcze chodzić, bo nie rozwija się w normalnym tempie, ale bez problemu raczkuje. I teraz też to robi. Dostaje się do szafki pod zlewem,

gdzie znajduje butelkę płynu do udrażniania zatkanych rur. Otwiera ją. Pije. Umiera w męczarniach na podłodze w kuchni. Annie i Byron znajdują ją dopiero następnego dnia, bo wcześniej zapominają wrócić i sprawdzić, co się z nią dzieje.

W dniu dwudziestych drugich urodzin Annie przebywa w szpitalu. Byron, uwolniony z uzależnienia od metamfetaminy, ale za to nadużywający alkoholu, pobił ją kilka dni wcześniej. Złamał jej szczękę. Złamał kość oczodołu. Zostawia go.

W wieku dwudziestu trzech lat Annie wyzwala się z nałogu.

W wieku dwudziestu pięciu lat Annie wraca do nałogu.

W wieku dwudziestu sześciu lat Annie stwierdza, że jest oszukiwana przez swojego dealera, kobietę imieniem Hypatia. Mózg Annie nie jest w stanie produkować dłużej substancji wywołujących poczucie szczęścia. Traci sens życia. Uważa, że Hypatia zabrała jej pieniądze i nie dała narkotyków. Prawda jest taka, że Annie dostała narkotyki, tylko że natychmiast je zażyła. Nie może w to uwierzyć. W złości rozbija lustro nad kanapą Hypatii. Podcina jej gardło kawałkiem szkła. Trafia za to do więzienia, na bardzo, bardzo długo.

W wieku dwudziestu ośmiu lat zabija współwięźniarkę. Używa do tego tacy na posiłki.

W wieku dwudziestu dziewięciu lat Annie uzależnia się od kolejnego narkotyku, błyskawicznie podbijającego Amerykę – jego kariera zaczyna się w więzieniach. Nazywa się krokodyl i jest pochodną morfiny. Nazwa wzięła się z tego, że błyskawicznie niszczy skórę i tkanki, nadając uzależnionym odrażający wygląd. Niszczy ciało.

W wieku lat trzydziestu Annie jest zniszczona narkotykiem. W rany spowodowane krokodylem wdaje się gangrena. Muszą jej amputować nogę nad kolanem. W trakcie operacji pojawiają się komplikacje. Annie umiera

w strasznym bólu, nie opuszczając więzienia. Tęskni za nią jedynie matka.

ATROPOS W OGRODZIE

Zbliżają się do szklarni, choć jeszcze do niej nie weszli.

Opuszczają dom. Wychodzą bocznymi drzwiami i maszerują alejką obsadzoną glicyniami i winogronami, z racji jesieni już uschniętymi.

Zanim wyszli na dwór, Eleanor skinęła na Becka, który natychmiast sięgnął po parasol ze stojaka przy drzwiach. Na zewnątrz go otworzył i niesie teraz nad ich głowami.

Zatrzymują się, by Eleanor mogła dokończyć swoją opowieść. Historię Annie Valentine, narkomanki, złej matki, która, tak czy inaczej, kończy jako martwa dziewczyna.

– Naprawdę widziałaś to wszystko – mówi Miriam. I nie ma w tym pytania. – Widziałaś jej życie, jak przebiegnie.

– To jest mój dar.

– Na początku myślałam, że widzisz, jak ludzie umierają.

Eleanor wzdycha.

– Nie zawsze. Nawet nie zazwyczaj. W tej konkretnej sprawie natomiast widziałam konsekwencje przez jej matkę. Umiera rok po niej.

– Niech zgadnę: na złamane serce?

– Nie serce. Na złamaną wątrobę. Przedawkowanie środków farmakologicznych. A konkretnie lipitoru. Zniszczył jej wątrobę i nerki. Potem poszło z górki. Kolejna zniszczona lalka w kolekcji Annie Valentine. I dzięki temu zobaczyłam to wszystko.

Miriam drży z zimna. Spoza obrośniętych pergoli widać szare niebo i strugi deszczu. Gdzieś daleko drzewa. A nad jej głową pnąca winogron

filtrują kapiącą z chmur wodę, która zmienia alejkę w jedną wielką kałużę.

Przechodzi jej ochota na dalszą rozmowę.

– Chcę zobaczyć Lorę.

Rusza w kierunku szklarni. Eleanor chwyta ją za ramię.

– To dzięki niej zobaczyłam ciebie, Miriam. Jesteś częścią jej życia. Jesteś kolejną ofiarą zniszczenia, jakie spowoduje. Przez nią utracisz część siebie – Eleanor ścisza głos. – Wcale tak bardzo się nie różnimy.

Beck przysuwa się odrobinę. Słysząc krople uderzające w parasol.

Starsza kobieta wciąż trzyma jej ramię.

– Jesteśmy inne – odpowiada Miriam, ale nie chce teraz o tym myśleć. Nie staraj się tego analizować. Nie szukaj wyjaśnienia, bo może ci się nie spodobać.

– Los ma jakiś plan. I nagle pojawiaasz się ty. Zmieniasz życie, odbierając je. Tak jest, prawda? Ja robię to samo. Obie robimy to samo. Jak rodzina. Widzimy te dziewczęta, jak targa nimi przeznaczenie. Widzimy skażone dziewczyny, dysfunkcyjne, zniszczone. Dziewczęta, które same siebie zniszczą. Ich życie jest jak tornado, jak trąba powietrzna. Burzą i plugawią wszystko, co napotkają na swojej drodze. Porywają i ciskają o ziemię.

– Nie waż się mnie dotykać. Teraz chcę zobaczyć Lorę.

– Śmierć Annie Valentine to uczciwa rzecz. Dobry uczynek. A dobre uczynki, szczególnie te naprawdę dobre, wymagają pewnego poświęcenia. Życie Annie to ogród nienawiści. Skażona i wyjałowiona ziemia może urodzić jedynie złe rośliny. I tak było z nią. Martwe dziecko. Martwa matka. Skrzywdzeni. Wystarczyło ją usunąć – Eleanor porusza palcami, jakby były nożyczkami – i choroba znika.

Miriam chce się odsunąć, ale starsza kobieta nie zamierza jej jeszcze puszcząć. Jej oddech pachnie płatkami róż.

Płonące róże i goździki. Strużki dymu z otworów w masce.

Powieki Eleanor drżą, jakby wpadła w profetyczne uniesienie.

– To jak z rakiem, rozumiesz? – mówi ekstatycznie. – Czasem, żeby ocalić ciało, trzeba odjąć całą nogę, bo tylko tak da się usunąć chorobę. Usuwając zakażony organ. Tnąc. Annie Valentine i inni – wszyscy inni – byli chorobą. Guzami zasługującymi na skalpel.

– Albo toporek.

Tym razem Eleanor się uśmiecha.

Potem odwraca się i małym kluczykiem otwiera szklarnię. Z wnętrza dociera zapach świeżej ziemi, nawozów i ciężki aromat mokrych liści. Widzi zielone plamy porozdzielane kolorowymi polami kwiatów. Orchidee, róże herbaciane i strelicje.

Pośrodku długiej szklarni rośnie drzewo – fikus o trzech splatających się ze sobą pniach.

Lora siedzi pod drzewem. Na nadgarstkach ma zapięte błyszczące kajdanki połączone łańcuchem z oczkiem w betonowej podłodze.

Ma otwartą buzię. Półprzymknięte oczy. Po dolnej wardze ścieka ślina.

– Nafaszerowaliście ją jakimś świństwem – mówi Miriam.

– Jest strasznie pyskata. Chcieliśmy ją uciszyć.

Miriam podbiega do dziewczynki i klęka obok. Lora stara się skupić na niej wzrok, lecz maleńkie jak główka szpilki źrenice nie mogą przestać się ruszać. Jakby Lora widziała dwie Miriam. Dwie? A może trzy? A może nieskończoną ilość?

To najbardziej przerażająca możliwość.

– Ciii – mówi Miriam i przytula małą. Nie jest mistrzynią okazywania uczuć, ale wie, że dziewczynka tego potrzebuje. Deszcz uderza ciężko w przejrzyste panele, a ona nie przestaje głaskać Lory po plecach i szeptać uspokajających słów. Czuje, że ślina Lauren przemoczyła jej bluzkę.

– Mamo – mamrocze dziewczynka.

Miriam przechodzi dreszcz. Dosłownie czuje skurcz jajników, jakby właśnie minęło wieloletnie zlodowacenie. Okropne uczucie. Z całych sił musi walczyć ze sobą, by nie krzyknąć boleśnie i nie zalać się łzami, które same cisną się do oczu.

Opiera Lorę z powrotem o pień fikusa i wstaje.

– Czego ode mnie chcesz?

Eleanor podchodzi do niej. Uśmiecha się dobrotliwie. Wszędzie dookoła zielone rośliny – życie eksploduje i wylewa się z doniczek, pudełek i tac – przywołuje na myśl obraz Edenu. Miejsca, gdzie kobieta dokonała wyboru, zwiedziona czymś kłamstwem.

– Chcę, żebyś dołączyła do naszej rodziny – wyjaśnia.

– Chyba zapomniałaś dzisiaj wziąć tabletek. Jesteś szalona.

– Nieprawda. Jestem uzdrowicielką. Jestem jak amputacja. Jak radioterapia. Jak chemioterapia. Boli, ale działa. Leczy.

– To o to chodzi? Tylko o to? O jakiś... rytuał? Ta cała maskarada z ptasią maską lekarza od dżumy. Kozetka. To, że udajesz pielęgniarkę. Coś sobie ubzdurałaś i tak ci się spodobało, że w to uwierzyłaś. Wdychasz własne trujące opary jak jakaś stara wyrocznia. Tyle że ty posunęłaś się krok dalej, poza przepowiadanie przyszłości. Ubrudziłaś sobie ręce. Zmieniasz przyszłość.

– A ty? Ty niby tego nie robisz? Życie za życie? Nie rozumiesz, że obie weszłyśmy do strumienia i własnymi ciałami zawracamy jego bieg? Zmieniamy przeznaczenie! Kończąc jedno życie, możemy ocalić niezliczoną ilość innych.

Miriam czuje swędzenie wyciętych na dłoniach icksów. Musi zacząć działać. I to szybko.

Ale jeszcze nie teraz.

– Mogłaś je po prostu zabijać. Te złe dziewczyny. Ale nie, trzeba zrobić

z tego przedstawienie. Mogłaś strzelić im w głowę. Ale to za mało, tak? Chcesz, żeby były... ofiarą? Chory rytuał dla wymyślonych bogów i nieistniejących bogiń, żeby widzieli, że działasz?

– Rytuał to konieczność – wyjaśnia Beck.

– Mój dar jest boskiego pochodzenia – wyjaśnia kobieta. – Należy go świętować we wszystkich wymiarach. Jestem zaskoczona, że myślisz inaczej. Powiedz: wierzysz, że istnieje coś poza nami? Coś większego od ciebie czy ode mnie?

– Nie wierzę w popieprzone piosenki ludowe i idiotyczne maski.

– Ta pieśń to nasza modlitwa. Jest bardzo stara. Matka śpiewała ją Carlowi, kiedy był dzieckiem. – Eleanor uśmiecha się smutno. – A maska jest jednocześnie symbolem i narzędziem. Dziób maski medyka był twarzą ptaka. Pamiętaj, że zaraza zabijała ssaki, a ptaki zostawiała spokoju. Lekarze wypychali dziób ziołami, by chronić się przed zarażeniem. W tamtych czasach zaraza była czymś więcej niż tylko chorobą. Była karą za grzechy. Była znakiem od Boga.

– Kurwa, kto ci to wszystko nawcisnął do głowy?

– Mój ojciec był wykładowcą. Cóż mogę powiedzieć... jego żywa wyobraźnia była zaraźliwa.

– Te dziewczęta... dlaczego im po prostu nie pomóc? Dać szansę? Twierdzisz, że masz moc zmieniania przeznaczenia. Dlaczego w takim razie nie pokażesz im, jak być lepszym człowiekiem? Dlaczego musisz je torturować? Mordować?

– Ale przecież my to robimy. – Eleanor unosi brwi, jakby była zaskoczona, że Miriam jeszcze na to nie wpadła. – Po to prowadzimy szkoły.

O Boże.

– Szkoły? To jest ich więcej?

– Mamy cztery szkoły na trzech kontynentach. Caldecott. Woodwine. Bell Athyn. I Breckworth. Trzy prowadzą firmy wydmuszki. Ale w radzie każdej z nich zasiadam ja i mój syn, Edwin.

Miriam nie chce nawet pytać. Nie chce wiedzieć. Czuje za to wzbierające mdłości. Ale coś każe jej dowiedzieć się, sprawdzić – to to samo pragnienie, które każe jej dotykać ludzi i dzielić z nimi najbardziej prywatny moment ich życia.

Pyta więc.

– Ile? Ile... ile dziewcząt? Ile ofiar?

Eleanor spogląda na Becka.

– Pokaż jej.

Beck przywołuje ją gestem dłoni.

Prowadzi za fikusa. Potem alejką między białymi orchideami i pająkowatymi roślinami przywodzącymi na myśl czaszki kosmitów.

Na końcu dróżki stoi metalowa szafka. Na brzegach i zawiasach widać rdzę.

Beck kładzie dłoń na jej plecach. Na szczęście nie na krzyżu. Jego dotyk sprawia, że czuje mdłości i kołysze się na nogach. Jakby emanował jakąś budzącą wstręt siłą.

Wyjmuje mały kluczyk. Otwiera kłódkę. Otwiera szafkę.

W środku?

Słoiki.

Szafa jest zastawiona słoikami.

Pięć półek. Na każdej z nich kilkanaście słoików.

W każdym mętny płyn. Jak woda ze stawu.

W każdym pływa coś przypominającego sporego ślimaka. Wąskie z jednej strony, postrzępione z drugiej, jakby korzonki wyrwanej rośliny.

Języki.

W każdym słoiku wycięty język.

W męczarniach wiła się i łkała, i język gryzła, aż skonowała. I głos jej ucichł, jak jej dzień, paznokcie też okryła czerń. Miriam nie chce tego robić, ale nie może się powstrzymać.

Sięga po słoik z najwyższej półki. Brak jakichkolwiek informacji, do kogo należał. Nie ma plastra z nazwiskiem. Imienia. Daty. Szklane naczynie drży w jej dłoni. Bąbelki przyczepione do strzępków ciała odrywają się i unoszą ku powierzchni.

– Co robicie z resztą? – pyta, choć nie jest pewna, czy chce wiedzieć.

Beck sięga do doniczki, w której kwitnie jakaś kolorowa roślina. Podnosi garść ziemi i podsuwa jej pod nos.

Wilgotna i żyzna, lecz upstrzona białymi drobinkami, jakby starannie rozdrobnioną porcelaną.

Nie, nie, nie, nie.

– Kompostujemy – wyjaśnia.

Czarna ziemia. Zmiażdżone kości. Bezgłowe ciała jako nawóz dla roślin.

– Tyle martwych dziewcząt. – Po policzku spływa jej łza.

– Powinny były umrzeć. Zrozumiesz to w końcu.

– Nie jestem taka jak wy.

– Zabijając mojego ojca, udowodniłaś, że jest inaczej. Miriam, jesteś morderczynią.

Morderczyni, morderczyni.

Oko za oko. Ząb za ząb.

Życie za życie.

Jesteś, jaka jesteś.

– Skoro tak, to niech będzie – mówi i schyla głowę.

Potem bierze potężny zamach i rozbija słoik z językiem na głowie Becka Daniela. Smród formaldehydu uderza ją w nos. Mężczyzna zatacza się. Z

czaszki sterczą mu kawałki szkła. Ma pokaleczone policzki i szczękę. Szklany archipelag otacza jedno oko.

Uciekaj!

Odpycha go i chce biec.

Ale Beck uderza ją kolanem w nerkę. Dziewczyna pada na ziemię. Po drodze trafia głową w stół. Przewraca się na bok. Ziemia – cementarna ziemia, ziemia z martwych dziewczynek – sypie się na nią z rozbitych doniczek.

Chce się podnieść, ale Beck natychmiast ją chwyta i rzuca na ziemię.

Przyciska ją.

Odwraca.

Zaciska dłonie na szyi.

Miriam czuje, jak jej policzki pulsują krwią.

Beck uderza głową o betonową posadzkę. Raz, drugi. Przed oczyma widzi gwiazdy.

Dziewczyna rozrzuca ramiona. Wykręca jedną rękę za siebie. Beck naciska kciukami na jej tchawicę.

Pod palcami czuje spódnie. Przesuwa dłoń coraz niżej.

Gdzie to jest, gdzie jest, gdzie jest.

Beck spogląda z góry. Na jego twarzy połyskują kawałki zbitego szkła. Kapie z nich krew. Prosto na Miriam. Kap, kap, kap.

Ciemność pochłania światło.

Jej dłoń wciąż szuka.

Nagle...

Ma. Znalazła.

Widelec.

Targowała się o nóż z Eleanor Caldecott długo i zawzięcie. Wymachiwała nim. W głowie słyszy jeszcze słowa Becka.

To, jak i co mówisz, to wszystko zmyłka. Taka magiczna sztuczka.

W rzeczy samej. Sztuczka.

Skupili się na nożu. Ale nie zwrócili uwagi na widelec, który w tym czasie ukryła w spodniach.

Zaciska palce na rączce sztućca.

Napina mięśnie i z całej siły...

...wbija go w miękkie ciało pod pachą.

Ulga. Światło wygrywa z ciemnością. Miriam prostuje nogi. Odpycha Becka, który wrzeszczy z bólu i jak ranny niedźwiedź usiłuje wyrwać tkwiący głęboko widelec.

Miriam wstaje.

Kręci jej się w głowie.

Przed oczyma wciąż latają mroczki.

Przez chwilę czuje odrobinę dumy. Oto kolejny skurwysyn, którego załatwiłam widelcem.

Musi uciekać. Doskonale wie, że próba walki z Beckiem to pewna przegrana. Rozbity słoje i widelec pod pachą trochę go spowolnią, ale i tak walczy znacznie lepiej od niej. Z kolei ucieczka w stronę Eleanor też nie jest dobrym pomysłem. Co prawda to tylko stara kobieta, jednak ona nie chce ryzykować żadnych niespodzianek.

To oznacza, że zostaje tylko okno.

Ale to nie szyby, tylko twardy plexiglas.

Na początek rozbieg.

Potem odbicie od stolika...

I skok całym ciężarem ciała na plastikowy panel.

Uderza ramieniem. Okno się wygina, wystrzeliwuje z ramy i wypadają razem na dwór. Nagle otacza ją chłód i deszcz, i wiatr, i wolność.

Miriam rzuca się do biegu.

DIABEŁ JEŹDZI CZARNYM MERCEDESEM

Louis drży w strugach deszczu. Za paskiem od spodni czuje ciężar policyjnego colta.

Szkoła jest rozświetlona jak w czasie balu karnawałowego. Migoczą czerwone i błękitne światła, rozpraszając chmurny poranek. Louis skrywa się za narożnikiem części internatowej. Nie jest pewien, gdzie powinien pójść. W głowie ma mętlik. Mózg wypełniają setki wirujących myśli. Nie wie, jak odnaleźć Miriam, nie chce rozmawiać z glinami – bo skoro jeden z nich był mordercą, to inni też mogą brać w tym udział – i nie podoba mu się przebywanie w miejscu, w którym roi się od policji, podczas gdy ma przy sobie skradzioną broń. Paraliżuje go strach. Też mi obrońca.

Z rynien budynku płyną strumienie wody. Deszczówka wybija z przepełnionej kanalizacji. Ulice są mokre. Przy krawężnikach płyną wartkie strumienie. Niedługo woda po obu stronach połączy się, tworząc jedną wielką kałużę. A potem powódź i tak zaleje cały teren. Deszcz pada bez przerwy i nie ma litości. To huragan Esmeralda szczyrzy zęby.

Część policjantów opuszcza teren szkoły. Niedługo wyjadą wszyscy.

Nagle pada na niego cień i słyszy szcęknięcie otwieranego parasola. To Katey.

– Louis, tak mi przykro. – Płacze. – Zostawiłam ją samą, a potem... potem wszystko stanęło na głowie. To moja wina.

– Twoja wina? – Niewiele brakuje, a zaczęłyby się śmiać. – Katey, to ja miałem jej bronić. Obiecałem jej. I co? Nawaliłem na całej linii.

Wezwał Katey z budki strażnika. Homer pozwolił mu skorzystać z wewnętrznego telefonu. Swoją komórkę zostawił w ciężarówce. Pewnie już jej nie odzyska.

– Mówią, że... – głos Katey drży.

– Co mówią?

– Mówią, że zrobiła coś jednemu ze strażników. Że go zraniła. Podcięła mu gardło.

Louisowi robi się niedobrze. Jakby jego błędnik zmienił się w małą łódkę pośrodku rozkołysanego oceanu.

– Zamordowała go?

Katey potrząsa głową.

– Nie. Nie umarł. Jeszcze żyje. Jest w stanie krytycznym, ale żyje. Okazuje się, że można przeżyć podcięcie gardła, jeśli ostrze nie wejdzie zbyt głęboko. Jeśli nie uszkodzi tętnic... – Siąka nosem. – Ale mówią też, że to tylko kwestia czasu.

– To nie ona. Nie Miriam. A nawet jeśli, to musiała mieć ważny powód.

Wiatr przybiera na sile. Zimny deszcz zacina pod parasol. Louis nie zauważa lodowatych kropli.

– Katey, oni ją porwali. Porwali ją i tę dziewczynkę.

– Trzeba to zgłosić policji. Niedługo zaczną sprawdzać taśmy z kamer. Chcą ze mną rozmawiać. Możemy to przyspieszyć. – Kładzie mu dłoń na klatce piersiowej.

– Nie. Oni też biorą w tym udział. Nic im nie mów.

Katey odsuwa się kawałek.

– Chyba popadasz w paranoję.

– Jeden z nich zatrzymał mnie na drodze. Jechałem za czarnym mercedesem, w którym była Miriam. Zablokował mnie. I zaczął strzelać.

I tak zdobyłem broń.

W bębenu zostały tylko dwa pociski.

– Czarny mercedes – powtarza. Mruga powiekami. Myśli. – Chyba...
nie. Nie, to niemożliwe.

– Co takiego? Co jest niemożliwe?

– To chyba bez znaczenia, bo w tym kontekście... Kierownik szkoły
jeździ czarnym mercedesem. Edwin Caldecott.

– Jest na miejscu?

– Nie, dzisiaj jeszcze się nie pojawił...

W tym momencie rozlega się szum opon rozchlapujących głębokie
kałuże.

Katey się ogląda.

– O wilku mowa.

Louis patrzy w tę samą stronę.

Oczywiście, czarny mercedes. Na podjeździe. Za chwilę ich minie.

To ten samochód.

Nie ma wątpliwości. Nigdy nie był niczego bardziej pewny. Czuje to, jak
czuje się robaka pełzającego po skórze.

– Katey, porozmawiamy później.

Kobieta coś odpowiada, ale nie słyszy jej słów. Toną w grzmocie burzy.

Louis sięga po broń i wychodzi na środek drogi.

Czas odnaleźć Miriam.

CIUCIUBABKA

Nie ma pojęcia, jak długo ucieka. Straciła poczucie czasu.

Nie wie, dokąd teraz.

Wie, że pada deszcz. I grzmi. I co pewien czas niebo rozświetlają błyskawice. I że mijają minuty. Choć równie dobrze to mogą być godziny.

Posiadłość Caldecottów jest ogromna. Dom. Za nim szklarnia. Wielki staw z białą altaną na wyspie pośrodku. Korty tenisowe. Basen. Stajnia. Czterostanowiskowy garaż. Mniejsza stodoła. Jakaś szopa, jeszcze mniejsza.

Jedyna rzecz, jakiej szuka – droga dojazdowa, która najpewniej zaprowadziłaby ją do bramy – znajduje się po drugiej stronie domu. Usiłowała się tam dostać, ale po drodze usłyszała głosy. Pobiegła więc w inną stronę.

Musisz wracać.

Znajdź Louisa.

Znajdź Lorę.

A potem zabij ich. Wszystkich.

Teraz jest na tyłach posiadłości. Znajduje starą ziemiankę. Ma przegniłe drewniane drzwi.

Teraz tutaj czeka. W otoczeniu piwnicznych pajaków i stonóg. Za starymi, krzywymi drzwiami, które kołyszą się i skrzypią przy każdym powiewie wiatru.

Posiadłość otacza las. Mogłaby biec na oślep między drzewami, pośród deszczu i błota. Już kiedyś zdecydowała się na coś takiego. Dziś nie jest

pewna, czy ma dość siły, by biec tak daleko. I czy jest dość szybka.

A ostatnia rzecz, jakiej chce, złamać kostkę gdzieś pośrodku lasu, w dole z błotem. Albo utopić się w bajorze pełnym mułu, pięćdziesiąt metrów za posiadłością.

Czyli zostaje tylko podjazd.

I brama przy drodze.

I kamery.

W takim razie najwyższy czas poszukać sobie broni.

W ziemiance znajduje jedynie płaskie kamienie otaczające wyschnięte źródło; teraz to ledwie kałuża błota, która wygląda jak zżarta przez raka dupa. Próbuje podnieść jeden kamień, lecz jest położony na zaprawie. Kolej na szopę, myśli. W szopie musi się coś znaleźć. Łopata, grabie, nożyce do żywopłotu, spray na psy czy choćby siatka do czyszczenia basenu.

Chce otworzyć drzwi i wyjrzeć na zewnątrz...

Ale słyszy jakiś dźwięk.

Z początku ma wrażenie, że to tylko deszcz. Wystarczy przecież zostawić włączony wentylator czy dostatecznie długo wsłuchiwać się w krople bębniące o szybę, a szum zamienia się w znajome odgłosy – gwar rozmów, kroki czy wołanie.

Tym razem wołanie się powtarza.

– Miriam!

Ktoś woła ją po imieniu.

Tylko...

Tylko że to nie jest po prostu ktoś.

To Louis.

Nie, to niemożliwe. To nie może być on.

Znów go słyszy.

– Miriam! Miriam! Gdzie jesteś?

Głos jest już blisko. To nie krzyk. I nie wrzask.

Mój obrońca, myśli. Walczy z metalową klamką i po chwili czuje uspokajające ciepło z zewnątrz. Jest jej dobrze mimo zacinającego deszczu. Z Louistem nic jej nie grozi. On ją ochroni i obroni przed złem.

Wychodzi na zewnątrz. Staje na ścieżce z pojedynczych kamieni. Wspina się na porośniętą trawą górkę, pod którą kryje się ziemianka. Ślizga się na mokrej ziemi. Z trudem znajduje podparcie dla stóp.

Miriam szepcze jego imię.

– Louis! Louis! Tutaj!

Wstaje, podpierając się rękoma.

I widzi go.

Ale to nie Louis.

To policjant.

Gliniarz z wysypiska przy domu Keenera. Z wąsem. Niski i przysadzisty – nie jak czajnik. Bardziej przypomina złego pitbulla.

Miriam jest przed nim na czworakach.

A on ma na dłoniach czarne rękawiczki. I niewielki pistolet. Pewnie kaliber .380. Walther PPK. Na naoliwionym metalu zbierają się kropelki deszczu.

– Proszę... – mówi cicho. Ale już wie, że nie jest przyjacielem. To wróg.

Mężczyzna wybucha śmiechem. Kaszle. Deszcz skapuje z daszku jego czapki.

Potem mówi:

– Miriam, oj, Miriam, przecież to ja.

A mówi to głosem Louisa.

No tak.

– Jesteś Przedrzeźniaczem. – Dziewczyna potrząsa głową. Nagle zostaje pozbawiona całej energii i nadziei. Na policzkach czuje chłodne pocałunki

deszczu. Opiera dłonie na wilgotnej, śliskiej trawie.

– Wszyscy jesteśmy Przedrzeźniaczami. Cała rodzina Drozdów Przedrzeźniaczy.

Uderza ją kolbą w głowę – głowę już dość mocno umęczoną kolejnymi ciosami, bólem i wstrząsem mózgu.

Miriam przewraca się na bok.

Przyjmuje pozycję embrionalną.

Wszystko jest cierpieniem.

Małe, tłuste ręce policjanta zaciskają się na jej włosach. Potem obraca dłoń, owijając je wokół nadgarstka.

Jak jaskiniowiec ciągnie ją za sobą. Koło ziemianki. Przez kałuże i błoto. Lecz nie w stronę domu.

W stronę stawu.

KREW I PIÓRA

Brzeg stawu na całej długości pokrywa śliska, wilgotna glina. Kolana Miriam zapadają się w brunatnej mazi. Policjant wykręca jej ręce na plecy i zatrzaskuje kajdanki. Są ciasne. Zbyt ciasne. Broda opada jej na piersi. Z trudem podnosi głowę.

Woda w stawie pieni się i drży, batożona deszczem tak intensywnym, że można pomylić go z gradem. Miriam potrząsa głową; nie widzi wyraźnie. Przed oczyma ma rozmazane kształty. Zastanawia się, ile jeszcze wytrzyma jej umęczona głowa. Altankę pośrodku widzi jedynie jako zamazaną plamę.

Za nią stoi policjant. Sprawdza magazynek, przeładowuje broń i strzela.

Miriam dzwoni w uszach od huków.

Myśli sobie, to koniec. Zabije mnie. Pif-paf.

Czuje zapach spalonego prochu.

Ale nie strzelał do niej. Pociągnął za spust, unosząc lufę w powietrze.

To sygnał.

– Proszę, już idą – mówi.

Z trudem udaje jej się odwrócić głowę. Widzi dwie postaci. Zmierzają w ich stronę. Beck niesie parasol, osłaniając matkę przed deszczem.

Po jednej stronie jego koszulka jest mokra od krwi.

Eleanor zatrzymuje się koło Miriam. Porusza się lekka jak piórko. Dziewczyna ma wrażenie, że muł nie ugina się pod jej stopami. Starsza kobieta cmoka językiem, schyla się i przykuca obok.

Miriam zauważa, że deszcz nie pada jej już na włosy. Beck znów osłania ją parasolem. Ach, jakież to słodkie.

– Bardzo mnie rozczarowałaś – mówi Eleanor.

– Strasznie mi przykro, mamusiu – chrypi Miriam.

Tuż przy uchu słyszy syczącą przyganę. Beck.

– Więcej szacunku, Black!

– Wal się w pachę – odpowiada, po czym wybucha chrapliwym śmiechem, tak gwałtownym, że niemal wpada do wody.

– Dzisiaj umrzesz – oznajmia Eleanor.

– A ja, naiwna, myślałam, że wejdę do rodziny.

– Wygląda na to, że już po ptakach.

– W sumie to i dobrze, bo jestem typem samotnika. Poza tym nie jestem psychopatycznym pojebem z rozpierzdolonym mózgiem, jak wasza ekipa. – Znów się krztusi. Pluje. Pfuu. W ślinie jest krew. – No, to chyba wystarczy.

Starsza kobieta wzdycha. Spogląda na syna.

– Beckett, wygląda na to, że nie zostanie twoją oblubienicą. Wiem, że coś do niej czujesz, więc tym bardziej mi przykro.

– Już nic nie czuję, matko – odpowiada mężczyzna.

– Oblubienicą? Chryste, was naprawdę popierdoliło. Dobra, jaki macie plan? – pyta Miriam. – Chcecie mnie tutaj załatwić, prawda? Na miejscu? A gdzie pompa i przebranie? Gdzie kozetka, gdzie toporek i ta idiotyczna przyśpiewka? Nie należy mi się oprawa jak dla niedobrej dziewczynki?

Eleanor uśmiecha się i gładzi jej włosy.

– Ależ należy, kochanie. Ale nie mamy teraz na to czasu. Więc jeśli to cię choć trochę uspokoi, spotka cię szybka śmierć. Łaska, której inne złe dziewczęta, niestety, nie zaznają.

W sercu Miriam rośnie słup szalejącego ognia, trąba powietrzna wściekłości i żalu. Oblizuje usta i mówi:

– Pamiętasz jeszcze męża? Carla? Pieprzony mutant. Powinnaś była widzieć, jak bulgocze, zanim zdechł. Powinnaś była widzieć jego gardło,

Eleanor. Kiedy z nim skończyłam, wyglądał jak rozjechany opos. Jak truchło na autostradzie. Co chwila kolejna opona. Zostaje czerwona marmolada zmieszana z futrem i kośćmi, a na koniec tylko czerwona plama.

– Pewnie umyśliłaś to sobie, żeby mnie zaszokować – mówi Eleanor. – Otóż, musisz wiedzieć, że nienawidziłam męża. Służył nam jako narzędzie wykorzystywane w dobrym celu. Teraz to zadanie przypadnie naszemu synowi.

– A synów kochasz?

– Ależ oczywiście! Całym sercem.

Niech będzie. Nie spodobał ci się ten kawałek? Nie ma sprawy. To co powiesz na to, stara pizdo?

– Widziałam, jak umrze Beckett – mówi Miriam. I uśmiecha się przy tym szeroko. – Strzeli sobie w łeb, Eleanor. Pocałuje lufę i pomaluje ściany gabinetu sałatką z mózgu. Bum!

– To kłamstwo! – sapie mężczyzna. – Nigdy bym...

– Ciii... – W głosie Eleanor pojawia się nowa, ostrzejsza nuta. – Nie chcę już tego słuchać. Beckett, zaczynaj...

– Zabije go poczucie winy! – wrzeszczy Miriam, przekrzykując szum ulewy. – Nie poradzi sobie z obciążeniem! Nie zniesie tego, co z niego zrobiłaś!

Zza pleców dobiega ją lodowaty głos Eleanor:

– Wracamy do domu. Nie chcę na to patrzeć. Zabij ją, kiedy odejdziemy. Obciąż. I wrzuć do stawu. – A potem do Becka: – Earl się tym zajmie. Dobrze, mój drogi?

Policjant posłusznie odpowiada.

– Oczywiście, matko.

– Co jest, nie możesz na to patrzeć? – Miriam piszczy za Eleanor. –

Jesteś miękka! Słaba! To przez ciebie Beckett połknie kulkę! Ty pierdolona wiédźmo!

Nagle czuje nacisk na potylicy – policjant przyciska broń do jej głowy.

Earl przyklęka obok, ale nie opuszcza pistoletu.

– Zamknij ryło, suko. Jeszcze jedno takie słowo do mojej matki, a nie będzie tak szybko, jak ci obiecała. Najpierw odstrzelę ci pieprzone kostki, rozwałę kolana, nadgarstki i łokcie. Kulka z boku pozbawi cię szczęki. Ale wiesz co? Wciąż będziesz żyła. Krwawiąc i wrzeszcząc. Nie umrzesz od tego. Nie od razu.

Miriam szepcze:

– Maminsynek. Nie wiem, czy zauważyłaś, ale ona cię nie kocha. Pozwoliła ci w ogóle nosić to samo nazwisko? Idę o zakład, że nie.

Earl warczy z wściekłości i uderza ją w głowę. Tym razem Miriam się nie przewraca. Kolana zbyt głęboko utkwily w błocie.

Odpowiedz na pytanie. Ta myśl krąży jak oszalała w jej obolałej głowie.

Policjant podnosi się. Staje za nią.

Zaczyna nucić piosenkę o Polly.

Miriam spogląda przez ramię.

Widzi dwie osoby pod ciemnym parasolem.

Są już przy domu.

Przy bocznych drzwiach.

Już wchodzi do środka.

To wszystko, myśli.

Wszystko układa się w całość. Strzał w głowę sprawił, że znalazła się na tej ścieżce. Teraz doszła do jej końca. Cudowna symetria. Jak dwa makabryczne zakończenia.

Wtedy słyszy trzepotanie skrzydeł.

Słyszy je naprawdę? Czy to tylko złudzenie? Widzi albo wydaje jej się,

że widzi tłustego kruka. Leci pośród kropel deszczu, nad wodą. Ląduje na szczycie altanki na wyspie. Miriam ledwie go odróżnia – jest tylko czarną plamką, jest cieniem na zdjęciu rentgenowskim.

Lecz wszystko się zmienia, kiedy deszcz przestaje padać.

To znaczy, nie przestaje padać. Tylko krople zatrzymują się w powietrzu. Rozciągnięte lewitują nad stawem jak przecinki. Nieruchome. Zamrożone w czasie.

Sen. Halucynacja. Nieprawdopodobna prawda.

Teraz znacznie lepiej widzi kruka. Ma czarne oczy, błyszczące jak hematyt.

Ptak przemawia. No oczywiście, że potrafi.

– Zanim Juliusz Cezar zmarł – mówi kruk dudniącym głosem, który niesie się nad stawem i trawnikiem jak wystrzał z broni – miał pewien sen. Śniło mu się, że leci. Śniło mu się, że jest ptakiem i unosi się w przestworzach nad wzgórzami Rzymu. Tytus Westrycjusz Spuryinna, wróżbita, ostrzegł go przed nadchodzącą śmiercią i powiedział, że znakiem końca będzie ptak tyran z gałązką wawrzynu w dziobku, a gonić go będą drozdy i te drozdy zaatakują mniejszego tyrana i rozerwą go na kawałki i właśnie wtedy nadejdzie śmierć. I stało się tak, jak powiedział wróżbita.

– Mam dość już tych wszystkich ptaków – mówi Miriam. – Serio. Nie możesz użyć jakiejś innej przenośni? Wymyśl inny symbol.

Ptak klekocze dziobem. Stuk, stuk, stuk.

– Biedna Miriam. Nie chcesz się przyznać, że rozumiesz to wszystko, choć z tym walczysz. Jesteś jak Cezar. Mimo że widział znaki, wyjaśnił haruspikowi, że to kłamstwo, bo on nie umrze. O nie, nie on.

– Jestem już zmęczona. I obolała. Daj mi po prostu spokój.

– Dziś umrzesz. Tu i teraz. – Ptak poprawia skrzydła. – Właśnie ten czas przeznaczenie wybrało na twoją śmierć. A to trochę porażka, nie sądzisz?

Te wszystkie dziewczęta. I nie tylko Lora. Nie tylko Tavena. Ale jeszcze wiele, wiele innych. Caldecottowie będą działać dalej. Będą mieli swoje dzieci. Wąż połknie własny ogon. Niekończąca się parada bólu. Procesja niedoli.

– Niech ktoś inny się tym zajmie. Ja już skończyłam.

– Niby kto, jeśli nie ty?

– Pieprz się. I spadaj.

– Nazwałaś mnie symbolem – mówi ptak. – Kto powiedział, że naprawdę nim jestem? Jestem równie realny jak ty. Jestem prawdziwy jak broń przyciśnięta do twojej głowy. Sama zresztą popatrz.

Miriam ma wrażenie, że świadomość opuszcza delikatnie jej ciało i przesuwa się między kolcami...

I nagle może siebie zobaczyć.

Jak klęczy w błocie, na brzegu stawu. Za nią stoi grubawy policjant z bronią. Nieruchomy.

Miriam chce się poruszyć. Słyszy szelest skrzydeł.

Swoich skrzydeł.

Jest poza ciałem. I jest w kruku.

A potem...

Szuuuu.

Wraca. Znów jest sobą i patrzy na altankę z czarnym krukiem na dachu.

– Powiedz mi tylko, co mam zrobić – mówi ptak. – I nie martw się o resztę, biedna Miriam.

Czas znów zaczyna płynąć.

Deszcz ponownie uderza o powierzchnię stawu.

Po niebie przewala się grzmot.

Policjant chrząka.

Mocniej przyciska broń do jej potylicy.

Miriam spogląda w stronę kruka na altanie.

– Proszę – szepcze błagalnie.

Ptaka podrywa się do lotu.

– Idź do diabła – warczy Earl.

Czarna cień porusza się błyskawicznie. Trzepot i szelest skrzydeł.

Dziewczyna nie czuje już lufy przyciśniętej do głowy. Za to Earl krzyczy. Miriam odwraca się w momencie, kiedy policjant pociąga za spust. Wystrzał rozlega się tuż przy jej uchu. Znowu dzwonięcie. Tym razem tak głośne, że przez chwilę nic nie słyszy.

Widzi zaś, że Earl zamiast twarzy ma ptaka – czarnego, oleistego, trzepoczącego skrzydłami. Mężczyzna krzyczy. Uderza zwierzę bronią.

Dziób unosi się i opada. Kłuje. Trafia w usta. Raz za razem. Earl krzyczy.

Ptaka odlatuje. Na policzkach mężczyzny widać krwawe ślady po jego pazurach.

Earl ma rozkrwawione usta. Czerwona dziura, jak gofr z sosem truskawkowym.

Ptaka trzyma w dziobie kawałek jego języka. Jakby ukradł kawałek pieczeni.

Wzbija się w powietrze.

Miriam wykorzystuje okazję. Nieporadnie zapiera się nogami w błocie i odpycha się w tył, trafiając Earla w kolana. Mężczyzna się zatacza, potyka i wpada do wody.

Dziewczyna próbuje wyczołgać się na brzeg, ale porastająca go trawa jest mokra i wysmarowana mułem. Nie może znaleźć punktu podparcia.

Coś chwyta ją za kostkę.

Z wody podnosi się Earl.

I zaczyna wciągać ją coraz głębiej.

Kopie go. Szarpie się. Odwraca się na plecy, żeby go widzieć.

Mężczyzna wykrzywia twarz. Ma zęby czerwone od krwi. Chwyta ją za koszulę. Celuje między oczy. A ona myśli: Dlaczego? Ty głupi ptaku! Coś ty narobił? Co mam z tego? Earl nie ma języka, ale wciąż ma broń, a ja umrę, tak czy inaczej.

W jej głowie rozlega się odpowiedź: Potrzebowałam tego czasu. Dokładnie tyle, ile dostałam.

Po co jej ta chwila?

Wystrzał.

Głowa policjanta odskakuje mocno w prawo.

A potem pada na jej nogi. Jest martwy. Osuwa się do wody.

– Nie rozumiem... – mówi w stronę nieba. Deszcz zmywa jej wizję i wypełnia usta.

Chwytają ją potężne dłonie. Wyciągają na brzeg.

Spogląda na nią jednooki kierowca ciężarówki.

– Louis – szepcze.

– Mówiłem, że cię ochronię.

– Następnym razem zacznij trochę wcześniej. Nie musisz się spóźniać, żeby zrobić wrażenie.

Ale Louis jej nie słucha. Wchodzi do wody i wyciąga ciało policjanta. Earl ma w głowie wielką dziurę. Dopiero teraz dostrzega, że Louis nosi broń – nie, nie broń. Pieprzone działo przeciwpancerne. Po chwili wraca z kluczykami i rozpina jej kajdanki.

Potem patrzy na ciało zastrzelonego mężczyzny.

– Powinienem był go zastrzelić, kiedy miałem okazję. Miałem go na muszce, Miriam. Leżał przede mną. Ale stchórzyłem. Strzeliłem obok i dałem mu uciec.

– Nie ma sprawy – pociesza go. Przez kilka chwil milczą. Leje deszcz. –

Louis, wiesz, że telepatycznie poprosiłam ptaka, żeby mi pomógł?

– Aha.

Rozkuta czuje, jak krew zaczyna docierać do kończyn.

– Ten glina... są jeszcze inni – sapie.

– Wiem.

– Mają dziewczynę. Loreę.

– Wiem.

– Pomożesz mi ją uratować?

– Pomogę.

– To podaj mi broń tego kutasa. Przyda się.

WALKIRIA

– Tak się cieszę, że przyszedłeś – mówi, kiedy skradają się w stronę domu. Dostają się do środka przez boczne drzwi. To pralnia. Na półkach ręczniki. Pralki stoją puste.

Cały dom sprawia wrażenie pustego.

– Ciii. – Louis przyciska palec do ust.

Wchodzą do holu. Mijają stare lustro w bogatej ramie. Miriam widzi w nim swoją twarz. Wygląda jak śmierć w mikrofalówce. Siniaki, rozcięcia, opuchlizna w kilku miejscach. Po spotkaniu z Carlem Keenerem. I z braćmi Caldecott – Beckettem i Earlem. Widzi nawet ślad po pierwszej kuli, która w sklepie na Long Beach Island rozorała jej skórę. Ta rana znika pod innymi.

– Jak się tu dostałeś? – szepcze, skradając się przez foyer.

– Zobaczyłem, że wywieźli cię ze szkoły samochodem kierownika, więc przystawiłem mu spluwę do skroni i kazałem jechać. A potem zatrzasnąłem w bagażniku.

– Edwin też tu jest?

Louis potakuje. W dłoni trzyma colta pythona.

– Przyrowadź go – mówi Miriam.

– Nie zostawię cię samej.

– Dam sobie radę.

– Dobrze, ale poczekaj tu na mnie – zgadza się w końcu. Dziewczyna potakuje.

Kłamie. Nie zamierza na niego czekać. Tu chodzi o nią, a nie o niego.

Louis się waha. W końcu jednak kiwa głową i bierze jej słowa za dobrą monetę. Wychodzi frontowymi drzwiami.

Zostawia ją samą w wielkim domu.

Samą z dwójką potworów.

– Earl nie żyje – krzyczy na całe gardło. – Ale to już wiecie. Dlatego się chowacie!

Nic. Cisza.

Naraz słyszy coś na piętrze. Skrzypienie drewnianego parkietu.

Beck jest niebezpieczny. Jest jak wąż gotowy do ataku. Trudno go zobaczyć i jeszcze trudniej uniknąć jego zębów jadowych.

– Eleanor, nie uwierzyłybyś, co zrobiłam! – krzyczy dalej Miriam. – Wycięłam mu język, zanim zginął. To on chronił twoje makabryczne pomysły, prawda? Edwin przyprawdzał dziewczęta. Carl je zabijał. A Earl dbał, żeby po zniknięciu miały status zaginionych, prawda? A Beck... Beck to twój synuś ukochany. Tatuś wyciągnął kopyta, więc jemu przypadnie topór. I ta głupia piosenka.

Wtedy pojawia się Eleanor.

Starsza kobieta jest na piętrze. Idzie wzdłuż krawędzi balkonu, z dłonią na poręczy. Miriam wodzi za nią lufą.

– To dobrzy chłopcy – mówi. Jest roztrzęsiona. Niepewna.

– Wyjaśnisz mi, skąd taka nienawiść do dziewcząt? – pyta Miriam. – Nie szukasz wykolejonych chłopców. Nie zabijasz nikogo z kutasem między nogami. Tylko dziewczyny. Złe dziewczyny.

– Bo dziewczęta to trucizna. Jeśli im pozwolić, stają się dziwkami.

– Jak ty? Puszczalskie dziwki jak mała Ellie Caldecott?

– Nie Ellie, tylko Ella. Tak na mnie wołali.

– Zawołaj Becketta. Niech się nie ukrywa – poleca jej Miriam.

Eleanor uśmiecha się.

Wtedy dociera do niej, że dała się podejść. Zagrała w swoją grę i przegrała. Eleanor miała ją tylko rozproszyć.

Kątem oka zauważa ruch po lewej stronie...

Beck.

Obraca się, unosząc broń...

Jest zbyt wolna. A on ma pogrzebacz.

Metalowy pręt trafia w pistolet i wytrąca go z jej dłoni. Bolą ją palce i całe przedramię. Pistolet koziołkuje po podłodze, by w końcu znieruchomieć pod ścianą.

Beck porusza się bardzo szybko. Trudno za nim nadążyć. Wyprowadza kopnięcie piętą w splot słoneczny. Powietrze z sykiem ucieka jej z płuc. Potem chwyta ją za głowę i chce uderzyć kolanem w twarz...

Miriam jest na to gotowa. Ma już złożone razem palce i teraz z całej siły wbija mu je pod pachę, dokładnie w to samo miejsce, gdzie wcześniej widelec.

Mężczyzna krzyczy, ale nie widać, żeby zrobiło to na nim jeszcze jakieś wrażenie.

Kurwa.

Dwa silne uderzenia w bok. Z całej siły przydeptuje jej stopę. Popycha i powala na ziemię. Miriam uderza boleśnie o posadzkę.

Przewraca się na czworaki i najszybciej, jak potrafi, posuwa się w kierunku pistoletu.

Ale Beck ma inne plany. Chwyta ją za pasek od spodni i przyciągając do siebie, wyprowadza potężne uderzenie łokciem w nerkę. I jeszcze raz. I jeszcze. Jest lepszy od niej. Znacznie lepszy.

Już nie żyje.

Chyba że...

Czego uczy w szkole? Czego uczy sensei Beck? Wojownik Ninja Beck?

Uczy, jak oddawać.

Uczy, że można walczyć nieczysto.

Powtarzajcie za mną: Oczy, nos, gardło, krocze, kolana, i stopy...

Miriam przewraca się na plecy i kopie. Za pierwszym razem jej stopa w ciężkim bucie trafia go w kolano. Widać ból na jego twarzy. Drży wspaniała szczęka.

Ryczy i szarpnięciem podnosi ją z ziemi.

– Oczy – mówi Miriam i pluje mu w oczy.

– Nos. – Uderza głową. Czuje, że chrząstka ustępuje pod naporem jej czoła. Chwyta ją za brodę, ale Miriam jest mokra od deszczu i wyrывa się z jego uścisku.

– Gardło. – Ponownie układa razem palce i dźga go w gardło. Beck syczy, nabierając oddech.

– I moje ulubione – mówi dziewczyna. – Krocze.

Kolanem w klejnoty. Czyste trafienie.

Beck sapie. Miriam go odpycha.

Mężczyzna się chwieje. Usiłuje jeszcze odzyskać równowagę. Uderza się tyłkiem o ścianę. Odbija się i rusza w jej kierunku...

...czas zmienia się w pojedyncze migawki jak wydarzenia zapisane nieruchomymi obrazami...

...otwierają się drzwi i w progu staje Louis z Edwinem...

...Miriam podnosi z ziemi pistolet...

...Louis krzyczy jej imię...

...broń jest mała, ale ciężka...

...bum...

...czerwona róża na piersi Becka...

...Edwin woła brata...

...jaskółka na piersi Becka krwawi z przestrzelonego serca...

...Beck pada na podłogę, twarzą do dołu...

Z lufy pistoletu unosi się leniwa strużka dymu.

Edwin dopada brata. Łkając, wtula twarz w jego włosy. Trzyma go. Przytula. Miriam rusza w jego kierunku.

Celuje mu w głowę.

– Daj mi rękę.

– Idź do diabła! – łka kierownik szkoły.

Uderza go w czubek głowy kolbą pistoletu.

– Pieprzyć to – mruczy i sama chwyta go za twarz.

I widzi.

Widzi chwilę jego śmierci.

Co za skurwysyn!

– To wiele wyjaśnia – mówi.

– Zostaw go – prosi Louis. – Zadzwońmy po policję.

– Po policję? – Miriam wybuchła śmiechem, ale próżno szukać w nim wesołości. – Wiesz, jak umrze? Umrze w górskiej chatce. Kurwa. W kurorcie narciarskim. Nie wiem gdzie. Chyba w Colorado. A może w Alpach szwajcarskich. Umrze ze starości, przy płonącym kominku, z dwoma wnukami u stóp. Ten obrzydliwiec, który pomógł pojebanej mamusi i równie jebniętemu tatusiowi torturować i mordować młode kobiety, uniknie kary. Ujdzie mu to na sucho! A z tego, co wiem, będzie zabijał dalej.

Louis podchodzi bliżej. Unosi swoje gigantyczne dłonie w geście pokoju i zgody. Ale to nie działa.

– Miriam, on jest bezbronny.

– Powiedz to jego ofiarom. Nie widziałeś ich wyciętych języków. Trzymają je w słojach. Całą kolekcję. Kilkadziesiąt martwych dziewcząt.

Edwin przełyka kluczę, którą ma w gardle.

– Poprawię się. Przysięgam, że się poprawię. Twój przyjaciel ma rację. Pozwól mi żyć. Błagam... – Zaciska wargi. Widać na nich ślinę. Cieknie mu z nosa.

Ale broń ani drgnie.

Louis stara się ją przekonać.

– Tak nie wygląda sprawiedliwość. To jest zemsta. Morderstwo.

– Taki los. Nic nie zmienisz.

– Miriam, przecież ty taka nie jesteś!

– Nie masz zielonego pojęcia, jaka jestem.

Pociąga za spust.

Kula przebija serce Edwina. Tak samo jak wcześniej jego brata. Zwłoki padają na ciało Becka. Krew sączy się na podłogę.

Louis nic nie mówi – ale wydaje jakieś straszne dźwięki. Sapie, jakby nie wierzył w to, co się wydarzyło.

Miriam czuje, jak wali jej serce.

– Idę po Lorę. A potem zabiję Eleanor Caldecott.

Nie czeka na niego. Nie zatrzymuje się, by go udobruchać. Nie ma na to czasu.

Miriam maszeruje przez dom. Prosto do szklarni, gdzie deszcz bębni o plastikowe panele, gdzie stoi szafka z obciętymi językami i gdzie rośliny żywią się ciałami martwych dziewcząt.

Ale Lory już tam nie ma.

DZIELI ICH PRZEPAŚĆ

Miriam stoi na podjeździe.

Obserwuje tylne światła mercedesa, który gna w kierunku bramy.

Dostrzega jeszcze siwe włosy kierowcy. Za kierownicą siedzi Eleanor.

Ani śladu Lory, ale jest przekonana, że stara wiedźma ją porwała.

– Zabrała ją – mówi do Louisa, kiedy wychodzi do niej na dwór. – Wciąż ma Lorę.

– To koniec? – pyta mężczyzna. Chciałby, żeby tak było. Miriam słyszy to w jego głosie.

Wiele się zmieniło.

Ale nie ma teraz czasu, żeby to roztrząsać.

– Nie. – Potrząsa głową. – Muszę to skończyć.

– Co jeszcze możesz zrobić? Odpuść. Nabierz głęboko powietrza i pomyśl. Niech ktoś inny się tym zajmie – błaga ją. Jakby starał się ją przekonać, żeby cofnęła się znad przepaści. – Nie mamy nawet pojęcia, gdzie ją wiezie!

– Wręcz przeciwnie. Wiem.

I nie kłamie.

Eleanor porwała Lorę, by zakończyć to, co zaczęła.

Rzeka wzbiera, Miriam.

Wracają do szkoły.

BRZEG RZEKI

W garażu Caldecottów stoją jeszcze inne samochody. Strasznie długo szuka kluczyków – są zamknięte w szufladzie, w biurku na piętrze. Biorą srebrne bmw i ruszają w pościg. Jadą do szkoły. Kiedy tam docierają, Homer otwiera im bramę.

Znajdują Eleanor Caldecott jeszcze przed parkingiem.

Siedzi na brzegu rzeki. Obok niej leży Lora.

Susquehanna jest szara i mętna. Po drugiej stronie wystąpiła już z brzegów. Po ich stronie jeszcze minimalnie jej brakuje. Ale już niedługo. Deszcz jest bezlitosny i nie zna umiaru.

Miriam każe Louisowi czekać w samochodzie.

Mężczyzna się nie kłóci.

Idzie przez trawnik. Ziemia ugina się pod jej stopami. W dłoni trzyma broń. Celuje w Eleanor. Na wszelki wypadek.

Lora się nie rusza.

O Boże!

– Eleanor! – Miriam przekrzykuje szum wody.

Kobieta w niczym nie przypomina pełnej godności dziedziczki, którą była jeszcze kilka godzin temu. Teraz jest zniszczoną, przegraną staruszką. Mokre siwe włosy kleją się do małej czaszki. Eleganckie niegdyś ubranie podkreślające szczupłą figurę wygląda, jakby zakrywało same kości.

– Black – odpowiada Eleanor. Ale nie podnosi głowy.

– Lora! – krzyczy Miriam. – Lora! To ja! Miriam!

Dziewczynka się nie rusza. Leży na boku.

– Wydaje ci się, że jesteś inna – mówi Eleanor cichym głosem. Ledwie słysząc jej słowa. – Wydaje ci się, że nie jesteśmy podobne, bo ty postępujesz właściwie. Zrozum, że pewnego dnia i tak przyjdą po ciebie. Miriam Black, wtedy zrozumiesz. Zobacysz, jak to jest być sądzonym za niezachwianą wiarę w to, kim jesteś, i w swoją misję. I dopiero wtedy zrozumiesz.

– Nie morduję dziewczynek.

– Nie jest martwa. Jest tylko otumaniona.

Miriam spogląda w stronę szkoły. Na parkingu stoi pojedynczy wóz policyjny. Ma wyłączone światła. Poza tym nikogo w zasięgu wzroku.

– Ale po to tu przyszedłaś, prawda? Zabić. Chcesz ją zamordować. Zamordować Tavenę White.

– Zatem wiesz o Tavenie.

– Tak. Widziałam.

– Nie dotarłam do niej. Dziewczęta są zamknięte w internacie. Czyny Taveny zatrują świat. Niestety. Wiesz, co zrobi? Okradnie kazańdzieję. A kiedy ją na tym przyłapie, zamorduje go. Nożem do otwierania listów. Dźgnie go trzydzieści razy. Człowieka poświęcającego się dla innych. Zamorduje go.

– A Lauren Martin? Co jej jest pisane?

Na twarzy staruszki widać zadowolenie i spokój.

Uśmiecha się delikatnie.

– Nic złego nie zrobi. Bo umrze.

– Nie! – krzyczy Miriam. Ale jest już za późno...

Kobieta chwyta Lorę i razem osuwają się do wzbierającej rzeki.

W CIEMNYCH ODMĘTACH, TONAĆ

Woda jest ciemna i zimna. Ledwie Miriam do niej wskakuje, chwytą ją mocno, wciąga i pcha naprzód.

Nic nie widzi. Nic nie słyszy. Nic nie czuje.

Muł koloru krwi. Woda koloru sińców.

Dopiero wtedy uświadamia sobie, jak gigantyczny popełniła błąd. Woda porusza się zbyt szybko. Miriam usiłuje płynąć, ale to na nic – wciąż spada. Zupełnie jakby ruchy rąk i nóg nic nie znaczyły. Szukanie tu Lory i Eleanor to jak szukanie jednej konkretnej igły w stogu samych igieł.

Tutaj spotka cię śmierć, myśli. Właśnie tutaj. Teraz. Takie jest twoje przeznaczenie.

Zasłużyłaś na to. Prawda?

Nie jesteś inna niż Eleanor Caldecott. Staruszka ma rację.

Zamordowałaś jej syna.

Zrobiłaś to z zimną krwią. Siedział na ziemi i rozpaczał, tuląc do piersi zwłoki brata – którego, notabene, również ty zabiłaś. A ty strzeliłaś mu w serce. Wyrok bez procesu. Wyrok bez sędziego i ławy przysięgłych. Tylko ty i broń, i wściekłość, którą nosisz w sercu. Uznałaś, że jest potworem, który nie zasługuje na życie.

No i co? Kim teraz jesteś? Walkirią? Krukiem z pola bitwy?

Doprawdy myślisz, że jesteś inna?

Odpowiedz, to może przeżyjesz.

Odległy dźwięk, dziwny i zniekształcony.

Jakby płacz dziecka.

A potem widzi ciało płynące w jej kierunku. Ciało – martwe policzki przeżarte przez wodę rzeki. Kobieta. Wodorosty zamiast włosów. To żona Louisa. W dłoniach trzyma martwe dziecko. Wzdęty, martwy cherubinek.

To moje dziecko, myśli Miriam.

Czuje skurcz w łonie. Jakby szczypce starej kobiety zamykały na zawsze jej jajniki. Cyk, cyk i po wszystkim. Jeden szybki ruch i nieodwracalna zmiana dokonana. Panno Black, nigdy nie będzie pani miała dzieci.

Czuje coraz większą potrzebę – otwórz po prostu usta. Nabierz powietrza. Weź wielki łyk. Wciągaj nosem mętne wody Susquehanny, dopóki nie wypełnią szczelnie twoich płuc i nie zalepią ci gardła. Wtedy odpoczniesz. Nie musisz odpowiadać na żadne trudne pytania.

Nie ma martwej żony Louisa.

Nie ma też dziecka. Jej bezimiennego dzidziusia.

Zbliża się kolejna twarz.

To Eleanor Caldecott. Ma szeroko otwarte oczy. Rozdziawione usta.

Już nie żyje.

Miriam sięga w jej stronę. Czuje żylaste ciało. Przesuwa się wzdłuż niej, a rzeka pcha je obie naprzód. Dociera do ramienia i znajduje po omacku nadgarstek. W szczupłych palcach tkwi kolejny nadgarstek.

Przez moment woda jest czystsza i Miriam dostrzega Lorę – unieruchomioną w uścisku martwej kobiety.

Miriam usiłuje rozewrzeć pozbawione życia palce i uwolnić dziewczynkę, lecz nie może. A potem znikąd pojawia się spora gałąź i oddziela ją od splecionych ciał. Miriam rozgląda się i usiłuje dopłynąć do odległej, jaśniejszej plamy. Sięga, wyciąga ręce, wątpiąc, czy jeszcze jest w stanie wstrzymać oddech. Palą ją płuca, niemal eksplodują. Cała klatka piersiowa, gardło i twarz płoną.

Ale to bez znaczenia. Jeszcze tylko trochę.

Musi wydostać Lorę z wody.

Jeśli nie da się inaczej, musi ją uratować, poświęcając własne życie.

I właśnie w tym duszącym cierpieniu odnajduje odpowiedź na pytanie. Teraz już wie.

Tylko tego potrzebowała.

Uderza nogami, macha ramionami i płynie. Ponownie dopada truchła staruszki. Dostaje się poniżej Lory, chwytą ją i odpycha się nogami od Eleanor. Nagle oba ciała się rozdzielają.

Ma Lorę.

Ale czy to już koniec?

Jak wyrwać się z objęć rzeki?

Odpowiedź: od spodu zbliża się kształt przypominający rekina. Wokół niego unoszą się bąbelki powietrza.

Miriam czuje ramię, które ją obejmuje. Świat się odwraca do góry nogami. Woda szumi i ją zalewa. Ma ją w nosie. I w oczach. Szczypie. Połyka ogromne ilości.

A potem nagle pędzi naprzód.

Miriam raz jeszcze widzi ciało Eleanor Caldecott.

Lecz tym razem zwłoki spoglądają w jej kierunku i uśmiechają się.

Unoszą kościsty palec i przysuwają do ust, jakby chciały powiedzieć: ciii.

Potem ciało znika.

Dostają się na powierzchnię.

Miriam wychodzi na brzeg. Wyciąga za sobą Lorę. Miriam kaszle i się krztusi. Odwraca dziewczynkę na plecy. Dwa palce szukają tętnicy szyjnej. Jest puls. Słaby, ale jest.

Wtedy się rozgląda.

– Gdzie jest Louis? – pyta. Ale dziewczynka jest nieprzytomna.

Kształt rekina.

Ramię.

O nie!

O wszyscy bogowie i losie, nie, tylko nie tak!

Słyszysz głos Caldecott, odległy, jakby docierał do niej z samego dna rzeki:

Jesteś kolejną ofiarą zniszczenia, jakie spowoduje. Przez nią utracisz część siebie.

Louis.

Nagle – nieco dalej – rozlega się plusk.

Przez ścianę deszczu dostrzega niewyraźny kształt. Porusza się. Chwyta mokrą trawę i błoto. To on. To Louis. Biegnie w jego kierunku. Pomaga mu wyjść na brzeg. Pada na niego i przywiera, jakby wciąż była w wodzie i potrzebowała siły. By ochronił ją przed utonięciem.

CZĘŚĆ PIĄTA DROGA PRZED TOBĄ

*„Mów, Proroku z piekła rodem! Czyś jest bies,
czy bestia z dziobem,
Na to niebo wysklepione, gdzie nasz wspólny mieszka Bóg
Czy w Edenie Żyje ona? I czy wezmę ją w ramiona,
Tę, o której tylko anioł po imieniu mówić mógł?
Moją świętą, jasną, czystą, gdy w Edenu wejść próg?”
„Nevermore!”, zakracze Kruk. „Gdy tak twardy jest twój upór – precz
stąd, diable!
precz stąd, kuku!
Wracaj w burzę, skąd przybyłeś i w plutoński nocy brzeg!
Czarne pióro niech, mój panie, nawet tutaj nie zostanie
Na pamiątkę tego kłamstwa, którym uraczyłeś mnie!
Zabierz dziób z mojego serca i Pallady opuść biust!”
„Nevermore!” – Więc nigdy już? Zamilkł po tej odpowiedzi i wciąż
siedzi, i wciąż siedzi,
Na Pallady biuście bladym; nad nim lampy złota kruz.
Szklanym wzrokiem w dal wpatrzony, niczym demon
rozmarzony;
Na podłogę cień dziobaty rzuca lampy złota kruz,
Cień, co duszę mą nieszczęsną, jak posepny srogi stróż,*

Więzić będzie – zawsze już.

Edgar Allan Poe,
Kruk, tłum. Jolanta Kozak

Za pieniądze, które nie należą do niej, Miriam kupuje tani telefon na kartę – supermarketowy model – i dzwoni do szpitala.

Łączą ją z pokojem Lory.

– Cześć, wariatko – wita ją dziewczynka. Ma radosny głos.

– Uprzejma jak zawsze. – Miriam kręci głową.

– Wybacz. – Tym razem w jej słowach jest szczerłość.

– Nie ma sprawy. Lubię to w tobie. Przypominasz mi mnie.

Chwila ciszy. Słysząc tylko niepewny oddech Lauren. W końcu nastolatka znów się odzywa:

– Powiedzieli mi, że jestem złą dziewczynką. I że chcą mnie zabić.

– Nie kłamali. Chcieli cię zabić. Myśleli, że, jak by to powiedzieć, że jesteś złym jabłuszkiem, więc wykombinowali, że jak zetną jabłoń, to jabłuszko w ogóle nie dojrzeje. To metafora, rozumiesz? Przenośnia taka. Kurwa, metafora sretafora. Uznali, że w przyszłości okażesz się bardzo złym człowiekiem i będziesz krzywdziła innych.

– A będę zła?

Nie mam pojęcia, myśli Miriam.

Ale to nie jest odpowiedź na jej pytanie.

– Nie będziesz, jeśli nie będziesz chciała. Przeznaczenie nie jest niezmiennie – wyjaśnia. To nie kłamstwo, a w każdym razie nie do końca. – Życie zostawia nam spory margines na nasze własne decyzje. Ale tylko jeśli dostatecznie mocno o to walczysz.

– Chcę być dobra.

– To bądź.

– Pomożesz mi?

Miriam wzdycha. Zaciąga się papierosem. Wypuszcza dym z płuc.

– Wrócę do ciebie za kilka lat sprawdzić, co z ciebie wyrosło. Może poprzewraca ci się w dupie, a może nie.

– Dzięki. – Znów szczerą wdzięczność. Miriam nie jest do tego przyzwyczajona. – Dzięki za to i za uratowanie mi życia.

– Nie ma o czym mówić.

– Przed moją salą siedzą policjanci.

– Wiem. Dlatego dzwonię.

– Powiedziałam im, że byłaś dobra. I że pomagałaś.

– Dobra dziewczyna?

– Dobra dziewczyna.

Kolejny raz zaciąga się papierosem.

– Dzięki, Lora. Jeszcze do ciebie zadzwonię. Kiedyś. Trzymaj się.

– Pa, Miriam.

Klik.

WIĄZANKA POGRZEBOWA

Kwiaty – kupione za skradzione pieniądze – docierają do domu Katey około południa. Róże i goździki w srebrnym celofanie. Dostaje je kilka minut po tym, jak w lustrze w łazience zauważa, że jej policzki są nieco żółtawe. Wygląda to na żółtaczkę. Wczesny zwiastun raka trzustki. Znalazła taką informację w internecie.

Do kwiatów dołączona jest wiadomość.

„Droga Katey,

Już się nie zobaczymy. Muszę spadać stąd, zanim gliny dobiorą mi się do dupska. Dotarła do mnie wiadomość, że strażnik w szkole przeżył. Kto by pomyślał, że można przeżyć podcięcie gardła? Tak czy inaczej, to wszystko jest zbyt skomplikowane, żebym czuła się komfortowo, przebywając w pobliżu i czekając, aż policja mnie z tym połączy.

Nie wiem, z kim powinnam porozmawiać – tak, tak, wiem, z Louisem. Tyle że to historia z zupełnie innej beczki, więc wybrałam Ciebie.

Eleanor Caldecott powiedziała, że jestem taka sama jak ona.

I wiesz co? Byłam o krok od uwierzenia, że ma rację.

Ale potem, jak wskoczyłam do rzeki, miałam tę chwilę olśnienia, jak alkoholik, który przez ułamek sekundy dostrzega prawdę. Eleanor Caldecott była gotowa umrzeć, żeby tylko mieć pewność, że to samo spotka Lorę.

Ja z kolei byłam gotowa umrzeć, żeby Lora przeżyła.

Dwie strony tej samej monety. Awers i rewers. Ta sama moneta, ale obie strony są inne. Cholera, a może tylko się łudzę? Może naprawdę jesteśmy

podobne?

Wolę myśleć, że jestem inna.

A to oznacza, że mam kilka spraw do załatwienia.

Może jednak kiedyś jeszcze się spotkamy. Tutaj albo na tamtym świecie.

Pogodnej śmieci, Katey Wizniewf... jaksiętokurwapisz.

Mam nadzieję, że niedługo spotkasz Steve'a.

Powodzenia.

Miriam Black”.

– Ludzie zazwyczaj dołączają tylko kartki pocztowe albo wizytówki – mówi dostawca.

Katey spogląda na niego i ociera łzę z oka.

Potężny facet. Okrągłutki. Jak miś pluszowy. Słodki, nawet w uniformie kuriera.

Na koszulce ma przyczepioną plakietkę z imieniem. Steve.

– Steve – mówi Katey i uśmiecha się. Z początku tylko chichocze, ale potem chichot przeistacza się w prawdziwą lawinę rozbawienia. Stoi tam i się śmieje, i jednocześnie płacze, ale nie ze strachu przed umieraniem, tylko z powodu szaleństwa, którego jest częścią.

– Wszystko w porządku? – pyta Steve, podając jej staromodną chusteczkę z monogramem.

Katey się uspokaja.

– Steve. Muszę cię zaprosić do środka, na herbatę. Masz coś przeciwko?

Tym razem to Steve się uśmiecha.

– Z przyjemnością napiję się herbaty.

– A co powiesz na wycieczkę na Karaiby?

– Zacznijmy od herbaty.

– Niech będzie.

OSIEDLE PRZYCZEP KEMPINGOWYCH

Leżą razem. Ona i Louis.

– Jak tam twoje oko? – pyta dziewczyna.

– Które? To, którego już nie mam? – odpowiada pytaniem. – Swędzi.

– Nic dziwnego.

– A jak twoja...

– Pytasz o mój cycek? Ten, w który mnie dźgnął łysy sukinsyn? – mówiąc, obgryza paznokcie. Nagle przychodzi jej ochota na papierosa, choć nie wolno palić w środku. – Swędzi.

Śmieją się.

– Dobraliśmy się jak w korcu maku – mówi Louis.

Miriam myśli w duchu, że są miejsca, które swędzą, ale nie da się w nie podrapać.

Ale nie mówi tego głośno.

Zamiast tego rzuca propozycję:

– Ja podrapię ciebie, a ty mnie. Umowa stoi?

– Jesteś pewna, że tego chcesz?

Jej dłoń wędruje w kierunku jego dzinsów, wsuwa się pod pasek, jak wąż w szparę pod drzwiami, a potem opiera brodę na jego ramieniu.

– Pytanie brzmi: czy ty tego chcesz?

ODPUŚĆ I INNE CHAMSKIE ZAGRANIA

Znajduje go na parkingu motelu. Nad ziemią unosi się mgła, a niebo jest niewyraźną mazią, która pożarła słońce. Louis klęczy przy przeciętej oponie ciężarówki. Opiera głowę o wysoką felgę i masuje skronie.

Dzień po wydarzeniach w domu Caldecottów zamówił dwie nowe opony, pojechał na miejsce, gdzie zostawił ciężarówkę i zanim policja zrobiła się podejrzliwa, byli już z Miriam daleko. Pojechali na południe, do Mechanicsburga.

– Niech to diabli. A dopiero co założyłem nowe – mówi. Przygryza dłoń tak mocno, że na skórze zostają białe wgłębienia.

– Ktoś specjalnie ci je pociął – mówi Miriam.

– Aha.

– To byłem ja.

Odwraca się.

– Ha, ha, ha. Ale to nie czas na żarty.

– Poza tym ukradłam ci sporo pieniędzy ze schowka. Kilkaset dolców. Mniej więcej połowę z tego, co tam było. Wiem, wiem, to było chamskie.

Prostuje się, zrezygnowany.

– Ty mówisz serio.

– Zgadza się.

Dopiero teraz rozumie, o co chodzi.

– Chcesz mnie zostawić.

Miriam waha się, ale w końcu potakuje.

– Tak. Wiem. Przepraszam.

– Jestem twoim obrońcą.

– I doskonale wypełniłeś swoje zadanie. Widzisz? Przecież żyję. – Mówiąc to, uderza się w pierś, jakby chciała potwierdzić, że nie jest duchem. – Widziałam twoje spojrzenie, kiedy zastrzeliłam Edwina. To nie było nic takiego.

– Dam sobie z tym radę. Przyzwyczaję się. W końcu też kogoś zabiłem.

– Wiem. I to jest właśnie pokręcone. To nie ty taki jesteś. To ja. Kiedyś myślałam, że jestem dobrą dziewczynką, ale okazało się, że jest inaczej. Potem myślałam, że los to los i nie ma co z nim walczyć, ale znów okazało się, że się mylę i jest sposób, by zmienić przeznaczenie. Myślałam, że jestem po prostu złodziejką... a okazało się, że jestem morderczynią. – Potrząsa głową i spogląda w niebo. Na południe zmierza klucz gęsi. – Nie chcę ponosić odpowiedzialności za twoją przemianę. Nie chcę, żebyś stał się taki jak ja.

– Nie musi tak być. – Potrząsa głową.

– Ale będzie.

– Po co przebiłaś mi opony?

– Bo wiem, że ruszyłbyś za mną.

Wzrusza ramionami.

– I tak pojedę.

– Nie.

– Ty jesteś, jaka jesteś. Ja mam tak samo. Nie zmienię się.

– Nie znajdziesz mnie. To koniec naszej wspólnej drogi.

Podchodzi bliżej i staje naprzeciwko.

– Mógłbym cię złapać. – Louis potrząsa głową. – Mógłbym cię po prostu... przytrzymać. Zatrzymać. Na zawsze. Nigdy bym cię nie puścił.

– To miłe. Ale i tak bym uciekła. Lepiej od razu rzuć się na odbezpieczony granat. Słuchaj, lepiej zrobmy to. – Staje na palcach i całuje

go. Długo, powoli i głęboko. To pocałunek z gatunku tych, kiedy człowiek czuje, że kiedy łączą się usta i mieszają oddechy, oddaje się drugiej osobie kawałek swojej duszy.

Chce ją objąć, ale ona się cofa.

– Żegnaj, Louis.

– Znajdę cię.

– Nie, nie znajdziesz.

Ale pewności nie ma.

ZNÓW NA SZLAKU

– Tutaj – mówi kierowcy. To stary gderliwy facet, obity i zniszczony życiem skurczybyk imieniem Albert. Żonę pochował półtora roku temu i od tamtego czasu przemierza Stany, robiąc to, co planowali robić z żoną, ale nigdy się do tego nie zabrali. Odwiedza wszystkie przydrożne festyny i atrakcje, szuka znaków, gdzie zobaczy największy na świecie kłębek przędzy, dom postawiony do góry nogami czy nawiedzony hotel.

Znalazł ją na poboczu, jak polowała na stopa, chwilę po tym, jak zwiedził wystawę Roadside America, makietę całych Stanów Zjednoczonych zbudowaną na powierzchni ośmiu tysięcy stóp kwadratowych. Zgodnie z informacjami na znakach na makietę składało się między innymi dziesięć tysięcy miniaturowych drzew, ponad osiemnaście tysięcy żarówek i dwadzieścia dwa tysiące stóp przewodów.

Prawdopodobnie to jedyna rzecz warta obejrzenia w Shartlesburgu, w Pensylwanii – w mieście tak śmiesznym i zabawnym, że Miriam niemal sady rodzyna za każdym razem, kiedy słyszy jego nazwę.

Albert zobaczył ją z uniesionym kciukiem. Zapytał, dokąd jedzie, a ona mu powiedziała.

To miły gość. Gaduła. Straszny gaduła. Ale ona nie narzeka, bo lubi rozmawiać. Tyle że na razie woli pomilczeć.

Albert niedługo umrze. Za trzynaście miesięcy.

To będzie ranek. Albert stoi przed pniem gigantycznego drzewa – pewnie sekwoi – z wyciętą twarzą brodatego mężczyzny, który przypomina Paula Bunyona. Znak nieopodal informuje, że to twarz Johna Muira, kimkolwiek

był. Słońce zachodzi, a on wyjmuje zdjęcie żony, jak za każdym razem, i odwraca je w kierunku pnia, jakby mogła go zobaczyć, po czym chwytą się za pierś i umiera.

Nie żyje, zanim dotknie ziemi.

Wiatr porywa fotografię.

Tymczasem jest całkiem żywy.

– Wszystko dobrze, panienko? – pyta. Tak cały czas do niej mówi. Panienko.

Uśmiecha się i unosi kciuk.

– I o to chodzi! – krzyczy. – Zostaw mi dymka. Musisz zapłacić za podwieszenie!

Zazwyczaj ceną jest zrobienie lodu, więc jest szczęśliwa, że chce tylko papierosa. Nie przestaje gadać, kiedy rusza w stronę domu.

Pod stopami ma zniszczony chodnik.

Porozbijane doniczki. Popękane schody. Nad jej głową, na brzegu rynny siedzi kruk i przestępuje z nogi na nogę. Stara się dostać do jego głowy i zmusić ptaka, żeby coś zrobił – cokolwiek uniósł skrzydła, kłapnął dziobem, zesrał się – ale ptaszysko po prostu odlatuje i znika za drzewami.

Pieprzyć to. Głupek.

Puka.

W końcu wuj Jack otwiera.

– To ty – mówi. Podejrzliwie.

– Chcę telefon do mamy. I jej adres. Na Florydzie.

– Jestem zaskoczony.

– Ja też. To jak będzie?

Po chwili wraca i podaje jej kawałek papieru. Fort Lauderdale.

Niech będzie. Dobrze. Serce wali jej jak dzikie.

– Dzięki, Jack. Do zobaczenia przy następnej okazji. – Czyli nigdy,

dodaje w duchu.

– Pa, mały zabójco.

Powoli odwraca się w jego stronę. Spodziewa się, że zobaczy szeroki uśmiech. Może w dłoni będzie trzymał martwą sikorkę albo naładowaną wiatrówkę. Ale nie. Nie ma go już. Zniknął w domu.

Miriam wskakuje do samochodu Alberta.

– Dokąd teraz? – pyta.

– Na południe – mówi Miriam.

Bo tam właśnie zmierza.

[1] William Butler Yeats, *Drugie przyjście*, tłum. Stanisław Barańczak (przyp. tłum.)